

MARTHA

GRIMES

hotel
belle
rouen

Małemu Scottowi Hollandowi
i jego mamie Travis,
i drodze do domu,
dużo miłości (z posypką)

*Jeśli, jak mówią, piach rzucony w oczy,
Sprawi, że własna mowa mnie nie zauroczy,
To takiej próbie poddam się bez strachu.
Niech będzie druzgocąca; niech mnie z dachu
Albo zza węgła zamieć - jak garść piachu z nieba -
Oślepi i powstrzyma, jeżeli tak trzeba.*

Robert Frost, *Dust in the Eyes*

„Sława jej nie zwarzy, wielka różnorodność uczuć chroni ją przed spowszednieniem”.

Dwayne powiedział, że to cytat z Szekspira. Naprawdę pisarz wspomina o „wieku”, a nie o „sławie”, wyjaśnił, ale on, Dwayne, zmienił tekst, żeby dopasować go do mnie. Wiek, dodał, chyba nie stanowi problemu dla kogoś, kto ma dwanaście lat („i to od dłuższego czasu” - tego moim zdaniem nie musiał już dodawać). A moja świeża sława to najbardziej godna uwagi rzecz, jaka zdarzyła się w Spirit Lake od... no, od nie wiadomo kiedy. Słowa Szekspira dotyczą Kleopatry, też w swoim czasie bardzo sławnej, prawie tak jak ja. Dwayne, który jest mistrzem mechanikiem, mówił to wszystko, leżąc pod starym studebakerem Bobby'ego Stucka.

Siedziałam na stercie starych opon w warsztacie Abła Sława. Abel Sław zabrania mi przebywać wśród tych wszystkich samochodów, narzędzi i podnośników, musiałam więc poczekać, aż pójdzie do biura zadzwonić, i dopiero wtedy weszłam do środka. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tyle czasu wisiał na telefonie.

Dwayne wyjechał spod studebakera na specjalnej desce na kółkach, wstał i zajrzał pod maskę. Kłopot polega na tym, że gdy Dwayne tkwi pod samochodem, jego twarz jest całkiem niewidoczna, kiedy zagłąda do silnika, też prawie jej nie widać, więc nigdy nie wiem, czy akurat się ze mnie nie śmieje. Czasem chyba niezłe się nabija, ale jak mam to poznać, skoro nie widzę, jaką ma minę?

Rzeczywiście, można by pomyśleć, że dwanaście lat mam od strasznie dawna, ale to dlatego, że przez ostatnich kilka tygodni mnóstwo się wydarzyło, a ja muszę zapisywać wszystkie szczegóły, na przykład, że Dwayne jest „mistrzem mechanikiem” - detal, który pewnie pomnę w końcowej wersji, o czym nie omieszkałam mu zakomunikować.

- No i dobrze.

To Dwayne z głową pod maską studebakera.

Chciałabym przypomnieć, co się stało: nie całą historię (którą powinniście już znać, jeśli uważaliście choć trochę), lecz samo zakończenie, kiedy moja sława zaczęła wyraźnie nabierać rumieńców (zapożyczyłam kilka mądrych wyrazów z gazetowych artykułów na swój temat). Moja sława to „pokłosie” zbrodni. Zbrodnia i jej pokłosie. Zbrodnia - pociski i krew - przytrafiła się właśnie mnie i stąd wzięło się pokłosie. Czasem mi się wydaje, że było ważniejsze niż sama zbrodnia.

To pokłosie sprawiło, że dziennikarze przesiadywali na werandzie Hotelu Paradise, bujali się na zielonych bujakach, pili kawę albo martini (zależy, kto ich podejmował, mama czy Lola Davidow) niczym płacący za ten przywilej hotelowi goście, a przede wszystkim w kółko

wypytywali mnie o wypadki na przystani w Spirit Lake, czy się nie bałam i tak dalej.

O to właśnie chodzi: dziennikarze byli tu z mojego powodu. Matka, pani Davidow i jej niesławna córka Ree-Jane - zwłaszcza Ree-Jane - wprost nie mogły w to uwierzyć. A było im trudno w to uwierzyć, gdyż przez całych dwanaście lat mojego życia nikt na serio nie poświęcał mi uwagi. Ja jako bohaterka gazetowych relacji - nie, to nie mieściło się w głowie. Matka cieszyła się, że jestem sławna, Lola Davidow cieszyła się, że ma okazję otworzyć dzin Gordona, a Ree-Jane nie cieszyła się wcale.

Tak więc wszyscy przesiadywaliśmy na werandzie: dziennikarze, moja matka, pani Davidow, Ree-Jane i ja. Nieobecny był tylko mój brat Will, który całe życie spędza w Dużym Garażu, gdzie ze swoim przyjacielem, genialnym muzykiem Brownmillerem (którego nazywamy Mili), wymyśla piosenki i scenografię do przedstawienia. Mój brat jest zbyt zajęty, by zajmować się sławą, nawet swoją własną, co chyba wiele o nim mówi. Ja nie podzielam jego podejścia. Szczerze mówiąc, jak dla mnie, to sławy nigdy dosyć.

Szczegóły piętrzą się w nieskończoność, co podobno jest wadą tej historii - że tonie w szczegółach. Tak jak Mary-Evelyn utonęła w Jeziorze Duchów. Tak jak ja niemal w nim utonęłam.

Ree-Jane mówi, że moje historie nie mają końca, że to nudne słuchać o tych wszystkich drobiazgach, że ja jestem nudna. Ale to ja nie mam końca. Ona po prostu nie rozróżnia tych dwóch rzeczy.

Zapamiętajcie sobie, to moja opowieść. O Hotelu Paradise i o Benie Queenie, i o Cold Fiat Junction. Możliwe, że nie ma końca, tak jak ja. Wtedy mogłabym gadać

i gadać, wciąż świeża i zaskakująca niczym Kleopatra. Nie, żeby porównywała, rzecz jasna.

- Lepiej uważaj w tym lesie. Pełno tam myśliwych, polują na jelenie - powiedział Dwayne z głową w sieniu.

Siedziałam, gapiąc się w bieżniki opon. Jakbym w ogóle miała samochód!

- To nie sezon na jelenie.

- To także nie sezon na szopy, ale niektórych to nie powstrzymuje.

Otwierałam puszkę oleju Sinclair, jakby to było piwo, i nareszcie mogłam dostrzec jego twarz. W cieniu, rzuconym przez maskę samochodu, wydawała się jeszcze przystojniejsza.

- Takich jak wia-do-mo-kto - powiedziałam.

Zerknął na mnie.

- Znowu polowałaś poza sezonem?

- Ja nie. Ty.

W ten sposób go spotkałam. Byłam w innej części lasu - nie w parku jeleni, lecz bliżej Lakę Noir, choć trudno rozpoznać, gdzie jeden las się kończy, a drugi zaczyna. Obserwowałam właśnie Zapadły Dom - jeśli siedzenie na drzewie można nazwać „obserwacją” - kiedy usłyszałam trzask łamanych gałązek i szelest suchych liści, jakby ktoś się zbliżał. Śmiertelnie się przeraziłam - a to był Dwayne z workiem zabitych królików. Pamiętam jeszcze, że panowała noc, gęsta i czarna jak czarna dziura, ciemna ciemnością, która wszystko w siebie wsysa, gdy nie dało się już określić, gdzie kończyło się drzewo i zaczynałam ja, gdzie kończyła się ziemia i zaczynał Dwayne.

- Tam jest taki stary hotel - powiedziałam teraz, wskazując za szosę na tyłach warsztatu. - Pewnej nocy

spalił się caluteńki z wyjątkiem kawałka parteru. Mieściła się tam sala balowa. Ten hotel był większy niż Hotel Paradise, znacznie większy. Nazywał się Belle Rouen. To po francusku - dodałam na wypadek, gdyby nie wiedział.

Patrząc w otwór puszek z olejem, Dwayne wytarł dłonie w zatłuszczoną szmatę, jaką chyba wszyscy mechanicy noszą w tylnej kieszeni.

- Dużo się dowiedziałam o tym hotelu od pani w towarzystwie historycznym La Porte.

- Dziewczyno, prędej zobaczę jelenia na drzewie, niż ciebie w muzeum, uczącą się historii.

- Jak to? Wiem mnóstwo o historii!

- Nie znasz nawet historii swojego własnego hotelu, a co dopiero cudzego. - Wepchnął szmatę z powrotem do kieszeni.

Obrażona, zeskoczyłam ze sterty opon.

- A właśnie, że znam! Należał do mojego pradziadka, a potem do dziadka i matki (i, o czym nie chciałam pamiętać, do Loli Davidow). A tak naprawdę jego właścicielką jest Aurora Paradise i jej siostra. - Aurora Paradise ma dziewięćdziesiąt jeden lat i mieszka na trzecim piętrze hotelu.

Dwayne rzucił pustą puszkę do wielkiego pojemnika i zatrzasnął maskę.

- Nie całkiem to miałem na myśli. Co się tam właśnie ciwie działo?

Znów usiadłam na stercie opon i zmrużyłam oczy, jakby to miało mi pomóc zrozumieć, o co mu chodzi.

- No, a po co miałabym to wiedzieć? - I tak nigdy nie wiem, co się dzieje. - Nikt nigdy o tym nie mówi, to znaczy, matka czasem wspomina o tych okropnych Paradise'ach - bo wiesz ona tylko wyszła za męża za

jednego z nich. Ale to wszystko... - Głos mi zamarł. Poczulałam się nieswojo (z winy Dwayne'a), jakbym przez cały ten czas zaniedbywała historię rodziny, jakbym była za nią odpowiedzialna. Nie wiem, może i byłam.

Dwayne uniósł maskę kolejnego samochodu i umocował cienki pręt podtrzymujący ją w pozycji otwartej. Spojrzał na mnie przez powstały w ten sposób trójkąt.

- Zbladłaś. Coś ci się stało?

- Nic.

Dwayne wciąż się we mnie wpatrywał, lecz moją bladłość chyba zastąpił wściekły pąs, bo nagle odpuścił. Muszę przyznać, że jest w tym dobry: odpuszcza, kiedy widzi, że coś jest dla człowieka za trudne.

- No to powiedz, co z tą salą balową - zaproponował.

- Nie powiem, jeśli będziesz wciąż mi przerywał - odrzekłam wyniosłe. Wyniosłość nie bardzo mi wychodzi, bo nikt nie zwraca na nią uwagi. Tak jak na smutek, złość i nieszczęście.

Uśmiechnął się lekko.

- Przepraszam - mruknął, wycierając palce szmatą, którą znów wyjął z kieszeni. Robił to tak starannie, że można by pomyśleć, że szmata wróciła prosto z pralni.

Możecie sobie wyobrazić, ile razy zdarzyło mi się usłyszeć słowo „przepraszam” od kogoś dorosłego. To kolejna zaleta Dwayne'a. Więc beztrąsko rzuciłam:

- Eee, nie ma za co. W każdym razie, hotel urządzał wytworne bale - lepsze niż dancingi - na których grała orkiestra w smokingach, kobiety miały suknie wyszywane koralikami i cekinami, a parkiet tak błyszczał od pałty, że wyglądał, jakby stał w płomieniach. Bywało tam i ze dwieście osób... Czemu tak na mnie patrzysz?

Na jego twarzy malowało się powątpiewanie.

- Znasz strasznie dużo szczegółów. - Rzucił szmatę za siebie i schylił się, by zająrzeć do silnika.

- Dwieście osób albo coś koło tego - ciągnęłam. - To chyba były lata trzydzieste - epoka, która właściwie nie istniała, bo mnie w niej nie było - kiedy grali muzykę w rodzaju *Bye Bye Blackbird* albo *When the Swallows Come Back to Capistrano*. - Z jakiegoś powodu zaczęłam śpiewać: „*No one here can love or understand me*” - i przez chwilę jakbym wyszła z siebie i wpadła w jakieś inne „ja”, w istną otchłań uczuć.

„*Oh what hard luck stories they all haaand me*”.

To już Dwayne. Próbował - tak sędzę - wyciągnąć mnie z wielkiego smutku, tak samo jak Ben Queen ongiś wyciągnął mnie, kiedy się topiłam. Omal nie rozplakałam się z ulgi, że komuś w ogóle się chce. Wlepiłam wzrok w czubki swoich butów, a Dwayne znów zaczął postukiwać kluczem francuskim czy innym narzędziem.

- No, mów - zachęcił.

Odchrząknęłam; to nie słowa więzną w gardle, lecz wspomnienia.

- Jest tam jakby staw, gdzie przychodzą pić jelenie. Na jednym obrazku widać jelonka i chyba jego tatusia, no wiesz, z rogami.

- Hmm. Jejonek z bykiem? Zwykle trzymają się matek.

- To pewnie dlatego, że pomogłeś wystrzelać wszystkie jelenie matki. - Też umiem być sarkastyczna.

- Prawie nie poluję na jelenie i nigdy nie zastrzeżyłbym łani.

- Nie powinieneś strzelać do niczego. Mają prawo żyć, tak jak ty albo ja. - Zwłaszcza ja.

- No, no, ależ wleźliśmy na wysokiego moralnego konia!

Pracowicie manipulował kluczem pod maską.

Właściwie nie poświęcam polowaniom wiele uwagi. Szczerze mówiąc, pierwszy raz w ogóle o nich pomyślałam dopiero wtedy, gdy napatoczył się Dwayne z torbą królików.

2

To prawda, co powiedziałam Dwayne'owi: informacje o Belle Rouen otrzymałam w małym muzeum miejskiego towarzystwa historycznego. Mieści się w domu, który kiedyś był własnością rodziny Porte, tej samej, do której praktycznie całe La Porte należało w swoim czasie. To ładny stary budynek z czerwonej cegły, a najbardziej podoba mi się to, że jest tak mały, że chodzenie po nim wcale nie męczy. Dwayne miał rację; wcale nie dbam o historię jako taką, ale lubię, kiedy stanowi tło jakiejś tajemnicy. „Stanowi tło” - kolejne gazetowe sformułowanie, które bardzo mi się podoba.

W godzinach 11.00 - 15.00 muzeum opiekuje się panna Alice Llewelyn. Ma puszyste, białe włosy, trochę jak kwiat dzikiej marchwi, i zawsze ubiera się w pastelowe barwy, różowe, niebieskie i zielone. Jej twarz o różanej cerze także jest pastelowa. Ale z drugiej strony w takim miejscu może pracować tylko starsza osoba, która potrafi docenić fakt, że przeszłość osiada na przedmiotach niczym kurz.

Kiedy zapytałam ją o stary hotel w parku jeleni, od razu powiedziała: „Ach, Belle Rouen” - przy czym glos-

kę „R” wymówiła swobodnie i gładko, całkiem inaczej niż Ree-Jane, która po prostu charczy. Panna Llewelyn wyjaśniła, że tak, owszem, mają kilka „eksponatów” z Belle Rouen, i zaprowadziła mnie do przeszklonej gabloty.

Były tam fotografie hotelu w formacie pocztówek - widok hotelu w słońcu, widok hotelu w śniegu, a jedna, która naprawdę mi się spodobała, ukazywała jelenie pijące przy zimowym stawie. Duże zdjęcie lotnicze przedstawiało hotel i jego otoczenie z lotu ptaka: pole golfowe, basen, stajnię i mnóstwo ścieżek prowadzących do lasu.

- Ależ był ogromny - zdumiałam się.

Panna Llewelyn przytaknęła.

- Miał ponad dwieście pięćdziesiąt pokojów gościnnych i oczywiście pomieszczenia ogólne, w tym salę balową, gdzie w każdą sobotę odbywały się tańce. I nie jedno, ale dwa pola golfowe, dasz wiarę?

Nawet nie próbowałam: golf to moim zdaniem zajęcie prawie tak nudne jak wykłady o nakrywaniu do stołu w wykonaniu naszej starszej kelnerki, Very.

- No, mieli znacznie więcej gości niż Hotel Paradise.

O to nietrudno. Areszt sądowy ma więcej gości niż Hotel Paradise.

§ Przez zmrużone powieki przyjrzałam się grupie ludzi na fotografii, którzy wysiadali z dużego samochodu pod bramą wjazdową trzy razy większą niż nasza. Mieściło się tam sześć albo siedem samochodów, podjeżdżających raz po raz, aby wypuścić pasażerów, do których podbiegali boye hotelowi. Powinnam pokazać to zdjęcie Willowi, żeby zobaczył, jak wyglądałoby jego życie, gdyby ludzie nie byli dlań tak pobłażliwi. Kufry

i walizki przypominały bagaże Aurory Paradise. Stroje kobiet również wydały mi się czarujące: duże, oklap-łe kapelusze, albo filcowe hełmy, takie jak w filmach o starożytnym Rzymie, kiedy lwy atakują chrześcijan. (Zawsze mnie ciekawiło, jak się powstrzymuje filmowe lwy przed zjedzeniem ofiar. Myślę, że Ree-Jane, która marzy o karierze sławnej aktorki, powinna najpierw się tego dowiedzieć.)

- Patrz - powiedziała panna Llewelyn - po ilości bagażu można poznać, że zamierzają zostać cały sezon.

Cały sezon. Wyobraźcie sobie, że ktoś mieszka w Hotelu Paradise przez „cały sezon"! Zwykle już po jednym weekendzie nabiera rozumu.

- Czy to dużo kosztowało?

- Tak, wydaje mi się, że hotel był drogi. Ale interesy popsuły się na serio dopiero, kiedy zostało porwane to dziecko.

Aż się cofnęłam, wstrząśnięta.

- Dziecko? Porwane?

Panna Llewelyn kiwnęła głową, przymykając oczy, jakby widziała w myślach całą scenę.

- Była taka piękna noc, pełnia księżyca. Wszystko wyglądało tak romantycznie, noc i ten bal. No i ta mała jedynaczka, zabrana wprost z kołyski, podczas gdy jej rodzice tańczyli na dole. Jej ojciec pochodził z tych stron, wiesz o tym? Niejaki Morris Slade, znany mój scowy playboy.

Muszę przyznać, że moja wiedza o playboyach jest dość ograniczona, słyszałam tylko, że ładnie się ubierają, uganiają się za dziewczynami, piją szampana i jeżdżą szybkimi sportowymi autami. Poza tym są przystojni i skaczą z kwiatka na kwiatek. Jednego nie rozumiałam - playboy w La Porte? Jak on się tutaj uchowal? Od

kogo nauczył się playboyowskich manier? Od swojego ojca? Nic mi nie wiadomo, jakoby w La Porte mieszkali jacyś starzy playboye, no, może z wyjątkiem Jamiego Makepeace'a, który romansował z siostrami Devereau. Ale nie jestem pewna, czy Jamiego można zaliczyć do playboyów.

Wtedy przypomniałam sobie kuzyna, znacznie ode mnie starszego, który od czasu do czasu przyjeżdża do nas z miasta. Nosi białe płócienne garnitury i przywozi prezenty, lecz nie prezenty są dla mnie ważne, tylko on sam. Jest, można rzec, „egzotyczny”. Zawsze pilnowałam, by przywitać się z nim ostatnia, a nie pierwsza. Wyglądałam przez okno swego pokoju na drugim piętrze, które wychodzi na ogródek koktajlowy za hotelem, i patrzyłam, jak pozostali wybiegają jedno za drugim, aby się z nim przywitać (to znaczy wszyscy z wyjątkiem Willa, ale trudno sobie wyobrazić Willa biegnącego na czyjeś powitanie, chyba że byłby to Spike Jones albo Medea). Specjalnie się powstrzymywałam, po czym schodziłam wolno na dół i szłam spacerkiem przez ogródek jak gdyby nigdy nic, jakby te „halo” i „jak się masz” przyprawiły mnie o ziewanie. No i w końcu dostałam nauczkę, bo na mój widok sarknął: „Emma? W końcu byłaś łaskawa zejść?” Wcale nie żartował, naprawdę się rozłościł. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Jest to jedyny znany mi człowiek, który mógłby być playboyem, zwłaszcza że przez całe eony przesiaduje, pijąc martini z Lolą Davidow. Chociaż ją chyba trudno nazwać „playgirl”.

Wszystko to przyszło mi na myśl, kiedy wpatrywałam się w zdjęcie gości Belle Rouen, kobiet w kapeluszach niczym hełmy, modnych aż po czubki pantofli, oraz mężczyzn w letnich garniturach i sztywnych białych

kołnierzykach. Przed wszystkim jednak rzuciło mi się w oczy, że wszyscy wyglądali na szczęśliwych - na olśniewająco szczęśliwych. To przyprawiło mnie o jeszcze większy smutek niż niedostatek playboyów. Nigdy nie widziałam, żeby ludzie wchodzili do Hotelu Paradise tacy szczęśliwi, chyba że upili się w sztok.

Zapewne był to wpływ samego Belle Rouen; hotel musiał emanować taką obietnicą szczęścia, że goście gotowi byli zapłacić każdą sumę i przyjechać nie wiem z jak daleka, żeby po prostu poczuć się szczęśliwymi.

Spojrzałam na inne zdjęcia, przedstawiające wnętrza. Ta jadalnia! Była dwa razy większa od naszej, a stoły ugiwały się od zastawy, sreber, pucharków na wodę i kieliszków do wina, stłoczonych wśród śnieżnobiałych serwetek i świeżych kwiatów. Może powinnam wstawić jakiś pąk do wazonika na stoliku panny Berthy. Wiem, na co jest uczulona.

A oto i sala balowa z muzykami w smokingach. Tancerze w strojach wieczorowych obracali się i płynęli, jakby unosił ich wiatr. Zwłaszcza suknie kobiet sprawiały wrażenie eleganckich; były o tyle wytworniejsze od sukienki Ree-Jane na „słodką szesnastkę”, że nawet nie ma co gadać, być może nawet wytworniejsze niż suknie Kelnerka, ale też Kelnerki przebywały na całkiem innej płaszczyźnie egzystencji.

Patrząc na widok hotelu z lotu ptaka, pomyślałam, że może panna Llewelyn ma rysunek, to znaczy plan hotelu. Zapytałam ją o to.

- Nie, nie mamy. A po co ci on?

Chyba nie miała zamiaru być wścibska, po prostu się zdziwiła.

- Bo chcę go sobie lepiej wyobrazić. Chcę zobaczyć, jaki był układ pomieszczeń na dole, które nazywa pani salami publicznymi. Znaczy, żeby mieć lepszy obraz.

- Rozumiem. - Oparła podbródek na zgiętym palcu, najwyraźniej się zastanawiając. - Wiesz, chyba możemy odtworzyć plan z tej fotografii lotniczej. Mamy też pocztówki i inne zdjęcia.

To był doskonały pomysł. Panna Llewelyn przyniosła linijkę oraz zatemperowany ołówek, po czym z zapalem zaczęła kreślić małe kwadraty i prostokąty - hol, kuchnię, czytelnię, salę balową, solarium (co to takiego?).

Romantyczność Belle Rouen owładnęła mną tak bardzo, że prawie zapomniałam o porwanym dziecku, zwłaszcza że w muzeum nie dostrzegłam żadnych wyinków z gazet.

Zapytałam pannę Llewelyn, czy była na balu tego wieczoru, kiedy dziecko zniknęło, ale odparła, że nie, więc nie mogłam nawet poznać jej wersji wydarzeń. Chociaż to właściwie bez znaczenia: jedyna wersja czegokolwiek, jaka w ogóle mnie obchodzi, to moja własna.

Panna Llewelyn podała mi zwinięty i zabezpieczony gumką plan, po czym dodała:

- Mówiono mi tylko, że opiekunka wyszła na chwilę z pokoju, a kiedy po balu ojciec wszedł na górę, dziecka już nie było. Wyobrazasz sobie, jakie to straszne dla rodziców?

Dla opiekunki też nie wyglądało to zbyt dobrze.

- Policja sądziła, że to mógł być ktoś z obsługi hotelowej, niekoniecznie osoba z zewnątrz.

- I dziecka nigdy nie odnaleziono?

Pokręciła głową w milczeniu.

- Większość ludzi - rzekła po chwili - nie potrafiła wymówić poprawnie słowa „Rouen”, więc mówili „Belle

Ruin". Zaczęliśmy go wszyscy tak nazywać; pasuje, nie uważasz?

Przytaknęłam. A potem całkiem o nim zapomniano; był miejscem, o którym trzeba sobie przypominać: „Och! Belle Rouen! Tak, pamiętam". Ale wcale nie pamiętasz, prawda? Bo trzeba ci dopiero podpowiedzieć: Belle Ruin.

3

Jeśli chodzi o wyżywienie, nieliczni goście Hotelu Paradise mają do dyspozycji tak zwany zmodyfikowany plan amerykański, czyli że śniadania i kolacje wliczone są w cenę pokoju. Co goście robią z lunchem, to ich sprawa. Nie wynika stąd, rzecz jasna, że nie podajemy lunchów; oczywiście musimy to robić, a to z kolei oznacza, że ja muszę być obecna, żeby podawać do stołu. Tyle że jeśli ktoś chce zjeść lunch, płaci dodatkowo.

Moim zdaniem ten cały zmodyfikowany plan miałby sens w jakimś kurorcie, gdzie jest mnóstwo rozrywek poza hotelem, na przykład szukanie antyków, zakupy, jazda konna albo zwiedzanie muzeów bądź zabytków historycznych. U nas nie ma nic do roboty, chyba że komuś chce się jechać dziesięć mil nad Lakę Noir. Jezioro Duchów, od którego nasze miasteczko bierze swoją nazwę, całkiem zarosło liliami wodnymi i chociaż jest tam przystań, nikt nie wypożycza już łodzi. To bardzo małe jezioro, leżące około mili od hotelu. W tej sytuacji lunch bywa wydarzeniem, które może urozmaicić nudny dzień.

Na stałe mieszkają u nas tylko dwie osoby, panna Bertha i jej znajoma, pani Fulbright. Pani Fulbright jest słodka jak wata cukrowa i trochę ją przypomina z tą swoją długą szyją i chmurą białych włosów. W swoim czasie uważano ją za piękność (był to również czas Aurory Paradise, lecz na tym wszelkie podobieństwo się kończy). Potrafię sobie wyobrazić panią Fulbright w grupce adorujących ją panów, obracającą w palcach różową parasolkę barwy swych policzków.

Rozmyślałem sobie o tym w jadalni, wyjmując kawałki zmrożonego masła z miski z lodem i rzucając je na talerze. Na końcu ciskam masło na talerz panny Berthy i różowe parasolki wylatują przez okno. Wyobraźcie sobie wiewiórkę z policzkami pełnymi orzeszków. Tak właśnie wygląda panna Bertha, tyle że brak jej wiewiórczego wdzięku. Jest mała i zgięta w pół, a na plecach sterczy jej garb, chyba wskutek jakiejś choroby kości (tak mówi matka). Jak dzwonnik z Notre Dame? - pytam, a wtedy matka tylko patrzy na mnie przeciągle.

Kiedy trzeba obsługiwać taką osobę, grymasną, wymagającą i kompletnie oporną na argumenty, to wymyślanie, jak ją doprowadzić do obłędu, staje się pewnym wyzwaniem. Wpadłem już na kilka niezłych pomysłów. Panna Bertha nosi wielki beżowy aparat słuchowy, więc możecie sobie wyobrazić. W tej kwestii mój brat Will jest jeszcze bardziej pomysłowy; stoi przed panną Bertha i porusza ustami, jakby coś mówił, a ona oczywiście nic nie słyszy, więc wyładowuje wściekłość na aparacie („Cholerne, głupie urządzenie!“), waląc nim z całej siły o stół.

Matka przyłapała Willa na tym któregoś dnia, kiedy weszła do jadalni dopilnować ekspresów do kawy.

- Czasem myślę, że jesteś gorszy niż twoja siostra
- powiedziała.

Co takiego? Czy matka w ogóle ma pojęcie, jakie z niego ziółko? Pewnie nie, bo Will przy gościach uruchamia swój wazeliniarski uśmiech, a nosząc im bagaże, uprzejmie zagaduje, jak się jechało. Zupełnie jakby robił wszystkim wielką łaskę, a przecież jest boyem hotelowym i noszenie walizek to jego obowiązek. Dostaje mnóstwo napiwków, które razem z Millem przepuszczają u Grega na automaty do gry, oranżadę i ciastka.

Jadalnia jest duża i rzadko panuje w niej tłok. Nie wiem dlaczego, ale stół na samym środku sali, zajęty przez pannę Berthę i panią Fulbright, jeszcze bardziej podkreśla panującą tutaj pustkę.

Dzisiaj na lunch miał być hiszpański omlet (albo zwykły, dla tych, którzy nie mieli ochoty na przygodę).

- Hiszpański? A dlaczego się tak nazywa?

Panna Bertha zawsze o to pyta, kiedy podajemy hiszpańskie omlety.

- Bo jest pomidorowy i pi... - urwałam, bo przy łapałam się na tym, że chcę powiedzieć „pikantny”. Panna Bertha nienawidzi pikantnych dań i zawsze narzeka, kiedy coś jest za bardzo pieprzne, i czasem faktycznie ma rację, bo dodaję do jej potraw różne substancje, jak na przykład szczyptę kajeńskiego pieprzu albo zieloną papryczkę, którą Will i Mili kiedyś poczęstowali Paula (syna dochodzącej pomywaczki). Paul zaczął biegać w kółko i wrzeszczeć wniebogłosy, więc dali mu jeszcze wody, chociaż wiadomo, że to tylko pogarsza sprawę.

A zatem zamiast „pikantny” powiedziałam „pierwszorzędny”.

- No i co w nim takiego pierwszorzędnego? - Jak zwykle chciała się kłócić.

Pani Fulbright westchnęła.

- Bertha, poproś, żeby ci podali sos w oddzielnym naczynku. Będiesz mogła spróbować i zobaczyć, czy ci smakuje. - Odwróciła się ku mnie: - Możesz tak zrobić, prawda?

Przygryzłam wargę. Oczywiście, że mogłam, ale nie chciałam. Rzecz w tym, że panna Bertha w ten sposób w ogóle uniknęłaby jedzenia sosów i całe moje dodawanie pieprzu poszłoby na marne. Mimo to odparłam, że chętnie zadam sobie ten trud. Specjalnie to podkreśliłam.

Panna Bertha plasnęła w stół kościstą dłonią.

- Chcę ser zapiekany na grzance z pomidorem i marynatą.

- Nie... - Chociaż faktycznie, mieliśmy ser. Zatrzymałam myśl na marynacie. - Dobrze, może być. - Uśmiechnęłam się, dając do zrozumienia, że hotel dla gości zrobi wszystko. Co nie jest prawdą: goście mają szczęście, jeśli Will akurat się napatoczy, żeby zanieść im bagaże do pokojów; zdarzało się także, że Lola Davidow odmawiała komuś noclegu, bo nie podobał się jej jego wygląd.

Odeszłam od stołu i przez wahadłowe drzwi wkroczyłam do kuchni.

- Stara idiotka... - mruknęła matka, usłyszawszy o grzance z serem. Z cieni wokół zmywarki do naczyń rozległ się chrapliwy śmiech Waltera, naszego pomywacza. Walter uwielbia, kiedy matka nazywa pannę Berthę starą idiotką.

- ...właśnie dzisiaj, kiedy chcę wyjść wcześniej!

Delikatnie włożyła ubite żółtka do białek. Mimo pośpiechu robiła to bardzo uważnie. Ciężka żeliwna patelnia już grzała się na płycie.

- Ależ ja to zrobię! - oświadczyłam z niekłamanym entuzjazmem. - Co jak co, ale ser na grzance umiem zrobić! - Pewnie, że umiem, jeszcze jak.

- Ja ci pomogę! - zawołał Walter.

Matka z powątpiewaniem wpatrywała się w omlęt rosnący na patelni.

- Walter bardzo mi pomagał, kiedy byliście w Miami Beach - powiedziałam, patrząc, jak matka odwraca omlęt na drugą stronę. Był złocistobrazowy i miał ponad dwa cale wysokości - wiem, bo kiedyś zmierzyłam podobny linijką.

- Nno... dobrze. W porządku. Polej go sosem, kiedy wyrosnie; za pół minuty będzie gotowy. I zaraz go podaj, zanim opadnie.

Szkoda, że nie widzieliście jej sufletów.

Matka zdjęła fartuch i powiesiła go na gwoździu za stołem roboczym, po czym przyglądała włosy. Nosi je ściągnięte po bokach do góry i zwinięte w węzeł, więc często musi utykać za uszami luźne kosmyki. Jej włosy są ciemne i schludne, chociaż niezbyt o nie dba. A fryzura jeszcze bardziej podkreśla jej wysokie kości policzkowe.

„Dobre kości - powtarza często - oznaczają dobre pochodzenie”. Nie uroda się liczy, ale pochodzenie i klasa. Matka ma lekkiego fioła na punkcie klasy. Chociaż jestem pewna, że trochę się myli, bo Walter ma bardzo wydatne kości policzkowe, a nie sądzę, by matka ludziła się co do jego klasy. Mówią, że Walter jest trochę „przyglupi”, ale ja go nie lekceważę, gdyż bardzo wiele

dla mnie robi. Nawet Aurora Paradise go lubi, a jeśli to nie jest przepustka do nieba, to już nie wiem co.

Kiedy tylko siatkowe drzwi zatrzasnęły się za matką, poprosiłam Waltera, żeby wyjął marynatę z lodówki, rzuciłam na tostowy chleb plasterki sera, zsunęłam omlet na ogrzany talerz i położyłam na patelni kanapkę. Na wierzchu umieściłam kawałek pomidora z sałatki pani Fulbright.

Siekałam ostrą paprykę, gdy Walter podał mi słoik z marynatą.

- To pewnie dla tej starej idiotki.

- Właśnie.

Kanapka była gotowa. Uniosłam ser, włożyłam pod spód marynatę i posiekaną paprykę, natomiast omlet polałam hiszpańskim sosem. Talerze postawiłam na tacy, popędziłam do jadalni, podałam do stołu, wróciłam do kuchni i zamarłam.

W jadalni rozległ się wrzask, a potem jakby odgłos przewracanych krzesel. Bezwłocznie przemieściłam się do wyjścia, po drodze wołając do Waltera:

- Walter, jadę do La Porte. Zajmiesz się tym? - Przez ramię wskazałam kciukiem wahadłowe drzwi.

Słumił chichot.

- Pewno, że tak - rzekł, odkładając ścierkę, i powoli, jak to on, ruszył do jadalni.

Walter naprawdę świetnie bierze na siebie winę.

Taksówka zjawiła się niecałe dwadzieścia minut później. Kiedy ją zamawiałam, specjalnie poprosiłam, by przysłali Axela, na co oczywiście usłyszałam: „Jasne, złotko, stoi tutaj obok mnie”. Dyspozytorka - nie poj-

muje, po co im ona, przecież mają tylko dwie taksówki - zawsze tak mówi, ale Axel jeszcze nigdy po mnie nie przyjechał.

Tak więc jechałam do La Porte taksówką, którą jak zwykle prowadził Delbert. Dobrze, pomyślałam, że od czasu do czasu widuję Axela za kierownicą - inaczej mogłabym dojść do wniosku, że umarł albo nawet w ogóle nie istniał, a firma taksówkowa zwyczajnie nie chce się do tego przyznać.

Właściwie Axel i jego taksówka - zawsze ten sam ciemnorudy chevrolet - mają w sobie coś osobliwego, bo ilekroć mnie mijają, na przykład na szosie stanowej, widzę, że na tylnym siedzeniu brak pasażera. Nie potrafię tego zrozumieć: Axel nie wozi pasażerów ani tam, ani z powrotem.

- Często widuje pan Axela? - zagadnęłam Delberta.
- Codziennie. A bo co?

Świdrował mnie wzrokiem z wstecznego lusterka. Osunęłam się niżej na siedzeniu.

- Po prostu dziwię się, że nigdy mnie nie wozi. Za każdym razem proszę, żeby przyjechał. Bez obrazy. - Chociaż miałam nadzieję, że Delbert jednak się obrazi.

- Axel jest zajęty i tyle.

- No, przecież mógłby mnie podzucić i dalej być zajęty. Jest zajęty, bo zabiera kogoś innego.

Ale Delbert nie widział w moich pytaniach żadnego sensu i tylko wzruszył ramionami.

- No to kogo on wozi, w takim razie?
- Jak to kogo? Wszystkich.

Przewróciłam oczami, chociaż Delbert nie mógł tego dojrzeć w lusterku.

- Nie wszystkich. Mnie nie wozi. Przecież właśnie o tym mówię!

- Jakby ciebie woził, to musiałby kursować między Spirit Lakę i La Porte z dziesięć razy dziennie. Słowo daję, tyle jeździsz tam i z powrotem, że chyba już na drodze zrobiła się koleina.

I parsknął stłumionym śmiechem. Wydaje mu się, że jest strasznie dowcipny. Znów przewróciłam oczami, myśląc sobie, że Delbert być może mnie nie widzi, lecz Bóg - i owszem. Ale Bóg chyba niespecjalnie przejmuje się głupotą Delberta. Natomiast z Axelem na pewno wiąże jakieś plany.

Uznałam, że powinnam zwrócić także do pana Gumbrela. Pisałam do „Konservatysty” własną relację z zająć nad Jeziorem Duchów, w której zawarłam wszystko, co się wydarzyło, i jeszcze trochę ponadto. Przyznaję, że nieco koloryzowałam, jednak z drugiej strony dziennikarka, której udzielałam wywiadu, powiedziała, że to „licencja poetycka”. Wyraziłam nadzieję, że w wypadku mojej historii nie skorzysta z licencji poetyckiej, lecz tylko się roześmiała i odnotowała w zeszycie, że mam poczucie humoru, co bardzo mi się spodobało.

Szeryf, komentując pierwszy odcinek w Cafe Tęcza, powiedział Maud Chadwick, że to niemożliwe, by strzelano do mnie ogniem ciągłym.

- Posłuchaj tylko, co ta Emma wypisuje - (siedziałam tuż obok). - „Wokół mnie padał deszcz kul, płaskając o jezioro i łódkę”. To chyba mało prawdopodobne? Przecież strzelający używał rewolweru, który trzeba w kółko ładować - i to szybko - bo to nie jest karabin maszynowy ani nawet automat, ani półautomat, żeby mógł wyrzucać jeden pocisk po drugim, prawda? No, co znowu?

Maud złapała się za głowę.

- Och, Sam, na litość boską! Dorosły mężczyzna, a zachowuje się jak dzieciak!

Szeryf potrząsnął gazetą:

- Dorosły szeryf, nie zapominaj o tym! Jeżeli nie będę odróżniał rewolweru od karabinu maszynowego, to wszyscy wylądujemy tak jak Emma, na środku Jeziora Duchów w deszczu kul!

Maud nie wytrzymała.

- To ty masz dwanaście lat, a nie Emma!

Uśmiechnęłam się na samo wspomnienie.

Na skraju La Porte poprosiłam Delberta, żeby wysadził mnie przy Tęczu.

- A to mi dopiero nowina! Toż jeździsz tam dziesięć razy dziennie. - Próbował spojrzeć mi w oczy w lusterku wstecznym, więc znowu zsunęłam się z siedzenia. To go naprawdę zirytowało, bo aż uniósł się z miejsca. - I po co?

Westchnęłam i zapłaciłam, postanowiłam jednak nie dawać Delbertowi napiwku. Nie zamierzam nagradzać go za to, że przedwcześnie wpędza mnie do grobu (kolejne ulubione powiedzenie mojej matki).

- Bo jeżdżenie z panem sprawia mi frajdę. - Szybko wysiadłam.

Delbert jest tak głupi, że chyba wziął moje słowa za dobrą monetę, bo wyszczerzył się jak dynia na Halloween, pokazując wszystkie braki w uzębieniu.

4

Jeśli chodzi o śniadania i lunche, Cafe Tęcza to najpopularniejszy lokal w La Porte. Maud Chadwick od lat

pracuje tam jako kelnerka; często zastanawiam się dlaczego, bo jest znacznie mądrzejsza od wszystkich znanych mi kobiet (oprócz mojej matki oraz, muszę przyznać, Loli Davidow). Zapytałam Maud, dlaczego nie uczy w liceum, skoro ma wyższe wykształcenie. Odpowiedziała, że nie lubi uczyć, ponieważ to zbyt „polityczne”.

O Cafe Tęcza z całą pewnością nie da się powiedzieć, że jest „polityczna”. W porach posiłków zawsze wygląda tak samo: właścicielka Shirl siedzi na wysokim stołku przy kasie i śledzi pracowników oraz klientów z taką miną, jakby jednych i drugich miała za nic. Ma nieco wylupia ste oczy (chyba w związku z tarczycą, przynajmniej tak mówi Lola Davidow, która wygląda dość podobnie, chyba - według mnie - w związku z dżinem Gordona) i mechanicznie wodzi nimi tam i z powrotem, tik-tak, niczym taki zegar o tarczy w kształcie kociego pyszczka.

Ciężko być pracownikiem Shirl. Pozwala tylko na krótkie przerwy i personel ledwie ma czas się obrócić. Tylko Maud stanowi wyjątek - zasługuje na specjalne traktowanie, bo Shirl uważa ją za bardzo cenny nabytek. Ale Shirl piecze dobre ciasta (nawet matka tak mówi, a to ogromny komplement), a jej pączki wręcz cieszą się pewną sławą i zawsze ktoś o nie pyta.

I teraz dostrzegłam całe stopy, piętrzące się w szklanej gablocie obok stołka Shirl. Rzuciłam uśmiech nowej kelnerce Wandzie Wayans, po czym ruszyłam w głąb sali, obchodząc stałych bywalców, którzy jak zwykle siedzieli na swoich miejscach przy kontuarze. Tkwią tak codziennie i niezmiennie jak namalowani: burmistrz Sims, Dodge Haines oraz Bubby Dubois z włosami białymi i napuszonymi jak beza. Powiadają, że Bubby jest trochę „za blisko” z Florence, żoną szeryfa, ale sama myśl, że jakakolwiek kobieta mogłaby woleć go od sze-

ryfa, wzbudza we mnie pusty śmiech. Mój umysł nie jest w stanie tego pochwyć, tak samo jak dłoń nie jest w stanie pochwyć powietrza.

Szeryf to Sam DeGheyn. Powiedział, żebym zwracała się do niego „Sam”, ale nigdy tego nie zrobię; to tak, jakbym do Gary Coopera mówiła „Coop” (nie, żeby się na to zanosilo). Zanim na dobre przestałam się do niego odzywać (dlatego że zakwestionował całą sprawę z Benem Cjueenem), chodziliśmy razem po La Porte, sprawdzaliśmy parkomaty i omawialiśmy różne sprawy. On już taki jest: po prostu nigdy się nie wywyższa. Przecież mógłby nakazać sprawdzanie parkomatów swemu zastępcy, Donny'emu Moomie, osobnikowi z twarzą jak łasica. Nawet sam Donny kiedyś zapytał szeryfa, czemu nie znajdzie do tego zajęcia kogoś niższego rangą (co byłoby trudne, bo sam Donny jakoś się nie zaofiarował). Jednak szeryf poprawił tylko ciemne okulary, spojrzął przeciągle na Donny'ego i uciał: „Bo nie”. Po czym wrócił do parkomatów i żurawinowej gumy do żucia.

Trochę mnie zaskoczyło, kiedy szeryf nagle oznajmił, że teraz będzie sprawdzać parkomaty, i spytał, czy mam ochotę się przejść. Odruchowo prawie się zgodziłam, ale przypomniałam sobie w porę, że przecież z nim nie rozmawiam, to znaczy oprócz chwil, kiedy krytykuję jego uwagi na temat pierwszego odcinka mego artykułu o sprawie Devereau. Ciemne okulary szeryfa tkwiły w kieszeni jego koszuli, więc patrzyłam mu prosto w niebieskie oczy. Ich barwa jest tak intensywna, że czasem tną tak, jak diament tnie szkło, albo przypominają błękitną krę na fotografiach, taką, która lśni w słońcu, ale się nie topi. Nic dziwnego, że szeryf nosi ciemne okulary.

Widząc, że nie reaguję, powiedział „no dobra” i wstał. Maud przesunęła się, aby mógł się wydostać. Patrzyłam

za nim, kiedy szedł obok długiego kontuaru, mijając siedzących na stołkach klientów, z których każdy chciał zamienić z nim słówko lub z plaśnięciem podać mu dłoń. Czułam się dennie.

Maud zapaliła papierosa i zaczęła obracać w palcach kartonik z zapalkami. Widniała na nim nazwa Srebrnej Gruszki, restauracji za miastem w pobliżu Lake Noir. To drogi lokal, do którego kiedyś zajrzałam, eksplorując las przy moście White'a, gdzie doszło do zabójstwa Fern Queen. Miejsce zbrodni.

Czułam, że Maud bacznie mi się przygląda, więc uparcie sączyłam przez słomkę resztki wiśniowej coli - głównie lodu - żeby zająć czymś ręce. Wreszcie Maud oparła na stole złożone ramiona i pochyliła się ku mnie.

- Emma, chcę ci powiedzieć coś o racji: czasem mieć rację jest trudniej niż się mylić.

To mnie zdumiało. Przez słomkę leciało już samo powietrze, podniosłam więc wzrok, ale wciąż milczałam.

- Nie powinnaś rezygnować z przyjaźni kogoś takiego jak Sam tylko dlatego, że nie miał racji, a ty ją miałaś. To zbyt cenny przyjaciel.

Gdyby nie stolik, podskoczyłabym jak oparzona.

- On mi nie uwierzył! Po tym wszystkim, co się stało! Uznał, że kłamię...

- Nieprawda. - Maud pokręciła głową.

- ...albo - zamachałam rękami - że coś zmyślam! Po tym, jak prawie zginęłam! Nie uwierzył, że mówię prawdę!

Nagle mój gniew opadł; wiedziałam, że znalazłam się na niepewnym gruncie. Maud też o tym wiedziała.

- Emma, on nie uznał, że kłamiesz. Po prostu podejrzał, że nie mówisz mu całej prawdy, że wiesz różne

rzeczy, o których nie chcesz mi powiedzieć. To całkiem co innego, niż posądzać cię o kłamstwo.

Czułam, że twarz mi płonie, co rozzłościło mnie jeszcze bardziej. Dwayne, któremu poskarżyłam się na szeryfa, też powiedział coś podobnego. „Dziewczyno, on reprezentuje prawo. Chyba nie przypuszczałaś, że bezkrytycznie zaakceptuje to, co mówisz?”

- No... no i co z tego? Dlaczego musi się nabijać z mojego artykułu? - Uniosłam egzemplarz „Konserwatyści” z drugim odcinkiem relacji. Pan Gumbrel, redaktor, chciał, żebym napisała trzy odcinki, ale nie bardzo wiedziałam, o czym ma być ten trzeci, bo strzelaninę zdążyłam już zrelacjonować, a to był punkt kulminacyjny całej historii. - Nawet jeśli są tam... no, jakieś błędy, jak ten o rewolwerze.

Maud zignorowała wezwanie Shirl i dalej wpatrywała się we mnie, wciąż obracając w palcach kartonik zapalek. Naprawdę nienawidzę, kiedy ludzie sądzą, że jestem dostatecznie dorosła i inteligentna, by sama oddzielnie dojść do jakiegoś wniosku. Nie jestem. Ale w końcu niechętnie powiedziałam (a raczej burknęłam):

- No dobra, może się nie nabijał, tylko trochę mnie podpuszczał. - To było nieznośne, że musiałam ustąpić choćby odrobinę. - Może nawet chciał mi oddać przysługę. Powinnam była lepiej się przygotować.

- Co wolisz? - zapytała Maud z uśmiechem. - Żeby błędy wypominał ci Sam, czy żeby zrobiła to Ree-Jane Davidow?

Tak, była to słuszna uwaga. Przynajmniej teraz miałam szansę wymyślić coś na swoją obronę na wypadek, gdyby Ree-Jane wiedziała coś o broni palnej, chociaż to raczej nie mieści się w głowie. Ale wielu ludzi w okolicy używa rewolwerów, więc mogła przypadkiem

usłyszeć jakiś komentarz o „deszczu kul”. Tak czy inaczej, pomyślałam, na pewno znajdzie wszystkie błędy, żeby mi je później wytykać.

Shirl zmierzała w naszą stronę, wrzeszcząc „Maud! Maud!” - jakby chciała rzucić Maud koło ratunkowe, a nie zrobić jej awanturę.

- Sorry, Shirl - rzuciła Maud przez ramię. Shirl zatrzymała się jak wryta. To ciekawe, jak Maud czasem oddziałuje na ludzi. - Już idę.

Gdy wysuwała się z boksu, zapytałam:

- Kiedy byłaś w Srebrnej Gruszce? Myślałam, że nie lubisz tego lokalu, bo jest taki...

- Pretensjonalny? Owszem.

Tak naprawdę chciałam wiedzieć nie tyle, kiedy była w Srebrnej Gruszce, ile z kim. Z kim? To nie jest restauracja, do której można wpaść ot, tak sobie, i uwalić się na stolku jak w Tęczy. Prawie zawsze chodzi się tam w towarzystwie (wymądrzam się, jakbym nie wiem ile razy się tam umawiała).

- Poszłam ze znajomym. On nie jest stąd.

On? Jaki on?

Oparła się dłońmi o stół i pochyliła nade mną.

- Emmo, naprawdę bym chciała, żebyś się zasta nowiła nad tym, co mówiłam o przyjaźni, i wzięła to sobie do serca.

Odeszła, ja zaś doznałam przedziwnego uczucia, że ogarnia mnie chłód, że coś odpływa, tak jak wówczas, gdy łódka niepostrzeżenie odpłynęła od przystani, ja zaś siedziałam w środku, ścierpięta ze strachu po same pięty. Dosłownie po pięty, bo łódka została przestrzelona i nabierała lodowatej wody z Jeziora Duchów. Teraz czułam coś bardzo podobnego, tylko tym razem przyczyna była niewidzialna. Najpierw szeryf, a potem Maud...

Zsunęłam się niżej na ławce, żeby nikt nie zobaczył, gdybym przypadkiem zaczęła płakać. Patsy Cline śpiewała *I Fali to Pieces*, ja zaś obracałam w palcach zużytą słomkę, w kółko i w kółko.

Brałam sobie do serca.

5

Kiedy Delbert wysadził mnie pod bramą, pierwszą rzeczą, którą ujrzałam była Ree-Jane Davidow w sukience od Heather Gay Struther. Wyginała się na poręczy frontowej werandy, trzymając w dłoni egzemplarz „Konservatywy”. Najwyraźniej czekała, aż przyjadę; jeszcze nie zdążyłam wysiąść z taksówki, a ona już śmiała się bezgłośnie.

- Właśnie czytam twój artykuł.

Urwała, żeby znów udać, że się śmieje, więc skorzystałam z okazji, by wpaść jej w słowo.

- Tak, powiedziałam panu Gumbrelowi, żeby w przyszłym tygodniu wydrukował sprostowanie. Na temat broń. Skoro to był rewolwer, to nie mógł siać deszczem kul.

Klapnęłam na jeden z zielonych bujaków, gratulując sobie w duchu, że udało mi się od razu wytrącić jej broń z ręki.

Teraz nie miała już nic do gadania. To znaczy, pewnie miała, ale wiązała nadzieję z „deszczem kul” (ktoś na pewno zwrócił jej na to uwagę) i teraz musiała szybko wymyślić coś innego. A Ree-Jane nie myśli zbyt szybko.

- Aż dziw, że całe miasto jeszcze się z ciebie nie śmieje - powiedziała.

Słabo jej szło.

- Ano, jakoś nie. Jesteś jedyną osobą, która cokolwiek zauważyła. Ale się cieszę, że to wylapałam. Reportaże muszą być precyzyjne.

Z trzaskiem rzuciła gazetą o ziemię.

- Nie mam pojęcia, po co „Konserwatyście” twoja historia, skoro opisały ją większe gazety i prawdziwi dziennikarze!... Na litość boską, masz dopiero dwanaście lat!

- W takim razie pewnie nie zechcesz udzielić mi wywiadu.

- Wywiadu? - szeroko otworzyła mlecznoniebieskie oczy.

- Pan Gumbrel uznał, że to dobry materiał na kolejny odcinek. Żeby różni ludzie powiedzieli, co myślą o tym wszystkim, na przykład o Benie Queenie, czy został sprawiedliwie potraktowany, i tak dalej. Miałam zamiar zapytać ze trzy osoby - szeryfa i może brata Bena Queena. No i ciebie. Ale jak nie chcesz, to może namówię Louise Landis, by powiedziała coś do gazety.

Uwielbiałam mówić o sobie „gazeta”. Wręcz widziałam, jak Ree-Jane puszy się wewnątrznie i rozpościera ego niczym pawie ogon.

- No, może odpowiem na kilka pytań, ale będę musiała sprawdzić, co napisałaś, zanim to wydrukują.

Jej oczy się zwężyły; była to Ree-Jane w stanie pełnej gotowości, w każdym razie jak na nią.

- Jasne. Przepiszę na maszynie i pokażę ci.

Odrzuciła za ramię falę blond włosów a la Veronica Lane.

- A zdjęcia? Będą zdjęcia osoby udzielającej wywiadu?

- Pan Gumbrel nie mówił. Ale to dobry pomysł. - Pomysł był głupi.

- No więc?

Rozejrzała się po werandzie, pustej, jeśli nie liczyć panny Berthy, która siedziała na drugim końcu nieruchoma jak kamień. Może umarła? Zawsze trzeba mieć nadzieję. Ree-Jane starannie ułożyła niebieską płócienną spódnice, założyła nogę na nogę i oparła głowę o biały słupek na końcu poręczy. Już pozowała do zdjęcia.

- Możemy zrobić to od razu. - Uniosłam nowiuteńki notes. Ree-Jane przywdziała swój „fotograficzny” uśmiech, nie zmieniając wyrazu twarzy, czyli po prostu stała się jeszcze bardziej drewniana i sztuczna. Jeden z jej pomysłów na karierę polega na tym, żeby zostać modelką wszechświatowej sławy. To na wypadek, gdyby cały plan z księciem trafił szlag. - Potrzebny mi ołówek. - Pobiegłam do biura, chwyciłam z biurka ołówek i pędem wróciłam; nie chciałam przegapić tej szansy z Ree-Jane. - Taak, zaraz, zaraz... - Padłam na bujak i zakołysałam się. - No dobrze... jak zareagowałaś, kiedy dowiedziałaś się o wydarzeniach tamtej nocy?

- Której nocy?

Nawet na mnie nie patrzyła, zajęta przybieraniem min do nieistniejących aparatów fotograficznych.

- Tej nocy, kiedy nad Jeziorem Duchów doszło do strzelaniny. Kiedy mnie - mnie, znaczy Emmę Graham! - zmuszono do wypłynięcia łodzią na jezioro?

- A, wtedy. - Zmieniła pozę, żeby owinać kosmyk włosów wokół palca. - Wcale tak nie było. Przynajmniej nie tak, jak twierdzisz.

- No, to powiedz „Konserwatyście”, co twoim zdaniem się zdarzyło.

- Nie wiem. Może Ben Queen przyszedł z dubeltówką, a ty się tam znalazłaś przypadkowo?

- Przypadkowo? A po co znajdowałabym się przypadkowo na przystani w środku nocy?
- Wcale bym się nie zdziwiła. Jesteś dziwna.
- Chcesz powiedzieć, Emma.
- Co?
- Ciągłe mówisz „ty”. Do gazety powinnaś mówić „Emma”.

Wzruszyła ostantacyjnie ramionami, jakby chciała z siebie zrzucić całe to brzemie, związane z udawaniem nadzwyczajnej. Muszę przyznać, że ją rozumiem.

- A co myślisz o Benie Queenie? - zapytałam.
- Właśnie wyszedł z więzienia, gdzie przesiedział osiemnaście lat za zamordowanie swojej żony Rose.

Choć pytałam o jej własne zdanie, z ulgą przytaczała ogólnie znane fakty.

- Jesteś pewna, że jest winny?

Spojrzała na mnie tępo.

- Przecież go skazali, no nie?
- Nikt w Cold Fiat Junction nie wierzy, że ją zabił. Za bardzo ją kochał. - Historia Rose Devereau i Bena Queeny była naprawdę piękna.

Machnęła ręką zniecierpliwiona.

- Wierzysz we wszystko, co usłyszysz?

W zasadzie tak. Dzięki temu sama nie muszę nic kombinować.

- Jego brat i bratowa mówili, że to niemożliwe.
- No, a co mieli mówić?

Jedną z rzeczy, którą Ree-Jane opanowała do perfekcji, jest szyderstwo. Teraz też szydziła.

Nie chciałam, żeby za bardzo się zdenerwowała, bo wtedy mogłaby przerwać rozmowę, więc zgodziłam się, że owszem, to naturalne, że Cjueenowie bronią Bena.

- Ale skoro nie wierzysz w moją - Emmy Graham - wersję wydarzeń, to kto twoim zdaniem zastrzelił Fern Queen przy moście White'a?

- No, on, oczywiście.

- Własną córkę?

Skubnęła lakier na paznokciu.

- To się zdarza.

W jej wersji uśmiercanie dzieci zabrzmiało jak poprawianie manikiuru. Może Grecy tak postępowali? Ja coś wiem na ten temat, bo musiałam słuchać, jak Will i Mili rozprawiają o tej cholernej de-X-maszynie w przedstawieniu. Ale Ree-Jane?

- Po co? Po co miałyby zabijać swoją córkę Fern?

- Pewnie po to, żeby nikomu nie powiedziała, gdzie on jest. - Jej głos wręcz ociekał samozadowoleniem.

- Przecież przed zabójstwem Fern nikt go nie szukał.

Znów lekceważąco machnęła ręką.

- Ty tylko chcesz się kłócić.

Każdy chce, jak trochę porozmawia z Ree-Jane.

6

Było już za późno, żeby pojechać do Cold Fiat Junction, wrócić i jeszcze zdążyć podać lunch, więc postanowiłam się przejść do Belle Ruin. Do wypalonego budynku prowadzi długi podjazd, wyboisty i zarośnięty, na którego końcu stoi zniszczony posąg kobiety, pozbawiony rąk, o twarzy naznaczonej przez pogodę, z małymi otworkami, które przypominają łzy.

Z hotelu zostały jedynie fundamenty oraz szkielet konstrukcji, a i to niekompletny; wygląda tak, jakby pan Bóg przyszedł z pistoletem i go rozwalił. Spłonął niemal doszczętnie w „wielkiej pożodze”, jak to określa moja matka, jednak, co zakrawa na cud, nikt nie zginął. Co dziwniejsze, ocalała również wielka sala balowa, chociaż za sklepienie teraz ma głównie niebo. Zachowała się prawie cała podłoga oraz trzy ściany, a nawet kilka wyściełanych aksamitem mebli, których jakoś nikt nie ukradł.

Nawet w zrujnowanej sali daje się dostrzec resztki dawnej świetności. Odbywały się tu wytworne dancingi, do których przygrywała prawdziwa orkiestra; sosnowa podłoga wciąż jest taka gładka, że mogę na niej tańczyć, zmiatając na bok sterty zwiędłych liści i gałązek, udając, że mam partnera.

Myślę, że niektóre rzeczy - filar bramy, fragment misternej sztukaterii - znikają stąd między moimi kolejnymi bytnościami, zabrane przez naturalnych złodziei, takich jak deszcz albo wiatr. Tak czy inaczej, za każdym powrotem znajduję ich coraz mniej, jakby owe szczątki poddawały się losowi z długim westchnieniem wyczerpania.

Matka mówi, że niegdyś w okolicach Spirit Lake prosperowało pół tuzina hoteli; zawsze był to letni kurort dla bogatych ludzi. Ale ja nigdy nie byłam z bogaczami w zbyt dobrych stosunkach, więc wyobrażając sobie gości Belle Ruin, puszczam wodze wyobraźni - widzę kobiety kapiące od diamentów, obracające w rękach jedwabne parasolki, i mężczyzn z dłońmi pełnymi banknotów, siejących studolarówkami.

Panna Llewelyn sądzi, że nazwa hotelu pochodzi od francuskiego miasta Rouen. Ma wrażenie, że właściciel

był Francuzem. To nazwa zwracająca uwagę; Ree-Jane lubi wtrącać ją do rozmowy, żeby się popisać francuskim akcentem (którego nie posiada): „Och? Nie słyszałaś o Belle Rouen? Belle Rouen ma ciekawą historię...”. Jakby mogła coś o tym wiedzieć!

Oprócz myśliwych chyba tylko ja tu przychodzę. To miejsce dziwnie się różni od reszty lasu, ale nie umiem powiedzieć, dlaczego. Kiedyś zaskoczyłam na polanie lanię i jelonka, które cicho piły wodę ze stawu przedstawionego na pocztówce. Zwierzęta popatrzyły na mnie przerażone i znieruchomiały na chwilę, lecz gdy im pomachałam, rzuciły się w głąb lasu. Zrobiło mi się smutno, że pomyślały, że je przepędzam. Nie wiem, czego się spodziewałam - że mi odmachają? Jak na kogoś, kto spędza tyle czasu, włócząc się po rozmaitych odludnych dziurach, słabo znam się na zwierzyńnie.

Stałam, nasłuchując, w lodowatej ciszy, po czym założyłam ręce i zaczęłam rozcierać ramiona. Nie czułam prawdziwego, zewnętrznego chłodu, spowodowanego spadkiem temperatury, podmuchem wiatru, przelotnym deszczem. To zimno pochodziło ze środka, jak wówczas - tak słyszałam - kiedy duch przestępuje przez próg. Ale gdyby istotnie w okolicy kręciły się jakieś duchy, byłyby to ostatnia rzecz, którą bym się przejęła; nie wierzę w duchy, a poza tym i tak by się mną nie interesowały.

Miałam plan narysowany przez pannę Llewelyn, a ponadto kupione w muzeum pocztówki. Zostały skopiowane z oryginalnych fotografii i przedstawiały obiekty, które przeważnie już nie istniały: fronton hotelu, wielki kolisty podjazd, duże, okryte markizą wejście i szerokie schody. Belle Ruin był trzykrotnie większy niż Hotel Paradise.

Kiedys przyszłam tu zimą. Zapadł już zmierzch i mimo pełni księżyca szybko się ściemniało. Przyjemnie było wyobrażać sobie hotelowych gości w brylantach, jedwabiach i białych, krochmalonych kołnierzykach, wirujących na pokrytej śniegiem posadzce. Orkiestra (w mojej głowie) grała tylko to, o co poprosiłam, mogłam też wejść na zaśnieżony parkiet i sama zatańczyć (w botkach, niezdarnie). Tańczyłam z młodymi przystojnymi mężczyznami, zerkając kątem oka na dziewczyny, które nie znalazły partnerów i teraz ze smutnymi minami stały na skraju parkietu. Za nimi, podpierając ścianę, sterczała wściekła Ree-Jane. Skinęłam jej uprzejmie głową.

W końcu muzyka ucichła i poczłapałam po śniegu do domu.

Tamtej zimy również udało mi się zobaczyć jelenia. Miał wielkie rogi i pił wodę w miejscu, gdzie wąski strumyk rozlewa się w staw. Jeleń był spokojny i pokojowo nastawiony - unosił łeb, rozglądał się i znowu zanurzał pysk w wodzie. Stałam znieruchomiła i zastanawiałam się, czemu myśliwi wciąż zabijają jelenie. Czyżby przez zazdrość? I czemu tak się chlubią swymi trofeami? W polowaniu nie ma żadnej rywalizacji; to jak wojna z nieprzyjacielem, który rzuca broń i ucieka. Po co zabijać uciekającego żołnierza? Wyobraziłam sobie, jak myśliwy podchodzi i strzela do jelenia pijącego ze stawu. Co to za walka? Co za zwycięstwo?

Teraz wspomniałam tamtą zimową ciszę. Stałam się tak nieruchoma jak ta cisza; miałam wrażenie, że się rozpuszczam, moje ciało się ulatnia, a ja unoszę się w oparze.

Chciałabym jeszcze raz zobaczyć jelenią rodzinę.

Chyba też trochę liczyłam na to, że z lasu wyjdzie Dziewczyna, tak jak kiedyś wyszła pomiędzy drzew

przy starym domu panien Devereau. Do tej pory widziałam ją pięć razy; na stacji w Cold Fiat Junction, na ulicy w La Porte, po drugiej stronie Jeziora Duchów i znowu pod domem panien Devereau. Ostatnim razem patrzyła prosto na mnie, jestem tego pewna.

Jestem także pewna, że to wnuczka Bena Queena, bo wygląda dokładnie tak samo jak jego żona Rose Queen Devereau. On co prawda tego nie potwierdził, przypuszczalnie dlatego, że chciał ją chronić, podejrzewał bowiem, że zastrzeliła swoją matkę Fern.

A powinnam raczej powiedzieć, że to ja ją o to podejrzewałam, jak się okazało - niesłusznie. I nikt nie widział Dziewczyny oprócz mnie, czym Ben Queen bardzo się przejął, przynajmniej przez ten krótki czas, który ze mną spędził. Szeryf też się przejął; ja sama zaczynałam się przejmować. Stojąc wśród pachnących sosen, patrząc w głąb lasu na miejsce, gdzie kiedyś dostrzegłam jelenie, pomyślałam nagle - a może ona za mną chodzi?

Przed chwilą powiedziałam, że się nie boję duchów, prawda?

Chyba skłamałam. Nie byłby to pierwszy raz.

Ree-Jane ma mały nakręcany patefon walizkowy, którego nie chce mi udostępnić. Mówi, że mogłaby go wypożyczyć, pod warunkiem, że nie wyniosę go z jej pokoju. Oświadczyłam, że nie jest to zbyt atrakcyjna propozycja, a patefon też nie jest specjalnie atrakcyjny. To ją naprawdę rozzłościło, więc poszła się poskarżyć swojej matce. Nie wyobrażam sobie, żebym miała na kogoś naskarżyć, a przecież *mam* dopiero dwanaście lat. A tu posuwa się do tego prawie siedemnastolatka!

Oczywiście nie powiedziałam jej, że chcę go zabrać do Belle Ruin.

Ale potem przypomniałam sobie Kelnerki i tańce w ich pokojach przy dźwiękach melodii takich jak *Opowieści Lasku Wiedeńskiego* albo *Clair de lune*. Czemu skrawki piosenek czepiają się mnie jak pajęczyna, nie rozumiem. A może i rozumiem: to pewnie dlatego, że Kelnerki wiedziały, że nie wolno mi chodzić na tańce, więc je dla mnie urządzały, strojąc mnie w niebieską suknię ze zwiewną tiulową spódnicą. Nic dziwnego, że zapamiętałam Kelnerki i *Clair de lune*, choć miałam wtedy tylko pięć albo sześć lat.

Zostawiły patefon, który wciąż jeszcze działał, i to znacznie lepiej niż patefon Ree-Jane, chociaż ten jest prawie nowy. Łatwiej też było go nieść. Wytarłam go w kuchni wilgotną ścierką i już zamierzałam wyjść tylnymi drzwiami, gdy zobaczyłam na werandzie Ree--Jane, która siedziała w bujanym fotelu, mamrocząc do siebie. Specjalnie więc przemaszerowałam obok niej, wymachując patefonem i pogwizdując, żeby zwrócić jej uwagę.

Raptownie przestała się bujać.

- Byłaś w moim pokoju?

Oba urządzenia mieszczą się w ciemnych walizkach mniej więcej tej samej wielkości, więc naturalnie uznała, że zabrałam jej patefon. Zmarszczyłam czoło, niby zaskoczona, i zapytałam:

A po co miałabym chodzić do twojego pokoju? Aa, o to ci chodzi? - uniosłam walizkę. - To moje, nie twoje.

Ani Ree-Jane, ani jej matka nie należą do mistrzyń ciętej riposty; kiedy nie wiedzą, co powiedzieć, otwierają i zamykają usta niczym ryby. Teraz Ree-Jane też nie

zdołała wymyślić nic obraźliwego ani zgryźliwego, przeprosiłam ją więc i zesłam po schodkach z werandy.

Za mną rozległ się wrzask Ree-Jane:

- Chyba zwariowałaś, jeśli myślisz, że zwrócę ci pieniądze za wypożyczenie!

Jakbym w ogóle miała jakieś złudzenia.

To Will odkrył ciemnoniebieską tiulową suknię w jednym ze składzików. Byłam wstrząśnięta, że leżała tam przez cały ten czas, a ja nic o tym nie wiedziałam. Pomyślałam, że skoro Kelnerki zostawiły sukienkę, to mogły zostawić także inne rzeczy, i w ten sposób znalazłam patefon i płyty.

Zabrałam więc patefon, płytę *South American Way*, i wykonałam w Belle Ruin swoją imitację Carmen Mirandy. Zrobiłam wielkie postępy - umiem kręcić biodrami i obracać dłońmi dokładnie tak samo jak ona. Nawet Will i Mili są pod wrażeniem (tak świetnie się bawiłam w podróży do Miami Beach, że postanowiłam wybrać się do Argentyny).

Tańczyłam więc w zrujnowanej sali balowej i przez cały czas rozmyślałam o Kelnerkach. Dokąd odeszły? Dlaczego wyjechały w takim pośpiechu? Dlaczego nie zabrały swego patefonu, płyt i ciemnoniebieskiej sukni?

Gdziekolwiek się obrócę, czai się tajemnica.

7

Stałam w kuchni i przyrządzałam surówki. Matka przed chwilą przypomniała mi, żebym z łaski swojej kroїła czarne oliwki na plasterki, i żebym na litość bo-

ską nie przyprawiała surówki dla panny Berthy sosem rokforowym, bo ona go nienawidzi. Podziękowałam za zwrócenie uwagi, zdjęłam wierzchnią warstwę z jednej z surówek, dodałam łyżkę sosu rokforowego, po czym położyłam na wierzchu liść sałaty oraz plasterki papryki i cebuli.

- Podaj mi półmisek do indyka! - krzyknęła matka do Waltera (jakby stał nie wiadomo gdzie). Walter, słuchając naszych rozmów, czasem wyciera w kółko to samo naczynie.

- Proszę - powiedział niespiesznie i poważnie, jak to on.

Wzięła od niego półmisek i ułożyła na nim roladki ze specjalnego serka o smaku mango i orzecha, zawiniętego w cienkie plastry szynki. Robiła kanapki dla Baumów, którzy zapewne jak zwykle zamierzali przyjść urzęnci na własne przyjęcie koktajlowe. Przyrzędziła również małe kielbaski w pomarańczowo-rumowym sosie - to ulubione danie pani Davidow, co mnie jakoś wcale nie dziwi.

Kiedy posypywałam surówki kawałkami czarnych oliwek, z okna biura, wychodzącego prosto na tylne drzwi kuchni, dobiegło mnie zawołanie pani Davidow. Chciała, żeby Will przyniósł jej torby, więc matka kazała mi go odszukać, gdziekolwiek się znajdował. Czy ona naprawdę nie wie, gdzie przebywa Will? Przecież zawsze tkwi w Dużym Garażu.

Nie bardzo miałam ochotę tam iść, bo to oznaczało, że będę sterczeć pod drzwiami, podczas gdy Will i Mili będą zgrywać tajemniczych. Nie przypuszczam, by Will zachowywał się tak wobec wszystkich, mnie jednak z pewnością nie oszczędza. Drzwi do garażu sąsiadują z ogromną bramą, przez którą niegdyś

wjeżdżały do środka samochodu, ale odkąd garaż stoi nieużywany, brama jest zamknięta na glucho.

Will uchylił drzwi zaledwie o cal; przez szparę widziałam tylko jego oczy na tle ciemności. Wszystko ucichło: dźwięk fortepianu, głosy, śpiewy, śmiechy. Zapanowała cisza, zupełnie jakby Will z Millem sądzili, że w przeciwnym razie cały świat - kamienie, drzewa, żwir - wedrze się do środka, zanim zdołają go powstrzymać. A przecież brałam udział w przedstawieniu i wiedziałam, co się u nich dzieje. Tajemniczość to ich druga natura.

- Co?

- Masz przyjść i popracować jako boy hotelowy. Z piersi wyrwało mu się przeciągłe westchnienie.

- Przykro mi, że wam przerywam, ale niektórzy z nas muszą tyrać na utrzymanie - wskazałam na swój biały fartuszek.

Will otworzył drzwi nieco szerzej - choć nie bardzo - i wyszedł na zewnątrz, zamykając je starannie za sobą. Znów rozległy się dźwięki pianina i śpiew. Mili jest, można rzec, cudownym dzieckiem, a muzycznie to wręcz geniusz: gra nie tylko na fortepianie, lecz również na gitarze, puzonie i flecie. Przychodzi do nas każdego lata, odkąd pamiętam.

Po drodze Will się nie odzywał; pewnie został myślami w Dużym Garażu, gdzie z Millem przygotowywali spektakl *Medea. Musical*. Gdy się dowiedziałam, że piszą piosenki do tej sztuki, uznałam, że zwariowali.

- Gdyby Grecy chcieli mieć musical, to chyba by go sobie stworzyli? - zapytałam.

- Nie byli specjalnie muzykalni.

Kłamstwo było tak bezczelne, że aż się zatrzymałam. Wlepiłam w niego wzrok. O Grekach wie mniej więcej tyle samo, co Walter.

- To prawda - powtórzył z naciskiem. - Mieli wielkich myślicieli, naprawdę trudno o lepszych, ale na muzykę byli głusi.

Czy on musi być taki zadowolony z siebie? Czasem chętnie bym go kopnęła. Mój brat Will ma na wszystko odpowiedź.

- Skąd wiesz? Jestem pewna, że niektórzy byli równie muzycyjni jak Mili.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie wygłupiaj się. Nikt nie jest aż tak utalentowany muzycznie.

- No, przecież mieli trąbki i inne rzeczy, prawda? I fortepiany? - To nie zabrzmiało najlepiej.

- Pianina? Pffft! - Odął wargi z pogardliwym warkotem. - Liry, owszem, dużo grali na lirach, ale to chyba wszystko.

No, nie! Wzięłam się pod boki i spojrzałam mu w twarz.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek przyznasz, że nie masz racji?

Will powoli, wręcz refleksyjnie przeżuł gumę.

- Oczywiście. Kiedy nie będę miał racji. - I obróciwszy się na pięcie, ruszył do wejścia we wschodnim skrzydle, więc wróciłam do kuchni jak niepyszna.

Chyba nikt na całym świecie nie ma na sobie więcej krochmalu niż nasza starsza kelnerka Vera. Jest wykrochmalona od stóp po koniuszki włosów, które nosi ściągnięte do tyłu i zawinięte pod spód. Zawsze ubiera się w czarny uniform z długimi rękawami i białymi mankietami oraz biały fartuszek z gazy, tak

sztywny, że aż sterczy. Reszta ma błękitne lub białe mundurki, a kiedy panna Bertha znalazła włos w swoich jajkach po benedyktyńsku i dostała szału, przez jakiś czas nawet kazano nam wkładać trójkątne czepki w kształcie tiary.

Nikt nie wiedział, czyj to włos, więc wszystkie musiałyśmy nosić te czepki, żeby włosy nie spadały nam na twarz. Vera zawsze ma na głowie czepkę, który uzupełnia jej wizerunek kelnerki, ale i tak sędzę, że to ona zgubiła ten włos - był czarny, a tylko ona ma czarne włosy. Chociaż mógł to być po prostu „ciemny włos”, a wówczas w kręgu podejrzenia znalazłaby się także moja matka; jednakże nawet cień sugestii, że matka mogłaby dopuścić, by jej włos wpadł do jajek po benedyktyńsku, wymaga większej odwagi, niż ktokolwiek z nas posiada.

Czepki zniknęły mniej więcej po tygodniu, gdyż wszyscy zapominali je wkładać, a poza tym trudno egzekwować taką regułę. Ja oddałam swój Walterowi - też ma czarne włosy - napomykając, że to on jest winowajcą (choć to oczywiście niemożliwe). Dużo rzeczy zwałam na Waltera i nie jestem w tym odosobniona, na przykład pani Davidow z upodobaniem na niego wrzeszczy, kiedy chce, żeby przyniósł z samochodu torby z zakupami. Ja tam nigdy nie podnoszę głosu - specjalnie mówię cicho, kiedy mam do niego o coś pretensję. Myślę sobie, że Walter potrzebuje kogoś, kto byłby po jego stronie.

Natomiast starsza kelnerka wcale nie jest nam potrzebna: Vera ma pod sobą tylko mnie i Annę Paugh oraz czasem jakąś pomoc na przychodne, kiedy mamy więcej gości na kolacji. Anna Paugh jest niska i w przeciwieństwie do Very w ogóle nie zadziera nosa. Starsza

kelnerka (jak zostałyśmy poinformowane my, młodsze kelnerki) decyduje, kto obsługuje których gości, co oznacza, że Vera zawsze dostaje największe napiwki. Jednak gdy się na to poskarżyłam, matka oświadczyła, że Vera na to zasługuje, wystarczy spojrzeć, jak bardzo się stara, musi pilnować nakrywania do stołów i sprawdzać, czy wszystko jest bez zarzutu. Odparłam, że każdy głupi może sprawdzać stoły - sama to robię, kiedy krążę po sali, roznosząc masło. Widelec po lewej stronie, nóż i łyżki po prawej, szklanka na wodę na wysokości noża. Mogę to robić z zamkniętymi oczami. Wówczas matka odparła, że Vera nie mieszka na miejscu i nie dostaje wynagrodzenia w postaci wikt i opierunku. Że niby ja - tak.

Poinformowałam matkę, że wikt i opierunek mi się należy, czy ona aby o tym pamięta? Powinna wręcz dostawać niezmodyfikowany plan amerykański - dodałam.

Ale matka wróciła do ubijania białek na bezy do anielskiego placka, a mnie tak pochłoneło przekładanie bez kremem cytrynowym, że całkiem zapomniałam o napiwkach. Dobrze, że dostaję chociaż wikt i opierunek.

Być może Vera jest kelnerką doskonałą dla gości, ale z pewnością nie dla mnie. Nie, jeśli o mnie chodzi, doskonałe Kelnerki zniknęły stąd wiele lat temu. Matka nie umie sobie nawet przypomnieć, jak się nazywały; sądzę, że nie bardzo je lubiła, przypuszczalnie dlatego, że były szczęśliwe. Wiele osób w gruncie rzeczy unika szczęścia i obawiam się, że matka jest jedną z nich. Natomiast Lola Davidow, o dziwo, nie. Wiele razy wyglądała, jakby szczęście było tuż-tuż - choć może „to robota mego kumpla, Jima Beama”. Tak właśnie powiedziała i wybuchnęła śmiechem.

Od czasu do czasu chodzę z panią Davidow do naszej stałej kwaciarni - dużej firmy z dwiema szklarniami i chłodnią, gdzie lubię przebywać, bo przechowują w niej kwiaty. Lubię panujący tutaj chłód. Pewnego razu właściciel, pan Ream, pokazał pani Davidow ogromny wazon strelcji, zwanych „rajskimi ptakami”. „Zbyt ostentacyjne” - oświadczyła.

Rajskie ptaki. Oto, z czym kojarzą mi się Kelnerki, które wspominam dość często. Wszystkie trzy były bardzo ładne - przynajmniej wydaje mi się, że było ich trzy. Miałam pięć lat, kiedy wylądowały tu z furkotem, i chociaż pamiętam je tylko wrywkowo, wyobrażam sobie, że rozświetlały jadalnię samą swoją obecnością. Niemożliwe, żeby bez przerwy biegały tam i z powrotem, dźwigając pełne tace, a jednak w moich myślach utrwalił się przede wszystkim pęd i pośpiech.

Vera powiedziała kiedyś wyniośle:

- Te dziewczyny to latawice.

Ale właśnie o to chodzi. Zawsze były w locie, wpadały do swoich pokojów i z nich wypadały. Lecz najlepiej przypominam sobie pewną sobotę, kiedy wystroili mnie na dancing, choć oczywiście byłam za małą, żeby wziąć w nim udział. Ubrały mnie w ciemnoniebieską suknię ze srebrnymi ozdobami, chyba cekinami, rzuconymi na spódnicę niczym Droga Mleczna. Wręcz tonęłam w tej sukni, ale i tak uważałam, że jest piękna. Kelnerki trochę mnie umalowały, musnęły pudrem, różem i białoróżową perłową szminką, po czym włączyły patefon i wszystkie ruszyliśmy do tańca, wirując z pokoju do pokoju.

„Zbyt płocze” - wciąż słyszę te słowa Very. „Zbyt poufałe” - mówi matka. I zbyt kolorowe.

Tak, to dobry opis Kelnerek.

Zajmowały kilka niewielkich pokoi nad pralnią. Czasem tam chodzę, żeby się rozejrzeć, choć pomieszczenia od lat stoją puste, jeśli nie liczyć starych krzeseł i stołów, zakurzonych i nieużywanych. Chyba mam nadzieję, że coś po sobie zostawiły, jakiś przedmiot, który uda mi się odszukać. Ale to Will natrafił na niebieską wieczorową sukienkę, którą zamierzał wykorzystać w spektaklu, póki sprytnie jej od niego nie wyłudziłam. Najczęściej różne rzeczy znajdują ludzie, którym wcale na nich nie zależy.

Mieliśmy czworo nowych gości, dwie pary, które chciały zjeść późną kolację, co zirytowało matkę, bo kolidowało z przyjęciem Baumów. Trudno obsługiwać dwie grupy ludzi z dwoma różnymi jadłospisami. Poza tym oznaczało to, że część pracy spadnie na mnie, więc ja także się zirytowałam. Polałam surówkę pani Fulbright sosem rokforowym i wróciłam myślami do Belle Ruin. „Rouen” - matka również wymawia to słowo poprawnie, bez całego tego gulgotu i charkotu Ree-Jane. Opowiadała mi o urozmaiconych, wykwinionych daniach, jakie tam podawano: doskonały creme brulee, galaretka z calvadossem, łosoś duszony w chardonnay. Prawie zapomniałam o samym hotelu, słuchając niekończącego się spisu potraw, które matka wyliczała, smakując każde słowo.

W końcu zagadnęłam ją o porwane dziecko.

- Jakie dziecko?

Znieruchomiałam przy białym, emaliowanym blacie, na którym stawiamy dania przed zanieśieniem do jadalni.

- Jak to? Pamiętasz o jakimś kremie brulee, a zapomniałaś o dziecku?

- O „creme”, nie o „kremie”. - Matka przystrajala gałązkami mięty foremki najcudowniejszego limonkowo-ananasowego musu, jaki widziałam w życiu. Na chwilę oderwała wzrok od foremek, spojrzała w dal i dodała:
- Ach, tak.

„Ach, tak” - do tego to się sprowadzało. W cieniu rozległ się głos. Walter. Zdumiałam się, że Walter może być źródłem informacji.

- Mama mi mówiła. Ktoś w środku nocy zabrał ichnie dziecko.

Matka spojrzała znad gałązek mięty i kiwnęła głową:

- Tamto dziecko, rzeczywiście.

Tamto dziecko? To ile w końcu było tych dzieci?

Wróciła do swego zajęcia.

- Ludzie mówili, że to było jak sprawa Lindbergha.

Teraz sobie przypomniwała! Czasem mi się wydaje, że matka zwyczajnie nie chce pamiętać.

Dawno już minęła pora na przedobiedni drink Aurory Paradise, a ja nie mogłam się dostać do burbona Wild Turkey ani do Jima Beama, bo Lola Davidow bez przerwy kręciła się przy zapasach alkoholu w biurze na zapleczu. Na szczęście w zamrażarce na bloku lodu znalazłam zapomniany koktajl miętowy, jeden z tych, które pani Davidow zrobiła na przyjęcie Baumów. Teraz również siedziała z nimi przy stole, wciśnięta między żonę burmistrza Simsa i Helenę Baum, a wszyscy byli tak pijani, że nikt (łącznie z panią Davidow) nie zwrócił uwagi, że wcale nie została zaproszona. Vera z pełną potępienia miną przygotowała dla niej prowizoryczne nakrycie.

Vera wróciła do kuchni przy wtórce rubasznego śmiechu gości. Mina matki mówiła sama za siebie; przygoto-

wała tylko dziesięć filetów, a teraz, powiedziała, Walter będzie musiał wyciągnąć jeszcze jeden z zamrażalnika w kuchni. Nie mam pojęcia, dlaczego matka tak się dziwi, że pani Davidow wepchnęła się na przyjęcie. Przecież zawsze się wpycha.

Chwyliłam samotny koktajl i korzystając z tego, że matka odwróciła się, by włączyć piec, porwałam kilka listków mięty. Wrzuciłam już do szklanki dwie wisienki; przypuszczalnie drink nie zrobił się od tego lepszy - i tak składał się tylko z lodu, ognistego burbona, no i oczywiście z syropu miętowego - lecz akcent czerwieni ładnie wyglądał. Postawiłam oszronioną szklankę na tacy i weszłam do jadalni akurat w chwili, gdy panna Bertha wkładała do ust kawałek sałaty z sosem rokforowym. Garb nie pozwolił jej zerwać się z krzesła, ale muszę powiedzieć, że robiła, co mogła, krzycząc przy tym wniebogłosy. Pośpiesznie się oddaliłam, zadowolona, że mój plan wcielił się w życie.

- Coś się stało? - zawołałam jeszcze przez ramię.
- Zaraz przyjdę... - dodałam zamierzającym głosem.

Nikt mnie nie zatrzymywał: niosłam tacę, która jest przepustką prawie wszędzie. Goście Baumów śmiali się coraz głośniej, wręcz pohukiwali, a najgłośniejsze pohukiwania wydobywały się z ust Loli Davidow, która jakby dopiero zjawiała się w tym dziwnym miejscu i nigdy dotąd nie widziała na oczy panny Berthy. Uniosłam tacę wysoko na dłoni (świetnie mi to wychodzi) i pożeglowałam w swoją stronę.

- Koktajle podaje się o piątej, a dochodzi siódma!
Pretensje, że nie spełniam każdego jej kaprysu, są typową częścią powitań, jakimi raczej mnie Aurora

Paradise. Jednak nie mogę narzekać - jestem jedyną osobą, której wolno wchodzić do jej pokojów na trzecim piętrze, nie licząc rzadkich odwiedzin Loli Davidow z dodatkową butelką dżinu. Nie wiem dlaczego, ale fakt, iż Aurora w ogóle dopuszcza do tych wizyt, dobrze świadczy o pani Davidow.

- Co to takiego? - z niechęcią spojrzała na szklanę, wciąż jeszcze przyozdobioną odłamkami lodu. - To nie jest Słaba Pocięcha!

Mówiła o swoim ulubionym drinku.

- To koktajl miętowy z Południa. Przyrządzony moją specjalną metodą. - To znaczy, specjalną metodą Loli Davidow. Ale Lola nie miała najmniejszego zamiaru tyrać w pocie czoła dla Aurory, która tkwiła tu, na najwyższym piętrze Hotelu Paradise, pijąc serwowane jej drinki i spożywając posiłki, dostarczane za pomocą windy ręcznej lub przeze mnie osobiście. - Najpierw trzeba napchać lodu do szklanki - ciągnęłam, przypisując sobie dalsze zasługi - potem dolać dobrego burbona, a potem mieszać i mieszać. Na końcu dodaje się świeżej mięty, posiekanej z cukrem. Oczywiście, miętę trzeba najpierw trochę pognieść. - Skąd u licha wzięłam ten smakowity szcegół? Brzmiał bardzo dobrze. Aurora naprawdę słuchała tego, co mówię, jakby zamierzała zrobić tuzin takich drinków na swoje następne soiree. Uwielbia opowiadać o soiree, które kiedyś urządziła.

- Pognieść?

- Tak, trochę ją zmiażdżyć, żeby uwolnić aromat. Potem bierze się łyżkę do koktajli i miesza, i miesza, aż na zewnątrz utworzy się szron.

Jej czarne, szydełkowe mitenki zacisnęły się na szklance.

- No, no, mój Boże. Muszę powiedzieć, że się nie oszczędzasz.

Wytrzeszczyłam oczy. Czyżby naprawdę za coś mnie chwaliła?

- Dobry koktajl miętowy musi być taki zimny, że zęby cierpną. Naprawdę lodowaty. Pija się takie w Kentucky na wyścigach konnych. Na derby - dodałam tonem kobiety światowej.

Aurora upiła łyk i ściągnęła wargi. Zaciśnęła mocno powieki.

- Taak. - Otworzyła usta i mlasnęła. Po czym zaczęła śpiewać:

*Zabierz mnie znów do starego Ken-tuck-y,
Gdzie kukurydzy i bawełny rośnie gaaaj...*

Naprawdę ryczała na całe gardło i chociaż pomyliła stany (chodzi o Wirginie), to nie chciałam jej przerywać - piosenka wywoływała we mnie dziwne poczucie utraty. Ale i tak zamierzała odśpiewać ją do końca:

*Tam dzień po dniu w pocie czoła się trudziłem,
Tam żółtych pól i plantacji wielki kraaaj.*

Zaczęłam się obawiać, że jeśli to potrwa dłużej, to się rozplącę. Chociaż nigdy nie byłam w Kentucky.

- Taak, muszę przyznać, że robisz dobre koktajle miętowe. Masz jeszcze trochę?

Powinłam była przewidzieć, że tak będzie.

- Jeszcze nie skończyłaś. Mówiłam ci już, że nad ta kim koktajlem trzeba się napracować. - Wsadziłam tackę pod ramię; jak zwykle, nikt mnie nie poprosił, żebym usiadła. Aurora bujała się na tym samym co zawsze fote-

lu, zwędzonym z werandy i Bóg wie jak przytaszczonym na trzecie piętro. Obok stało krzesło biurowe, takie na kółkach, na którym lubi śmigać po pokoju.

- Mam do ciebie kilka pytań - powiedziałam.

Machnęła na mnie wolną ręką.

- Boże, ty zawsze masz jakieś pytania. Jesteś najbardziej wścibską osobą, jaką w życiu poznałam.

- No - zagadnęłam chytrze - ale chyba chcesz mieć zdjęcie w gazecie, no nie? Robię wywiady z różnymi ludźmi i oczywiście ci ludzie będą częścią mojego artykułu.

Pociągnęła przez słomkę.

- Mówisz o tych dyrdymałach, które wypisujesz dla gazety? Abner Gumbrel - tu jej głos się zmienił - kiedyś czuł do mnie miętę.

Aurora ma lat dziewięćdziesiąt jeden, a pan Gumbrel około sześćdziesięciu, no, co najwyżej siedemdziesięciu.

- Pan Gumbrel jest dla ciebie za młody.

Próbowałam sobie wyobrazić sytuację, w której sześćdziesięciolatek jest dla kogoś „za młody”, ale nie umiałam.

- Och, nie bądź głupia. No to co, że ma kilka lat mniej. Nigdy nie słyszałaś, żeby piękna starsza kobieta uwiodła młodszego mężczyznę?

Nie ma najmniejszego sensu się jej sprzeciwiać, po prostu zawsze mówi swoje.

- Możliwe. Ale nie o to chodzi. Pamiętasz Belle Ruin? - Kiwnęłam głową w kierunku starego hotelu. - Na drugim brzegu Jeziora Duchów?

- Pewnie, że tak. - Stuknęła słomką w dno szklanki. - Spalił się, kiedy byłam trochę po dwudziestce.

- I zerknęła na mnie chytrze, żeby zobaczyć, jak to przyjmę.

- Musiałaś mieć znacznie więcej.

- Wcale nie. Już widać dno. - Kilkakrotnie z bulgotem wciągnęła powietrze przez słomkę.

- Słyszałam, że dwadzieścia parę lat temu porwano stamtąd dziecko.

Zaczęła nucić i bawić się kieliszkiem, machając nim tam i z powrotem.

- Porwanie? Taa, to ciekaaawe. - Wciąż nuciła.

Nazwałabym to szantażem, tyle że, oczywiście, szantaż ma dwa końce.

- Jak odpowiesz na moje pytania, to może zrobię ci jeszcze jeden koktajl. Muszę iść obsługiwać stoły, zapomniałaś?

- Jakie pytania? - Zamieszała słomką resztki lodu.

Przełożyłam tackę pod drugie ramię. Miałam ochotę usiąść, ale nie chciałam zakłócać jej toku myślenia.

- Tego wieczoru odbywał się bal. Myślałam, że może na nim byłaś. - Uświadomiłam sobie, że nawet wtedy Aurora była niemal siedemdziesięcioletnią starą panią. Nie do wiary.

Zakołysała się w fotelu i znów zaczęła nucić.

Właściwie przyzwyczyłam się już do tego, że kłamię, ale ponieważ trudno to stwierdzić od ręki, postanowiłam przyjąć, że jednak mówi prawdę, a przynajmniej to, co za prawdę uważa. Teraz uniosła zimną szklanekę i spojrzała przez nią na gasnące słońce, żeby mi przypomnieć, że jest pusta.

Nie zamierzałam się jednak poddać.

- Walter mówi, że zniknęło jakieś dziecko. Coś o tym wiesz?

- Ten facet? - Walter dla Aurory zawsze jest „tym facetem”, nigdy Walterem. Zapomniałam, że czasami, kiedy ja nie mogę jej przynieść drinka albo lunchu, wpuszcza go na trzecie piętro. - Jest za młody, żeby pamiętać sprawę dziecka.

- Wcale nie. - To pomieszanie dat zbiło mnie z tropu. Czas przesuwiał się w tył i w przód, jakby nic nie mogło go zatrzymać ani uregulować. Czyżbym i ja miała mówić za siedemdziesiąt lat: „A tak, Hotel Paradise. Mieszkałam tam, nawet byłam tam kelnerką”. - W każdym razie mówi, że słyszał o tym od matki.

- Ano, to prawda. Ktoś faktycznie zakradł się po drabinie i wyjął biedulkę z kołyski. Zupełnie jak dziecko Lindberghów.

- To samo mówi moja matka.

- Ach, twoja matka, ta cała Jen Graham! Co ona może wiedzieć!

Matka nie jest ulubienicą Aurory, bo trafiła do Hotelu Paradise dzięki małżeństwu. Maud twierdzi, że rodzina, do której matka weszła, jest tak rozległa i skomplikowana, jakby wzięto ją wprost z *Samotni* Dickensa. Kiedyś muszę przeczytać tę książkę - może w końcu się zorientuję, jakie były losy wszystkich Grahamów i Paradise'ów

Aurora odstawiła szklanekę na mały orzechowy stół, gdzie leżały już karty do gry oraz łupiny orzecha i groszek, służące jej do sztuczek. Nie chciałam z nią grać, bo zawsze oszukuje. A poza tym i tak musiałam już wracać do jadalni, więc uznałam, że niech będzie, przyniosę jej tego drinka.

Wzięłam szklanekę.

- To trochę potrwa.

Ciekawe, pomyślałam, czy panna Bertha już się uspokoiła.

Udało mi się zrobić Jabłuszko w Rosie, bo do tego potrzebny jest tylko jeden gatunek alkoholu, szkocka whisky Dewara. Cichaczem zakradłam się do biura i wlałam trochę do szklanki, korzystając z faktu, że pani Davidow wciąż balowała z Baumami, a całe towarzystwo przeniosło się na werandę i robiło mnóstwo hałasu. Zabrałam szklankę do kuchni, by dopełnić ją lodem i sokiem jabłkowym.

Matka zapytała, czy może po drodze wstąpiłam do kina Orion. Czasami potrafi być sarkastyczna. Waltera bawią te jej uwagi i tym razem też zachichotał, gulgozcząc, jakby miał wodę w nosie.

- Dobrze wiesz, że byłam u Aurory Paradise.

- Tak długo? A poza tym, to jest twoja cioteczna babka Aurora. Nie pozwalam ci mówić do dorosłych po imieniu. To złe maniery.

Stałam z kamienną twarzą, powtarzając w myślach „LolaLolaLola, AuroraAuroraAurora”.

- Ale do Waltera mogę mówić Walter, prawda?

Wiedziałam jednak, że to co innego.

- To co innego.

Matka odwróciła się, by zdjąć z patelni pierś kurczaka.

Co innego, bo tu chodzi o „rasę i klasę”. Klasa i rasa należą do ulubionych tematów mojej matki; słuchając jej gadania, można wręcz pomyśleć, że cały świat to wystawa psów. Wsparłam dłonie na blacie roboczym i wykonując drobne taneczne kroczki, patrzyłam, jak układa na talerzu smażonego kurczaka, ziemniaki puree

i najzieleńszy groszek po tej stronie Szmaragdowego Miasta. Myślałam o klasie. Według kryteriów mojej matki, Walter w ogóle jej nie ma.

- A Ree-Jane? - zapytałam.

- Co takiego? Nie nazywaj jej tak. Nienawidzi tego.

- Sama to wymyśliła. Pamiętasz, że chciała nazywać się tak jak ta francuska komiczka? Rejjane, tyle że nie umiem tego poprawnie wymówić. Nic na to nie poradzę, że nie znam francuskiego.

Matka rzuciła mi mroczne spojrzenie.

Przestałam podciągać się na rękach i położyłam na tacy serwetkę oraz srebrne sztucce. Zawsze jestem zaskoczona, kiedy matka usuwa z talerza najmniejszy ślad tłuszczu, wycierając go brzegiem fartucha. Całkowicie niehigieniczne, ale nader artystyczne. Dania wyglądają jak wyrzeźbione.

- Podaj ten deser pannie Bercie, a potem zanieś na górę tacę Aurory.

Był to czekoladowy tort piórkowy, jeden ze sztandarowych deserów mojej matki. Żałowałam, że nie mam piórka; wetknęłabym je w porcję panny Berthy.

8

Aurora ciągnęła przez słomkę Jabłuszko w Rosie, aż zakłęsy jej policzki. Z zapadniętymi oczami i skórą jak pergamin wyglądała jak trupia główka.

- Znakomite!

- Wykradłam alkohol z zapasów pani Davidow, korzystając z faktu, że siedzi z Baumami. Urządzili u nas kolejne przyjęcie.

- Helenę Baum! Nigdy nie znosiłam tej kobiety. Na-
chalna baba, co się pcha do lepszego towarzystwa.

- U nas chyba nie bardzo jest się do czego pchać, no
nie?

Aurora uniosła szklanke.

- Oczywiście, że jest. Zawsze jest jakaś drabina spo-
łeczna, nawet w piekle.

Półowa drinka już zniknęła. Zawsze mnie zastanawia,
w jaki sposób osoba w wieku Aurory Paradise potrafi
utrzymać się na nogach po kilku głębszych.

- A teraz odpowiedz mi na pytanie.

- Hmm?

Pociągnęła przez słomkę z taką siłą, że jej policzki
niemal się zetknęły.

- Jakie pytanie, panienko?

Westchnęłam. Znów zamierzała udawać, że nic nie
pamięta; robi rozmaite trudności tylko po to, żeby zdobyć
nade mną przewagę.

- No wiesz. O tym porwanym dziecku.

- Jakim dziecku?

- W Belle Ruin.

Powąchała talerz.

- Ten kurczak wygląda naprawdę smakowicie. Da-
łam Jen Graham przepis, nawet pokazałam jej, jak go
panierować i w ogóle.

To było absolutne kłamstwo. Tylko Pan Bóg mógłby
powiedzieć mojej matce coś nowego o gotowaniu.
Aurora robiła to specjalnie, żeby nie rozmawiać o tym, o
czym ja chciałam rozmawiać. Znów zgrzytnęłam zębami;
jak tak dalej pójdzie, niedługo zostaną mi same pieńki.

- I anielski placek! Mmm!

- Opowiesz mi wreszcie o tamtej nocy czy nie?

Zerknęła na mnie spod oka. Jej obciągnięte mitenkami dłonie wciąż obracały słomkę w szklance.

- A więc...

Pojęłam, że popełniłam błąd: zamiast sobie przypomnieć, co się naprawdę stało, teraz Aurora mogła po prostu wszystko zmyślić. Czekало mnie trudne zadanie; musiałam bardzo uważać, żeby odróżnić prawdę od kłamstwa, cały czas pamiętając, co powiedziała mi panna Llewelyn.

- No więc - zaczęła - to się zdarzyło pewnej nocy, kiedy urządzali bal. Było późno...

(Prawda.)

- ... rozszalała się burza, waliły pioruny i deszcz lał strumieniami...

(Kłamstwo.)

- ...ale rodzice zostawili małą w pokoju...

(Prawda.)

- ...bo wiesz, była kaleką...

(Kłamstwo.)

- ...pod opieką niani...

(Półprawda.)

- ...która zabawiała narzeczonego w sąsiednim pokoju...

(Kłamstwo.)

- ...i nic nie słyszała.

(Prawda.)

Aurora porzuciła lunch, rozłożyła pasjansa i plasnęła waletem kier o damę karo, chcąc mnie zmusić, bym się odczepiła od porwanego dziecka i zajęła jej oszustwami. Naprawdę nie znoszę, kiedy oszukuje, szczególnie, kiedy gra sama ze sobą. To zupełnie bez sensu. Ale nie dałam się sprowokować.

- Mów dalej.

Westchnęła, że tak nadużywam jej cierpliwości, i chwyciła skrzydełko kurczęcia. Nie znam nikogo poza nią, kto woli skrzydełka - trzeba z nich wrywać każdy kęs. Pewnie Aurora lubi wyzwania.

- Zdaniem tutejszej policji to musiał być ktoś z ze wnątrz, przez tę drabinę.

(Prawda. Dziewiątka trefl na dziesiątkę pik.)

- Mm. - Ściągnęła wargi. - Ale niania była z nimi od lat...

(Kłamstwo! Kłamstwo! W moich myślach rozległ się dzwonek jak w automacie Grega: Dzyń! Dzyń!)

- Zaraz, zaraz. Przecież to było ich pierwsze dziecko! Po co mieliby zatrudniać nianię przedtem?

Przesunęła waleta kier na damę trefl i wzruszyła ramionami.

- No, może to nie była prawdziwa niania. Może wzięli do opieki jakąś miejscową dziewczynę. W każdym razie tak się przeraziła, że policji nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby mieć z tym coś wspólnego. Teraz sobie przypominam!

Plask - dwójka kier na trójkę karo.

- To była dziewczyna Spikerów!

Miejscowa? Miałam nadzieję, że przynajmniej to jest prawdą.

- Znaczy, z tych Spikerów ze Spirit Lake?

Kiwnęła głową.

- Właśnie.

- Która?

Ta wiadomość naprawdę mnie podnieciła, bo o ile wiedziałam, Spikerowie nigdy nie wyjeżdżali ze Spirit Lake. Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie wyjeżdżał ze Spirit Lake. Na tę myśl ogarnął mnie chłód.

- Nie pamiętam.

Przetasowała talię i rozłożyła karty w poszukiwaniu nowej sposobności do oszustwa, pochłaniając na boku puree z ziemniaków.

Zła i zniecierpliwiona zaczęłam przekładać tacę spod jednej pachy pod drugą.

- A co z okupem? Musiało być żądanie okupu!

- Nic o tym nie wiem.

Pewnie prawda. Bo gdyby sprawa miała jakiś dalszy ciąg, to nie udałoby się jej ukryć przed prasą. I tak nie do wiary, że zdołano ją wyciszyć. Powiedziałam to głośno.

- Dziewczyno, aleś ty naiwna. Nigdy nie słyszałaś o pieniądzach za milczenie? Nie wiesz, że bywają szemrani gliniarze, a tamten szeryf był najgorszy ze wszystkich? Co ty, za pieniądze można wszystko kupić.

- A reszta gości?

- Nie musieli o niczym wiedzieć.

- Ale tam był tłum ludzi; nie byli ciekawi, po co przyjechała policja?

- Policja! - Prychnęła i przełożyła dziesiątkę kier na waleta karo. - Ten cały szeryf, Carl Mooma! I ten jego zastępca, niewiele lepszy! Nie umieliby rozpalić ogniska w piekle!

- Chcesz powiedzieć, że Donny Mooma to jakiś krewny?

- Moomów są całe setki.

Porzuciłam temat.

- A więc byłaś w Belle Ruin?

- Ano, byłam - przytaknęła. - Miałam wtedy około trzydziestki.

Popatrzyłam na nią przeciągle.

- Przecież to było dwadzieścia dwa lub trzy lata temu. - Jak ktoś po dziewięćdziesiątce może wciąż kła-

mać na temat swojego wieku? - Więc wszystko wiesz właściwie z drugiej ręki. — Ostatnio dobrze zapoznałam się z tym określeniem.

- Z drugiej ręki! - obruszyła się Aurora. - Czyżbyś tam była, panno Mądralińska?

- Ciebie też nie było.

Już do mnie dotarło - żeby wyciągnąć od niej informacje, należało zaprzeczyć, że robiła to czy tamto. Plasnęła kartą o stół.

- A właśnie że byłam. Stałam obok, kiedy ten tłuszcioch Mooma wypytywał personel, chłopców hotelowych i tak dalej.

Zmarszczyłam czoło. O czym ona mówi?

- Jak to, chyba nie pracowałaś w Belle Ruin?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale owinęłam się wielkim fartuchem, żeby zakryć suknię, i udawałam, że jestem sprzątaczką. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Trzeba być niezłym bystrzakiem, żeby przechytryć Aurorę Paradise. Widzisz ten kufer? - Pokazała palcem wielki kufer okrętowy, który podobno przewędrował z nią dookoła świata. Był pokryty nalepkami, które niesłychanie mnie fascynowały. Teraz, zamiast wstać z krzesła - Aurora to najbardziej leniwa osoba, jaką znam, nie licząc Ree-Jane - szarpnięciem przysunęła się razem z nim do kufra. - Tu gdzieś jest suknia, którą miałam na balu. Poczekaj chwilę. - Odrzuciła na bok kreację z żółtej jedwabnej mory, następną z czarnego jedwabiu, dopasowaną jak rękawiczka, jeszcze jedną, z błękitnego aksamitu, wyszywaną perełkami przy dekolcie, i szyfonową ciemnoniebieską, która przy poruszeniach rozpościerała rękawy niczym skrzydła.

Kufer otwierał się jak wejście do maleńkiego pokoju. Po obu stronach od góry do dołu ciągnęły się szuflady, z których wylewały się naszyjniki i długie, białe rękawiczki. Nic nie sprawiłoby mi większej frajdy niż przejrzanie ich zawartości; mogłabym bez końca przymierzać suknie i przeglądać się w długim, wąskim, owalnym lustrze w kącie pokoju.

Wreszcie Aurora wyciągnęła strojną różową sukienkę z plisowaną spódnicą i górą zdobioną srebrnym haftem.

- Piękna - zachwycałam się szczerze.

Przyłożyła ją do siebie.

- Przetańczyłam całą noc - tu rozpostarła ramiona i zanuciła - z każdym mężczyzną na balu. Och! Ależ ja miałam powodzenie! - Nie przestawała nucić.

Wnosząc z tego, co o niej słyszałam, pewnie mówiła prawdę, potwierdził to nawet Ben Queen, który znał ją osobiście. Muszę przyznać, że pomysł, by włożyć fartuch i podsłuchiwać policję, okropnie mi się spodobał.

- Skoro tam byłaś, powiedz, co jeszcze zrobiła policja?

- Może kolejny drink odświeży mi pamięć...

Siedziała czupurna i okropnie z siebie zadowolona.

Znów przełożyłam tacę pod drugą pachę.

- Nie dam rady przynieść ci więcej drinków, bo zapasy pani Davidow się skończyły.

Przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się bacznie. Obie wiedziałyśmy, jak nikłe jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia.

- Co ty powiesz? Chyba powinnaś mieć własne za pasy, zachomikowane na nagłe wypadki.

- Ja i zapasy! Dobrze sobie! Wciąż robię ci te drinki! Regina-Jane Davidow już teraz uważa, że jestem na prostej drodze do alkoholizmu!

Aurora nienawidzi Ree-Jane, wprost jej nie znosi, co dobrze o niej świadczy.

- Ta zdzira? Ta blond kretynka, głupia jak but? Coś ci powiem: jeśli ktoś wytrzymuje z tą wypindrzoną lalą, to musi mieć charakter. Nerwy ze stali, ot co. A teraz - pstryknęła na mnie palcami - anielski placek!

Muszę przyznać, że tak mnie zdumiał komplement z ust Aurory Paradise, że rozdziawiłam usta.

- No, to powiedz, co jeszcze robiła policja.

- Z czym?

Zgrzytnęłam zębami.

- Wiesz z czym!

Zmrużyła oczy, zupełnie jakby próbowała sobie przypomnieć, kim jestem i skąd mnie zna, po czym zabrała się do swego (i mojego) ulubionego anielskiego placeka.

9

- O co panna Bertha tak się przed chwilą wydzierała?

- O sos rokforowy. - Kolejne mroczne spojrzenie pomknęło w moją stronę. - Sos nie leżał na wierzchu, gdzie byłoby go widać. Był w środku, pod liściem sałaty, jakby ktoś celowo go ukrył.

Zmarszczyłam czoło ze zdziwioną miną i powoli pokręciłam głową.

- To dziwne. Nie wiem, jak to mogło się stać, chyba że Paul... - Paul ma siedem, osiem, może dziewięć lat. Nikt właściwie tego nie wie, łącznie z jego matką, naszą dochodzącą pomywaczką. Will i Mili przetrzymują go na próbach w garażu.

- Paula tu dzisiaj nie było.

- Ale Will i Mili przyszli na lunch, prawda?

- Nie. Walter zaniósł im jedzenie.

Obsługa? Odkąd to? Pamiętam, że kiedy pewien gość poprosił o kawę i kanapkę do pokoju, Lola Davidow odparła: „Chyba że im wyrosną nogi i same przyjdą” (Lola uważa, że hotel to jej twierdza).

Z cienia, który Walter zawsze jakby gromadzi wokół siebie, dała się słyszeć uwaga:

- Ta sztuka, co ją robią z Millem, wygląda na dobrą. June stoi na scenie w białej sukni ślubnej. Ze śpiewa mi i tańcami założę się, że będzie świetnie. - I potarł ściereczką półmisek.

June! Zacisnęłam powieki. Jeśli matka się dowie, że June Sikes występuje w przedstawieniu, nastąpi taki wybuch, że kurcze skrzydełka rozprysną się po całej kuchni! Ale dzięki Bogu nie dosłyszała. Will na pewno zdawał sobie sprawę, że matka przyjdzie na spektakl, ale wiedział również, że nigdy nie wyszłaby z sali, krzycząc i tupiąc, gdyż byłby to według niej przejaw złego wychowania, na które nigdy sobie nie pozwalała.

Niemniej ucieszyłam się, że temat sosu rokforowe-go został porzucony. Patrząc, jak matka nakłada dania na talerze, uświadomiłam sobie, że umieram z głodu. Miałam dostać klops; nigdy nie dają mi białego mięsa z kurczaka, chociaż Ree-Jane zawsze dostaje pierś. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy siedzieliśmy przy rodzinnym stole (przy którym pani Davidow pija swoje szklaneczki

Dewara i który nazywam Gospodą pod Kroplą Rosy), Anna Paugh, nasza trzecia kelnerka, pomyliła się i postawiła udko kurczaka przed Ree-Jane, a mnie dała białe mięso. Ledwie zdążyłam odgryźć kęs, gdy Lola Davidow walnęła pięścią w stół i wrzasnęła na Annę Paugh, że „Jane” zawsze ma dostawać pierś z kurczaka, i żeby natychmiast zamienić talerze, chociaż mój kawałek był już napoczęty. I co tu mówić o dobrym wychowaniu...

Na szczęście uwielbiam klops. Matka odkroiła mi gruby plaster, a ja tymczasem wzięłam łyżeczkę, zrobiłam wgłębienie w tłuczonych ziemniakach - jakbym łowiła ryby w obłoku - i poprosiłam, by nałala mi sosu. Nigdy tego nie robi, chyba że o to poproszę, bo uważa podawanie ziemniaków w ten sposób za pospolite, ale westchnęła tylko i spełniła moją prośbę. Pamiętam, jak kiedyś na sobotni dancing przyszła do nas kobieta w pięknej sukni z brązowożłotej satyny. Sos mienił się tym samym kolorem.

Drugi talerz był dla Waltera. Kiedy go zawołała, przy człapał ze ścierką przerzuconą przez ramię. Trochę się nawet zdziwiłam, że matka nie każe mu jej odłożyć, ale pewnie była tak zła, że o tej godzinie musi jeszcze wydawać lunchy, że albo jej nie zauważyła, albo jej to nie obeszło.

W tej nonszalancko przerzuconej ścierce było coś, co sprawiło, że Walter - najbardziej podobny do niewolnika osobnik w Hotelu Paradise - wydał mi się wolnym człowiekiem, bardziej wolnym niż ja, a już na pewno wolnym od tych wszystkich dupereli, które mnie trapią. A przecież Walter jest codziennie szykanowany i krytykowany w taki sposób, że nie ma najmniejszych wątpliwości, że to się nie dzieje przypadkowo. Musi jakoś przekształcać te przykrości w coś nieszkodliwego,

podobnie jak niegdyś próbowano przekształcać metal w złoto. To ostatnie się nie udało, ale Walter jakoś sobie radzi. Uznałam, że to godne przemyślenia.

Usiadłam z talerzem przy okrągłym stole dla personelu, tuż obok siatkowych drzwi (przez które wrzeszczymy, by porozumieć się z biurem po drugiej stronie podwórka). Przez te drzwi widać gwiazdę wieczorną. Oczywiście to nie jest jej prawdziwa, naukowa nazwa - sama ją tak sobie nazwałam. Widuję ją także przy tych nielicznych okazjach, gdy schodzę do kuchni naprawdę wcześniej, ale wtedy jest to gwiazda zaranna. Pewnie chodzi o dwie różne gwiazdy, ale lubię myśleć, że jedna gwiazda wisi zarówno na miękkim niebie świtu, jak i na czarnym aksamicie nocy. Przyszło mi nawet do głowy, żeby wejść przy jej świetle na jakąś górę (Ree-Jane zamierza zostać sławną alpinistką) albo żeglować do domu (Ree-Jane chce wziąć ślub na Queen Mary), kierując się jej blaskiem pośród deszczu i wichru na wzburzonym, sinym morzu. Pozostaje dla mnie tajemnicą, w jaki sposób ta gwiazda trzyma się nieboskłonu.

Jednak jedna niezawodna gwiazda warta jest tajemnicy. Dzięki niej mogę tu siedzieć, patrzeć i cieszyć się, że jestem tylko pomocą kuchenną.

Walter wziął swój talerz z kurczakiem i ziemniakami z sosem, i podziękował „pannie Jen” (tak ją nazywa). Ree-Jane kiedyś nazwała go niedorozwojem, ale matka zabroniła jej w ogóle używać tego słowa. Ree-Jane nie jest przyzwyczajona, by ją karcono. Matka mówi, że Walter jest trochę powolny, na co odpowiadam, że w takim razie to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Wtedy przypomniałam sobie to, co matka Waltera powiedziała o dziecku w Belle Ruin.

Sformułowanie „Dziecko w Belle Ruin” brzmiało jak jakiś tytuł - książki, piosenki albo sztuki teatralnej. Było nierzeczywiste, zbyt doskonałe, aby cokolwiek oznaczać. Pomyślałam, że przemycę pytanie, zagadując nie wprost:

- Czy twoja matka pracowała kiedyś w Belle Ruin?

- W tym wielkim hotelu, co o nim mówiłaś? Pewno, że tak, mnóstwo razy. Zmywała naczynia, tak jak ja.

Niemal odniosłam wrażenie, że się tym chlubi, jakby to była tradycja rodzinna.

- Więc nie miała stałej pracy?

- Nie. Chodziła tam, kiedy mieli tłok i potrzebowali dodatkowej pomocy. - Powoli przeżuwał udko.

- Znaczą w wakacje?

Kiwnął głową.

- Ano. I na te tańce. Wtedy zawsze ją ściągali.

Moja okrężna taktyka się opłacała.

- Tak? To pewnie pracowała w tę noc, kiedy porwano dziecko? - Usiłowałam mówić niedbale, udając, że temat ani mnie ziębi, ani grzeje. Dlaczego udawałam? Bo się nauczyłam, że jest znacznie bezpieczniej, gdy człowiek nie daje po sobie poznać, co czuje lub czego naprawdę chce się dowiedzieć.

- Mhmm. - Walter otarł usta papierową serwetką. - Pewno, że tak. Policja ją przepytowała i w ogóle. Tak pisze w jednym z pamiętników. Mama zawsze zapisywała wszystko w pamiętnikach. Jest ich chyba z tuzin.

Otworzyłam oczy jak oślepią. Oślepił mnie sam pomysł. Nie dość, że ktoś pamiętał o tym, co się wydarzyło, ale jeszcze to zapisał. Nie mogłam jeść; zagapiłam się w przestrzeń.

- Coś się stało? - zapytał Walter. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Szybko zamknęłam rozdziawione usta i szeroko otworzyłam oczy.

- Nie, tylko myślałam o czymś... duchowym. - Spojrzałam na niego, bojąc się zapytać. Tak wiele może się przytrafić pamiętnikom padającym ofiarą pożaru, myszy albo zwykłej ludzkiej niedbałości.

- No, możesz je przeczytać, jak chcesz. Każdziuteńki zeszyt.

Zeszyt. I pomyśleć, że istnieje pisana relacja, którą mogę przeczytać, zamiast polegać na wspomnieniach żmudnie wydobywanych na powierzchnię, niczym ciało biednej Mary-Evelyn z Jeziora Duchów. Albo jak polamane słowa Uluba, usiłującego mi opowiedzieć, co pamięta.

Pomyślałam o Mary-Evelyn, która utonęła w jeziorze, o Rose, którą kilkakrotnie dźgnięto nożem, o jej córce Fern, którą zastrzelono, i o Benie Queenie, który odsiedział osiemnaście lat w więzieniu. I pomyślałam, że mogło ich uratować coś, co zostało zapisane, gdyby tylko to sobie przeczytali. „Rose, to jest książka o dzieciach takich jak Fern i o tym, co mogą zrobić sobie i innym”. Albo: „Mary-Evelyn, siostry Devereau są niebezpieczne. Odejdź stąd! Uciekaj!” Albo: „Ben, nigdy, przenigdy nie zostawiaj Fern samej z matką”.

Coś, co zostało zapisane, odnotowane - wiadomość, kartka papieru, książka. Coś takiego jak zeszyt, w którym doktor McComb zapisał z trudem skleconą opowieść Uluba o tym, co mu się przydarzyło w domu panien Devereau. Bracia Wood - ani Ulub, ani Ubub - nie umieją wypowiadać się wyraźnie, mało kto ich rozumie i przeważnie trzeba się domyślać, o co im chodzi. A przecież istniała pisemna relacja o pannach Devereau i Mary-Evelyn.

Skoro te wszystkie nieszczęścia spotkały ludzi tylko dlatego, że nic nie ostrzegło ich przed niebezpieczeństwem, dlaczego niby mnie miałyby być łatwiej? Dlaczego kojarzenie elementów układanki, aby otrzymać odpowiedź, miało ominąć właśnie mnie? Dlaczego miało mi zostać oszczędzone przeciskanie się przez drzwi? Dlaczego nie miałabym zapłacić pięciu dolarów Rebecce Calhoun, żeby wyciągnąć od niej informacje? Dlaczego nie miałabym dryfować w przeciekającej łodzi po Jeziorze Duchów? Dlaczego akurat ja miałabym nie musieć próbować?

- Ale nie wiem, czy powinnam czytać osobisty dziennik twojej mamy?

- Ee, jej już wszystko jedno. I tak już nie żyje.

- Dobrze - zapytałam - a czy twoja mama później coś o tym mówiła? Znaczący, po latach? Na pewno nie było to coś, o czym mogłaby zapomnieć.

Natężył pamięć, unosząc z wysiłku udko kurczaka jak dyrygent batutę.

- A, tak, tak. Mówiła, że to jedna z dziewczyn Spike-rów pilnowała dziecka tej nocy, bo regularna opiekunka - chyba pielęgniarka - w ogóle nie przyjechała.

- A czemu? - To było ciekawe same w sobie.

- Chora, albo co. - Walter wzruszył ramionami. Patrzyłam, jak powoli ogryza kość, i popadłam w za dumę.

- Na tych tańcach był taki tłum. No, wiesz.

Nie wiedziałam.

Ale czy to nie dziwne, że opiekunka dziecka akurat tej nocy była nieobecna? Czy to nie dziwne, że dziecko akurat tej jednej nocy zostało całkiem samo?

A może i wiedziałam.

Następnego ranka, zjadłszy swój stosik placekóv kurydzianych z jajkami sadzonymi, oznajmiłam matce, że muszę przeprowadzić wywiady z kilkoma osobami, i spytałam, czy Walter mógłby podać lunch pannie Bercie i pani Fulbright.

Z jakiegoś powodu obie lubią Waltera. Lubi go także Aurora Paradise (a ona prawie nikogo nie lubi, być może z wyjątkiem mnie). Jakoś nie przeszkadza im, że Walter jest powolny. Ja też czuję do niego sympatię, chociaż czasami mam ochotę go kopnąć. Ludzie go lubią, bo jest miły i można go nakłonić do niemal wszystkiego.

Matka się zgodziła. To przyjemnie być dziennikarką; w ten sposób dostaję, czego chcę, i otwierają się przede mną wszystkie drzwi. Przy byle okazji wspominam o tym Ree-Jane, która wtedy ze złością odwraca się na pięcie.

Zadzwoiłam do taksówek Axela i jak zwykle poprosiłam dyspozytorkę, aby dopilnowała, by przyjechał po mnie Axel, ona zaś jak zwykle odpowiedziała: „Abso-lutywnie”.

I jak zwykle zjawił się Delbert, który przez całą drogę do La Porte robił sobie głupie żarty, że niby „się rozbijam” po okolicy. Odparłam, że jakoś nigdy nie „rozbijam się” z Axelem, i w ogóle, dlaczego Axel nigdy mnie nie zabiera?

- Axel jest okropnie zajęty. Zwykle bierze dalekie kursy, do Lakę Noir i jeszcze dalej.

- To czemu, kiedy o niego pytam, dyspozytorka zawsze mówi, że po mnie przyjedzie?

- Pewnie akurat nie ma klientów, ot co.

Delbert, który próbował spojrzeć mi w oczy za pośrednictwem wstecznego lusterka, aż się wyprostował i wyciągnął szyję, bo zjechałam po tylnym siedzeniu prawie na podłogę.

- Skoro bierze tylko długie kursy, to czemu wtedy nie zawiózł mnie do Hebrides?

Mijaliśmy właśnie restaurację Artura, gdzie zepsuty neon całkiem zgasł i nie błyskał już nawet połowicznie, jak wtedy, gdy wyświetlał litery ART JADŁO. Przestraszyłam się, że Arturowi coś się stało, i długo nie odrywałam wzroku od neonu.

- Niby dlaczego nie chcesz, żebym ja cię woził? - zapytał Delbert. - Nie pasuje ci jazda ze mną?

- Pan jest w porządku. Tylko ciekawi mnie, czemu Czasem nie zabiera mnie Axel.

- Bo jak ci nie odpowiada, to mogę nie przyjeżdżać.

Boże, co za maruda.

- Nie słucha pan, co mówię. Właśnie powiedziałam, że jazda z panem jest w porządku.

- No - mruknął takim tonem, jakby nie zamierzał więcej ze mną rozmawiać. Ale próżne nadzieje. - Znowu jedziesz do Cold Fiat Junction?

Zgrzytnęłam zębami; nienawidzę, gdy ktoś wie, co robię.

- Mhmm - bąknęłam, co mogło oznaczać „tak” bądź cokolwiek innego.

Delbert obserwował mnie we wstecznym lusterku i czekał na lepszą odpowiedź.

- Bo jeśli chcesz tam jechać - nie wytrzymał - to akurat zdążysz na popołudniowy pociąg, ten, co się zatrzymuje w Spirit Lake.

Nie odpowiedziałam. Byliśmy już na ulicy Drugiej i dojeżdżaliśmy do stacji.

11

Cold Fiat Junction leży w odległości około dwunastu mil od La Porte, jakby w szczerym polu. To dziwne, żeby całe małe miasteczko było w polu; powinno przecież być „miastem”, w którego okolicach mógłby się znajdować człowiek, dom albo teren. Ale określenie „szczerze pole” naprawdę pasuje do Cold Fiat Junction, bo odnoszę wrażenie, że miejscowość tylko przemieszcza się przez krajobraz, zmierzając do jakiegoś lepszego miejsca.

Po przyjeździe jak zawsze zatrzymałam się na peronie i spojrzałam na drugą stronę torów, gdzie w oddali rysuje się granatowa linia lasu. Nie ma tam żadnych domów ani sklepów - wszystkie leżą po tej stronie - tylko szmat puste, pylistej ziemi aż do tamtych drzew.

Bar Na Wietrznym Szlaku mieści się przy Wietrznym Szlaku, nazwanym tak, bo droga tworzy tu jakby tunel, po którym z wyciem hula wiatr; przeciąg może się tu naprawdę rozhuścić, bo nic go nie powstrzymuje.

Zawsze zaglądam do baru, żeby zasięgnąć informacji, chociaż nigdy nie pytam wprost o to, co chcę wiedzieć. To jedna z moich cech: próbuję zdobyć odpowiedzi, ale w okrężny sposób. Nie wiem, dlaczego taka jestem. Oczywiście tłumaczę sobie, że mówię ogólnikowo, bo mam tylko dwanaście lat i ludzie nie traktują mnie poważnie.

Rzecz jednak w tym, że goście w barze Na Wietrznym Szlaku tak palą się do rozmów z obcymi lub prawie obcymi, po prostu z każdym, kto nie pochodzi z Junction, że za każdym razem, gdy tu wpadam - a będzie już ze sześć razy - mnóstwo się od nich dowiaduję. Naturalnie wyciągam te wieści pod tak zwanym fałszywym pretekstem, co jakoś mnie nie wzrusza, niemniej muszę te preteksty wymyślać. Teraz, pomyślałam, gdy zostałam zatrudniona przez gazetę, preteksty stały się zbyt proste. Więcej, byłam sławna, a ludzie skłonni są przymykać oczy na kłamstwa sławnych osób.

Ruszyłam ze stacji po ścieżce wydeptanej przez akry nieużytków setkami stóp korzystających z tego niby skrótu, minęłam stację benzynową Esso i przekroczyłam Wietrzny Szlak.

Goście siedzieli na zwykłych miejscach przy kontuarze, co mnie dziwnie uspokoiło, bo potwierdzało, że obraz, który noszę w głowie, jest prawidłowy. Billy, Don Joe, tęga kobieta w ciemnych okularach - wszyscy zajmowali te same miejsca co zawsze.

- Patrzcie, patrzcie, kogo tu przywiał! - zawołał Don Joe.

Puściłam tę uwagę mimo uszu, uśmiechnęłam się i usiadłam na zwykłym stolku przy ścianie, w miejscu, gdzie kontuar się zakrzywia. Stąd widziałam ich wszystkich jak na dłoni i nie musiałam rozglądać się na boki.

- Proszę, proszę - dorzucił Evren.

Louise Snell, właścicielka, powiedziała:

- Aleś miała uciechę, złotko!

Na jej plakietce figuruje skrót „Wł.”; ciekawe, po co jej w ogóle plakietka z nazwiskiem, skoro nie ma tu innych kelnerów.

- No - zachęcił Billy - opowiedz nam, jak do ciebie strzelano! Kurde, jak Joe Don przyszedł z tą gazetą, to całymi dniami nie mówiliśmy o niczym innym!

I pewnie będą jeszcze gadać całymi latami.

- Wszystko opisałam w „Konserwatyście”. Poza tym nie ma co opowiadać - odrzekłam skromnie, nie dodając, że na tym właśnie polegała trudność: w trzeciej części reportażu nie bardzo miałam o czym opowiadać.

Louise Snell bez pytania naląła mi coli, ja zaś przechyliłam się przez kontuar, żeby przyjrzeć się ciastkom w szklanej gablocie. Wspomniałam, że przed godziną zjadłam stos placzków kukurydzianych z taką ilością syropu, że można by w nim utopić krowę, a następnie poprosiłam Louise Snell o kawałek kremówki kokosowej.

- Ale chcielibyśmy usłyszeć tę historię z pierwszej ręki - nalegał Billy, wyciągając papierosa z kieszeni koszuli i zanosząc się flegmatycznym śmiechem.

- Pewnie zes... to znaczy, umierałaś ze strachu - powiedział Don Joe. Jak zwykle siedzieli we trzech - Billy, Don Joe i Evren - rzędem przy kontuarze.

Miałam usta zapchane wielkim kawałem ciasta - nawet matka chciałaby dostać na nie przepis - więc tylko kiwnęłam głową.

- Pisałaś w gazecie, że gdyby nie Ben Queen, to już byś była trupem.

- Zawsześmy wiedzieli - wtrącił Evren - że Ben Queen to jest taki człowiek. Tak jest, proszę państwa, on by nigdy nikogo nie zabił, on jest z tych, co nie dadzą, żeby ludzie się pozabijali.

- No, mnie ocalił życie, to pewne - przyświadczyłam i pochłonęłam kolejny kawał ciasta.

Don Joe zmarszczył brwi.

- A w ogóle, po co ten szeryf z La Porte ciągle szuka Bena? Przecież już wie, że to nie on zabił Fern.

- No, oficjalnie nie wie. Znaczący, powiedziałam mu o tym, ale on mówi, że informacje z drugiej ręki się nie liczą. Znaczący, nie w sądzie.

- Z drugiej ręki? - oburzył się Billy - Przecież morderca wszystko ci wyznał. To chyba znaczący, że słyszałaś to na własne uszy, nie?

- O to właśnie chodzi. To jest informacja z drugiej ręki. Nikt więcej tego nie słyszał, a ja w dodatku jestem... nieletnia.

Z pewnością nie zamierzałam im mówić, że mam dwanaście lat, jestem tylko dzieckiem, i nikt nie traktuje całkiem poważnie tego, co mówię.

Na te słowa Louise Snell zaśmiała się szyderczo i zapaliła papierosa.

- O mało cię nie zastrzelili, a szeryf uważa, że jesteś za młoda! Dobry Boże, a ja sądziłam, że Sam DeGheyn to najbystrzejszy gliniarz w okolicy! - Pokręciła głową.

Oczywiście szeryf nic na ten temat nie mówił, lecz nie wyprowadzałam ich z błędu. W swoim czasie nawet się zastanawiałam, czy nie chodzi o mój wiek, a szeryf po prostu nie chce tego przyznać.

Billy wydmuchał kółko dymu i rzekł z namysłem:

- Myślałem, że jesteś przyjezdna, nie miejscowa.

Kiedy pierwszy raz weszłam do baru Na Wietrznym Szlaku, właśnie tak powiedziałam: że przejeżdżałam tędy z rodzicami, ale samochód się zepsuł i trzeba było go dać do naprawy. Potem, żeby się nie dziwili, że wciąż się tu kręcę, dwa razy zmyśliłam, że jestem na wakacjach. Naopowiadałam tyle wyssanych z palca historyjek, że już sama przestałam się w nich orientować.

- Eee, pewnie pan coś źle zrozumiał. Chodziło mi o to, że tego dnia byłam poza miastem. - Jeśli w to uwierzą, pomyślałam, to uwierzą we wszystko. - Na zakupach w Hebrides - dodałam pośpiesznie, uciekając od tematu swojej „niemiejsowości”. - Dzisiaj też tylko wpadłam na chwilę, żeby pogadać i dowiedzieć się cze goś więcej o Benie Cjueenie. Bo w tym właśnie problem. Nikt nie wie, gdzie on jest.

Billy zaciągnął się papierosem i zmrużywszy powieki, spojrzął na tort czekoladowy na piętrowym półmisku do ciast. Don Joe i Billy, obaj w czapkach w brązowe paski, ściągnęli usta. Najwyraźniej weszli w tryb myślenia.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podział Ben Cjueen
- powiedziała Louise Snell.

- Sądzą, że on wciąż jest w okolicy? - zapytałam.
Z pewnością ja tak sądziłam, ale byłam chyba jedyną osobą, która w ogóle miała jakąś koncepcję.

Spojrzeni na mnie.

- Niby gdzie?

- O co zakład, że zadekował się u Lou Landis?

- mruknął Bill.

Już przedtem tak mówił, jak się okazało, niesłusznie. Tym razem też się mylił, byłam tego pewna. Ale Ben mógł się ukrywać w starym domu panien Devereau, gdzie widziałam go po raz pierwszy. W pustej szklance po coli zabulgotało powietrze wciągane przez słomkę, uświadomiłam sobie jednak, że jestem już za duża na takie odgłosy, i przestałam.

Louise Snell zgasila papierosa.

- Po co miałby tu siedzieć, skoro policja go szuka?

Wlepiłam wzrok w okruchy po kremówce. Myślałam o Dziewczynie, ale nie miałam ochoty o niej mówić, zupełnie jakbym nie chciała się nią z nikim dzielić. Cho-

ciąż nie - chyba jeszcze bardziej się bałam, że zniknie, jeśli o niej wspomnę, jak kręgi na jeziorze powstające, kiedy puszczam kaczki. Ale skąd miałam się dowiedzieć, kim jest, skoro nie mogłam o to zapytać? Może na swój określony sposób...

- Znaliście dobrze Fern Queen? - zapytałam.

- Pewno, że tak - przytaknął Billy. - Ta Fern była jakaś dziwna - tu zakreślił palcem kółko na skroni.

- Biedna dziewczyna, niedorozwinięta, i tyle - wtrąciła kobieta w grubych okularach.

Wszedł Mervin ze swoją żoną, tą, co się rządzi. Przywitani się ze wszystkimi i zajęli miejsca w środkowym boksie pod ścianą. Ona siedziała trochę do mnie tyłem i nie widziałam jej zbyt dobrze, ale Mervin skinął mi głową *na* powitanie, więc odpowiedziałam grzecznie.

- Mocno niedorozwinięta, ot co - powiedział Billy.

- O kim mówicie? - zapytał Mervin, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć rejwach.

Od czasu, gdy zaczęłam tu przychodzić, zrobił się znacznie bardziej wymowny. Ciekawe, pomyślałam, czy to pod moim wpływem. Klienci przy kontuarze chyba uważają, że ludzie w boksach powinni pilnować własnego nosa.

Jego żona, która nigdy się nie udziela, tylko poszturkuje Mervina, tym razem też klepnęła go w rękę, żeby był cicho.

- O nikim specjalnym - oświadczył Billy, zwracając się bardziej do tortu niż do konkretnej osoby.

Uznałam, że takie ścinanie Mervina to czysta złośliwość. Nie dość, że musi znosić żonę, to jeszcze pozostali są dla niego niemili.

- O Fern Cjuen - powiedziałam, zarabiając kilka kwaśnych spojrzeń. - Właśnie o nią pytałam.

- Czy to ty jesteś ta dziewczyna, do której strzelali, ta, co napisała tę historię do gazety? - uśmiechnął się Mervin. - Ty jesteś ta sławna dziewczyna?

Nawet jego żona się odwróciła, by popatrzeć na sławną dziewczynę, ale nie robiła wrażenia szczególnie zachwyconej.

- Dobra robota, mała! - powiedział Mervin. - Słowo daję!

Podziękowałam mu - naprawdę, on jeden nie usiłował obrócić w żart tego, co się stało.

- No - ciągnął Mervin - więc co się tyczy Fern Cjueen...

Zanim zdążył skończyć zdanie, Billy obrócił się na stołku i rzucił:

- Zaraz, zaraz, Mervin, ty przecież nie mogłeś znać Fern Cjueen. To, o czym mówimy, działo się przed dwudziestu laty. Może się mylę, ale ty chyba mieszkasz w Junction dopiero szesnaście albo siedemnaście, co nie? - I Billy, wielce z siebie zadowolony, odwrócił się z powrotem do kontuaru i wypił resztkę kawy.

- Ale byłem tutaj, kiedy wróciła z tej podróży. To nie było dwadzieścia lat temu, tylko już po tym, jak zabito jej matkę.

- Z jakiej podróży? - zapytał Don Joe. Evren kiwnął głową, jakby też pytał.

- Nie pamiętacie, że wyjechała na kilka miesięcy?

- Billy, on ma rację - potwierdziła kobieta w okularach.

- No, chyba wiem, że wyjechała - zirytował się Billy, zły, że Mervin poczuwa się do znajomości Fern Cjueen.

- Wtedy ją poznałem - nie poddawał się Mervin.

Louise postawiła mu na stole „to, co zwykle” i wróciła na swoje miejsce przed gablotą z ciastami. Na gumowych podszewkach poruszała się naprawdę cicho.

- Jaka ona była? - zapytałam Mervina, usiłując zajrzeć do boksu, mimo że Billy i jego koledzy zasłaniali mi widok.

- Fern? Normalna osoba, moim zdaniem. Trochę nerwowa... ale chwileczkę, niech się zastanowię. - I zamyślił się.

Pełną zadumy ciszę zmaćił Don Joe:

- Ta Fern to miała niezły charakterek. Klóciła się ze wszystkimi, zwłaszcza z mamusią.

- Rose? - powiedział Billy, jakby miał do niej jakieś prawa.

Przypomniałam sobie, że ostatnim razem, gdy padło tu imię Rose, Billy'emu trochę zamglily się oczy. Ale nic w tym dziwnego, bo Rose DevereauQueen była piękna; „mogłaby zatrzymać paradę”, jak powiedziała Aurora Paradise.

Nagle zapytałam:

- Widzieliście w okolicy dziewczynę podobną do Rose Queen?

To zaskoczyło ich wszystkich, a mnie najbardziej, bo Wcale nie zamierzałam wspominać o Dziewczynie.

- Podobną do Rose? - zdumiał się Billy. - Do diabła, nie! Czemu pytasz?

Wzruszyłam ramionami jak gdyby nigdy nic:

- Pewnie się pomyliłam. Po prostu wydawało mi się, że widziałam kogoś takiego.

- Nie wyobrażam sobie, żebyśmy nie zauważyli kogoś podobnego do Rose. - Zmarszczył czoło i małym

palcem strzepnął popiół z papierosa. - Sam bym ją pierwszy zauważył. Przecież pamiętam...

Urwał albo urwały mu się wspomnienia.

- Taak, wszyscy chyba pamiętamy Rose - powiedział Don Joe.

I zamilkliśmy, łącząc się we wspomnieniach o Rose, takich, jakie kto miał.

Rose Devereau Queen została zamordowana dwadzieścia lat temu, tutaj, w Cold Fiat Junction. Była najmłodszą z sióstr Devereau - od starszych dzieliła ją różnica ponad piętnastu lat - i jako dwudziestoletnia dziewczyna uciekła z Benem Queenem, gdyż był to jedyny sposób, by wyrwać się z domu. Jej siostry nienawidziły szczęścia; same go w życiu nie miały i najchętniej zamknęłyby Rose na klucz w pokoju, żeby ona też go nie znalazła. Ich fotografie zawsze przywodzą mi na myśl suche liście, zwiędłe płatki, suchy wiatr. Od samego patrzenia chce mi się pić: jeżeli istnieje coś takiego jak „mleko ludzkich uczuć”, to z pewnością nie płynęło ono w żyłach trzech sióstr Devereau.

W rodzinie Devereau była jeszcze jedna osoba, Mary-Evelyn, która utonęła w jeziorze w wieku zaledwie dwunastu lat. I to nieprzypadkowo: zawsze o tym wiedziałam, ale udowodnienie tego faktu niemal kosztowało mnie życie, bo zabójca Mary-Evelyn, wiedząc, że ja wiem, próbował zabić także i mnie. Przyjezdni, którzy sądzą, że u nas jest nudno i nic się nie dzieje, powinni dobrze się rozejrzeć.

Mary-Evelyn. Zawsze znajdzie się jakiś kozioł ofiarny, powiedział Ben Queen - ktoś, przeciw komu zwracają się inni i próbują go unieszczęśliwić, żeby pozbyć się własnego nieszczęścia. Mary-Evelyn była kozłem ofiar-

nym i Ben Queen również. Został skazany za zabicie żony, choć gołym okiem było widać, że tego nie zrobił. Ale może to stanowi element gry - że ci, którzy robią z kogoś kozła ofiarnego, są ślepi. Ben Queen powiedział, że kiedyś brano prawdziwego kozła, obwieszano rozmaitymi przedmiotami, garnkami, rondlami i narzędziami, po czym wypędzano w góry, jakby ludzie chcieli wyładować na nim swoją złość i podłość.

Rose Devereauzdołała się uwolnić, a Mary-Evelyn - nie. I w pewnym sensie Rose też chyba nie - czasem morderstwo depte komuś po piętach, po prostu czeka, żeby się wydarzyć; jak nie teraz, to później, ale zawsze w końcu do niego dochodzi. To jak u Greków, o których już mówiłam. Grecy nic nie robili, tylko zabijali, później sami byli zabijani z zemsty, potem któryś z nich znowu się mścił, potem następny mścił się na tym, który mścił się przed chwilą, i było wiadomo, że to się nigdy nie skończy.

I nagle w cały ten kołowrót - „zabij i daj się zabić” - wkracza Dziewczyna, która wygląda jak Rose Devereau i której nikt nie widział oprócz mnie. Wkracza, ale kim jest?

- Chodzi o to - powiedział Billy, wciąż się zastanawiając - że Rose i Ben mieli tylko Fern, a Fern nie miała...

W myślach dopowiedziałam za niego: „...żadnych dzieci”. Tak powiedział Jude Stemple z Flyback Hol-low.

- ...żadnych dzieci - dokończył Billy.

Już otwierałam usta, żeby postawić to samo pytanie, które chciałam zadać Jude'owi Stemple'owi, lecz Louise Snell mnie uprzedziła:

- Skąd wiesz?

Billy mrugnął.

- Wtedy, co to Fern wyjechała - ciągnęła Louise - co Mervin o tym opowiada, nie było jej przez kilka miesięcy, no nie? - Dolewała kawy do kubków na kontuarze, wzięła też moją szklanę, żeby dolać mi coli.

Tęga kobieta poprawiła na nosie okulary i kiwnęła głową:

- Mogło tak być, czemu nie.

- Byśmy wiedzieli, Louise - zaprotestował Don Joe.

- Queeny by wiedziały; ta Sheba przecież nie może się powstrzymać, żeby nie kłapać dziobem. Straszna z niej plotkara.

- Ale o własnych sprawach nie plotkuje - zaprzeczyła Louise Snell. - Tej tajemnicy by dotrzywała.

Billy znów zamrugał, jakby raziło go światło i nie bardzo zrozumiał, o czym mówi Louise, ale ja rozumiałam, przynajmniej do pewnego stopnia. Fern pewnie była taką dziewczyną jak June Sikes i Toya Tidewater, co to pójdą z każdym, kto się nawinie. Nasza matka zabrania nam się z nimi zadawać. Lepiej by zrobiła, gdyby przypomniała o tym Willowi, zważywszy na to, że June właśnie tkwiła w Dużym Garażu, próbując rolę Medei.

Billy i Don (a także Evren, ale tylko dlatego, że zawsze papuguje innych) wlepili we mnie oczy.

- Znaczy mówisz, że dziewczyna, którą widziałeś, to córka Fern Queen? Wnuczka Bena Queena? - Billy potrząsnął głową, nie przecząco, lecz ze zdumienia. - Jak to możliwe, że nic o tym nie wiemy?

- Bo nigdy się nad tym nie zastanawiałeś, Billy - powiedziała Louise Snell.

Billy znowu strzepnął popiół z papierosa i wbił wzrok w podłogę, jakby fakt, że się nad czymś nie zastanowił, był w całej sprawie najważniejszy.

- No, no.

Miałam wrażenie, że lada chwila Dziewczyna się zużyje, padnie ofiarą erozji, ciągłego potoku słów. Przeraziło mnie to; poczułam, że jako jedyna osoba, która odgadła, kim ona jest, w pewien sposób odpowiadam za to, by nie stała się jej krzywdą. To mnie wytrąciło z równowagi. Zmarszczyłam czoło.

Nie zamierzałam im opowiadać, że widziałam ją kilka razy, bo spekulacje trwałyby całe popołudnie. Skorzystałam z kilkusekundowej przerwy w rozmowie i zmieniłam temat.

- Znacie ten stary hotel, który nazywa się Belle Ruin?

- Dobry Boże, no pewnie, że tak! - Louise Snell aż plasnęła dłonią w kontuar, jakby wspomnienie tak ją ucieszyło, że musiała dać temu fizyczny wyraz. - To ta wielka rudera za drogą na Spirit Lakę. Spalił się mniej więcej w tym samym czasie?

- Tym samym kiedy co?

- Kiedy zamordowano Rose.

- Nie całkiem - wtrącił Don Joe. - Pożar w hotelu był kilka lat wcześniej.

- Zbudowali go z drewna. Pewnie miał stare i zniszczone instalacje.

Niespecjalnie miałam ochotę wchodzić do budynku z niesprawną instalacją.

- Teraz piszesz o tym hotelu? - zapytał Billy

Tak - odpowiedziałam, nie wiedząc jeszcze, czy to zrobię. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, że fastryguję swoją relację, tak samo jak matka fastryguję zasłony, a panna Flagler, właścicielka sklepu z upominkami w La Porte, fastryguję suknie. Ma prawdziwy talent: z kilku

jardów organdy lub szyfonu umie wyczarować coś o delikatności obłoku albo tęczy.

- Belle Ruin - zadumała się Louise Snell. - Wiem, że *belle* znaczy piękna, ale nie mogę sobie wyobrazić, czemu ktoś nazwał hotel piękną ruiną.

Darowałam sobie wyjaśnienie, że nie chodzi o „ruin” tylko o „Rouen”, po prostu wszyscy od tak dawna źle wymawiają ten wyraz (oprócz Ree-Jane, przynajmniej w jej własnym mniemaniu), że hotel zaczął być znany jako ruina. Mnie tam podoba się ta nazwa: piękna ruina i posąg płaczący łzami z kamienia.

- Bywali tam naprawdę bogaci ludzie. Przyjeżdżali pociągiem. Zanim pojawiło się tyle samochodów, ludzie korzystali z pociągów. - Louise Snell patrzyła z rozmarzeniem w osłonięte firaneczką okno za boksem Mervina. - Urządzali tam cudowne dancingi.

Siedziałam z łokciami na kontuarze, wsparłszy brodę na pięściach.

- Pamiętam, że pociąg zatrzymywał się specjalnie przy hotelu. Taki to był ekskluzywny lokal. Pewnie nie wiele z niego zostało. Miałam wtedy ile, ze dwadzieścia lat?

- No, no, Louise! Teraz masz ledwie trzydzieści!

Billy chyba sądził, że to śmieszne; nie mogę pojąć, dlaczego niektórzy ludzie sądzą, że żarty na temat wieku są zabawne. Dwanaście lat to nic do śmiechu, zapewniam was. Poza tym chciałam, żeby Billy przestał przerywać.

Przez chwilę miałam nadzieję, że Louise Snell opowie jakąś historię - zawsze interesuje mnie cudza przeszłość, bo moja własna jest bardzo krótka. Niestety, urwała, wydłubała papierosa z paczki leżącej na kontuarze, po czym zapatrzyła się w dal, jakby w dymie

papierosów, które palili ona i Billy, widziała sylwetki wirujących tancerzy.

- Była pani kiedyś na takim balu?

- Tak, raz. - Znow odwróciła rozmarzony wzrok, r Miała suknię morskiego koloru, a mój chłopak przyniósł mi bransoletkę z kwiatów, gardenie i groszek pachnący. Te bale to naprawdę było coś. Sprowadzali na nie zawodowe orkiestry. Bywały tam tłumy, chyba wszyscy mieszkańcy w promieniu dziesięciu mil.

- Było dużo playboyów?

- Playboyów? - Louise zaśmiała się. - Złotko, jedyni playboye, jakich znam, to Billy i Don Joe.

Uznali to za przezabawne, wręcz pokładali się ze śmiechu. Pewnie to było na swój sposób śmieszne, niemniej byłam na siebie zła, że przerwałam opowieść Louise Snell.

- A była tam pani tej nocy, kiedy porwano dziecko? - zapytałam.

- Nie, kochanie. Ale w ogóle byłam tam tylko jeden, jedyny raz. - Zaczęła wycierać kontuar starą ścierką, która przywiodła mi na myśl zatłuszczoną szmatę Dwayne'a. Miały ze sobą coś wspólnego - obydwoma przecierano marzenia, żeby usunąć z nich brud życia.

12

Właściwie powinnam kiedyś spisać wywiady z Queenami i klientami baru Na Wietrznym Szlaku. Jednak na razie zdobywałam materiał nie tylko do reportażu „Tragedia nad Jeziorem Duchów i jej następstwa”, ale na przykład do tekstu „Skradzione dziecko”. Chociaż nie

(powiedziałam sobie), lepiej tak: „Skradzione dziecko - kolejna sprawa Lindbergha?” To by dopiero przyciągnęło czytelników przyzwyczajonych wyłącznie do sensacji w rodzaju „Wielki sukces zabawy maturalnej w liceum La Porte”, albo „Wytworna kolacja w kościele baptystów przyciąga tłumy”.

Uznałam, że jestem na właściwym tropie.

Doktor McComb mieszka dokładnie po drugiej stronie miasta, a raczej za miastem, na samym końcu Valley Road, odchodzącej od Drogi Czerwonego Ptaka. Właścicie wszystko jedno, przy której z tych ulic mieszka doktor, tak odosobnione jest to miejsce. Uznałam, że przed wyprawą powinnam się wzmocnić, więc następnego ranka jednak zajrzałam do Tęczy.

Była dopiero jedenasta, ale amatorzy kawy i wczesnego lunchu, nie wyłączając Uluba i Ububa, siedzieli już rzędem na stałych miejscach. Bracia nareszcie przestali być celem kpinek, przeciwnie, zasłużenie zostali zaakceptowani jako ważne figury. Gdyby nie bracia Wood, w ogóle nie udałoby się rozwikłać tajemnicy rodziny Devereau - to znaczy, gdyby nie bracia Wood i ja.

Shirl jak zwykle rezydowała za swoim stołem przy kasie, paląc papierosy i wypatrując jakiegoś postętku, na który mogłaby ponarzekać. Ciekawe, co by się stało, gdyby posadzić ją obok panny Berthy; chyba można by przyjmować zakłady. Dodge Haines i burmistrz Sims powiedzieli mi „dzień dobry”, i zapytali, kiedy właściwie zamierzam przeprowadzić z nimi wywiad? Odparłam, że nie zamierzam. Ulub i Ubub zawołali „Cze-e”, co jest ich wersją „Cześć”. Maud robiła koktajl mleczny, ze wszystkich sił przyciskając do miksera metalowy kubek,

który w przeciwnym razie od wibracji wywędrowałby samodzielnie za drzwi. Puściła do mnie oko.

Zajęłam miejsce w boksie w głębi, myśląc, że to naprawdę przyjemne gdzieś wejść i wywołać poruszenie. Szeryf zawsze wpada na kawę około jedenastej - oczywiście nie przyszedł tu z jego powodu, ale przy okazji mogłam mu pokazać, że wciąż prawie się do niego nie odzywam. Podkreślenia tego faktu nigdy dosyć.

Boksy są zbudowane z pięknego ciemnego drewna i mają tak wysokie oparcia, że trzeba się wychylić, aby dostrzec, że ktoś się zbliża. Lubię je, bo zapewniają zacisznąść. Szeryfa zauważyłam więc dopiero, gdy stanął obok mnie. Aż podskoczyłam, mimo że jestem przyzwyczajona do jego widoku. Najnaturalniej w świecie powiedział cześć, więc odpowiedziałam. Musiał zobaczyć, że jestem obojętna, to było bardzo ważne. Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, który rozjaśnia wszystko w promieniu mili, ja zaś wykonałam tandetny niby-uśmiech, rozciągając usta jak gumę na dokładnie jedną sekundę. Żałowałam, że nie mam książki albo gazety, żeby zacząć czytać i pokazać, jak dalece go ignoruję.

- Kiedy będzie następny odcinek, Emmo?

- Może w przyszłym tygodniu. - *Tragedia nad Jeziorem Duchów* nie ukazywała się zbyt regularnie; drugi odcinek został wydrukowany w „Konserwatyście” tydzień temu. - Nie wiem. Wena mnie opuściła. - No i po co ja mu udzielam informacji? Pomyślałby kto, że oczekuję współczucia, co nie jest prawdą. Zacisnęłam usta.

Usiadł, zdjął okulary, wsadził je do kieszeni munduru i obdarzył mnie swoim najbardziej niebieskim spojrzeniem.

- To się pewnie zdarza wszystkim pisarzom. Hemingway miał takie stany i Faulkner też.

Muszę to sprawdzić u Dwayne'a. Już już miałam o tym wspomnieć - że Dwayne Hayden wie wszystko o Williamie Faulknerze - by uświadomić szeryfowi, że bez przerwy rozmawiam z Dwayne'em, ale zjawiała się Maud, niosąc kawę dla niego, colę dla mnie oraz talerz pączków, między innymi te nowe z posypką.

- Emmę opuściła wena. Dzięki - dodał, gdy Maud stawiała przed nim kubek.

- Nie mówię, że to coś wielkiego - zaprotestowałam.

Kiwnęli głowami, jakby oboje czytali w moich myślach. Dlaczego tak często wydaje mi się, że nadają na tych samych falach? Nawet kiedy się kłóca. To znaczy, ona się kłóci, ale on jest tego przyczyną. Ciekawa jestem, czy szeryf wie o nieznanym osobniku, z którym poszła do Srebrnej Gruszki.

- Zastanawiam się, czy nie zamieścić czegoś o Belle Ruin - wyrwało mi się. Naprawdę tak myślałam?

Brwi Maud uniosły się o cal.

- O tym starym hotelu? Znaczy, przynajmniej kiedyś był to hotel.

- Belle Rouen - rzekł szeryf, ku mojemu zdumieniu wymawiając to poprawnie, po francusku. Po czym obrócił się i spojrzął na Maud. Trwało to mniej więcej dwie sekundy i nie miało nic wspólnego z hotelem.

- Spalił się - powiedział wreszcie. - Niektórzy wspominali nawet o podpaleniu.

Maud nie posiadała się ze zdumienia, jakby odkrył się przed nią cały nowy świat.

- Gdzie on stoi?

- Po drugiej stronie Jeziora Duchów, za szosą - wy jaśnił szeryf. - Jest tam spory kawał lasu, który myśliwi nazywają parkiem jeleni. Tyle tam jeleni, że tylko ślepy by nie trafił.

- Nienawidzę polowań. Więc jaki był ten hotel?

Tym razem ja odpowiedziałam:

- Bardzo duży, z dwoma polami golfowymi i ogromną salą balową. Parkiet wciąż istnieje. Nazywał się Belle R-o-u-e-n, po francusku, lecz ludzie mówią Belle Ruin, to znaczy ci, którzy o nim słyszeli. Znaczy, z wyjątkiem Ree-Jane Davidow: ona próbuje wymówić „Rouen”, ale nie potrafi.

- Nie potrafi nawet wymówić „Belle” - Maud zapaliła papierosa.

Szeryf zwrócił twarz w moją stronę, ale nie patrzył na mnie tak jak na Maud.

- Jest gęsto obrosnięty sosnami; gałęzie sięgają prawie do ziemi, więc budynek widać jakby przez kratę albo sieć.

Zdumiałam się:

- Pan tam był? Widział go pan?

- No pewnie - roześmiał się szeryf. - Interesuję się okolicą.

Byłam tak zaskoczona, że zapomniałam o ostatnim pączku, co o czymś świadczy.

- Napotkał pan jelenie? - zapytałam.

- Tak. Kiedy się siedzi i nie zwraca na nie uwagi, wtedy można je zobaczyć.

I zapalił papierosa, jak gdyby nigdy nic, a przecież właśnie powiedział coś fantastycznego, przynajmniej z mojego punktu widzenia. To miało związek z czymś innym, nie tylko z Belle Ruin i skradzionym dzieckiem,

ale nie byłam pewna z czym. Może się myliłam, sądząc, że szeryf nie nadaje ze mną na tej samej fali?

Musiałam długo na niego patrzeć, bo w końcu Maud zapytała:

- Emma, co się stało? Chcesz trochę chili?

Maud (podobnie jak moja matka) uważa, że rola jedzenia polega na czymś więcej niż napełnianie żołądka.

- Nie, dziękuję - odparłam i odwracając się do szeryfa, zapytałam: - To pan wie o tym porwanym dziecku?

- Słyszałem o tym, ale w aktach prawie nic nie ma.

- No, to opowiedz to „prawie nic” - wtrąciła Maud.

- Kiedy to było?

- Ze dwa lata przed sprawą Devereau - powiedziałam.

- Małżeństwo nazwiskiem Slade, Morris i Imogena Slade, miało dziecko, zaledwie kilkumiesięczne. Pewnego wieczoru w Belle Ruin odbywał się bal, więc wynajęli miejscową dziewczynę, by popilnowała dziecka przez kilka godzin, bo chcieli pójść potańczyć. Spikerównę.

- Tutejszą?

- Nie wiem. Nawet nie wiem, która to była. Teraz będzie miała ze czterdzieści lat, może nieco więcej. Musieli zatrudnić kogoś w miarę dorosłego i rozsądnego.

- Czyli kogoś, kto miał więcej niż dwanaście lat?

- zaśmiał się szeryf. - Faktycznie jesteś zorientowana. Skąd masz te informacje?

- Towarzystwo historyczne i panna Llewelyn to jedno źródło. - Podobało mi się podawanie „źródła” zamiast nazwiska. Szkoda, że nie miałam źródeł, które musiałabym „chronić”. - Opiekunka mogła mieć osiemnaście, dziewiętnaście lat. Kiedy dziecko zasnęło, wyszła

na korytarz do telefonu i wtedy ktoś wszedł przez okno po drabinie i je wykradł.

- Rany boskie - westchnęła Maud.

- Rzecz jasna, właściciel hotelu wezwał policję - ciągnęłam. - Przyjechali i przesłuchali kilka osób, ale poza tym zrobili niewiele. Szeryf znalazł drabinę, która wciąż stała pod oknem. Nikt nie żądał okupu, przynajmniej nic o tym nie wiadomo. I jeszcze jedno: Woodruffowie musieli przekupić szeryfa, bo sprawa została zatuszowana. Ten szeryf to był Mooma - zerknęłam na szeryfa.

- Oczywiście, wiem to tylko z drugiej ręki. I to w dodatku z drugiej drugiej ręki, bo osoba, która mi to opowiedziała, sama słyszała to od kogoś, kto tam był. Oba źródła są wiarygodne. - A to kupa śmiechu. Napiłam się coli. - Ale „drugoręczne”.

Szeryf nie skomentował „drugiej ręki”, tylko zapytał:

- Co z drabiną? Przypuszczalnie policja zdjęła z niej odciski palców?

Westchnęłam.

- Oczywiście! Właśnie do tego zmierzam. - Wcale nie zmierzałam. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Ale nie wiem, czy coś znaleźli. Pewnie drabiny dotykali pracownicy hotelu, czyściciele okien i tacy tam. Takich odcisków można się spodziewać, nawet mają nazwę...

- Odciski do eliminacji - wtrącił szeryf. - Właściwie skąd wzięło się przypuszczenie, że to był ktoś obcy? Być może po prostu przystawiono drabinę, żeby porwa nie wyglądało na robotę z zewnątrz?

- Policja wzięła taką możliwość pod uwagę.

Maud zmarszczyła czoło.

- Nie widzę, żeby to cokolwiek rozwiązywało; tak czy inaczej, mógł to być jeden z gości.

- Masz rację. To...
- To rzucaloby na sprawę inne światło.
- A swoją drogą, co jest w aktach? - zapytała Maud.
- Czytałem je jakiś czas temu. Ale jestem pewien, że nic tam nie ma oprócz daty i krótkiego raportu o podejrzeniu porwania. Prawdopodobnie nikt nie zrobił nic więcej. Emmo, skąd znasz tę historię?
- Od Waltera i trochę od Aurory Paradise. - To mi dopiero eliminacja.
- Od tego faceta, który pracuje w kuchni u twojej matki?
- Tak. A co? Wy też uważacie, że on jest niedorozwinięty? No, więc nie jest. - Nie broniłam Waltera; broniłam siebie, bo słucham Waltera i ktoś może pomyśleć, że jestem taka głupia jak on.
- Wcale tak nie uważam - zdziwił się szeryf. - Aleś ty dzisiaj drażliwa!
- Dzisiaj? Drażliwa dzisiaj? Czyżby nie zauważył, że jestem drażliwa, odkąd wyjechał z tą „drugą ręką”? Czyżby wszystkie moje wysiłki poszły na marne?
- I matka Waltera pracowała w Belle Rouen?
- Przytaknęłam.
- Była pomywaczką. Dochodzącą pomocą. Przychodziła, kiedy urządzali tańce albo coś.
- Szeryf się zamyślił.
- Już nie żyje - dodałam. Nie wspomniałam o pa miętnikach, nie bardzo wiem dlaczego.
- Walter mieszka sam, prawda? - zapytał. Teraz nawet Maud spojrziała na niego dziwnie.
- Tak - odparłam. - I co z tego?

- Rzeczywiście co z tego? - najeżyła się Maud. - Te raz zamierzasz udowodnić, że wszyscy ludzie, którzy mieszkają sami, są podatni na urojenia?

Maud mieszka sama.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył szeryf. - Obie wyciągacie strasznie dużo wniosków z moich słów...

- A może mówisz za dużo słów, z których można wnioskować, nie jważasz? - ucięła Maud, odwracając się do mnie. Byłam zachwycona, że zostałam wrzucona do jednego worka z Maud, jeżeli w ogóle musiałam się znaleźć w jakimś worku.

Szeryf posmutniał.

- Myślę tylko, że Walter na pewno jest samotny.

- I od tego wariuje, i wyobraża sobie różne rzeczy?

- Powiedziałem tyle, ile chciałem powiedzieć.

- Maud!

To wołała Shirl. Zawsze to robi, prędzej czy później. Czasem myślę, że Shirl nie może znieść, kiedy Maud przebywa poza zasięgiem jej wzroku i słuchu. Maud wstała od stołu.

Jakoś niepostrzeżenie podczas tej wymiany zdań znowu zaczęłam rozmawiać z szeryfem i muszę przyznać, że przychodziło mi to znacznie łatwiej niż nieodzywanie się do niego.

- Nie rozumiem jednego, dlaczego policja tak mało zrobiła i dlaczego ten cały Woodruff nie chciał, żeby gazety zamieściły więcej szczegółów.

- Pytałaś Abnera Gumbrela?

- No, nie. Ale oczywiście mam taki zamiar.

- Może istnieje jakiś reportaż, niedrukowany materiał w archiwum albo co? Pamiętaj, że przedtem właścicielem gazety był Asa, ojciec Abnera.

Nadeszła panna Isabel Barnett i usiadła w swym ulubionym boksie po drugiej stronie przejścia. Szeryf uśmiechnął się i skinął jej głową; miałam wrażenie, że żałuje, że nie ma swojej czapki z daszkiem, aby móc ją uchylić. Ja też się uśmiechnęłam - lubię pannę Isabel Barnett, która jest urocza i w odróżnieniu od większości dorosłych traktuje mnie jak istotę rozumną. Wcale mi nie przeszkadza, że to kleptomanka. Z jakiegoś powodu interesuje ją tylko sklep McCrory'ego „1001 drobiazgów”, z którego kradnie niedrogie przedmioty, takie jak szminki, puder w kamieniu Ponda lub woda Soir de Paris. Albo wstążki do włosów. Panna Isabel Barnett jest najbogatszą osobą w mieście, więc nie robi tego z biedy.

„Coś jej w życiu nie wyszło” - powiedział kiedyś szeryf. Ma umowę z panem Toomeyem, kierownikiem sklepu: panna Barnett daje jemu, szeryfowi, pieniądze na pokrycie wszelkich strat, a on przekazuje je panu Toomeyowi. Sam fakt, że panna Barnett musi czasem spojrzeć w oczy szeryfowi, już jest dostateczną karą (on tak sądzi), a zmuszanie jej do stawania przed sądem i podawanie tych drobnych kradzieży do prasy byłoby dla niej nie do zniesienia. I nikt o niej nie plotkuje; nie wiem, jak szeryf to załatwił, ale zrobił to skutecznie. Nawet teraz, mimo że byłam na niego wściekła, wciąż sądziłam, że powinien być co najmniej burmistrzem. Powinien rządzić miastem; być może powinien rządzić światem.

Panna Isabel Barnett zdjęła słomkowy kapelusik i rękawiczki, po czym wyciągnęła jadłospis z aluminiowego stojaka za cukiernicą.

- Czy teraz chcesz pisać o hotelu Belle Ruin? - zapytał szeryf, znów zwracając się do mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Po prostu jestem ciekawa. Nie mogę być zwyczajnie ciekawa?

- Emmo, ty w ogóle nie jesteś zwyczajna.

Ściągnęłam wargi. To miał być komplement? Oczywiście wolałabym wdepnąć w krowi placek niż o to zapytać.

- Każdy byłby ciekaw, no nie? W końcu chodzi o porwane dziecko, nawet jeśli to było dawno temu.

- A może przypadkiem jesteś ciekawa dlatego, że wydaje ci się, że to ma coś wspólnego z Devereau i Queenami? Na przykład z Benem Queenem?

- Nie.

Odepchnął kubek i pochylił się ku mnie nad stołem, jakby chciał powiedzieć mi coś w zaufaniu.

- Ciągle go szukam, Emmo.

Znaczy Bena Cjueena? Też mi zwierzenie! Jakbym sama o tym nie wiedziała!

- Niech pan przestanie się zachowywać, jakby pan sądził, że ja wiem, gdzie on jest, bo nie wiem. - Zna czy teraz już nie, bo wcześniej Ben Queen mieszkał w domu Devereau, ale wątpię, żeby wciąż tam przebywał. Od tamtej nocy, gdy do mnie strzelano, w lesie i nad jeziorem roi się od policji. Szeryf i ja szybko wracaliśmy do punktu wyjścia, czyli do momentu, gdy przestałam się do niego odzywać.

Wtedy przypomniałam sobie, co powiedziała Maud, że nie warto mieć racji, jeśli przez to można stracić przyjaciela.

- Nie widziałam go, odkąd ocalił mi życie.

- Uznałam, że warto to podkreślić, na wypadek gdyby szeryf o tym zapomniał. - Wtedy tam był. Nie wiem, gdzie jest teraz. - To ostatnie przynajmniej było prawdą.

- Być może szmat drogi stąd. - Na te słowa przeszył mnie dreszcz, bo wcale nie chciałam, żeby Ben Cjueen oddalił się o szmat drogi. Chciałam, żeby tu był i dawał na mnie baczenie.

Twarz ojca, ledwie pamiętana, rozjarzyła się w mojej pamięci jak fajerwerk na Czwartego Lipca. Wlepiłam wzrok w stół i swoją niedopitą colę.

- Emmo, pozwól, że ci wyjaśnię, o co chodzi z tą informacją z drugiej ręki - powiedział szeryf.

Znowu te słowa! Dłonie niemal same zakryły mi uszy.

Szeryf chwycił mnie za nadgarstek.

- Opuść ręce i słuchaj! - syknął.

Odsłoniłam uszy, zawstydzona, że postępuję tak dziecinnie.

- No? - zapytałam sztywno.

- Posłuchaj. Ben Queen zostawił odciski palców na strzelbie, której użył, żeby uratować ci życie, za co będę mu dozgonnie wdzięczny. Niemniej zabił człowieka. I choćby z tego powodu muszę go odnaleźć.

Szczęka mi opadła na to „dozgonnie wdzięczny”. Za uratowanie mi życia? Szeryf tak się tym przejął? Zabrakło mi słów, mózg zamienił się w galaretę. W końcu wykrztusiłam:

- Pan uważa, że on zabił Fern? Bo ja wiem, że nie.

- Nie uważam. Ale problem polegał i wciąż polega na tym, że kobieta, która do ciebie strzelała, była wariatką. Emmo, ona była obłąkana. Mogła się przyznać do tysięcy zbrodni, których naprawdę nie popełniła. Nie mówię, że tak było, ale rozumiesz chyba, że to możliwe?

Chyba rozumiałam. To miało jakiś sens.

- No, a wyznanie na łożu śmierci?

Pokręcił głową.

- Nic z tego. Przede wszystkim, nie planowała przecież, że umrze. Przeciwnie, myślała, że zwyciężyła.

- Och.

Rzeczywiście. One wszystkie mówiły o niej „nasza Rose”, chociaż w gruncie rzeczy jej nienawidziły, bo uciekła z ich pełnego cieni domu i pełnego cieni życia. Uciekła z Benem Queenem.

- Rosę Queen - powiedziałam. - Od niej zaczęły się te wszystkie morderstwa. Ben nie zabił Rose; to Fern ją zabiła.

Odwrócił wzrok.

- Chce pan powiedzieć, że pan w to nie wierzy?

- Wierzę albo i nie wierzę. To właśnie jest informacja z drugiej ręki. Nikogo nie było przy tym, jak zamordowano Rose. Nie zgłosił się żaden świadek, więc każdy, kto twierdzi, że wie, co się zdarzyło, mówi tak wyłącznie na podstawie tego, co usłyszał. - Uniósł dłoń, aby powstrzymać mnie od komentarzy i skończyć myśl: - Osobiście sędzę, że to o wiele logiczniejsze, że Fern zabiła matkę, zważywszy na to, że Rose namawiała Bena, aby ją oddać do zakładu. Ile Fern mogła mieć wtedy lat? Kilkanaście? Było z niej niezłe ziółko, taka sama zaraza, jak siostry Devereau. Może matka przekazała jej jakiś gen, który dziewczynę załatwił? To ma o wiele większy sens niż przypuszczenie, że Ben Queen zabił Rose, bo z tego, co słyszałem, uwielbiał ziemię, po której stapała. Fern miała motyw; Ben go nie miał. Ale muszę to wyjaśnić, muszę go znaleźć. Ukrywając się, Ben tylko pogarsza swoją sytuację.

- Trudno mu się dziwić! Jest kozłem ofiarnym; ciągle obwiniają go o wszystko! Policja jest przekonana,

że zabił Fern, tylko dlatego, że ich zdaniem zabił Rose.

- Ja jestem policja. I wcale nie jestem przekonany.

Uśmiech szeryfa było mi w tej chwili trudniej znieść niż jego gniew.

- Ale po co miałby zabijać Fern?

- Może dlatego, że zabiła Rose. Bo za to zastrzeliłby każdego, łącznie z własną córką. Przyniosła im obojgu tylko zmartwienie. Też tak myślałem do tego wypadku z tobą. Wtedy zmieniłem zdanie.

- To znaczy, że pan jednak mi uwierzył?

- Oczywiście. Po prostu nie dałaś mi skończyć zdania. Nie pozwoliłaś mi wyjaśnić.

- Och. - Patrzyłam wszędzie, byle nie na niego. Zerknęłam na pannę Isabel Barnett, która spojrzała na nas i uśmiechnęła się. Pomachałam jej. - No to w porządku. Mogę znów zacząć się do pana odzywać.

Poprawił czapkę i włożył ciemne okulary.

- Tak? A kiedy przestałaś?

Po czym wstał i oddalił się, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Walnęłam pięścią w stół, aż panna Isabel Barnett zwróciła na mnie uwagę.

- Dzień dobry, panno Barnett. Przepraszam. Przed chwilą coś się zdarzyło.

- Emmo, chyba jesteś trochę sfrustrowana.

Są dwa powody, dla których ją lubię. Po pierwsze, wie, że jestem Emma, a nie Ree-Jane. Po drugie, od razu przechodzi do sedna. To dość niezwykle, jak sądzę.

- No bo jestem.

- Z pewnością potrafię to zrozumieć.

- Tak?

Jadła grillowaną kanapkę z serem i frytki. Delikatnie zanurzyła frytkę w tekturowym pojemniczku z keczupem.

- Oczywiście, to jak najbardziej rozumiałe na tym świecie. Nie ma dnia, żeby człowiekowi coś nie zszarpało nerwów. - Ugryzła frytkę.

Jak ona to robi, że nawet frytka w jej ręce wygląda wytwornie?

Obok nas przeszła kobieta z dzieckiem na ręku, zaglądając do boksów, jakby kogoś szukała. Kiedy się odwróciła, zobaczyłam, że małe czółko dziecka jest poorane zmarszczkami.

- Proszę, najbardziej zmartwione dziecko, jakie w żyć ciu widziałam - rzekła panna Barnett. - Widzisz, nawet niemowlęta bywają sfrustrowane.

Ciekawe, pomyślałam, ile panna Barnett ma lat. Mogę się założyć, że jest starsza niż wygląda, ale robi wrażenie znacznie młodszej, głównie dzięki pięknej cerze, niemal tak promiennej jak perły mojej matki. Na pewno mieszkała już tutaj, kiedy spłonęło Belle Ruin i zaginęło to dziecko. Taka osoba jak ona na pewno pamięta szczegóły. Musi przecież spamiętać, co ukradła ze sklepu „1001 drobiazgów”, żeby potem zdać sprawę szeryfowi („koralowa szminka Tangee; półtorauncyjowy flakon Soir de Paris”).

- Mieszka tu pani przez całe życie, prawda?

- A i owszem.

Następna frytka została zanurzona w keczupie. Z jakiegoś powodu ujrzałam przy boksie ducha Very wskazującego na frytki ze słowami: „To nie są dobre maniere”. A matka, czy spojrzalaby z powątpiewaniem i szepnęła: „A gdzie klasa?” Chyba jednak nie. Ciekawa byłam, co takiego w życiu panny Barnett „nie wyszło”, że została zmuszona do drobnych kradzieży.

- Czy pani tęskni za młodością?

Wyglądała na zaskoczoną, ale natychmiast zmieniła wyraz twarzy, jakby zdumienie czyimś pytaniem mogło być dla pytającego krepujące. Oto jest klasa, pomyślałam. Powinnam opowiedzieć o tym matce.

Zamyśliła się.

- Owszem, często. Chociaż nie powiedziałabym, że byłam młoda, kiedy hotel jeszcze stał. Żałuję chwil, kiedy mogłam pływać w Lake Noir bez zmęczenia, kiedy chodziłam na tańce, kiedy byłam ładna. Tak, to było miłe; brakuje mi tego; dobrze się bawiłam. - Westchnęła.
- Ale są rzeczy, które przychodzą dopiero na starość, na przykład można wydawać pieniądze, jak się chce, odrzucać zaproszenia osób, których się nie lubi, i nie trzeba się nikomu tłumaczyć, dokąd się idzie.

Tłumaczyć, dokąd się idzie? A po co?

- Musiała pani być surowo wychowana, panno Barnett. - Uśmiechnęła się tylko, więc ciągnęłam: - Pamięta pani Belle Ruin? Duży hotel, który się spalił? W parku jeleni nad Jeziorem Duchów?

- Ach! - Skrzyżowała ręce na piersi. Miała na sobie granatową bluzkę w kropeczki. - Belle Rouen! Oczywiście, że pamiętam. Czasem jadaliśmy tam kolacje. Przepiękna jadalnia. No i te bale! Sala balowa była olbrzymia. Do tańca grała dwunastoosobowa orkiestra. Można było przetańczyć całą noc, a przynajmniej tak nam się wydawało. - Roześmiała się i wzięła do ręki ostatnią ćwiartkę grillowanej kanapki z serem. Już ostygła, więc ją odłożyła.

- Pamięta pani ten wieczór, kiedy odbywał się bal i policja przyjechała, bo porwano dziecko?

- Tak, pamiętam przyjazd policji, ale nie miałam pojęcia, dlaczego się zjawili. Przypominam sobie, że chciałam iść do toalety i musiałam przejść przez cały

hol. Stał tam szeryf, jego zastępca i dwóch policjantów stanowych. Ale nie wiedziałam, co tam robią; myślałam, że chodzi o wypadek samochodowy. Dopiero później usłyszałam o dziecku.

- Rodzice nazywali się Slade'owie. Ona była z domu Woodruff. Imogena Woodruff.

- Ci Woodruffowie chyba nie pochodzili stąd, z La Porte. - W zadumie dotknęła czoła długimi palcami.

- Ale Slade'owie tak.

Nie wspomniałam jej o tym, że Woodruffowie pragnęli zachować całą sprawę w tajemnicy. Im więcej o tym myślałam, tym dziwniejsze mi się wydawało, że tak bardzo chcieli ją wyciszyć.

- Ale po kilku dniach jakoś już o tym nie słyszałam - zauważyła, jakby zaniepokojona brakiem wiadomości.

- Wyjechali z miasta. W prasie niewiele pisano.

Żachnęła się lekko.

- I nigdy nie znaleziono dziecka?

- Chyba nie. Słyszałam, że wrócili do Nowego Jorku.

Pokręciła głową.

- To okropne. - Frytki jej się skończyły, ale chyba nie dlatego posmutniała. - Ta cudowna sala balowa! I te suknie! Wszystkie byłyśmy ubrane wprost zabójczo.

Miała nadzieję, że nie.

- Piękne stroje, piękni ludzie. Nie mam pojęcia, gdzie się wszyscy podziali, bo przecież niektórzy z nich pochodzili z tej okolicy. Można by wręcz pomyśleć, że niektóre miejsca znikają i zabierają ze sobą mieszkańców.

Usiadłam ciężko i pomyślałam o Hotelu Paradise. Czy on też zabierze mnie ze sobą?

13

Nie wiem, dlaczego poczułam się zbyt zmęczona, by iść na piechotę do domu doktora McComba, ale tak właśnie było. Skręciłam za róg i ruszyłam ulicą w stronę postoju taksówek. Minęłam sklep papierniczy, w którym zawsze panuje taka ciemność, że trzeba wejść głęboko do środka, żeby coś zobaczyć, jubilera oraz Super Ścięcie, gdzie jedna z dziewczyn pocila się nad fryzurą Helenę Baum. Współczułam, ale nie do tego stopnia, by zwyczajnie przejść obok. Stałam przed witryną, zaczekałam, aż Helenę Baum spojrzy w moją stronę, po czym szybko odeszłam. To jej da do myślenia: widziała mnie czy nie? Czy w ogóle kogoś widziała? A zrobiłam to ot, tak sobie.

Nagle stanęłam jak wryta. Nieco dalej na ulicy Dru-giej przed dyspozytornią zajechała taksówka, z której wysiadł Axel i wszedł do budynku.

Nareszcie! Oto moja szansa! Rzuciłam się pędem, po drodze wpadając na żonę burmistrza, wózek dziecięcy i pana Nasalroda. Przebiegłam przez ulicę i z trzaskiem wtargnęłam do Taksówek Axela.

- Ejże! - krzyknął Delbert. - Gdzie się pali?

- Gdzie Axel? - Zdyszana omiotłam wzrokiem niewielkie pomieszczenie, nie wierząc własnym oczom.

- Ależ złotko - wyjaśniła dyspozytorka - Axel pojechał zawieźć krew do szpitala, surowicę czy coś takiego, no wiesz.

- Przecież dopiero co tu wszedł! Widziałam go! A jego taksówka stoi przed wejściem!

- Tak, był tutaj, ale zaraz wyszedł tylnymi drzwiami, żeby wejść na piętro sklepu Frazeeego. Tam trzymają

krew, znaczy, Ben Frazee przechowuje ją w zamrażarce.

- Ale taksówka tam stoi! - pokazałam palcem z półobrotu. Nie, nie stała. - Nie ma jej!

- Przecież ci mówię, okropnie się śpieszył. Krew szybko się psuje, wiesz o tym.

Delbert, obracając w zębach wykałaczkę, wtrącił:

- Lepiej się ciesz, że to nie twoja krew! - i zaśmiał się chrapliwie jak to on. Tak sobie wyobraża poczucie humoru.

- No, ale Delbert cię zawiezie, gdzie tylko zechcesz.

- Pewno, że tak, byle nie do Hebrides, jak ostatnim razem. Muszę wrócić jeszcze w tym roku. - He, he, he, omal nie umarł ze śmiechu.

Byłam całkiem sflaczała, zmęczona, jakby ktoś kopniakami przerzucił mnie do następnego skrzyżowania.

- Dobrze już, dobrze. Muszę jechać do doktora McComba.

Delbert spojrział w sufit, jakby widząc tam plan La Porte.

- Zaraz, zaraz, o ile pamiętam, on chyba mieszka obok klubu golfowego?

- Delbert, przecież niedawno mnie pan tam woził. Nie pamięta pan Valley Road? Odchodzi od Drogi Czerwonego Ptaka.

- A co ja powiedziałem? Obok klubu golfowego w pobliżu Valley Road i Drogi Czerwonego Ptaka.

- Nie całkiem, Delbert - wtrąciła dyspozytorka. - Klub golfowy jest przy Drodze Klubu Golfowego. To chyba logiczne, nie?

- Powiedziałem „w pobliżu”, prawda? Nie mówiłem, że „przy”. Każdy głupi zrozumie, że jeśli jest Droga Klubu Golfowego, to tam właśnie leży klub golfowy.

Złapałam się za głowę. To było gorsze niż bar Na Wietrznym Szlaku.

Delbert znalazł Valley Road, ale przez całą drogę narzekał na nawierzchnię, pełną dziur, piachu i żwiru, którą miasto powinno się zająć. Pewnie nikt nic nie robi, bo mieszka tu bardzo niewielu ludzi. Dom doktora McComba jest największy; oprócz niego stoi tu tylko przyczepa kempingowa z plastikowymi flamingami i mały domek w kształcie pudełka.

Delbert zatrzymał się, by mnie wysadzić, i od razu zaczął się dopytywać, jak długo mi zajdzie i czy ma na mnie czekać. Oczywiście, za dodatkową opłatą. Pisałam już, jak to bez końca gadał o pieniądzach, kiedy czekał na mnie pod biblioteką, więc nie miałam ochoty więcej o tym słyszeć.

- Nie, może pan odjechać.

Przechylił się poufale nad siedzeniem i oświadczył:

- Bo gdybyś jednak chciała, musiałbym ci policzyć dodatkowo.

Wiedziałam, że jeśli odezwę się choć słowem, zacznie głądzić tak jak przedtem. Zamknęłam się więc i wysiadłam.

Cofnięty od drogi dom tonął w powodzi traw i dmuchawców, robiąc wrażenie miło zaniedbanego. Z doktorem McCombem mieszka tylko jego krewna, chyba siostra czy kuzynka. Kiedy byłam tu pierwszy raz, weszła do pokoju i usiadła, nic nie mówiąc, ani „dzień dobry”, ani choćby „kto ty jesteś?”. Poczulałam się wtedy trochę nieswojo, więc nie chcąc znowu na nią trafić, nie zapukałam do drzwi frontowych, lecz obeszłam dom od tyłu, gdzie miałam nadzieję znaleźć doktora.

Teren za domem jest całkowicie zarośnięty, pełno tu krzaków, drzewek i traw tak wysokich, że doktor wręcz

w nich tonie razem z siatką na motyle. Uchodzi za swego rodzaju specjalistę od motyli, a w bibliotece znajduje się nawet książka jego autorstwa, którą przeczytałam, przynajmniej częściowo.

Trawy przetykane polnymi kwiatami i zaroślami rosły tak bujnie, że dostrzegłam doktora, dopiero gdy uważnie się przyjrzałam. Najpierw zobaczyłam unoszącą się i zataczającą łuk siatkę, potem zaś jego podobne do dmuchawca włosy. Zawołałam, chyba płosząc jakiegoś motyla. Doktor odwrócił się raptownie.

- Kto tam?

- To ja, Emma.

Pomachał mi siatką, co pewnie miało znaczyć, że mam do niego podejść. Nie bardzo mi się chciało przedzierać przez chaszczę, ale wyraźnie na coś się zaczął i nie zamierzał opuszczać stanowiska. Przebrnęłam więc przez wysokie trawy, dziką marchew, dmuchawce, rudbekie i jeżówki, aż w końcu do niego dotarłam.

- Przez ciebie go straciłem. Rusałka osetnik, jeden z moich ulubionych motyli, rzadko spotykany. - Westchnął, żeby mnie dobić.

- Przykro mi. - Wcale nie było mi przykro; motyle są ładne, ale nudne. Poświęciłam sporo czasu, żeby się czegoś o nich nauczyć, schwytałam nawet jednego osobnika, którego doktor w swej książce nazywa „koro-niecznikiem”, a wszystko po to, żeby mieć pretekst, by wyciągnąć doktora na rozmowę o siostrach Devereau. Ale doktor jest miły. I robi naprawdę dobry czekoladowy piernik.

Znów westchnął.

- Cóż, zginał mi z oczu. - Spojrzał na zegarek wielkości cebuli i oznajmił: - Ciasto już pewnie się upiekło. Masz ochotę?

Co za pytanie.

Aromat ciasta snuł się niczym dym wokół wszystkich sprzętów w kuchni. Jest ona znacznie mniejsza niż kuchnia w naszym hotelu, więc zapachy wydają się bardziej skoncentrowane. Usiadłam przy kuchennym stole na białym drewnianym krześle i podparłam podbródek dłońmi, gotowa wachać gęsty, czekoladowy aromat piernika, jak długo się da. Myślę, że zmysł węchu jest naprawdę niedoceniany; sądzę, że potrafi przywołać dawne czasy i wstrząsnąć pamięcią równie skutecznie jak wzrok albo słuch. Na przykład zapach perfum - kwiatowy aromat pani Fulbright lub bardziej winna woda kolońska Loli Davidow - niektóre rodzaje mydła, wczesnoporanowa trawa, albo ocean mięty na polu za hotelem. Wszystkie te wonie będą mnie nawiedzać, kiedy dorosnę. Sto różnych zapachów, z których każdy przeżyję na sto różnych sposobów, bo zdążę zapomnieć związane z nimi rzeczy i ludzi, będę pamiętać tylko, jak kto pachniał.

Rzecz jasna, nie chcę przez to powiedzieć, że wolę wachać pierniki niż je zjadać, zwłaszcza że doktor McComb oprószył właśnie cukrem pudrem ciasto na blasze i odstawił je na chwilę, by ostygło. Następnie pokroił je na dwanaście części, wsunął łyżkę pod jeden kwadracik i przeniósł go na talerzyk w ryżowy wzór. Przygotował również filiżanki i spodki, po czym zaproponował mi kawę. To jedyny człowiek na świecie, któremu w ogóle przychodzi to do głowy, więc się zgodziłam. Rzecz jasna, dodaję do kawy mnóstwo mleka; nie chcę się „otępić”, co zdaniem Willa niechybnie mi grozi, jeżeli będę piła kawę bez mleka i cukru. Mleko doktor również podgrzał, żeby mój napój był naprawdę gorący.

Nalał mi kawy i mleka, sobie samej kawy, po czym usiadł i wziął trochę gorszy kawałek piernika. Gdyby zabrał najlepszy, byłaby to z jego strony straszna niegrzeczność; ja natomiast, będąc gościem, przyjąłam go z przyjemnością. Wiedzieliśmy, że wśród porcji ciasta istnieje wyraźna hierarchia i te w środkowym rzędzie są najlepsze, ale żadne z nas nie powiedziało tego głośno - pod tym względem próbowaliśmy zachowywać się swobodnie.

- Znowu przyszedł zrobić ze mną wywiad? Twój reportaż jest świetny.

- Dziękuję. Nie, chcę zasięgnąć informacji o czymś całkiem innym. - Przez chwilę skupiałam się na swoim pulchnym, pocukrzonym cieście, po czym zapytałam doktora, czy pamięta hotel Belle Ruin i czy był wtedy miejscowym lekarzem.

- Ogromny hotel około mili za Jeziorem Duchów? Oczywiście, że tam bywałem. W tamtych czasach to był najwyższy szyk. Prawdziwa elegancja i prawdziwe towarzystwo, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Ale oczywiście zjeżdżali się do niego głównie ludzie z miasta. W swoim czasie odwiedzał go co najmniej jeden prezydent, kilku znanych muzyków, gwiazdy opery. Pierwszorzędny lokal, mówię ci. Wiesz, że się spalił jakieś dwadzieścia kilka lat temu? Dobrych kilka lat przed sprawą sióstr Devereau. Biedna mała Mary-Evelyn. - Pokręcił głową ze smutkiem. - To straszne, okropne.

Nie chciałam się zatrzymywać na tej okropności.

- Właśnie. Ale chciałabym się dowiedzieć czegoś o porwanym dziecku. - Przyznaję, że miałam oko na środkowy kawałek piernika.

Potał czoło nasadą dłoni, jakby chciał porządnie zamieszać sobie w głowie.

- A tak. Zniknęło dziecko. Biedne maleństwo.
- Podobno zostało wykradzione? Porwane?

Doktor McComb wpatrzył się w swój piernik,

- Nie wiadomo, co się właściwie stało. Przyjechała policja z La Porte i dwóch policjantów stanowych. Ja także zostałem wezwany, nie bardzo wiem po co. Nie było żadnego ciała, które mógłbym zbadać. Pewnie szeryf się bał, że matka zemdleje albo co. Czemu tak się tym interesujesz? Masz w życiu za mało przygód, że musisz szukać kolejnych?

Nie odpowiedziałam, uznając, że to właściwie nie jest pytanie. Po prostu wzięłam kolejny kawałek piernika.

- Rodzice nie posiadali się z rozpaczy - ciągnął doktor. - Od matki policja nie zdołała się niczego dowiedzieć; biedna dziewczyna, musiałem dać jej leki na uspokojenie. Z ojcem też było marnie. Wszystkim zajmował się dziadek, ojciec matki, niejaki Woodruff. Podobno był nadziany.

Zerknął na blachę i wybrał kawałek ze środka.

- Nie rozumiem, czemu prawie niczego nie było w gazetach.

- Też tego nie rozumiem. Może ten Woodruff wcisnął dziennikarzom jakieś pieniądze, żeby ich uciszyć. - Dopił kawę do końca.

- Ale po co chciał ich uciszać? Nic z tego nie pojmuję. Zupełnie jakby dziecko - tu przesunęłam ręką w powietrzu - znikło z powierzchni ziemi. - Sama myśl o tym przyprawiła mnie o gęsią skórkę, więc kilkakrotnie potarłam ramię. - I nikt nie zażądał okupu.

- Rzeczywiście, niczego takiego nie słyszałem, a wierz mi, ten plotkarz Mooma natychmiast rozgłosiłby to po całym mieście. Oczywiście, nie mówię o Donnym; Moomów jest tak wielu, że trudno się rozeznąć.

- To szeryf był krewnym Donny'ego?

- Chyba jego stryjem - powiedział doktor. - Jeszcze gorszy niż Donny, nie umiał niczego zachować w tajemnicy.

- Pewnie gadał jak najęty i łało się z niego jak z tej dziurawej rury kanalizacyjnej na ulicy Olchowej.

Doktor McComb zaśmiał się i zerknął z ukosa na piernik, więc szybko wybrałam najpulschniejszy kawałek w bocznym rzędzie.

- Jak to dobrze, że mamy naszego szeryfa - westchnęłam.

- Tak jest. Sam DeGheyn to najbystrzejszy człowiek w okolicy - naj bystrzejszy człowiek, jakiego znam.

Upiłam łyk kawy z mlekiem. Zawsze z przyjemnością słucham, jak ktoś wyraża się pochlebnie o szeryfie.

- Nie podejrzewali opiekunki?

- E tam. Nawet z nią rozmawiałem.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Taak?

Przytaknęłam.

- Gloria Spiker. Miała ze dwadzieścia, może dwiętnaście lat. Nieprzytomna ze strachu. U Spikerów o to nietrudno.

- Wciąż gdzieś tu mieszka?

- Gloria? Niech nałożę swoją czapkę-myśłówkę.

I rzeczywiście przykrył łysiejącą czaszkę jedną dłonią, a drugą wziął kolejny kawałek piernika.

- Możliwe, że się mylę, ale mam wrażenie, że ci konkretni Spikerowie przeprowadzili się do Cold Fiat Junction. Gloria będzie teraz miała około trzydziestki lub czterdziestki. Nigdy nie była zbyt mądra, więc pewnie niewiele ci pomoże.

- Ale pilnowała dziecka. Musi wiedzieć więcej niż inni, więcej niż matka albo ojciec. Kiedy dziecko zostało wykradzione, nie było ich na miejscu.

- Hmm. Wtedy niewiele miała do powiedzenia. -
Ugryzł kęs ciasta.

- Może brała udział w porwaniu? - Ten pomysł bardzo mnie podniecił. - Może była wtyczką? Może wszystko było ukartowane, no, wie pan?

Doktor McComb aż się zachnął.

- Gloria Spiker jako współniczka porwania? Nie rozśmieszaj mnie. Gloria z trudem znalazłaby własne buty. O co chodzi z tym ukartowaniem?

- Po prostu ktoś mógł specjalnie przystawić drabinę, żeby wyglądało, że dziecko porwała osoba z zewnątrz.

- Jaką znowu drabinę?

- Przy ścianie hotelu stała bardzo wysoka drabina. Pod oknem pokoju, w którym spało dziecko.

- Nie przypominam sobie żadnej drabiny. To prawie jak porwanie dziecka Lindbergha.

Wszyscy tak mówili. Bardzo dziwne.

- Myśli pan, że porywacz kazał Woodruffom pozbyć się policji i prasy? Zakazał im z kimkolwiek rozmawiać? Często tak bywa w filmach i powieściach kryminalnych. Ale zazwyczaj ostrzeżenie przychodzi równocześnie z porwaniem.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, wpatrzeni w blachę z ciastem. Pomyślałam, że nie dam rady zmieścić nic więcej, ale dojrzałam jeden kawałek z dużą ilością cukru, który wyglądał szczególnie kusząco.

- Może żądanie okupu przyszło później - powiedział doktor McComb.

Jego dłoń ruchem kraba pełzła w stronę blachy.

- Ale dlaczego? - Moja ręka wystrzeliła, jakby kiej rując się własną wolą, i porwała upatrzonego kwadracik.

- Och, przepraszam. Chce pan?

Machnął dłonią.

- Nie, nie.

W końcu byłam jego gościem.

- Po co porywacze mieliby z tym zwlekać?

Zadowolili się mniejszym kawałkiem z boku.

- Może na początku uważali, że to zbyt niebezpieczne. Może spanikowali.

Nie zadowolila mnie ta odpowiedź, ale nic nie powiedziałam.

Dolał do kawy śmietanki, zamieszał i puknął łyżeczką w spodek.

- Od lat nie myślałem o tej sprawie. Wiesz, chyba jeszcze żyje kilka osób, które wtedy były na balu, osób w moim wieku. Panna Flyte; nie zdziwiłbym się, gdyby ona tam była. No i Ben Queen.

Rozdziawiłam usta.

- Jak to?

- Pomyślałem sobie, że Ben mógłby coś wiedzieć. W końcu dostarczał towar do Belle Ruin. Głównie warzywa. Wiesz, że on i jego tata zaopatrywali również Hotel Paradise? Obsługiwali prawie wszystkie hotele. Mieli najlepsze warzywa w okolicy. - Pokręcił głową. - Jaka szkoda, że policja ciągle go poszukuje. Nawet po tym wszystkim.

Nie powiedziałam nic; bałam się, że jeśli wspomnę o Benie Queenie, mój głos zdradzi, co czuję. Zamiast tego oznajmiłam:

- Muszę wracać do hotelu. - Zegar na ścianie wskazywał pierwszą dziesięć; tego dnia lunch podawaliśmy dopiero o drugiej, gdyż panna Bertha i pani Fulbright pojechały gdzieś z krewnym pani Fulbright. - Dziękuję za ciasto i kawę.

- Ależ proszę cię bardzo. Wpadnij kiedyś i opowiedz, czego się dowiedziałas.

- Tak zrobię.

Taksówka z Delbertem w środku stałą, gdzie ją zostawiłam. Nie wierzyłam własnym oczom.

- Przecież mówiłam, żeby pan nie czekał! - Wdrapałam się na tylne siedzenie; i tak musiałabym wziąć tak sówkę, bo na piechotę nie zdążyłabym na czas. Rozgłos nie załatwia wszystkiego. „Sława i dziesięć centów kupi ci kubek kawy”, jak lubi powtarzać Will, który nawet udziela mi na ten temat miniwykładów: „Nie powinnaś myśleć o sławie, powinnaś doskonalić swoją sztukę”.

„Sztukę? Jaką sztukę? Ja tylko piszę do «Konserwaty-
sty!»” Jestem znacznie bardziej konkretna niż Will, choć nie mam jego wyobraźni.

Poleciłam więc Delbertowi, żeby odwiózł mnie do hotelu.

- I niech pan nie próbuje policzyć za czekanie - dodałam, gdy zawracał samochód na pastwisku, gdzie sennie przeżuwało trawę kilka krów. Zamknęłam oczy. Jak to właściwie jest być krową, pomyślałam. To chyba niezła egzystencja, jeśli nie liczyć samego końca. Otworzyłam oczy i wlepiłam wzrok w kark Delberta oraz jego odstające uszy.

- Chodzi o to... - zaczął.

Jęknęłam.

- ...chodzi o to, że jakoś zasnąłem w samochodzie, więc chyba nie bardzo mogę ci policzyć za postój.

- Mówił, jakby nie był tego do końca pewny.

Oparłam podbródek na oparciu przedniego fotela.

- Delbert, nie może mi pan nic policzyć, nieważne, czy pan spał, czy nie, bo prosiłam, żeby pan nie czekał! - Już chyba jaśniej się dało.

Zamilkł, co w jego przypadku nie oznaczało, że myśli, tylko że milczy. Następnie wybąkał:

- No, nie wiem, to chyba nie tak... Bo widzisz...
Zatkałam sobie uszy, lecz bez skutku; ciągle słysza-
łam jego płaczący głos.

- ...widzisz, teraz jednak siedzisz w taksówce, a ja
wiozę cię do Hotelu Paradise, no nie?

Czułam, że patrzy we wsteczne lustro i czeka, że-
bym coś odpowiedziała, ale nie odzywałam się. Mówił
więc dalej:

- No, to jest tak, jakbyś trzymała taksówkę przez
cały czas. Taak, właściwie mógłbym ci policzyć za po-
stój.

- Ale mówiłam, żeby pan nie czekał!

Po co ja się z nim kłóczę?

- No tak, wiem. Ale wsiadłaś z powrotem do tak-
sówki, no nie? No, ale skoro zasnąłem, oczywiście na
twoim czasie, to ci nie policzę... hej! Co ty, u licha,
wyprawiasz... hej! Zamknij te drzwi!

Nadepnął na hamulec i zatrzymał samochód przy
klombie przyczepy z różowymi flamingami. Przedtem
jechał zaledwie piętnaście mil na godzinę. Zamknęłam
drzwi i rozsiadłam się wygodnie; zdążyłam uchylić je
zaledwie o kilka cali.

Twarz Delberta była zlana potem.

- Dziewczyno, czyś ty zwariowała! Otwierasz drzwi
pojazdu w ruchu? - Wymawiał „pojazd” tak jak pan
Sław, „pjazd”. - Co ty, kurde, próbujesz zrobić?

- Chciałam, żeby pan przestał gadać.

Płasnęłam w kierownicę.

- No proszę, to mi dopiero powód!

- Pewnie, że tak.

Zapalił silnik i zjechał z pobocza z powrotem na Dro-
gę Czerwonego Ptaka. Właścicielka flamingów wyszła,
żeby zobaczyć, co się dzieje, jakby nigdy w życiu nie

widziała auta. Pomachałam do niej, lecz tylko stała bez ruchu i patrzyła, jak samochód się oddala.

Delbert znów zaczął gadać:

- Myślę sobie, że następnym razem może niech cię zabierze Axel, jak ci nie odpowiada to, że ja cię wożę. Axel też niewiele gada, to się polubicie.

Ziewnęłam, w ten sposób przepuszczając okazję dowiedzenia się czegoś więcej o Axelu. Gdybym powiedziała, że taksówka Axela wygląda bardzo tajemniczo, bo nigdy nie widziałam w niej pasażera, Delbert nie miałby pojęcia, o czym mówię.

Delbert gadał, ja zaś snułam rozmyślania. Umieję się wyłączyć, kiedy ludzie coś do mnie mówią, co prawda nie tak dobrze jak Will, ale też on jest prawdziwym mistrzem. Delbert wciąż jeszcze paplał o tym, że Axel mógłby mnie wozić tam i z powrotem, gdy samochód zakołysał się na zwirowym podjeździe i zajechaliśmy pod wejście do hotelu. Zapłaciłam, proponując, żeby Delbert zatrzymał sobie resztę, która wynosiła dwadzieścia pięć centów; to i tak było więcej, niż ktokolwiek by mu zapłacił, gdyby musiał znosić całe to kłapanie dziobem.

Dochodziła druga. W holu natknęłam się na pannę Berthę, garbatą niczym dzwonnik z Notre Dame, która zmierzała do jadalni w asyście pani Fulbright. Panna Bertha jest zgięta w pół i w swej stalowoszarej sukni wygląda i porusza się jak żółw. Pewnie powinnam odczuwać dla niej jakieś współczucie, ale o ile wiem, nikt inny go nie odczuwa. Kiedyś pani Davidow, siedząc w kuchni na sałatkowym stole i machając nogami z trzecim martini w ręku, powiedziała, że ktoś naprawdę powinien pożałować panny Berthy, po czym wszyscy spojrzeli na mnie, nawet Walter (i co tu mówić

o koźle ofiarnym!). Skoro to ja najczęściej kontaktuję się z panną Berthą (powiedział ktoś), to powinnam przejawić trochę dobrej woli.

Zważywszy na tempo, w jakim panna Bertha się posuwała, obliczyłam, że bez trudu zdążę przed nią do jadalni. Pani Fulbright szła krokiem niespiesznym i eleganckim, od czasu do czasu podsuwając pomocną dłoń pod łokieć panny Berthy która odpychała ją i nie dawała się dotknąć.

- Są przyjaciółkami od dziecka - powiedziała kiedyś matka. Odparłam, że to jakiś szaleńczo cudowny zbieg okoliczności, po czym natychmiast wyobraziłam sobie siebie oraz Ree-Jane za siedemdziesiąt lat. W moich myślach Ree-Jane była przygarbioną staruszką, ja zaś - elegancką.

- Pani Fulbright pewnie odbywa pokutę za coś, co zrobiła pannie Bercie - powiedziałam. - Może najechała na nią samochodem i zamieniła ją w Garbuskę z Jeziora Duchów, więc teraz w ramach zadośćuczynienia co lato przyjeżdża do naszego hotelu ze swoją ofiarą.

Matka tylko machnęła papierosem i kazała mi mówić do rzeczy.

Mówić do rzeczy? Przy tym, co się wyrabia w Hotelu Paradise?

Rozmyślałam dalej. Kara za grzechy, taak... Przyjeżdżanie tu co roku stanowiło pewnie część pokuty. W myślach usłyszałam, jak ksiądz Freeman z pochyloną głową wymierza karę: „Dziesięć zdrowasiek i coroczny wyjazd do Hotelu Paradise do końca życia”. Wyobraziłam sobie panią Fulbright, młodą i wesołą, osuwającą się w omdleniu na ziemię.

- ...hiszpańskie omlety.

Matka stała za blatem roboczym, wzięwszy się pod boki.

- O czym ty myślisz? Słyszysz, co do ciebie mówię?

Nie słyszałam, ale z łatwością się domyśliłam.

- Na lunch są omelety. - Trzymałam w ręce dzbanek na wodę z czerwonego szkła, choć nie pamiętałam, żebym go brała. - Panna Bertha nie lubi hiszpańskiego sosu. Jest w nim groszek. - Jeśli o mnie chodzi, mógłby w nim być cały Hiszpan. Po prostu lubię się wyklócać. Matka wie, że panna Bertha nie znosi groszku.

- To może dostać omlet z serem.

Niosąc dzbanek z wodą na wielkiej tacy, pchnęłam ramieniem wahadłowe drzwi akurat kiedy obie panie zajmowały miejsca przy stole. Pani Fulbright jak zwykle przyjaźnie się ze mną przywitała; panna Bertha tylko stęknęła i natychmiast zaczęła przestawiać wszystkie przedmioty na stole, szklanek, solniczkę i nakrycie. Nałalam wody do szklanek i przy wtórze „hrrrmff” panny Berthy wyliczyłam, co jest w jadłospisie:

- Dwa rodzaje omletu, hiszpański - pani Fulbright pojaśniała - i z serem. - Kiedy na twarzy panny Berthy odmalowała się ulga, dodałam: - Z serem i groszkiem.

Rzuciła się do tyłu tak gwałtownie, że jej krzywe plecy niemal się wyprostowały.

- Jak to, z groszkiem? W omlecie z serem nie może być żadnego groszku!

Uśmiechnęłam się dobrotliwie:

- Oczywiście, że nie. To sos serowy: kucharka, zna czy moja matka, próbuje nowy przepis z groszkiem.

Panna Bertha zacharczała i nawet się trochę opluła.

- To jej powiedz, żeby nie dodawała groszku!

- No, no, Bertha - wtrąciła pani Fulbright. - Jestem pewna, że będzie pyszny.

- W życiu nie słyszałam nic tak głupiego! Groszek w serze!

- Niestety, nie można zrezygnować z groszku - starałam się mówić smutnym tonem. - Jest już w sosie.

- Cholerna głupota! Jen Graham wie, że nie znoszę groszku!

Westchnęłam.

- Przypuszczalnie tak. Zobaczą, co da się zrobić.

I odplynęłam z powrotem przez wahadłowe drzwi, by zamówić jeden omlet hiszpański i jeden z serem. I z groszkiem.

W Hotelu Paradise nie mamy zbyt wielu rozrywek.

14

Musiałam zdążyć na popołudniowy pociąg do Cold Fiat Junction i na szczęście wzywianie (ponowne) tak-sówki od Axela zostało mi oszczędzone, gdyż pani Davidow wybierała się samochodem do La Porte i Alta Vista po „zapasy”. Zazwyczaj oznaczało to skrzynkę Jim Beama i drugą skrzynkę dżinu Gordona.

Modliłam się, by Ree-Jane nie postanowiła w ostatniej chwili jechać z nami, ale jak zwykle moje modły pozostały bez odzewu; Ree-Jane pojawiła się na schodach frontowej werandy akurat w chwili, gdy jej matka przekręcała kluczyk w stacyjce. Uśmiechając się szyderczo, otworzyła drzwi od strony pasażera i kazała mi przesiąść się do tyłu.

Zmiażdżyłam ją spojrzeniem i bez słowa zmieniłam miejsce. Nawet pani Davidow pokręciła głową i wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego. Nie powiedziała jednak, żeby Ree-Jane sama usiadła z tyłu.

Naturalnie Ree-Jane musiała wiedzieć, dokąd jadę, wymyśliłam więc spotkanie z panem Gumbrelem:

- W redakcji „Konserwatysty”. - I żeby ją do końca pogłębić, dodałam: - Żeby przejrzeć artykuł, który piszę.

Rozmawiała ze mną przez ramię, ale teraz ze złością odwróciła się plecami. Nie przychodziła jej do głowy żadna riposta; a świadomość, że to mnie udało się załapać na świetną reporterską robotę, podczas gdy to j e j była przeznaczona dziennikarska sława, doprowadzała ją wręcz do obłędu.

Kiedy pani Davidow wysadziła mnie przed redakcją, podziękowałam grzecznie, wbiegłam na górę i zaraz zbiegłam. Miałam tylko kilka minut, by popędzić ulicą, skręcić za róg i zdążyć na stację. Poleciałam.

Wysiadając z pociągu w Cold Fiat Junction, jak zwykle *rozejrzałam się* po peronie z nadzieją, że zobaczę Dziewczynę. Widziałam ją tutaj dwukrotnie, pierwszy raz około trzech tygodni temu, siedzącą na drewnianej ławce pod ścianą ceglanego stacyjnego budynku, zapatrzoną w puste pola za torami. Ciekawa byłam, czy dostrzegą ją samo co ja: czy coś ją ciągnęło, by przekroczyć tory, pójść przez pole do ciemnej linii drzew i zniknąć.

Przeszył mnie dreszcz - nigdy przedtem nie myślałam o znikaniu. Dlaczego obie, ona i ja, miałybyśmy nagle myśleć o zniknięciu w dalekim lesie?

Nigdy przedtem nie myślałam również o nas „obu”.

Budynek stacji w Cold Fiat Junction zbudowano w stylu, który, o ile pamiętam, nazywają wiktoriańskim. Jest bardzo misternie zdobiony, lecz wszystkie detale są podporządkowane ogólnemu wzorowi. Dach wieńczy drewniana belka, delikatnie rzeźbiona i bardzo ładna; takie same dachy widuję na domkach w Spirit Lake,

które moja matka nazywa „domkami z piernika”. Stacja w La Porte też przypomina piernik, lecz na razie nie została doceniona, przynajmniej przeze mnie. Ale tam panuje ożywiony ruch; pasażerowie czekają z walizkami u stóp lub przechadzają się w obłokach pary, szukając znajomych wsiadających lub wysiadających z pociągu, żeby się przywitać albo pożegnać. Kasa biletowa jest prawie zawsze czynna, ludzie spotykają się, wymieniają powitania i uściski, a panie wysiadające z wagonów po stopniach podstawionych przez konduktora witają się i pośpiesznie odchodzą, objuczone torbami i resztą bagaży. Przyprawia mnie to niemal o zadyszkę. Nawet nie wiem, czemu zaczęłam o tym myśleć, dlaczego to wszystko przyszło mi do głowy ale nie, jednak wiem: to dlatego, że tutaj, na stacji Cold Fiat Junction, nikt nic takiego nie robi. Nikogo tu nie ma; bywam tu tylko ja i Dziewczyna. Co oczywiście jest bzdurą, jacyś ludzie muszą tu przecież wsiadać i wysiadać, w przeciwnym razie, po co pociąg w ogóle by tu stawał?

Beżowa roleta na okienku kasowym jest zawsze zaciągnięta, przynajmniej, kiedy ja tu bywam. Przez całą poczekalnię ciągnie się szereg ławek z ciemnego drewna, ustawionych oparciami do siebie. Na ścianach wiszą plakaty reklamujące te wszystkie niebezpieczne, podniecające, baśniowe miejsca, do których można by pojechać. Przedstawiają pociągi w kłębach pary, zajeżdżające gdzieś na Florydę lub wijące się po skalistym wybrzeżu Maine, gdzie jeden niewłaściwy ruch może posłać cały skład do morza. Żeby przeżyć pogodne wakacje, wystarczy po prostu wsiąść do pociągu i jazda! Tyle że nikt już nie chce nigdzie jeździć, przynajmniej nie ze stacji w Cold Fiat Junction.

Właściwie nie wiem, po co tracę czas na przyglądanie się plakatom, bo nie chodzi o jakąś ogólną tęsknotę za podróżą do reklamowanych miejscowości. Być może rację ma ksiądz Freeman, który twierdzi, że lepiej jest wędrować myślą niż ciałem. W końcu w taki właśnie sposób wybrałam się do Miami Beach i miałam z tego więcej frajdy, niż ci, którzy naprawdę tam pojechali.

Może pociągają mnie obrazy szczęśliwych ludzi jadących do szczęśliwych miejsc, a może sama poczekalnia, pusta niczym pole za torami? Podoba mi się pustka, bo życie jest takie zagracone. Chyba jestem trochę zwariowana. Po prostu wydaje mi się, że to dobre miejsce, by się zatrzymać i rozejrzeć bez powodu, ot, tak sobie. Wszystko to przyszło mi do głowy jeszcze zanim spojrziałam na tamtą jałową ziemię. Wyszłam z poczekalni i usiadłam na ławce tak jak kiedyś Dziewczyna. Ciekawa byłam, co ona o tym sądzi. Co sądzi o tym wszystkim. Co my „obie” o tym sądzimy.

Weszłam do baru Na Wietrznym Szlaku, zajęłam swój zwykły stołek przy kontuarze, po czym przywitałam się ze wszystkimi. Nawet żona Mervina uśmiechnęła się i odwzajemniła pozdrowienie.

Billy udął, że jest strasznie zdziwiony, że znów mnie tu widzi:

- Dobry Boże, dziewczyno, byłaś tu tyle razy, że powinnaś się przeprowadzić. - Wyraźnie uznał, że to bardzo śmieszne, bo zachichotał i szturchnął siedzącego obok Don Joego, aby też się roześmiał.

Wolałabym móc stwierdzić, że przemyślałam swoją odpowiedź, ale niestety. Po prostu mi się wyrwała:

- Tak, tak właśnie zamierzamy zrobić. Znacząca moja rodzina. Zastanawiamy się, czy jest tu jakiś dom na Sprzedaż.

Wyobrażacie sobie, jaką burzę rozpętały moje słowa! Oto był temat, na który wszyscy mieli swoje zdanie, nie tylko o domach dostępnych w tej chwili, lecz także o ludziach, którzy zamierzali dom sprzedać lub sprzedaliby, gdyby zaproponować im dużo pieniędzy, albo o domach sprzedanych kiedyś. Mogli obrabiać tę sprawę do końca świata i jeszcze jeden dzień. Ale nie zamierzałam na to pozwolić.

- Jim i Jolene Spiers - oznajmił Don Joe. - Doszły mnie słuchy, że chcą sprzedać swój dom.

Tęga kobieta w okularach (które nie znałam) sprzeciwiła się:

- A to od kiedy, Don Joe? Jim ani o tym myśli. Widziałam go nie dalej jak kwadrans temu. Szedł do Flyback Holler beztroski niczym ptaszek.

- A co to, u licha, ma do rzeczy? - rozżołościł się Don Joe. - Na litość boską, można sprzedawać dom i iść sobie beztrosko do Flyback Holler.

- Pewno, że tak - poparł go Billy. - Ja nie słyszałem, by zająknął się choć słowem, że sprzedaje chałupę.

- Słyszałam, że Mami Oster wyjeżdża do córki w Arizonie, więc będzie sprzedawać - powiedziała Louise Snell ze zwykłego stanowiska przy gablocie z tortem i ciastkami. - To miły domek. Mami bardzo o niego dba. Cztery sypialnie i oddzielna jadalnia. Odkąd stary Sam umarł i dzieci się wyniosły, nie potrzeba jej tyle miejsca, ma tylko kłopot z utrzymaniem takiej landary. Ile sypialni potrzebuje twoja rodzina, złotko?

Drzemałam trochę, podparłszy podbródek na rękach.

- Sypialni? No, pewnie ze trzy albo cztery. Albo pięć.

- Masz jakichś braci albo siostry? - zapytała Louise Snell.

- Jakieś rodzeństwo? - wtrąciła żona Mervina. Wyglądała na autentycznie zainteresowaną moją przeprawą do Cold Fiat Junction.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Jednego brata. Jest trochę ułomny, ale zasuwa w wózku elektrycznym jak nie wiem co.

Cicho wyrazili ubolewanie (i zażenowanie, że poznali rodzinną tragedię): „Jaka szkoda”. „Och, jak mi przykro”. „Co za nieszczęście”. Umieściłam brata w wózku z jego ułomnością, żeby nie zagadali mnie na śmierć:

- Zaraz, zaraz - zmieniałam temat na naprawdę interesujący - ktoś powiedział mojej mamci (która, gdyby mnie słyszała, wygłosiłaby długi wykład o manierach), że jakaś kobieta imieniem Gloria... Jakże się ona nazywa, zaraz, zaraz... chyba kiedyś miała na nazwisko Spiker, ale może wyszła za męż... że ta Gloria Spiker ma dom do sprzedania.

- Gloria Spiker, taa... - zadumał się Don Joe. - Czy to nie ona wyszła za tego Bakera?

- Niece, pomyliłeś ją z Charlene Budd. Która wyszła za Freda Bakera. O ile wiem - Billy strzepnął popiół z papierosa do pustego talerzyka po ciastku. Stanowczo jemu również przydałby się wykład o manierach. -A Gloria wyszła za Cary'ego Granta Calhouna. Ma czwórkę czy piątkę dzieci. Diabelskie nasienie.

- Cary'ego Granta Calhouna? - wykrzyknęłam zaskoczona. - Cary Grant to aktor filmowy!

- Powiedz to jego matce - zaśmiał się Billy. Wszyscy zachichotali, poszturchując się łokciami. - Zawsze twierdziła, że to wykapany Cary Grant, nawet jak się dopiero co urodził. I dlatego dała mu tak na imię.

Zwykła była mówić, że to najprzystojniejszy chłopak w Cold Fiat Junction.

- To niewiele powiedziane, co nie? - zakpiła Louise Snell.

- Naprawdę jest taki przystojny? - zapytałam. Wyczerpałam swój przydział przystojniaków - szeryf, Dwayne i Ben Queen - i trochę nie wierzyłam, żeby w całym stanie, a co dopiero w Cold Fiat Junction znalazł się jeszcze jeden przystojny mężczyzna. - Faktycznie wygląda jak Cary Grant?

- Nie - rzekł Mervin. - Jak Calhoun.

- Przystojny nie jest, to pewne - wtrącił swoje trzy grosze Evren. - Cary Grant Calhoun był brzydki od dziecka. Oczywiście, nie dało się o tym przekonać jego mamy. Miłość jest ślepa. - Parsknął dziwnie. - Jego mamcia twierdziła, że to najpiękniejsze dziecko w czterdziestu ośmiu stanach.

Don Joe uniósł dłonie:

- Evren, jeśli mówisz o Stanach Zjednoczonych, to lepiej się ocknij. Tych cholerstw jest pięćdziesiąt, jak mnie pouczono kilka dni temu. Zostałem zbesztany za nieuctwo. - Tu spojrzął na mnie.

Besztająca, czyli ja.

- Chodziło o Alaskę. Pan powiedział, że na miejscu Bena Queena spieprzałby pan z kraju aż na Alaskę.

- Byłabyś niezła jako świadek policyjny - zaśmiał się Mervin - z taką pamięcią i w ogóle. Oni lubią takich, co pamiętają szczegóły.

Dostał za to klapsa od żony. Z jakiegoś powodu nie podobało się jej, że on się odzywa.

- Pamiętasz, ostatnim razem, jak tu byłaś, szukałaś Rebeki Calhoun, tej, co wyszła za Bewly'ego Spikera? - powiedział Billy, patrząc na mnie uważnie.

Poczułam się tak, jakby znajomi z baru opowiadali mi moje życie; po prostu wystarczyło się dostosować.

- To Gloria Spiker jest spokrewniona z Bewlym?

- Do diabła, dziewczyno, wszystkie Spikery są ze sobą spokrewnione, bracia, siostry, ciotki, kuzyny. Bewly to będzie dla Glorii, zaraz... wuj?

- Cary Grant Calhoun to będzie brat cioteczny Imogeny - odezwał się Evren.

Billy obrzucił go znużonym spojrzeniem, jakby obcowanie z Evrenem całkiem go wyczerpało.

- Evren, tyle o tym wiesz, co o znoszeniu jaj.

- A właśnie, że wiem. Spytałem Imogenę, czy jest krewną Cary'ego Granta Calhouna i powiedziała, że są ciotecznym rodzeństwem. - Kiwnął energicznie głową.

- To tak, jak ze Spikerami - zauważyła Louise Snell. - Calhounów jest tylu, że jakby ich ustawić jednego za drugim, to ciągnęliby się stąd do Hebrides.

- I każdy by wrócił ze skrzynką dzinu. - Don Joe plasnął w blat kontuaru, aż kawa wychlapała mu się z filiżanki i Louise Snell musiała wytrzeć blat.

Ogarnęło mnie poczucie, że nigdy nie zdołam wykombinować, kto jest kim, zapytałam więc:

- A gdzie mieszka Gloria Spiker? Znaczy, jakbym chciała obejrzeć jej dom, żeby opowiedzieć o nim mamci? (Spodobało mi się określenie „mamcia”; w domu z pewnością nie mogłabym tak mówić.)

- Ano tam, pod Skałą Rudego Szopa, gdzie chodziłaś przedtem - wyjaśnił Billy.

- Niebieski dom, pierwszy, na który natrafisz - pisała Mervin.

Billy obrócił się na stołku.

- Co ty, Mervin, próbujesz sprzedać ten niebieski dom jako cudzą własność? Już ci mówiłem, że to dom Wandy Leroy.

- Nic podobnego. I tu się mylisz, Billy.

Żona Mervina coś syknęła.

Billy przewrócił oczami i zwrócił się do mnie:

- Gloria Spiker mieszka dwa domy dalej niż Imogena. To taki jakby zielonoszary dom bez żadnej werandy.

Zamierzałam się oddalić, zanim Mervin zacznie swoje o niebieskim domu.

- No, bardzo wszystkim dziękuję - powiedziałam, schodząc ze stołka. - To ja się tam przejdę.

Kiedy mijałam boks Mervina, ten wychylił się ku mnie i szepnął:

- Niebieski dom - a gdy stanęłam w drzwiach, Don Joe zawołał do mnie, żebym dała mu znać, „ile Gloria chce za tę starą rudere”, zupełnie jakby sam przymierzał się do kupna.

Obiecałam, że tak zrobię. Akurat.

15

Skała Rudego Szopa leży zaraz za Flyback Hollow, gdzie mieszkają Jude Stemple oraz Louise Landis. Jude Stemple nie wygląda na takiego, który chodziłby na tańce do Belle Ruin, ale Louise Landis - i owszem. Panna Landis była dziewczyną Bena Queena, zanim na horyzoncie pojawiła się Rose Devereau, lecz mimo to zostali przyjaciółmi, co dobrze o niej świadczy, bo jestem pewna, że od dawna kochała go bez wzajemności.

Idąc ulicą Dubois obok domu Queenów - brata Bena George'a i jego żony Sheby - zastanawiałam się, czy George i Sheba kiedykolwiek byli w Belle Ruin. Prawdziej by tam pracowali, niż chodzili na tańce - hotel był bardzo wytworny, a bogacze i promineneci przyjeżdżali z daleka na tamtejszy „sezon”. Ale istniała również trzecia grupa ludzi, która mogła swobodnie zajeżdżać pod piękne wejście Belle Ruin: ludzie z klasą, o nienagannych manierach, jak moja matka i każdy, kogo zaaprobowała. Do takich ludzi zaliczała się Louise Landis.

Dotarłam do końca ulicy Dubois, gdzie ujrzałam stoisko Kool-Aid - składany stolik, krzeselko oraz szyld LEMONIADA - jednak dziewczynka zniknęła, nie dostrzegłam też dzbanka, domyśliłam się więc, że poszła go napełnić. Ostatnio upierała się, że chociaż sprzedaje Kool-Aid, to stoisko jest z lemoniadą. Musiałam przyznać, że faktycznie, nigdy nie widziałam, żeby ktoś prowadził stoisko z Kool-Aid. Oczywiście, mogłam się dalej spierać, ale nie zauważyłam, żeby na ulicy Dubois ustawiała się do niej kolejka; nie chciałam jej dobijać, bo interes najwyraźniej szedł marnie. Gdyby dzbanek wciąż tam stał, nalałabym sobie napoju do plastikowego kubeczka i zostawiła jej pięć centów.

Od samego patrzenia na pusty stół zrobiło mi się smutno. To ciężka praca, siedzieć samotnie z nadzieją, że się sprzeda dość Kool-Aid, by kupić sobie jakiś drobiazg. W taki dzień jak dzisiaj, gdy zanosilo się na deszcz, a niebo miało barwę ołowiu i jego ciężar, musiało to być jeszcze trudniejsze.

Rozejrzałam się, bynajmniej nie za dziewczynką, lecz żeby popatrzeć na pola i domy za ulicą Dubois, przy której stał biało malowany budynek szkoły. Przypomnia-

łam sobie, jak tu przyszłam pierwszy raz i na boisku szkolnym zobaczyłam samotnego chłopca z piłką do siatkówki albo koszykówki. Przypomniałam sobie też kobietę w ciemnej sukni, która wyszła ze szkoły tylnymi drzwiami i zapatrzyła się w dal, osłaniając oczy dłonią. A za drugim razem spotkałam tu dziewczynkę, z którą grałam w bierki i która podczas gry nie odezwała się ani słowem.

Zupełny bezruch - właśnie o tym myślałam. Krył się nawet w rozmowach w barze Na Wietrznym Szlaku; Z pewnością miał coś wspólnego z tym, że wszyscy zawsze zajmowali te same miejsca, podczas gdy świat obracał się bez ich udziału. Nie próbowali już za nim nadążyć, a ja, kiedy tu byłam, też zamierałam, choć udawałam zajętą - szukałam jakichś ludzi, zmyślałam historyjki i upierałam się jak diabli (określenie szeryfa), żeby się czegoś dowiedzieć. Przyszła mi do głowy dziecinna zabawa w „posągi”, kiedy grający muszą znieruchomieć, żeby nie przegrać.

To się wydaje okropne, ale wcale takie nie jest - nie wtedy, gdy bezruch jest właściwie jedynym wyjściem. Odczekałam chwilę, po czym ruszyłam dalej, do kamienia, na którym jak na drogowskazie widniały białe litery „Skala Rudego Szopa”.

Rosło tu mnóstwo drzew, dębów i klonów, skupionych wokół nielicznych domów, stojących przy drodze. Zupełnie jakby tutaj, we Flyback Hollow i przy Skale Rudego Szopa, zebrały się wszystkie drzewa z Cold Fiat Junction, gdyż nigdzie indziej ich nie było. Daleko za polami ciągnęły się lasy, ale nie wiedziałam nawet, czy stanowią część Cold Fiat, takie były odległe. Właśnie przez ten brak drzew i wszechobecny kurz miejscowość zyskiwała swój oskałpowany wygląd, jakby odarto ją

z najmniejszego cienia. Trzeba naprawdę się starać (jak Queenowie), żeby uchronić sałatę i róże przed wypaleniem.

Ale tutaj było mnóstwo cienia, chłodnego i przyjaznego. Kopnięciem usunęłam z drogi kamyk, patrząc, jak beżowy pył pokrywa mój but i nogę.

Minęłam dom, gdzie mieszkała Imogena Calhoun, od której dowiedziałam się kiedyś, że jej siostra Rebeka pilnowała Mary-Evelyn Devereau. Zastanawiałam się, czy odkrycie, co naprawdę spotkało Mary-Evelyn, ułatwia czy utrudnia myślenie o całej sprawie. Co prawda to, co się stało, było okropne, ale też zawsze coś takiego podejrzewałam, a sędzę, że niewiedza byłaby jeszcze gorsza. Nie, dobrze, że się dowiedziałam, bo przynajmniej dokonana się jakaś sprawiedliwość - jeśli to nie jest za poważne słowo - i większość ludzi uwierzyła w niewinność Bena Cjueena.

Oczywiście, zawsze pozostawał jeszcze szeryf, który wcale nie uważał sprawy za wyjaśnioną. Na samą myśl o tym kopnęłam kamyk mocniej, prawie na tamten świat. Bo jeśli o mnie chodzi, to ktoś, kto zastrzelił kogoś, kto próbował zastrzelić mnie... cóż, taki ktoś ma niewinność wypisaną na twarzy. I kiedy tak stałam, napominając sama siebie, że wyjaśnienia szeryfa brzmią logicznie, zobaczyłam niebieski dom.

Najpierw zobaczyłam go przez gałęzie, więc jego kolor trochę łagodziła ciemna zieleń; ale gdy znalazłam się na wąskiej ścieżce, prowadzącej do drzwi, ujrzałam go w pełnej krasie. O tak, rzeczywiście był niebieski. Z niczym nie dałoby się go porównać, nawet z oczami szeryfa. Ten dom miał wściekłą, jaskrawą, oślepiającą niebieską barwę, tak niebieską, że po dłuższym patrzeniu zaczynały boleć oczy.

Ruszyłam ku werandzie z białą balustradą, ciesząc się, że choć przez chwilę odpocznę od całej tej niebie-skości. Dom był znakomicie utrzymany. Na frontowych schodkach przysiadły gliniane donice z różowym geranium, wszędzie wisiały kosze z jakimiś fioletowymi kwiatami, których nazwy nie znam. Zapukałam.

Otworzyła mi kobieta.

- Przepraszam panią najuprzejmiej - zwrot „przepraszam najuprzejmiej”, zdaniem mojej matki, świadczy o złym wychowaniu - ale czy pani jest Glorią Calhoun?

Uchyliła szerzej drzwi.

- Ano tak, to ja. - W Cold Fiat Junction jest tak niewiele do roboty, że nawet moja osoba stanowiła jakąś rozrywkę. - Czym mogę służyć, panno...?

- Emmo. Jestem Emma Graham i przyszedłam tutaj, bo moja mama, która leży przeziębiona, kazała mi przyjechać z ciotką Aurorą do Cold Fiat Junction, żeby zobaczyć, które domy wystawione są na sprzedaż. Ciotkę okropnie rozboleła głowa, więc siedzi w samochodzie, ale kazała mi się rozejrzeć. - Zaczepnęłam tchu. - No i jakiś człowiek w barze Na Wietrznym Szlaku powiedział mi, że pani chce sprzedać dom. „Duży niebieski dom przy Skale Rudego Szopa”, tak powiedział. No, i faktycznie jest niebieski! I naprawdę ładny.

Istotnie był ładny. Tymczasem zostałam zaproszona do frontowego pokoju, który wyglądał tak świeżo, jakby wszystkie narzuty, poduszki i zasłony przed chwilą wyprano. Jedna firanka wydymała się, unoszona lekkim wietrzykiem; nawet powietrze miało wyprany zapach. O, tak, naprawdę lubiłabym tu mieszkać.

Gloria Spiker Calhoun przygładziła krótkie włosy koloru owsa i odparła:

- Ojej, nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedzieli... no, proszę, usiądź - wskazała mi fotel z obiciem w kwiaty.

- Kto ci kazał tu przyjść?

Nie robiła wrażenia nieufnej ani nawet zaniepokojonej moim wtargnięciem. Była całkiem miłą, przysadziłą kobietą o gładkiej skórze, bardzo czystą i zwyczajną

- właśnie taką, uznałam, jaka powinna mieszkać w takim domu jak ten.

Podziękowałam jej, lecz zapadając we wskazany fotel, zdałam sobie sprawę, że jestem bardzo zmęczona.

- Nie bardzo pamiętam, kto konkretnie powiedział mi, że pani sprzedaje dom, ale tylko jakiś pan imieniem Mervin dokładnie wiedział, gdzie pani mieszka. Wszyscy poza tym mówili, że w niebieskim domu mieszka ktoś całkiem inny. No więc sama pani widzi, możliwe, że to ten ktoś ma dom do sprzedania.

Westchnęła i opadła na ciemnozielony bujak, który wyglądał dokładnie jak te z naszego hotelu.

- Jeden Mervin ma choć trochę rozumu. A można by pomyśleć, że wszyscy powinni dokładnie wiedzieć, czyj jest ten dom, przecież mieszkam tu tyle czasu! Napijesz się mleka?

Mleka? Zmarszczyłam brwi, ale szybko starłam grymas z twarzy.

- Nie, dziękuję. Znaczący, mogę powtórzyć matce i babce, że nie chce pani sprzedawać. Wcale się nie dziwię, tu jest tak przyjemnie. Zanim dziadek nas opuścił, bez przerwy o tym mówił. - Przynosiłam sobie co nieco na obozie ewangelizacyjnym. - Zawsze opowiadał o hotelach wokół Jeziora Duchów. Pewnie był tu kiedyś spory letni kurort.

- A tak. A najlepszy był wielki, luksusowy hotel, który nazywał się Belle Ruin. Z francuska, bo chyba

właściciel pochodził z miasta we Francji o tej samej nazwie.

- Widziałam jego fotografie w towarzystwie historycznym w La Porte. Rzeczywiście piękny. Pani tam bywała?

Odwróciła wzrok i wzięła do ręki tamborek do haftowania z wpiętą igłą. Nawleczona jedwabna nić miała żywą, zieloną barwę. Wzór przypominał liście.

- Raczej nie.

Na te słowa zamknęłam usta, już gotowe podążyć za inną odpowiedzią, na przykład: „O, tak, opiekowałam się tam pewnym dzieckiem”. Jednak nie powiedziała „nie”, lecz „raczej nie”, po czym pośpiesznie zaczęła haftować, uznałam więc, że zwyczajnie wstydzi się mówić. W końcu dziecko zabrano, kiedy ona miała go pilnować. W zadumie przygryzłam dolną wargę.

- Czytałam, że stało się tam coś strasznego, chyba kogoś porwano? I zażądano ogromnego okupu. Pisali o tym w gazetach. - Głupio mówiłam; przecież nie mogłam przeczytać w gazecie o żądaniu okupu, bo nigdy do niego nie doszło.

Ale Gloria i tak odpowiedziała.

- To nieprawda. Nikt nie żądał okupu, przynajmniej myśmy o tym nie słyszeli. - I kołysała się szybko w fotelu.

Czekałam, żeby powiedziała coś jeszcze, ale na próżno.

- Może coś źle przeczytałam - rzekłam w końcu.

Z oddali dobiegł długi, wysoki gwizd.

- To pewnie czajnik - mruknęła i wstała, rzucając haft na fotel.

W zamyśleniu oglądałam swoje dłonie pod światło padające z okna, patrząc, jak paznokcie robią się prze-

źroczyste. Zastanawiałam się, jak to jest zostać porwanym. Małe dziecko pewnie nie widziało żadnej różnicy, więc jeśli porywacze po pewnym czasie je oddali, to chyba nie było najgorzej. Znaczy, chodzi mi o to, że gdyby dziecko dostało jedzenie i kocyk, no i gdyby ktoś mu zmieniał pieluchy, mogłoby wcale nie zauważyć, że jest porwane. Czy porywacz zmieniałby pieluchy? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Co innego, gdyby porwano osobę w moim wieku - mogłaby uznać to za podniecającą przygodę, jakby rodzaj biwaku, ucieczkę od Ree-Jane. Potem wyobraziłam sobie, że porwano Ree-Jane, i to również było bardzo miłe. Za nią nikt nie zapłaciłby okupu: ludzie po prostu wzruszyliby ramionami i powiedzieli: „Takie jest życie”.

Rozejrzałam się po pokoju, szukając zdjęć Cary'ego Granta Calhouna, ale nie zauważyłam ani jednego. Na stoliku pod ścianą stało kilka niewielkich fotografii w ramkach, wstałam więc, żeby im się przyjrzeć. Były to głównie amatorskie zdjęcia, takie, na których ludzie wychodzą podobni do wszystkiego, tylko nie do siebie; stali sztywno na werandzie, ze sztucznymi uśmiechami na ustach.

Wróciłam na fotel, sięgnęłam do metalowego łańcuszka od lampy i kilkakrotnie zapaliłam ją i zgasiłam. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania Glorii Calhoun.

Czy bałabym się, gdyby to mnie porwano? Może na samym początku, kiedy by mnie wyciągali przez okno. Mam nadzieję, że nie zamknęliby mnie w bagażniku - mogłabym przecież cierpieć na klaustrofobię. Potem wywieźliby mnie do drewnianej chaty gdzieś w głębokim lesie. Przeszedł mi do głowy Zapadły Dom, który świetnie nadaje się do porwania: stoi na odludziu nad Lakę Noir, a jedyny dom w pobliżu należy do sędziwego

pana Butternuta, który nigdy nie węszy wokół Zapadłego Domu, bo za bardzo się boi. Tylko Dwayne poluje tam na króliki i prawdopodobnie to on by mnie uratował.

Aż podskoczyłam - wróciła Gloria, niosąc na tacy podwieczorek. Pochwaliłam, że wszystko wygląda bardzo smacznie, zwłaszcza ciasteczka. Jak zwykle skłamałam, bo jedyne dobre ciasteczka w okolicy robi moja matka. Te tutaj przynajmniej robiły wrażenie lepszych niż ciasteczka Sheby Queen, chociaż to żaden komplement.

Gloria, w białym fartuchu, była już spokojna, wrzuciłam więc do herbaty cztery kostki cukru i znowu zagaiłam:

- Ta osoba, którą porwano...

- To nie był dorosły, tylko dziecko. - Podała mi filiżankę i usiadła, kładąc haft na kolanach.

- Dobry Boże! - wykrzyknęłam, jakby wiadomość ta niepomiernie mną wstrząsnęła, po czym puściłam łyżeczkę i chwyciłam się za głowę. - Biedne dziecko na pewno śmiertelnie się przeraziło! - Wcale nie; właśnie to wykombinowałam.

Gloria upiła łyk herbaty i nerwowo zakołysała się na fotelu; wyraźnie coś ukrywała, ale nie podjęła haftu z podółka.

- Słuchaj, nie chcę, żebyś rozplotkowała to, co ci teraz powiem. - Tu spojrzała na mnie badawczo.

- Ja? Nigdy w życiu. - Plotkuję bez przerwy.

Pochyliła się ku mnie, jakby pragnęła zmniejszyć dystans, który musiały przebyć jej słowa, jakby nawet powietrze mogło je wyszeptać postronnym. Ten gest przypomniał mi piosenkę Ink Spots *Whispering Grass*, w której śpiewający ostrzega trawę, żeby nic nie mówiła paplającym drzewom. Trawa już raz im wszystko wygadała: *You told the blabbering trees*, to moja ulubiona

linijka. Bez trudu uwierzyłam, że trawa i drzewa umieją mówić, prawdę rzekłszy dlatego, że wierzyłam w to już przedtem. Irytuje mnie tylko, że w piosence nikt nie wspomina, o czym szepczą te rośliny; jaki to sekret „paplające drzewa” zdołały już raz wygadać? Zawsze uważałam tę piosenkę za bardzo tajemniczą.

Wszystko to przeleciało mi przez głowę w czasie, gdy Gloria Calhoun wygładzała fartuch i składała ręce na kolanach.

- Tak. - Kiwnęła głową. - Rodzicami byli państwo Slade. Ich dziecko, mała Fay, leżało z gorączką w sąsiednim pokoju, a pani Slade powiedziała, że mocno śpi, i nie kazała budzić. Gdyby coś się działo, miałam ich zawołać, bo schodzili tylko na dół do sali balowej. - Podniosła czajnik i dołała herbaty do filiżanek.

Wrzuciłam swoje cztery kostki cukru, ale za ciasteczka podziękowałam.

- I co się stało?

- Miałam ze sobą „Photoplay”, więc siedziałam i czytałam sobie. Swoją drogą, ciekawe, jakie to rzeczy człowiek pamięta, kiedy stanie się coś ważnego. Był tam artykuł o Veronice La...

Przerwałam jej; groziło mi, że za chwilę znajdę się w Lakelandzie.

- Więc przez jakiś czas nic się nie działo? - zapytałam.

- Ano nic. Jakies półtorej godziny później, około dziesiątej wieczorem, pomyślałam, że zadzwonię do swojej najlepszej koleżanki, Prunelli Rice. Miałyśmy następnego dnia iść na film do starego kina Limerick, które kiedyś działało w Hebrides, ale dawno je zamknęli. Kiedyś w pokojach hotelowych nie było telefonów, nie to, co teraz...

Najwyraźniej nigdy nie mieszkała w Hotelu Paradise.

- ...ale w Belle Ruin stały na korytarzach, po dwa albo trzy na piętrze. Więc zostawiłam drzwi otwarte na wypadek, gdyby dziecko się obudziło, wyszłam na korytarz i zadzwoniłam do Prunelli. - Dolała trochę mleka do herbaty, zamieszała ją powoli i przygryzła wargę. - Rozmawiałam dłużej niż zamierzałam, Prunella była straszną gadułą...

(Akurat.)

- ...po prostu nie mogłam skończyć. No i nie było mnie ze dwadzieścia minut, a kiedy wróciłam, w pokoju był pan Slade, a dziecko zniknęło.

- Pan Slade był w pokoju? - Pierwszy raz o tym słyszałam.

- Wrócił po szal dla pani Slade czy coś takiego. No, a tu taka historia, wyobraź sobie!

Jakoś nie mogłam.

- Wściekł się, prawda?

- Ze złości cały aż zlodowaciał. Zażądał, żeby kierownik albo właściciel natychmiast zadzwonili na policję.

Biedna Gloria Calhoun. Nawet teraz, dwadzieścia lat po fakcie, wyglądała na zdruzgotaną. Myślałam wręcz, że się rozplacze, ale nie.

- To najgorsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

Najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek przydarzyła się temu dziecku, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Rzeczywiście, okropne. - Odczekałam kilka sekund, robiąc należycie współczującą minę, po czym zapytałam: - A jak porywacz dostał się do środka?

- Przez okno. Ktoś przystawił drabinę prosto do okna, wszedł i wyszedł. Mogło być ich więcej.

- Więcej? To chyba trudne, po drabinie i w ogóle...
- Na ziemi pod drabiną znaleziono ślady.
Ale ślady może zrobić każdy.
- W gazetach było niewiele - powiedziałam. - Nie pisali nic o okupie... - Uświadomiłam sobie, że to coś, o czym nie powinnam wiedzieć, ale Gloria nie zwróciła na to uwagi.
- To dlatego, że pan Woodruff - stary pan, ojciec matki, co miał te wszystkie pieniądze - nie chciał, żeby prasa i policja cokolwiek robiły, bo myślał, że samodzielnie prędzej odzyska wnuczkę.
- Tak właśnie porywacze piszą w listach z żądaniem okupu: „Nie mów nic policji, jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swoją córkę żywą”. Albo żonę, albo syna. Lecz tym razem nie było żadnego listu. Może pan Woodruff przewidział, co będzie w nim napisane?
- Myśleli, że to moja wina - Gloria spuściła nisko głowę, robótkę odłożyła, jej dłonie leżały nieruchomo.
- Nie mieli niańki do dziecka?
- Ano mieli, ale zachorowała czy coś - Gloria wzruszyła ramionami. - Nie przyjechała z nimi.
- Pomyślałam, że to ciekawy zbieg okoliczności: dziecko i niańka, oboje chorzy w ten sam wieczór, właśnie wtedy, kiedy doszło do porwania.
- Co pani zdaniem naprawdę się stało?
- Spojrzała na mnie zaskoczona, że ktoś w ogóle pyta ją o zdanie.
- No... myślę, że ktoś wlaźł po tej drabinie - tu rozłożyła szeroko ramiona - i zabrał biedne maleństwo.

Późnym popołudniem po powrocie do Spirit Lake wybrałam się do warsztatu Sława. Pan Sław wyjechał na cały dzień, więc nikt na mnie nie krzychał; oprócz Dwayne'a zastałam tylko Hej-Tama, grzebiącego w białym kabrioletcie Ree-Jane. Ree-Jane przyprawia tu samochód tylko po to, żeby mieć pretekst do spotkania z Dwayne'em, o czym ten doskonale wie - nic nie mówi, ale ja wiem, że on wie - i tym razem znów zmyśliła, że spod maski dochodzą dziwne hałasy. Ale Dwayne po prostu przekazał auto do naprawy Hej-Tamowi, który lubi przy nim robić, bo to biały kabriolet chrysler.

Kiedy weszłam do warsztatu, Hej-Tam siedział za kierownicą kabrioletu i wołał, że zamierza się przejechać, żeby sprawdzić, co się zepsuło. Dwayne odpowiedział, że proszę bardzo i Hej-Tam może się nie śpieszyć. Hej-Tam z pewnością nie miał takiego zamiaru.

Usiadłam na stercie opon obok Dwayne'a, który leżał pod fordem kombi, wałąc i stukając w najlepsze, po czym opowiedziałam mu szczegółowo, czego dowiedziałam się od Glorii Spiker o hotelu Belle Ruin.

- Jesteś pewna, że wymawiasz tę nazwę prawidłowo?

Westchnęłam przeciągle i tak głośno, że na pewno było to słychać pod samochodem.

- Po tym wszystkim, co ci powiedziałam, obchodzi cię tylko moja wymowa! Jesteś gorszy od Ree-Jane.

- Nikt nie jest od niej gorszy, nawet ja.

Uwielbiam, kiedy wygaduje różne rzeczy na Ree-Jane.

- Nawet ty - dodał.

To mógł sobie darować.

- Mówi się „Rou-en”, słyszysz?

Byłam zdumiona, że zna się na francuskiej wymowie. Ale też Dwayne wciąż mnie zaskakuje.

- Mieszkałeś tu wtedy?

- Nie.

Zadałam to pytanie, żeby dać Dwayne'owi do zrozumienia, iż moim zdaniem wygląda staro i mizernie, choć koń by się z tego uśmieł. To naprawdę irytujące, że nijak nie można mu dokuczyć; wszystko, co mówię, spływa po nim jak woda po kaczce, nie potrafię nawet zadrasnąć powierzchni.

Natomiast on potrafi mnie zdenerwować. Chętnie złożyłabym to na karb różnicy między osobą dwunastoletnią i trzydziestoletnią, ale chyba rzecz w tym, że mnie rozgryzł. Z drugiej strony, nigdy mi nie ustępuje tylko dlatego, że mam dwanaście lat.

- No, a ty nie sądzisz, że to ważne? Nie uważasz, że opowieść Glorii jest trochę dziwna?

- Uważam, że jest smutna, ot co. - Brzdęk, brzdęk.

Skoro Dwayne zamierzał się roztkliwiać, to już nie wiedziałam, co robić.

- No, owszem, smutna. - Pomyślałam o policji i starym szeryfie z rodziny Moomów. - A co z FBI? - Właśnie dowiedziałam się od pani Davidow (kto by to pomyślał, powiedziała coś pożytecznego!), że FBI w przypadku porwania zawsze wkracza, bo to jest przestępstwo federalne. „Jeśli porywacz przekroczy granicę stanu”, tak powiedziała.

- FBI nie zamieszcza swoich zdjęć w gazetach - rzekł Dwayne. Brzdęk.

- No, ale to jednak dziwne. Przecież policja i FBI są wzywane do pomocy, która polega na tym, że mówią

rodzicom - przynajmniej w filmach - że szanse odzyskania porwanej osoby są zerowe, powtarzam, zerowe, jeśli rodzina próbuje działać samodzielnie. Zawsze to podkreślają. Więc nie rozumiem, jak ten Woodruff i Slade'owie mogli pomyśleć, że im się uda, skoro zrezygnowali z pomocy policji.

Stukanie i pukanie trwało jeszcze przez kilka chwil, po czym Dwayne wynurzył się spod samochodu, wstał z drewnianego wózka i zaczął wycierać ręce tłustą szmatą. Już mówiłam, że wszyscy mechanicy trzymają w tylnej kieszeni spodni tłustą szmatę. Chyba uczą tego w szkole dla mechaników: „Po każdej robocie należy wytrzeć ręce w tłustą szmatę. Pozwólcie, że zademonstruję...”

Dwayne w zamyśleniu tarł dłonie. W końcu powiedział:

- Ale nie wtedy, kiedy chodzi o członka rodziny.

Zmarszczyłam czoło.

- Znaczącego porwanego?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, znaczącego sprawcę. Stary Woodruff nie chciałby dochodzenia policyjnego, gdyby na przykład zbrodnię popełnił jakiś Slade.

Wstrząśnięta ześliznęłam się z opon.

- Jedno z nich?!

- Gdyby pan Woodruff myślał, że to jego zięć porwał dziecko, to nie chciałby nadawać sprawie rozgłosu.

- Niania! Nie przyjechała, bo podobno była chora, ale może przez cały czas była współniczką!

Dwayne podniósł maskę forda kombi i umieścił pod spodem lampę osłoniętą siatką.

- Czy przypadkiem niania Lindberghów nie została o to oskarżona?

- Wszyscy wspominają o tej sprawie.
- Tak? Pewnie dlatego, że Lindbergh był bohaterem. Prawdziwym bohaterem, w każdym razie, kiedy to się stało. - Wyjął świece i postawił je na chłodnicy. Wyglądał na bardzo zaaferowanego, albo sprawą Lindberghów, albo świecami. Pewnie świecami, gdyż Dwayne, jak wiadano, nie „naprawia” zwyczajnie samochodów, lecz potrafi tchnąć w nie nowe życie. Jest mistrzowskim mistrzem mechanikiem.

W drugiej tylnej kieszeni tkwiła książka jego ulubionego Williama Faulknera - mówi o nim „Billy”. Uwielbia Faulknera. Ostatnio przeczytałam kawałek *Światłości w sierpniu* - no, dziesięć stron - szukając cytatów, żeby zrobić na nim wrażenie. I okazało się, że sama jestem pod wrażeniem. William Faulkner wymyślał cudowne słowa, na przykład „uchrząszczony”. Wyraźnie widziałam tytuł tomu w kieszeni Dwayne'a: *Azyl*. Miałam uczucie, że mój umysł wlatuje, gna naprzód, jakby chciał iść dalej beze mnie, nie oglądając się, aż go dogonię. Czy matka dziecka potrzebowała „azylu”? A Dziewczyna? A ja?

Spod maski dobiegł głos Dwayne'a, jakby odbity rykoszetem:

- To dość powierzchowne, co nie?

Dwayne używa zwrotów takich jak „co nie” tylko dla efektu.

- Ta drabina, śpiące dziecko, niańka. - Wyprostował się, patrząc na rząd świec, jakby były maleńkimi dziećmi, o które musiał się zatroszczyć. - Jest cała masa takich porwań. Nie wyróżniają się, bo nie występuje w nich bohater narodowy ani duże pieniądze. Ale tak naprawdę wcale nie są do siebie podobne. - Odwrócił się i spojrzał wprost na mnie.

Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, tak samo jak szeryf. Nie potrafiłabym wybrać między nimi, nawet gdybym musiała (choć oczywiście chłopcy mnie wcale nie obchodzą). Dwayne ma ciemne włosy i naprawdę długie rzęsy, tak długie, że kiedy światło pada pod odpowiednim kątem, tak jak teraz, pod jego oczami pojawia się siateczka cieniutkich cieni. Po co mu te długie rzęsy, skoro moje są krótkie i sztywne? Doprowadza mnie to do szału. Dwayne byłby dostatecznie przystojny i bez nich, a mnie przydałoby się wszelkie możliwe wsparcie. No i straciłam wątek.

- O czym ty mówisz?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu takie porównania mogą być bardzo mylące. Dzięki nim łatwiej myśleć o całej sprawie. Ludzie to lubią.

- Dwayne, co ty pleciesz? Mógłbyś przestać?

- Nie lubisz czasem posłuchać własnego głosu?

- Nie. - Lubię, ale nie zamierzałam się przyznawać.

Ruszyłam do wyjścia. Dochodziło wpół do szóstej, a ja najpóźniej o szóstej musiałam być w kuchni. Właściwie już powinnam tam być.

Dwayne uniósł świecę w wyciągniętej ręce i obejrzał ją pod światło, jakby pokazywał ją panu Bogu i czekał na Jego opinię.

Widziałam, jak pani Davidow robi to samo z kieliszkiem martini. Pewnie pod tym względem ma więcej szczęścia od Dwayne'a.

Idąc drewnianym chodnikiem z warsztatu Sława do Hotelu Paradise, myślałam nie o tym, co wspólnego mają ze sobą różne rzeczy, lecz o odpryskach, kawałkach, których nie umiałam poskładać w jedno. Kawałki te krążyły mi po głowie, lecz ten stan nie trwał długo i gdy dotarłam żwirowym podjazdem do werandy, mój umysł znów był płaski jak naleśnik. I nie bardzo zdążyłam go zapęlnić, bo na werandzie siedziała Ree-Jane i paliła papierosa.

Byłam zdumiona, widząc ją z papierosem, ale nie dałam nic poznać po sobie, bo pewnie spodziewała się jakiejś reakcji. Paliła niefachowo, tak jak niektórzy chłopcy w szkole: zaciągała się potężnie, po czym wypuszczała dym nosem. Wyglądało to dość głupio, jednak nie odezwałam się. Najwyraźniej jej matki nie było w pobliżu.

- Znowu byłeś w warsztacie Sława? Dwayne już wie, że się w nim podkochujesz? - Aż się zatrzęsła od bezgłośnego śmiechu. Okropnie to fałszywe i dziwaczne, ale wszystko u Ree-Jane jest fałszywe i dziwaczne. Że też naprawdę sądzi, że uwierzę, że Dwayne powiedział coś takiego! To tylko dowodzi, jak słabo zna się na ludziach.

- Hej-Tam chyba nie skończył naprawiać twojego samochodu. Gdzieś nim pojechał i dotąd nie wrócił.

- Jak to Hej-Tam? Nie on miał się zająć moim samochodem, tylko Dwayne!

Uśmiechnęłam się.

- Może lepiej pogadaj z Ablem Sławem. Na razie twoim autem zajmuje się Hej-Tam.

- Jesteś po prostu wredną kłamczucha!

Rzuciła obelgę, kiedy otwierałam już drzwi siatkowe.

Otóż nigdy nie klnę w zasięgu słuchu matki, bo potrafię sobie wyobrazić następstwa. (Co zadziwiające, Will też tego unika; klnie bez umiaru w Dużym Garażu i raz powiedział „kurwa” w pobliżu kuchni, ale to chyba wszystko.)

Toteż wiedziałam, co robię, gdy z całym rozmysłem powiedziałam do Ree-Jane: „Ależ ty pieprzysz!” - po czym zanurzyłam się w chłodnym mroku holu.

Zerwała się i wykrzyknęła:

- Poczekaj, powiem wszystko pani Jen! - lecz ja w podskokach podążałam już do kuchni, zadowolona, że po raz kolejny udało mi się dokuczyć Ree-Jane. Nawet chciałam, żeby na mnie naskarżyła. Doprawdy, czyż niczego się nie nauczyła przez te wszystkie lata, odkąd tu mieszka? I do tej pory nie zauważyła, że moja matka jest zbyt zajęta, by się przejmować rzeczami, których nie widzi osobiście? Przecież to jakby dowody z drugiej ręki, prawda?

Spóźniłam się i Vera łypnęła na mnie nieżyczliwie. Musiała sama wykonać część przygotowań do kolacji - rozłożyć porcje masła na talerzykach, co uważa za czynność poniżej swej godności.

- Nie płacą mi za te przyziemne zajęcia - fuknęła.

- Mnie w ogóle nie płacą - odparłam.

Nadašana miotnęła się po kuchni, ja zaś wzięłam się do przyrządzania surówek. W głębi zachichotał Walter, ukryty w cieniu zmywarki. Uwielbia, kiedy ktoś odcina się Verze, bo ona traktuje go okropnie, to znaczy wtedy, kiedy nie traktuje go tak, jakby w ogóle nie istniał.

Przybyło nam sześcioro nowych gości: dwoje mieszkających w hotelu i czworo, którzy przyszli tylko na

kolację. Vera miała obsługiwać czwórkę, ja dwójkę. Z pewnością dobrze wszystko sprawdziła przed dokonaniem wyboru, więc nietrudno było się domyślić, komu miał przypaść większy napiwek.

Układając w miseczkach świeżą sałatę, rozmyślałam o Slade'ach, Woodruffach i o tym, co powiedział Dwayne. Czy naprawdę sprawcą mógł być ktoś z rodziny? Dlaczego Morris Slade właśnie wtedy wrócił do pokoju? Wiedziałam o nim tylko, że był playboymem. Układając na sałacie krążki papryki, zapytałam matkę, czy zna jakichś Slade'ów. Stała nad żeliwną patelnią i smażyła kawałki kurczaka na głębokim oleju, który strzelał i skwierczał wokół niej.

- Slade'ów jest mnóstwo, zwłaszcza w Hebrides. A co?

- No, pamiętasz rodzinę Woodruffów? Tych, którym porwano dziecko z Belle Ruin?

- „Rouen”, nie „ruin”.

- Powiadają, że matka dziecka wyszła za Morrisa Slade'a.

Matka przestała potrząsać patelnią i odwróciła się, by spojrzeć na mnie ponad półmilkową (tak mi się wydawało) połacią białego fajansu, który służy jej za blat roboczy, a mnie za stół surówkowy.

- Tak? No tak, rzeczywiście, przypominam sobie weselne śniadanie, które wydaliśmy dla córki Woodruffów, ale nie pamiętałam, jak miała na imię.

- To była Imogena Woodruff - rozległ się senny głos Waltera. - Przynajmniej mama tak mi mówiła.

- Tak, teraz ją sobie przypominam. Towarzystwo na przyjęciu było, no wiesz, pospolite, ale w końcu to Slade'owie, prawda?

Bez klasy, dodałam w myślach.

- W takim razie ciekawe, jak Morrisowi udało się wze-
nić w bogatą, ni e p o s p o l i t ą rodzinę nowojorską.

Wracając do potrząsania patelnią, matka odpowied-
działa:

- Tak bywa. Ale jeśli Woodruffowie rzeczywiście
pochodzili z nowojorskiej socjety, to prawdopodobnie
zignorowali krewnych Slade'a. Ja robię to do dzisiaj.

Pokręciłam głową i znów zajęłam się surówkami. Jeśli
matka do składników potraw przykłada taką samą miarę
jak do ludzi, to nie wiadomo, czym to się skończy.

Różowy Słoń to niewielkie pomieszczenie bezpo-
średnio pod jadalnią; tu na dole wyraźnie słyszę, jak
panna Bertha wali laską tam na górze. Chyba można
powiedzieć, że to suterena, chociaż nie ma tutaj niczego
więcej. Nazwa wzięła się stąd, że kiedyś ludzie pijali w
tym pokoju koktajle (po co im jeszcze jedno miejsce, nie
mam pojęcia) i pewnie tak się zalewali, że widzieli
różowe słonie. Ktoś miał poczucie humoru. Ha, ha.

Tutaj właśnie poświęcam się poważnym rozmyśla-
niom, tutaj również odbyłam podróż do Miami Beach:
tekturowa palma o liściach z krepiny wciąż stoi przy stole
piknikowym, który, oprócz mojego leżaka, jest jedynym
meblem w pomieszczeniu. Ściany z kamienia ktoś
faktycznie pomalował na różowo, za podłogę służy twardo
ubite klepisko. Panują tu chłód i wilgoć, które odstraszą
gości, co bardzo mi odpowiada. Nie ma prądu, więc
światła dostarcza mi gruba świeca, którą uzupełniam
latarką na baterie (świecę zapalam głównie dla efektu).

Mam pudełko po czekoladkach Whitmana, do którego
chowam wszystko, co uważam za szczególnie cen-

ne, na przykład fotografię Mary-Evelyn Devereau z jej trzema ciotkami. Wszystkie już nie żyją, nie oznacza to jednak, że nie stanowią siły, z którą - jak to się czasem określa - należy się liczyć. Czasem wydaje mi się, że umarli mają więcej siły niż żywi.

Spędziłam miłą chwilę, wyobrażając sobie pannę Berthę w trumnie. Czy ona również po śmierci zyska na sile? Nie, panna Bertha w gruncie rzeczy nie ma siły, tylko złe humory.

Wszystko jedno.

W pudełku trzymam także chustkę Bena Queena, którą mi dał przy Kryształowym Źródle, kiedy zaczęłam ryczeć. Chustka ta przede wszystkim dowodzi, że w ogóle tam był i że rozmawialiśmy o Mary-Evelyn. Bo że go widziałam drugi raz, na to nie potrzebuję dowodu: tamtej sytuacji nawet ja, ze swoją dziką wyobraźnią, nigdy nie zdołałabym wymyślić.

Zadumałam się. Ben Queen, mąż pięknej Rose Devereau; Ben Queen, który spędził osiemnaście lat w więzieniu za jej zamordowanie, choć wiedziałam, że jest niewinny; Ben Queen, który ocalił mi życie. A teraz policja znów go poszukuje za zamordowanie Fern.

Dlaczego los zawsze płata paskudne niespodzianki niewłaściwym ludziom? Dlaczego to wszystko nie zdarzyło się tym babom Davidow? A może właściwymi ludźmi stajemy się właśnie dzięki temu, że coś takiego nam się zdarza?

Następnego ranka tuż po śniadaniu, podczas którego panna Bertha domagała się omletu z dżemem, którego nie było w jadłospisie, wyruszyłam do pani Louder-back, wstępując tylko na chwilę do sklepu Brittena po torebkę „śnieżnych” kokosowych kulek. Zamierzałam zachować je na później, bo właśnie zjadłam śniadanie, czyli stertę placków Palm Beach. To matka wymyśliła tę nazwę, co czyni z upodobaniem: placki zawierały kawałki ananasa i mango i były polane syropem anana-sowo-kokosowym. Jadłam je jak we śnie, podobnie jak wiele innych potraw mojej matki, i zanim zdążyłam się ocknąć, pochłonęłam dwie porcje, pogrążona we wspomnieniach o Miami Beach.

Chciałam również zobaczyć się z braćmi Wood i panem Rootem, żeby sprawdzić, czy pamiętają Belle Ruin. Pan Root przypuszczalnie był wówczas w średnim wieku. Kiedyś bardzo się zdziwiłam na wieść, że zanim zjawił się George Queen, pan Root chodził z Shebą Queen.

Skreśliłam za róg sklepu Brittena i ujrzałam zieloną ławkę, a na niej, jak prawie co dnia, pana Roota. Z ławki rozpościera się widok na szosę stanową i nieliczne pędzące samochody. Na mój widok pan Root uśmiechnął się szeroko, ukazując szczerbate zęby. Krzyknęłam, że zaraz przyjdę, po czym weszłam do sklepu.

Pan Britten bynajmniej się nie uśmiechał, tylko ponuro krążył między półkami z kartką papieru i spisywał towar: puszki, słoiki, butelki i pudełka. Nawet podawanie do stołu wygląda na ciekawsze zajęcie niż praca pana Brittena, mimo że jest on właścicielem sklepu,

co zapewne trochę rekompensuje nudę. Robił wrażenie śmiertelnie przejętego, jakby liczył trupy na plaży, a nie zwyczajne puszki mielonki oraz słoiki dżemu, i jak zwykle spowity był w ogromny fartuch, taki jak fartuch mojej matki, który chroni ubranie w każdej sytuacji, nawet podczas bitwy na torty. Pan Britten nie bardzo mnie lubi, za to lubi Waltera, który mówi o jego żartach: „Jesteśmy jak dwa kumple od wygłupów”. Choćbym nie wiem jak się starała, jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, jak te wygłupy wyglądają.

Poszukałam kokosowych „śnieżnych” kulek na półkach z cukierkami i słodyczami. Znalazłam dwa rodzaje, różowe i białe. Oczywiście wybrałam białe - w końcu czy ktoś widział kiedyś różową śnieżkę? Zawołałam więc pana Brittena, który obsłużył mnie niechętnie, jakbym była co najmniej cierniem w jego boku. Niech lepiej uważa: w końcu Hotel Paradise to jego największy klient, nawet jeśli czasem trzeba trochę poczekać na zapłatę.

Siatkowe drzwi do sklepu zamknęły się za mną z trzaskiem. Zeszłam ze schodków i podeszłam do zielonej ławki. Pan Root zaprosił mnie, bym usiadła na chwilę, po czym przetarł dłonią miejsce przy sobie.

- Panie Root, proszę posłuchać, czy pamięta pan duży hotel w tej okolicy, który nazywał się Belle Ruin?

- Pewno, że tak.

- I chodził pan tam na tańce? - rozpromieniłam się. - Może z Shebą Queen? - Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie pana Roota ani Sheby Queen w tych kręgach towarzyskich, które bywały na dancjach w Belle Ruin; po prostu chciałam sprawdzić, czy w ogóle coś wie.

- Ee, gdzie tam, nie chodziliśmy na żadne tańce. Ona nie umie tańczyć, ta cała Sheba. A poza tym, ni-

gdy by nas nie wpuścili do tego hotelu. Był tylko dla ważniaków.

- A dziecko, które stamtąd porwano? Pamięta pan może?

Pan Root zmrużył oczy i zapatrzył się na szosę. Ludzie mówią, że to szosa stanowa i kiedyś istotnie była to droga główna, ale potem zbudowano czteropasmówkę, która omija Spirit Lake szerokim łukiem. Popatrzyłam leniwie na przejeżdżającą ciężarówkę z przyczepą i kilka następnym samochodów, gdy wtem ujrzałam taksówkę Axela! Axel jak zwykle siedział za kierownicą i, jak zwykle, z tyłu nie było nikogo. Pewnie znów jechał do jakiegoś tajemniczego miejsca, żeby zabrać jakiegoś tajemniczego pasażera.

- Pewno, że pamiętam to porwanie - powiedział pan Root. - To dopiero było nieszczęście! I w dodatku nigdy nikogo nie złapali!

Przysunęłam się bliżej.

- Chodzi o to, że wszystko zostało zatuszowane, przynajmniej tak mi się wydaje.

Odwrócił się do mnie:

- O, do diabła, przepraszam, że się wyrażam, ale jak ktoś dałby radę zatuszować porwanie? Coś tu nie tak. Porwanie to przestępstwo federalne!

- Podobno pan Woodruff, dziadek dziecka, zapłacił reporterom i wydawcy gazety, podobno przekupił też policję, żeby siedziała cicho.

- Jakiemu wydawcy? Chyba nie panu Gumbrelowi?

- Nie naszemu panu Gumbrelowi, nie. Prawdopodobnie wtedy wydawcą był jego tata.

- No, ale ten nasz też coś chyba wie, no nie?

No chyba.

- Przecież nie mogę wejść do redakcji „Konserwaty sty” i zapytać: „Hej, panie Gumbrel, czy pański ojciec brał łapówki?”

Pan Root przez chwilę w milczeniu żuł tytoń.

- No, ale możesz go zapytać o dziecko, czy w ogóle słyszał o porwaniu. Gumbrel jest mniej więcej w moim wieku i na pewno coś pamięta. Pytałaś braci Wood? Wiedzieli, jak traktowano Mary-Evelyn Devereau. Wiesz, wcale bym się nie zdziwił, gdyby Ulub był jasnowidzem.

- Jasnowidzem? To znaczy kimś, kto widzi przyszłość? Jak pani Louderback? - To mi przypomniało, żeby sprawdzić, która godzina.

- To nie jest jasnowidzenie. Jasnowidzenie jest wtedy, jak ktoś widzi rzeczy, których zwykli ludzie nie widzą. - Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony, że wie więcej ode mnie. - Na przykład, jak one traktowały biedną Mary-Evelyn.

- Ależ panie Root, to było całkiem zwyczajne widzenie. Ulub naprawdę coś widział. Na przykład, że kazały Mary-Evelyn grać na pianinie, kiedy jadły kolację. Ulub widział to przez okno.

- Tak mówi.

- Pan mu nie wierzy?

- Pewno, że mu wierzę, ale nie wiadomo, czy jasnowidział, czy widział zwyczajnie, ot co.

Za naszymi plecami, na ścieżce, którą często przechodzę z Hotelu Paradise, rozległ się okrzyk.

- Cholera! Właśnie idą. Tylko nic nie mów o tym całym jasnowidzeniu, słyszysz?

Polecenie było tak idiotyczne, że nawet nie zasługiwało na odpowiedź. Ulub Wood i jasnowidzenie! Nawet

gdyby posiadał taki dar, to jak by go przekazał? Już i tak trudno zrozumieć, co on widzi na co dzień.

Bracia nadchodzili ścieżką: jeden wysoki, o szczupłej twarzy, która wyglądała jak wyrębana z jakiejś pierwotnej substancji, drugi, Ulub, niższy i jakby kwadratowy, nie chudy, nie gruby, po prostu solidny i krępy. Obaj wydobyli z siebie powitanie - „Nu-o, cze-ee” - i uśmiechnęli się szeroko. Ububa trudno zrozumieć, bo ma rozszczepione podniebienie, ale i tak mówi lepiej niż Ulub, którego problem wykracza daleko poza rozszczepienie podniebienia i jąkanie. Nauczyłam się odróżniać często powtarzane wyrazy, na przykład „ja”, „mnie”, „ty”, „i” - łatwizna. Ale pan Root rozumie każde słowo wymówione przez Uluba i powtarza je niczym tłumacz.

- Cześć, chłopaki! - zawołał. - Emma chce was zapytać o parę rzeczy. - Zwrócił się ku mnie: - No wiesz. O ten hotel.

Jakbym nie pamiętała, co mówiłam dziesięć sekund temu.

- Tak. O Belle Ruin.

Ulub przewrócił oczami i powiedział:

- Bee-oo-een. Be u-en.

Och, pomyślałam, gdybyż dało się sfotografować dźwięk! Nie do wiary, ale Ulub najwyraźniej usiłował nam udzielić lekcji francuskiej wymowy! Tak mi się przynajmniej zdawało. Chcąc go upewnić, że pojmuje, przytaknęłam:

- Ma pan rację, panie Ulub. Prawie wszyscy źle to wymawiają, mówią „Ruin”.

W ustach Uluba dźwięk ten brzmiał dokładnie tak samo jak u Ree-Jane; wręcz nie mogłam się doczekać, by jej o tym powiedzieć.

Pan Root również pragnął pochwalić Uluba:

- Emma dobrze mówi. Ja sam umiem tylko powie dzieć „Ruin”.

Czy pan Bóg od początku zamyślił sobie, żeby Ulub mówił po francusku? Dziwniejsze rzeczy się zdarzają (na przykład Aurora Paradise raz odmówiła drinka). Ale potem zaczęłam się zastanawiać: skąd Ulub wziął swoją francuską wymowę? Bo przecież, jak wspominałam, niewiele osób ją opanowało. A zatem, gdzie Ulub mógł usłyszeć słowo „Rouen” tak często, że aż nas poprawił?

W okolicy samego Belle Rouen.

Przeszył mnie dreszcz podniecenia.

- Panie Ulub, czy pan tam kiedyś pracował?

Ulub skinął głową:

- Na ee-nie.

Ee-nie? Spojrzałam na pana Roota.

- Powtórz to, Ulub.

Ulub wykrzywił twarz, jakby dzięki temu mówił wyraźniej.

- Na-a e-ee-nie.

- O kurde - zadziwił się pan Root, machając ręką mi, żeby podkreślić, jakie to łatwe: - Na terenie, tak? Pracowałeś na terenie hotelu?

Ulub przytaknął, a Ubub dodał:

- Oo-aj ee-m-yy pr-aa-o-aali.

- Obaj żeście tam pracowali?

Ubub pokiwał głową z równym entuzjazmem jak jego brat.

- I co kazali panom robić? - zapytałam. - Usuwaliście suche gałęzie i liście? Dbaliście o klomby?

Ulub kiwnął głową i dodał:

- Iy iee-lili-myy.

- Pieliliście - odgadł pan Root. - Pielili klomby.

- Iy sta-aa-lii-myy li-aa-kii.
To zabiło ćwieka nawet panu Rootowi.
- Chłopaki, moglibyście to powiedzieć jeszcze raz?
- Skupił się, jakby nasłuchiwał wygranych numerów w totolotku.
 - Li-aa-kii, li-aa-kii - powtórzył z naciskiem Uub.
 Pan Root rozjaśnił się:
 - Lizawki! Wystawialiście ij_{zaw}ki dla jeleni!
 Obaj zaczęli kiwać głowami tak mocno, że przelekłam się, że im odpadną.
 - Aak, aak. Ee-nie pyy-cho-iily.
 Nawet ja potrafiłam się domyślić:
 - Jelenie przychodziły.
 - Iy niit oo nich ee sz-ee-laał - Ulub posmutniał. Pan Root przetłumaczył:
 - I nikt do nich nie strzelał, tak, Ulub? Nie tak jak teraz. Pewnie mieli w parku strażników.
 Uub przytaknął. Nadal stali przy ławce, więc się posunęłam, i pan Root też. Na ławce, choć z pewnym trudem, mieszczą się cztery osoby, więc to, żeśmy się posunęli, było równoznaczne z zaproszeniem.
 - No, siadajcie, chodźcie, spoczniście sobie - zachęcił braci pan Root. Usiedli.
 - I co jeszcze robiliście? - zapytałam.
 Ulub spojrział na spiętrzone chmury, jakby wypatrując deszczu.
 - Noo-iili-myy ee-szyy - powiedział.
 - Nosili rzeczy - przetłumaczył pan Root. - Na przykład meble i takie tam?
 - Ooły i eesła.
 Stoły i krzesła?
 - A byliście w Belle Ruin...
 Ulub spojrział na mnie, marszcząc czoło.

- ...znaczy, Rouen, kiedy urządzali bale?

Obaj zaczęli kiwać głowami, jeszcze zanini skończyłam mówić. Nie wiem dlaczego, ale nie zapytałam ich o porwanie od razu, kiedy przyznali, że pracowali w Belle Ruin. Może się obawiam, że jeśli rzucę się na prawdę, to ją odstraszę? Czyżbym dlatego zawsze zadawała okrężne pytania? Nie wiem. Może nie chcę, żeby historia skończyła się za wcześnie? Bo jedfio było pewne: opowiedzenie tej konkretnej historii zabierało mi mnóstwo czasu.

- O ee-ątej - powiedział Ubub. O dziewczętej?

- Tamtego wieczoru? - zawołał pan Root.

- Ak! ak! - wykrzyknął Ulub.

- Mówicie o dniu, kiedy zabrano dziecko?

Pan Root był niemal tak samo podniecony j#k ja.

- Yy-\\-my am.

- Byliście tam? Gdzie? Gdzie byliście?

Obaj Woodowie wprost wychodzili ze skóry, żebyśmy ich jak najlepiej zrozumieli.

- Oo-iili-my eno.

Pan Root się zasepił, ale zaraz pojaśniał.

- Nosiliście drewno?

- Oo o-inka - przytaknął Ulub.

- Do kominka w hotelu?

Kiwnęli głowami, po czym Ubub dodał:

- Raa-ina, raa-ina. - I obaj zacisnęły pięści, fia prze mian unosząc to jedną, to drugą, jakby się wspinali.

Dr a b i n a ! Z podniecenia aż wytrzeszczyłam oczy.

- Drabina! Widzieliście drabinę, podstawioną pod okno dziecka?

Przytaknęli z radością, jakby długo czekali, by to komuś powiedzieć.

- Widzieliście, kto ją przystawił?

Pokręcili głowami.

- No, a widzieliście kogoś na drabinie?

Znów pokręcili głowami.

Uszło ze mnie powietrze - najwyraźniej nie wiedzieli nic więcej ponad to, co znajdowało się w raporcie policyjnym. Teraz czekali, żeby któreś z nas coś powiedziało, pan Root albo ja.

- Yy-limy am!

- Wiem, już panowie mówili. Byliście tam.

Potrząsnęli głowami jakby sfrustrowani. Współczułam im - musieli się zmagać z frustracją każdego dnia swojego życia.

Ulub znowu zacisnął pięści i zaczął udawać, że wchodzi po szczeblach drabiny. - li-t. li-t.

Nawet pan Root wyglądał na bezradnego.

- Wiemy, wiemy, nikt nie wchodził po tej drabinie.

Ulub zasłonił dłońmi uszy na znak, że nasz brak zrozumienia naprawdę go rozzłościł.

- Yy-limy am! Ee iee-li-my iic!

Nagle do mnie dotarło.

Nic panowie nie widzieli! Nie chodzi o to, że panowie kogoś nie zauważyli! Przeciwnie, panowie widzieli, że nikt po niej nie wchodził!

- Ak! Ak!

- Nie rozumiem, co to u licha ma do rzeczy... - burknął pan Root.

- No, bo widzi pan - zwróciłam się do niego - oni tam byli wtedy, kiedy ktoś podobno wszedł po drabinie, a teraz okazuje się, że nikogo tam nie było!

Pan Root, nieco speszony, że nie pojął najważniejszej części historii, zapytał jęklwym tonem:

- No to czemuście nie wyjaśnili tego policji?

Spojrzelismy na niego wszyscy troje.
Żarty sobie robił?

19

Wyobraźcie sobie tylko, że Ulub bądź Ubub próbują opowiedzieć policji, co widzieli. Co innego, gdyby mieli do czynienia z naszym szeryfem - on dołożyłby wszelkich starań, by ich wysłuchać, aby mieć pewność, że nic nie przekreślił.

Zmierzając do pani Louderback, rozmyślałam o starych aktach, tkwiących wśród innych zapomnianych spraw w archiwum szeryfa. Może powiedział mi wszystko, co zawierają, a może i nie?

Minęłam dużą białą wiktoriańską rezydencję z zielonymi okiennicami. Białe-dom-zielone-okienne to w Spirit Lake prawie reguła. Budynki robią wrażenie ładnych i przestronnych, ale ta jednakowość staje się trochę nużąca. Dom pani Louderback stoi na rogu ulicy i co prawda nie jest duży, ale również biały, a okienne ma zielone.

Zapukałam do drzwi z nadzieją, że dziwna kobieta, która otwierała mi, gdy tu byłam poprzednio, dzisiaj będzie nieobecna. Czy każda starsza osoba, która mieszka sama (jak doktor McComb) musi mieć dziwną współlokatorkę? To raczej zniechęca do starości.

Dziwna kobieta pani Louderback uchyliła drzwi i tym razem. Powiedziałam, że jestem Emma Graham i że jestem umówiona. Nie wyglądała na zachwyconą moim widokiem, ale cofnęła się, żeby mnie wpuścić, po czym ulotniła się bezszelestnie jak na miotle.

W saloniku, pełniącym rolę poczekalni, siedziały już dwie kobiety, więc zaczęłam się zastanawiać, czy spóźniłam się aż tak bardzo, że te panie wejdą przede mną. Naprawdę powinnam nosić zegarek, pomyślałam, potem zaś przyszło mi do głowy, że właściwie po co? Doktor McComb mówi, że motyle monarch bez trudu trafiają do Meksyku zimą i do Kanady latem, ja zatem powinnam umieć odnaleźć Hotel Paradise o piątej trzydzieści po południu.

Zajęłam drewniane krzesło, takie zaokrąglone, z poręczami. Drewno było wypolerowane i sprawiało wrażenie ciepłego, toteż rozsiadłam się wygodnie. Zaciekawilo mnie, czy dwie kobiety naprzeciwko mnie, które wyglądały tak, jakby w życiu nawet przez godzinę nie zaznały wygody, są ze sobą spokrewnione. Nigdy ich przedtem nie widziałam, choć można by pomyśleć, że w miejscowości takiej jak Spirit Lake wszyscy znają się z widzenia. Gapiły się na mnie, tak jak to bywa, gdy ludzie już wszystko obejrzą i teraz chcą tylko zacześcić wzrok o cokolwiek nowego, choćby wyglądało na nie wiem jak nudne.

To było z ich strony bardzo niegrzeczne, więc ja również wlepiłam w nie oczy. Nawet nie drgnęły. Może obie były ślepe i przyszły do pani Louderback, by im powiedziała, kiedy znów zaczną widzieć? Wzięłam egzemplarz pisma „Life” i zasłoniłam nim twarz. Po kilku minutach je opuściłam. Wciąż się gapiły.

Dzięki Bogu drzwi otworzyły się i wyszła z nich maleńka, blada pani, kształtem przypominająca łęg. Czekające kobiety wstały i weszły do pani Louderback, która wróży klientom we własnej kuchni, co uważam za bardzo przytulne. Najwyraźniej te panie chciały razem wysłuchać wróżby. Ciekawe, pomyślałam, jak pani Louderback to załatwi?

W każdym razie cieszyłam się, że nie muszę przeczekiwać dwóch oddzielnych sesji, bo jedna trwa około pół godziny. Może jedna z kobiet miała służyć drugiej za podporę? Zastanawiałam się, czy zapłacą cztery dolary zamiast dwóch. Tak naprawdę nie ma stałej opłaty, każdy może dać, ile chce. I chyba wszyscy chcą dawać dwa dolary, bo właśnie tyle wynosi zwykła stawka.

Pani Louderback używa kart od tarota, które są bardzo tajemnicze, zwłaszcza Wisielec. Moja karta to Sieroty w Śnieżycy (choć niedokładnie tak się nazywa), przynajmniej przypuszczam, że to moja karta, bo pojawia się za każdym razem, gdy tu jestem. Żadna z postaci na kartach nie wygląda na szczęśliwą, lecz kiedy wytknęłam to pani Louderback, odparła: „Niewykluczone, że wcale nie chodzi o szczęście”. Ugniatając z wyrwanej kartki „Life'u” kulki do plucia, uznałam, że jej może nie chodzi o szczęście, ale mnie - tak. Starannie wycelowałam i strzeliłam kulką w oparcie krzesła naprzeciwko, dokładnie tam, gdzie przedtem siedziała jedna z kobiet.

Pytanie, dlaczego weszły razem, wciąż nie dawało mi spokoju. Może ta, która naprawdę przyszła, by jej powróżyć, była głuchoniema? Lecz skoro tak, to co dobrego mogło ją czekać w przyszłości? Po co marnować dwa dolary, żeby się dowiedzieć, że dotknęło nas nieszczęście i nie zamierza się odczepić? Ale może pani Louderback powie jej, że to nie szkodzi, że jest głuchoniema? Ja tam nie bardzo wierzę, że upośledzeni ludzie są w stanie prowadzić „normalne życie”. Jak można normalnie prowadzić samochód, jeśli się nie ma nóg (choć pierwsza przyznam, że w gruncie rzeczy pani Davidow tak właśnie prowadzi)? Lub grać w baseball na wózku inwalidzkim? Grać na fortepianie

jedną ręką? Udając, że to wszystko jest normalne, po prostu rozbudza się nadzieje osób upośledzonych.

Szkoda, że ludzie nie mówią sobie prawdy.

Ha. I kto to mówi.

Plułam następną papierową kulka, gdy wtem otworzyły się drzwi i obie kobiety wynurzyły się z kuchni z dokładnie takimi samymi minami, jakie miały, wchodząc do środka.

Byłam gotowa wszystko im wyjaśnić. Lecz wówczas uświadomiłam sobie, że sama wymyśliłam ich głuchoniemotę, i tak naprawdę mogą być całkiem normalne. Albo i nie.

- Proszę, Emmo - powiedziała pani Louderback, przytrzymując drzwi.

Przechodząc, znów obrzuciły mnie swoim niepokojącym spojrzeniem. Tego nie brałam pod uwagę - złego uroku. Może musiały go rzucać razem? Może ja też już nigdy nie będę mieć normalnego życia?

- Emmo? - powtórzyła pani Louderback. To naprawdę bardzo miła i cierpliwa osoba. Idąc za nią do kuchni, zapytałam:

- Czy rozważała pani kiedyś pracę z ludźmi upośledzonymi? Uważam, że świetnie by pani szło. - Ale potem pomyślałam sobie, że tym kobietom znów tak bardzo nie pomogła.

Zajęłam to samo miejsce, co przedtem, białe malowane krzesło za kuchennym stołem, niemal ciepłym, jakby drewno wycierano i polerowano milion razy. Zastanawiałam się, czy pani Louderback coś piecze; nie czułam żadnego zapachu, ale coś jakby stygło, na przykład bezy. Uwielbiam bezy z porcją lodów waniliowych i sosem truskawkowym.

- Jak zdrowie mamy? - zapytała pani Louderback, obracając w palcach talię kart.

- Dlaczego? Coś jej jest? - zaniepokoiłam się.

Pani Louderback wybuchnęła śmiechem.

- Nie, w kartach nie widzę nic na temat Jen Graham. To doskonały dowcip, Emmo.

Choć pytałam poważnie, przyjęłam pochwałę jako należną i tylko się uśmiechnęłam.

Ułożyła przede mną trzy karty grzbietami do góry. U pani Louderback podoba mi się to, że nie zadaje milionów pytań. Z drugiej strony, może nie musi. Spojrzałam na karty i zaczęłam je odwracać, jedną po drugiej. Dziewiątka Kielichów i... no jasne! Sieroty w Śnieżycy. Zaczynałam je lubić; moim zdaniem miały bardziej realistyczny stosunek do życia niż niektóre inne postacie (na przykład Baba z Różdżką).

- Znowu jest - stuknęłam w kartę z sierotami.

- Ojej, rzeczywiście za tobą chodzi, prawda?

Jak zła nowina, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Dlaczego? Dlaczego za mną chodzi?

Ściągnęła brwi.

- Wiesz, właściwie to nie jest zła karta. - Sieroty pewnie były innego zdania. Wyglądały na zmarznięte i bezdomne. - No, po pierwsze, oznacza poszukiwanie. Poszukiwanie czegoś. Czy to nie stosuje się do ciebie, i to bardzo dobitnie?

Nie przypuszczałam, że czegoś szukam. Ale może tak jest. Szukam odpowiedzi, to pewne. I nadarzała się świetna okazja, by zadać jakieś pytania.

- Chyba tak. Widzi pani, wciąż piszę ten artykuł dla „Konserwatysty”. Może pamięta pani hotel, który się spalił, o nazwie Belle Ruin?

Układała karty w rzędach, ale teraz przestała.

- Dobry Boże, oczywiście. Co za szczęście, że nikt nie zginął w tym pożarze.

Zignorowałam Wisielca, który gapił się na mnie ze swej odwróconej pozycji, i zapytałam:

- To pewnie pani pamięta również porwane dziecko?

- Pomyślałam sobie, że pani Louderback może pamiętać więcej niż inni, bo ma dar jasnowidzenia, który tak imponuje panu Rootowi.

- Oczywiście, że tak. To była tragedia. I nie wiadomo, jak się skończyła. Czy odnaleziono to dziecko, czy nie.

Wpatrzyła się w grzbiety rozłożonych kart. Może widziała przez nie na wylot?

- Chodzi o to, że w prasie prawie nic nie było. Zna- czy, dowiedziałam się, że wszystko zatuszował dziadek dziecka. Nazywał się Woodruff.

- Och, ten stary głupiec.

Moje uszy wręcz dostały własnych uszu.

- Pani go znała? - zdumiałam się.

- Luciena Woodruffa? Oczywiście. Przyjeżdżali na lato do Spirit Lake. Mieli domek letni za szosą. Na której to było ulicy? Niech pomyślę. - Nie musiała przypominać sobie nazwy ulicy; sam fakt, że mieszkali tutaj, w Spirit Lake, wprawił mnie w osłupienie. Czy moja matka myśli tylko o przepisach kulinarnych, że o tym zapomniała? - Tak, przyjeżdżał on, jego głupia żona i jeszcze głupsza córka. Byłam od niej starsza, ale chyba też nie grzeszyłam rozsądkiem.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić pani Louderback jako nierozsądnej dziewczyny.

- Mimo to poznałam się na niej. Była zepsuta, głupią dziewczuchą.

- Niech mi pani o niej opowie. Proszę zapomnieć o kartach.

- Emmo, twój charakter jest ważniejszy niż kupa plotek z przeszłości.

Wcale nie.

- Możemy omówić moją przyszłość następnym razem. Przecież się nie zmienia.

Pani Louderback nie umiała powstrzymać śmiechu.

- No dobrze, zobaczymy. Woodruffowie spędzali zimę w Nowym Jorku, a na lato przyjeżdżali do Spirit Lake i chyba nawet mieli domek nad Lake Noir. A ich córka, Imogena, latała za każdym chłopakiem w okolicy.

- Podobała się chłopcom?

- Oczywiście. Była ładna, miała własny samochód i dużo pieniędzy.

Czemu nikt mi o tym nie powiedział? Żadna z osób, które wówczas tu mieszkały, ani doktor McComb, ani - do licha! - Aurora Paradise! Na pewno miała z nimi do czynienia, bo Aurora miała do czynienia z każdym.

- Widzisz, mieli naprawdę mnóstwo pieniędzy. Lucien Woodruff posiadał udziały w kolejach i innych przedsiębiorstwach. To był bardzo bogaty człowiek. A koło bogatych dziewcząt, cóż, zawsze kręcą się łowcy posagów. - Kiwnęła głową z pewną satysfakcją. - No i w końcu wyszła za tego Morrisa Slade'a. To był dopiero lekkoduch! Od razu się na niej poznał. Kilku Slade'ów wciąż mieszka w okolicy i zawsze coś kombiują. - Płasnęła kartą o stół.

Musiła ją spotkać przykrość od jakiegoś Slade'a, ale nie chciałam się teraz tym rozpraszać.

- A Morris wcale nie był lepszy. Gorszy, jeśli chcesz wiedzieć.

- To pani go znała?

- Niezbyt dobrze. Przede wszystkim o nim słyszałam. Był przystojny i ludzie mówili, że to kobieciarz. Morris i ta dziewczyna Woodruffów, to nie była poważna para. Chyba jej ojciec dał Morrisowi pracę u siebie w Nowym Jorku, ale wątpię, by Morris dużo się napracował. Niektórym ludziom na tym świecie się wydaje, że na samej urodzie zajadą Bóg wie dokąd.

Ja do nich nie należę.

Pani Louderback spojrzała na wielki kuchenny zegar.

- Zostało kilka minut, sprawdźmy, co masz w kartach. Proszę, dziewiątka Kielichów, a to oznacza szczęście cie. - Uśmiechnęła się.

Ale wiedziałam, czym to szczęście się skończy... o właśnie, już się pokazała. Trójka Mieczy, wbitych w wielkie serce.

- Mnie to nie wygląda na szczęście.

Pani Louderback zmarszczyła brwi i stuknęła palcem w kartę.

- Możesz dostać niepokojącą wiadomość.

Rzadko kiedy dostaję inne wiadomości, zwłaszcza od Ree-Jane.

- Czy to wszystko, co pani wie o Woodruffach? Nigdy pani nie ciekawiło, co się stało z małą? Miała na imię Fay.

- Pewnie, że mnie ciekawiło.

- No przecież czyta pani w kartach, które mówią różne rzeczy.

- Nie o kimś, kogo nie ma - odparła z uśmiechem. - To znaczy, nie ma go tutaj, osobiście. Zrozum, nie jestem medium. Właściwie nic więcej nie potrafię ci powiedzieć. Czy to ważne?

- Chyba tak. To wszystko znajdzie się w mojej historii.

Ale z historiami tak jest, że kiedy sądzimy (tak jak ja owej nocy nad jeziorem), że wszystko już się skończyło, sprawy znów się rozkręcają i nie sposób za nimi nadażyć.

- Czy nic nigdy się nie kończy? - westchnęłam.

Roześmiała się.

- Może wcale nie chcesz, żeby się kończyło, pomyślałaś o tym?

Zmarszczyłam brew, podziękowałam pani Loudersback i wstałam.

- Prawie nie rozmawialiśmy o tobie.

Nie chciałam jej mówić, że rozmowa niewiele by dała, bo zawsze wychodzą mi te same trzy karty: Sieroty, Wisielec, Miecze. Może próbowały mi coś zakomunikować, ale ja w gruncie rzeczy w karty nie wierzę. Równie dobrze mogłabym wierzyć w te bzdury, które opowiada Aurora Paradise. Są tak samo wiarygodne.

20

Nie musiałam podawać lunchu, bo Anna Paugh, która przyszła pomóc matce piec ciasto, powiedziała, że z przyjemnością obsłuży pannę Berthę i panią Fulbright. Były jedynymi osobami na sali.

Wzięłam torbę od Heather Gay Struther (na wypadek, gdyby była mi potrzebna) i postanowiłam pójść do La Porte na piechotę - uznałam, że nie wytrzymam kolejnego kursu z Delbertem. Miałam zamiar dobrać się do starych akt, co oznaczało, że muszę się dostać do biura szeryfa. Już kiedyś zaglądałam do szuflady

w segregatorze, żeby sprawdzić, co mają na temat sprawy Devereau - utonięcia Mary-Evelyn - i wtedy widziałam tam akta sprzed dziesiątków lat. Nie wszystkie, oczywiście, ale poważniejszych spraw, takich jak morderstwa i porwania.

La Porte leży około dwóch mil od Spirit Lake. Po jednej stronie łączącej je drogi rozciągają się puste pola, a po drugiej stoją nieliczne firmy - myjnia Winnie Winkle, Hi-Lo Market i Usługi Elektryczne Burta. Potem droga biegnie przez gęsty las do restauracji Artura z migającym neonem na dachu. Teraz też migał: ART JADŁO (mig) ART JADŁO. Ten neon lubię najbardziej, to znaczy oprócz Srebrnej Gruszki daleko nad Lake Noir, gdzie neon w kształcie gruszki rozsiewa migotliwe światło wśród sosen i maluje je srebrem w mgliste wieczory.

Wykombinowałam, że dotrę do gmachu sądu akurat w porze przerwy, którą Donny Mooma robi sobie na pączki. Nie wolno mu porzucać biura bez nadzoru - kiedyś szeryf naprawdę go zrugął za to, że zostawił mnie tam samą. Donny wcale mnie nie lubi i w życiu nie wyświadczy mi żadnej przysługi, ale też nie zamierzałam go o nic prosić; chciałam tylko, żeby albo padł na wylew krwi do mózgu, albo sobie poszedł. Na szczęście Maureen Kneff - sekretarka - miała wolny dzień, więc tylko jego musiałam się pozbyć. Donny jest uparty jak muł, ale ja też jestem uparta i w dodatku potrafię się trzymać celu jak rzep.

Poza nim biuro było puste. Siedział rozparty za biurkiem szeryfa, pewnie na wypadek, gdyby przechodził tędy jakiś obcy, przed którym mógłby zgrywać szefa posterunku.

- Sama nie ma - oznajmił, zanim zdążyłam na dobre wejść do środka.

- Trudno, to ja poczekam.
- Nie lubi, jak tu siedzisz, po tym, jak naruszyłaś własność policji.

Nie odzywałam się.

- Ty się lepiej pilnuj - Donny ze skrzygnięciem odchylił się na obrotowym fotelu i pobujał chwilę, próbując wymyślić jeszcze coś, co mógłby powiedzieć szeryf.

- No, skoro nie możesz wyjść z biura - westchnęłam
- to może szkoda, że wygrałeś ten konkurs.

Przestał się bujać.

- Jaki konkurs?

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam wzrok.

- Nic, nic.

Wstał, obszedł biurko dookoła, posadził jeden pośladek na blacie i wlepił we mnie wzrok.

Musi coś być, bo po co byś inaczej mówiła o konkursie?

Splotłam dłonie i dalej milczałam.

- No?

Zsunęłam się na krzesło i spojrzałam na **sufit przez** kratkę skrzyżowanych palców.

- Podobno wygrałeś torbę pączków. W Tęczy.

Machnął na mnie ręką i wrócił na fotel.

- Zawsze byłaś trochę stuknięta, wiesz o tym? A ty i Ree-Jane powinniście się zakolegować.

- No, z jakiej racji wygrałem te pączki? - Jego głos brzmiał niepewnie.

- Kupiłeś trzytysięcznego pączka. Ulub był drugi. No, ale to nieważne; skoro nie dotrzesz do Tęczy przed trzecią, nagrodę dostanie zdobywca drugiego miejsca.

- Usiadłam prosto i dodałam z ożywieniem: - Chyba że chcesz, żebym ci te pączki przyniosła.

Przyglądał mi się oczyma zwięzonymi w szparki. Dobrze wiedział, że za nic nie wyświadczę mu przysługi, nawet gdyby z nieba zeszyły zastępy aniołów. Domyślał się, że coś nie gra, ale nie wpadł na to, co trzeba. Znów wstał:

- Nic z tego. Ile ich będzie?

- Dwadzieścia cztery. Dwa tuziny.

- Jak cię znam, po prostu weźmiesz sobie, ile chcesz, a resztę rozdasz swoim kumpłom. To jedyny powód, że chcesz iść po te pączki. - Spojrzał na zegarek.

- Sam sobie przyniosę. Ale nie możesz zostać w biurze.

Skrzywiłam się.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Nie, a po co mi twoje towarzystwo? Myślisz, że lubię, jak się za mną włóczysz i udajesz, że masz coś do gadania?

- Ale ja chcę się zobaczyć z szeryfem - starałam się mówić jękliwie.

- To wyjdź i zaczekaj na ławce w korytarzu.

- Okej - wstałam i wyszłam za Donnym na zewnątrz.

Zamknął drzwi na klamkę, ale nie na klucz; w ciągu dnia nigdy ich nie zamykają. Czy on naprawdę nie widzi, że jest głupi? Usiadłam na ławce.

- Będę góra za pięć minut.

Co najmniej piętnaście. Kiedy zniknął na schodach, wróciłam do biura.

Podeszłam do szarych metalowych segregatorów pod przeciwną ścianą. Szufladę, w której przechowywano stare akta, znalazłam już poprzednim razem, kiedy to podobno naruszyłam własność policji, a odszukanie teczek Woodruffów zajęło mi niespełna pięć minut. Szybko ją wyjęłam - nie zamierzałam jej czytać, siedząc na podłodze, choć mnie kusiło - i schowałam do torby

na zakupy od Heather Gay Struther. Następnie starannie zasunęłam szufladę i równie starannie zamknęłam za sobą drzwi.

Postanowiłam nie czekać na Donny'ego.

Udałam się do Biblioteki Okręgowej im. Abigail Butte; to najbezpieczniejsze miejsce, aby przeczytać coś, czego nie chce się nikomu pokazać. Nikt nie zwraca uwagi na to, co się czyta w bibliotece, bo wszyscy tam coś czytają, choćby tylko gazetę. Zająłam miejsce przy wolnym stole w głębi i wyciągnęłam teczkę z torby.

Zawierała niewiele stron, tylko trzy, przy czym tekst na pierwszej - czyżby nie mieli wtedy maszyn do pisania? - był tak drobny, że niemal nieczytelny, jakby napisały go niezwykle małe paluszki. Udało mi się rozróżnić kilka wyrazów - Woodruff, Belle Rouen, sala balowa - ale tylko dlatego, że wiedziałam coś o sprawie. Zmrużyłam oczy, żeby przyjrzeć się kartce z bliska, następnie zaś wstałam i podeszłam do biurka bibliotekarki. Tej konkretnej nie znałam - zazwyczaj mam do czynienia z przeuroczą panną Ruth Babbit - niemniej poprosiłam ją o szkło powiększające.

- To niezwykła prośba - zdziwiła się. - Po co ci ono? Może ja bym ci to coś przeczytała? - poprawiła okulary, jakby to były czarodziejskie szkiełka.

A to dopiero. Panna Ruth Babbit n i g d y by tego nie zaproponowała; po prostu dałaby mi to, o co prosiłam.

- Nie, dziękuję pani. Znaczący, wystarczy szkło powiększające. Wiem, że panna Babbit ma takie szkło, widziałam, jak go używała.

Ale ta pani najwyraźniej miała wątpliwości, bo ściągnęła usta w zamyśleniu.

- A co ty takiego czytasz?

Nie do wiary, że mogła być aż tak wścibska! Zastanowiłam się przez chwilę.

- To relacja z wyprawy mojego dziadka do Egiptu. Zmarł tam bardzo dawno temu. Przedtem pomagał przy wykopkach grobu.

Na jej twarzy wykwitł uśmiech wyższości:

- Chodzi ci o „wykopaliska”?

Coś podobnego. Ja jej mówię o wyprawie do Egiptu, a ona się czepia jednego nieprawidłowego wyrazu.

- Tak, tak powiedziałam.

- Nie, powiedziałaś „wykopki”.

Teraz ja uśmiechnęłam się z wyższością:

- Nie bardzo wiem, jak to możliwe, bo to przecież niewłaściwe słowo, prawda? Pewnie się pani przesłyszała. Czy mogłabym wreszcie dostać to szkło powiększające? Proszę?

Widziałam, że naprawdę poczuła się dotknięta, że nie przyznałam się do błędu, jednak nie bardzo mogła dążyć dalej tę kwestię, bo wyszłaby na jakąś policję językową. W dodatku za mną ustawiło się już kilka osób. Sięgnęła więc pod biurko, wyjęła duże szkło powiększające i położyła je na blacie.

- Wstrzymujesz kolejkę - rzekła oskarżycielsko.

Zabrałam szkło, podziękowałam jej nieszczerze i wróciłam do stołu. Byłam zdumiona, że przestała się upierać, by obejrzeć, co czytam. Nie mam nic przeciwko cudzej ciekawości - sama jestem ciekawa - ale wścibstwa nie nawidzę.

Z lupą w ręku odczytałam:

Sprawozdanie ze zdarzenia

O 22.03 telefon z hotelu Be Ile Rouen. Zawiadomienie o uprowadzeniu z pokoju córki/wnuczki Slade/Woodruff, czteromiesięcznej Fay Slade.

Dlaczego autor sprawozdania uznał za stosowne wspomnieć o starym panu Woodruffie, jakby ten miał takie same prawa do dziecka jak jego córka? Pewnie był strasznie ważną osobą.

Rodzice dziecka, Morris i Imogena Slade'owie, przebywali na sali balowej, gdzie odbywał się bal. Fay Slade spała w łóżeczku, a Gloria Spiker (opiekunka) wyszła na korytarz do telefonu. Domniemany porywacz przypuszczalnie wszedł po drabinie przystawionej do okna. Pokój znajduje się na trzecim piętrze. Nic nie skradziono, nie stwierdzono też śladów włamania. Przesłuchano cały personel, łącznie z obsługą kuchni, wciąż znajdującą się na miejscu, bo w czasie balu podano posiłek.

Mała Fay. Podparłam podbródek dłońmi i zapatrzyłam się w głąb czytelní, mając przed oczami pustą salę balową Belle Rouen. Widziałam siebie w ciemnoniebieskiej sukni, widziałam też Kelnerki i wszystkie wirowały w tańcu niczym figurki na wieczku pozytywki. Nie wiem, dlaczego ten obraz powstał w mojej wyobraźni - przecież nic go nie łączyło z małą Fay i jej tajemniczym zniknięciem. Ale właśnie o tym pomyślał mój mózg, prawda? Więc może miało to jakiś związek z całą historią.

Belle Rouen. Oczyma duszy ujrzałam niekończące się, puste korytarze i wysoko sklepione pokoje, których ciszy nie zakłócał najlżejszy śmiech. Było pusto; było samotnie; była zima. W zimnym świetle księżycy zoba-

czyłam na śniegu dwa jelenie: jeden pił ze stawu, który jeszcze nie zamarzał, drugi stał na czatach. Park jeleni, las, pusty hotel. Cisza. Wiem, że wielu ludzi uważa, że cisza jest równoznaczna z samotnością, ale nie ja. Czasem wręcz za nią tęsknię.

Jest historia, którą opowiadam. I jest historia w tle, która łączy moją historię z przeszłością. Ale jest również historia ukryta, na którą powinnam zwrócić większą uwagę, która przejawia się tylko w cieniach i rozbłyskach, ukazujących to, co leży pod powierzchnią, niczym kamyki i smugi wodorostów, dostrzegalne tylko wtedy, gdy słońce oświetla wodę pod odpowiednim kątem i wywołuje obrazy: dziecko, Kelnerki, Dziewczyna.

Tę właśnie historię chciałoby się poznać, czyż nie?

A może nie należy ruszać kamyków i wodorostów, i zostawić je w spokoju na dnie?

21

- Imogena Woodruff Slade - rzekł pan Gumbrel. - Morris Slade. Hmm! Od bardzo dawna nie myślałem o tym wszystkim. Oczywiście, że ich pamiętam, i starego Woodruffa też. Był z niego prawdziwy tyran.

Przyszłam tu z biblioteki.

Pan Gumbrel siedział rozparty na fotelu za biurkiem; widać było, że w myślach widzi jakieś sceny i że wciąga go własna opowieść. Miałam nadzieję, że będzie to historia ukryta, ale tej pewnie trzeba dogrzebac się osobiście. Nie można jej od kogoś usłyszeć.

- Tak, pamiętam, że dostał szał, kiedy Imogena postanowiła wyjść za Morrisa Slade'a. Latały za nim wszystkie dziewczyny w mieście. Imogena wprost nie mogła uwierzyć, że fortuna się do niej uśmiechnęła i Morris spośród tylu chętnych wybrał właśnie ją. Ha! I o to właśnie nie chodziło: o fortunę. Ona ją miała i tatuś doskonale o tym wiedział. Należała jej się. Ale coś nie wyszło. Owszem, Imogena była miłą dziewczyną, ale to za mało, żeby usidlić takiego chłopca jak Morris. Miała w sobie za mało życia i wesołości, o tak, zdecydowanie za mało.

Pan Gumbrel zatopił się w rozmyślaniach.

- Pochodzili z Nowego Jorku, prawda? - zapytałam.

- Z Nowego Jorku, a jakże. - Powiedział to w taki sposób, jakby Nowy Jork leżał na sąsiedniej planecie. - Przyjeżdżali tu jak mnóstwo innych ludzi. Przez jakiś czas mieszkali w Spirit Lake, a potem kupili wielki dom nad Lake Noir.

Jak większość ludzi mówił „Nor”. Ree-Jane uwielbia poprawiać tę wymowę, powtarzając z naciskiem: „Nu-ar, Nu-ar”. Gdyby nie Ree-Jane, język francuski nie miałby w naszej okolicy żadnych szans. Ale mnie w tej nazwie najbardziej podoba się to, że oznacza „Czarne Jezioro”.

- Ludzie znad jeziora.

Skinął głową.

- Wtedy było ich więcej niż teraz. Byli bogatsi. I nie tacy zepsuci i rozpущeni. - Przeciągnął dłonią po czaszce, z której włosy wydawały się ulatniać, a nie zwyczajnie wypadać. Właściwie był już całkiem łysy. Zmarszczył czoło i założył ręce na piersiach.

Ludzie znad jeziora stanowią szczególną grupę, która nie zadaje się specjalnie z mieszkańcami La Porte; od

czasu do czasu wpadają do miasta i wtedy szeroko otwierają oczy ze zdumienia, że oto jesteśmy i żyjemy obok nich. Mieszkają we wspaniałych rezydencjach ze szkła, rozsianych nad jeziorem, które wieczorami lśnią od świateł jak diamenty. W większości domy te znajdują się na dalszym brzegu; po naszej stronie stoją skromniejsze siedziby, jak na przykład niewielki domek Maud Chadwick, wyposażony w długi pomost, na którym Maud lubi przesiadywać, palić papierosy, pić koktajle i czytać poezje. Maud ma prawdziwego bzika na punkcie poezji.

Ci znad jeziora na posiłki pchają się do Srebrnej Gruszki, gdzie stali mieszkańcy bywają rzadko ze względu na wysokie ceny. Raz pani Davidow zabrała mnie tam na lunch, lecz w gruncie rzeczy chciała zjeść lunch ze swoją przeszłością, a nie ze mną. Po kilku martini opowiedziała mi ze szczegółami, jak straciła majątek; mimo woli nawet zaczęłam jej współczuć, bo ze szczęśliwszych czasów została jej tylko Ree-Jane.

Zwróciłam się do pana Gumbrela:

- Dziwne, że nikt nie słyszał, co się stało z dzieckiem. Na imię miała Fay. Czy ją znaleziono? Czy umarła? Co się właściwie wydarzyło?

Pan Gumbrel, wciąż z założonymi rękami, pochylił się ku mnie i spojrzał jak na koleżankę reporterkę, której można się zwierzyć. Przez chwilę miałam nawet wrażenie, że zaraz oznajmi, że jego słowa nie są przeznaczone do druku.

- Emmo, powiem ci, co o tym myślę, dlaczego za mieciono wszystko pod dywan i cała sprawa ucichła. Myślę, że zrobiło to jedno z nich albo oboje razem. Morris, być może z udziałem Imogeny.

Szczęka mi opadła, oczy zrobiły się jak spodki. Dwayne też podejrzewał coś takiego, a teraz pan Gumbrel to potwierdził!

- Chce pan powiedzieć, że wykradli własne dziecko?

- Tak właśnie chcę powiedzieć!

- Ale... po co?

- Nie wiem - wzruszył ramionami.

- Raczej nie przypuszczam, żeby chodziło o pieniądze. Nie było żadnego żądania okupu.

Znów wzruszył ramionami.

- O ile wiemy. Ale przecież zaraz wyjechali; uciekli stąd natychmiast po zdarzeniu. Może dostali list, kiedy wrócili do Nowego Jorku.

Nie, to już z pewnością nie miało sensu.

- Może ktoś jednak przysłał żądanie okupu albo zatelefonował. Zabronił im rozmawiać z policją lub w ogóle z kimkolwiek i kazał zawieźć walizkę pieniędzy w konkretne miejsce. - Tak przynajmniej zawsze jest w kinie. - W końcu przecież to dyrekcja hotelu wezwała policję.

- Niewykluczone. - Nagle się ożywił. - Wiesz co? Powinniśmy zainteresować tym Sama DeGheyne. To najbystrzejszy policjant, jakiego znam.

- Za stara sprawa. Poza tym jest zbyt zajęty szukaniem Bena Cjueena. - Powiedziałam to z pewnym sarkazmem, chcąc podkreślić, że moim zdaniem, to strata czasu.

Lecz pan Gumbrel pochłonięty był własnymi myślami i drapaniem się po brodzie; słyszałam, jak chrząści jego jednodniowy zarost.

~ Ale jednak zawiadomiono policję, czy ci się to podoba, czy nie, więc jaki mógł mieć powód stary Woodruff, żeby wyciszyć sprawę? Niech to diabli! Szko-

da, że nie dowiedziałem się więcej wtedy, kiedy to się stało.

- Czy pan Woodruff zapłacił prasie, by tego nie nagłaśniała? Rzecz jasna, nie „Konserwatyście” - dodałam pośpiesznie.

- No, ja myślę, że nie. Mój tatuś nigdy w życiu nie wzięłyby łapówki. Ale nie mogę mówić za innych, zwłaszcza że Woodruffowie natychmiast wyjechali i nie słyszeliśmy o nich więcej. Tak jest, uciekli z miejsca zdarzenia. I to jest bardzo dziwne; uciekli z miejsca, gdzie się to wszystko stało i gdzie każdy człowiek przy zdrowych zmysłach chciałby zostać jak najdłużej. - Pokręcił głową.

Uciekli z miejsca zdarzenia.

Było w tym sformułowaniu coś, co mnie naprawdę przeraziło, bo co się zwykle dzieje później? Wspomniałam Zapadły Dom z oknami zaklejonymi farbą i z trzaskającymi siatkowymi drzwiami, oraz Belle Ruin, jego pustą salę balową, zasy zwiędłych liści i niegdysiejsze korytarze pełne ech.

Uciekli z miejsca zdarzenia.

Zniknęli.

Poczułam ziąb w sercu na myśl o wszystkich miejscach, które opuściłam, i o tych, które miałam dopiero opuścić.

22

Lola Davidow piła w kuchni martini, strzepując na podłogę popiół z papierosa. Była pogrążona w rozmowie z moją matką i wyraźnie miała śmiechawkę. Wie-

działam, że pobędzie w kuchni przez jakiś czas, więc uznałam, że to znakomita okazja, by zrobić wypad po whisky do biura na zapleczu. Co też uczyniłam; dopełniłam szklankę lodem, sokiem pomarańczowym i ananasowym, po czym ruszyłam na trzecie piętro.

- Nie śpieszyłaś się! Umieram z pragnienia! - Ale jak zwykle, warto było. - Niezła Słaba Pocięcha - młasnęła Aurora - tylko przydałoby się jeszcze trochę likieru.

- I znów młasnęła z namysłem, jak moja matka, kiedy próbuje sos z whisky do tortu chlebowego.

- No, to teraz opowiedz mi o Belle Ruin.

- Każdy, kto się liczył w tej okolicy, bywał tam na kolacji. Mieli pierwszorzędną restaurację. Jeszcze pamiętam te medaliony cielejące w sosie koniakowym.

Wyobrażam sobie. Jednak w nagłym ataku troski o zwierzęta nie chciałam dyskutować o mięsie.

- Co jest na lunch, moja panno?

- Smażony kurczak. Pamiętasz, jak pewnego wieczoru podczas balu porwano dziecko?

- Ach, te bale w Belle Ruin! Tańczyłam całymi nocami - tu rozpostarła ramiona i zakołysała się w fotelu w lewo i w prawo, zaciskając dłoń na szklance, która szybko się opróżniała. Jeden drink, a ona już tańczyła! - Och, ależ ja miałam powodzenie! Ależ miałam wzięcie!

- A dziecko? Najwyraźniej też miało niezłe wzięcie.

Kończyła ciągnąć przez słomkę resztki drinka. Nawet jak na nią był to rekord.

- To, które porwano - ponagliłam.

Głośno wessała powietrze. Wiedziałam, co nastąpi.

- Może jeszcze jeden? - uśmiechnęła się, w swoim mniemaniu ujmująco.

Mnie to nie ujęło. Przełożyłam tacę pod drugą pachę.

- Dopiero jak opowiesz mi o dziecku. - Zrozumiała, że w tej kwestii pozostanę niewzruszona i nie przyniosę jej nic do picia. - Wiem, że pamiętasz. Chodzi o Woodruffów.

- Och, Lucien Woodruff - odprawiła go gestem ręki.
- Chciał się ze mną żenić...

A kto nie chciał, może z wyjątkiem Willa, Milla i Waltera?

- ...ale nie był dla mnie dość dobry. Owszem, dość bogaty, ale w życiu liczy się coś więcej niż pieniądze.

Mów do mnie jeszcze.

- Tak, poznałam Luciena Woodruffa, och, jakieś czterdzieści lat temu, kiedy byłam tylko trochę po dwudziestce.

Ona gadała, a ja przestępowałam z nogi na nogę; musiałam dać jej trochę się popisać, nie przerywałam więc, gdy po raz kolejny opowiadała mi o wszystkich swoich podbojach. Rozejrzałam się po pokoju, zatrzymując wzrok na obwieszonym sukniami kufrze okrętowym i na plakatach z widokami francuskiej Riwiery, Hotel de Coś, knajpki na Montmartrze i lewego brzegu Sekwany. Chyba naprawdę była w Paryżu. Przeczekałam kolejne głośnie siorbnięcie i zapytałam:

- To pewnie znałaś Imogenę i Morrisa Slade'ów?

Kwiknęła aż pod sufit, jakbym właśnie wykonała jakąś magiczną sztuczkę.

- Morris Slade! Od lat nie myślałam o Morrisie! Ależ to był przystojny chłopak! Młodszy ode mnie o jakieś dziesięć lat...

Prędzej czterdzieści.

- ...i prawdziwy kobieciarz. Imogena była tylko bezbarwną dziewczyną z milionami. Lucien robił, co mógł,

żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. W końcu Morris nie należał do ich sfery, no nie? Woodruffowie to była nowojorska so-cje-ta.

Ruszyła z miejsca - jej fotel ma kółka i Aurora uwielbia wirować na nim po pokoju, często popychana przeze mnie. O tak, pchać to ja potrafię. Okrętowy kufer był wyposażony w szuflady wyściełane spłóviała tkaniną w kwiaty i Aurora rzuciła się do niego, klnąc pod nosem, a może po prostu mówiła do siebie, kto wie?

Zaczęła wyciągać z szuflad różne rzeczy - szyfonowe szale, biżuterię i małe atlasowe torebeczki, takie, jakie się nosi do wieczorowej sukni, złote, różowe, czarne. Suknie były z atlasu, szyfonu, jedwabiu, być może staroświeckie, lecz piękne i kosztowne. Widząc to wszystko, zastanowiłam się, ile opowieści Aurory o jej barwnej przeszłości jest naprawdę zgodnych z prawdą. Odłożyłam tacę, podeszłam i zaczęłam odbierać od niej ubrania, żeby nie wały się po podłodze.

Wreszcie znalazła to, czego szukała: niebieską atlasową szkatułkę z niebieską pętelką przy wieczku. Szkatułka była pełna fotografii, których Aurora nie zdążyła jeszcze wkleić do albumu.

- No proszę. - Wyjęła garść zdjęć, ułożyła je i wyrównała krawędzie, jakby to była talia kart. Następnie zaczęła je oglądać, wsuwając obejrzone pod spód. Chętnie bym też na nie spojrzała, ale nie odzywałam się z obawy, że znowu zrobi się chytra i każe mi najpierw przynieść drinka. Podjechała na fotelu do stolika i jąla ciskać zdjęcia na stół, niczym krupier blackjacka, którym rzekomo kiedyś była.

W pewnej chwili stuknęła kościstym palcem w jedno ze zdjęć i oznajmiła:

- To jest Lucien Woodruff, jeśli jesteś ciekawa. To jego biedna córka, a obok stoi ten nicpoń Morris Slade.

Zrobiłam krok w stronę stołu, przejęta do szpiku kości. Nie spodziewałam się fotografii! Jednak Aurora wyciągnęła dłoń i powstrzymała mnie gestem, oznaczającym STÓJ!

- Zaraz, zaraz, panienko! Obejrysz je, kiedy dostanę swoją Słabą Pocięchę. - Po czym złożyła ręce na podolku z miną tak pełną samozadowolenia, że miałam ochotę stłuc ją na kwaśne jabłko.

- Skąd mam wiedzieć, że to Woodruffowie? Równie dobrze to może być rodzina małp.

Młasnęła, jakby drink już przed nią stał.

- Cóż, chyba będziesz musiała uwierzyć mi na słowo!

Wolne zarty. Tak wygląda moje życie: muszę się targować lub zebrać o każdą najdrobniejszą rzecz. Muszę kombinować, udawać i wyłudzać, lecz przede wszystkim wciąż się targuję, coś za coś, wet za wet, tak jak teraz.

- Och, do diabła! - Tupnęłam.

- No, no, moja panno, tylko proszę bez przekleństw!

Przekleństwa? I kto to mówi? Odwróciłam się, zabierając tacę, a po wyjściu z pokoju pokazałam język pustej ścianie i ciemnej klatce schodowej. To naprawdę dziecinne, wiem o tym, dlatego już tego nie robię.

Ale dlaczego wszystko musi być grą w karty, hazardem, podwajaniem stawki, wszystkim albo niczym? Nigdy nie wygrywa osobnik najmilszy, najśladzszy, najczulszy, tylko najcwańszy, najchytrzejszy, najbardziej podstępny.

Więc czemu narzekam?

Od pewnego czasu uczę Waltera robić Słabą Pocięchę, bo nienawidzę odrywać się w środku od historyjek Aurory. Chodzi o to, że kiedy do niej wracam, Aurora zazwyczaj już nic nie pamięta i muszę od nowa umacniać ją (by tak rzec) w opowieści, żeby usłyszeć zakończenie. To bardzo męczące.

- Otóż - zwróciłam się do Waltera - sekret Słabej Pocięchy polega na proporcji whisky do soku owocowego. - Byliśmy w biurze na zapleczu, a wysoka szklanka została ponownie napełniona sokiem pomarańczowym i ananasowym. Walter przed chwilą ustalił, że pani Davidow siedzi w jadalni, jedząc swojego homara i stek. - Ja używam Jima Beama albo Jacka Danielsa, a potem dodaję brandy i likieru Southern Comfort. - Prawdę mówiąc, dodaję wszystko, co mi wpadnie pod rękę, ale barmanka nie powinna się przyznawać do takich rzeczy.

Walter zachichotał przez nos, jak to on.

- To niezłe.

- Co?

- Ta nazwa, którą wymyśliłaś, Słaba Pocięcha.

Ucieszyłam się, że ktoś docenia moją pomysłowość.

- Aurorze też się podoba.

- I słusznie.

Zazwyczaj Walter nie ma nic do powiedzenia o niczym, co mi bardzo odpowiada, miałam więc nadzieję, że nasze lekcje nie przekształcą się w okazję do konwersacji. Powtarzałam sobie, że powinno mi pochwlebiać, że Walter przy mnie zaczyna mówić. Ale pragnęłam komplementów bez gadania, zwłaszcza że na stoliku Aurory czekały rozłożone zdjęcia. Wiedziałam, że ucząc Waltera, tracę cenny czas, jednak w ten sposób zabezpieczę się na wypadek, gdybym nie mogła osobiście zanieść drinka

na górę; Walter mógł go wysłać do pokoiów Aurory za pomocą ręcznej windy, którą czasami dostarczamy jej posiłki. Oczywiście, wszystko komplikował fakt, że w trakcie naszych manewrów pani Davidow w każdej chwili mogła wrócić z lunchu.

Przyrządzałam więc Słabą Pocięgę i równocześnie opisywałam ją na użytek Waltera.

- Sok może być dowolny, ale zwykle używam pomarańczowego i ananasowego.

- A pomidorowy?

- Walter, nie bredź.

Wzruszył ramionami:

- Powiedziałaś, że może być dowolny.

- Dowolny, ale słodki.

- Widziałem, jak pani Davidow dodaje sok pomidorowy do swoich drinków.

- Do Krwawych Mary, które pije do lunchu. - I czasem do śniadania.

- No, ale...

Wzięłam się pod boki i spojrzałam mu w oczy.

- Walter, czy moglibyśmy się skupić? Po prostu się skoncentrujmy, dobrze? Zobacz, mam już w szklance lód i sok. Teraz można dodać whisky. Chociaż zwykle najpierw wlewam whisky, potem lód i dopiero uzupełniam sokiem. - Dolałam Jima Beama, kroplę Southern Comfort i trochę brandy. - Tak jak mówię, może być każdy sok owocowy, za każdym razem i tak wychodzi inny napój. Pamiętaj tylko, żeby whisky nalać przynajmniej pół szklanki.

- To okropnie dużo, no nie?

- Owszem. Ale tak ma być. Z whisky trudno przesażać, tyle ci powiem. Nigdy za wiele tego paskudztwa. - Puknęłam we wszystkie butelki po kolei. - Możesz

użyć właściwie każdego soku, jabłkowego albo nawet żurawinowego, chociaż pewnie będzie za ciemny, a potem - nadziałam wisienkę koktajlową na wykałaczkę - wrzuciłam do środka coś takiego i wsadziłam mieszadelko. - Wyjęłam z pojemnika plastikowe mieszadelko z hawajską tancerką na czubku. Miała słomianą spódniczkę i moim zdaniem wyglądała słodko.

- Ta wykałaczkę wzięła i utonęła.

Rzuciłam mu złe spojrzenie. Nie ma żadnego doświadczenia jako barman, a tu proszę, krytykuje mnie przy pracy!

- Wiem, ale to bez znaczenia. Wszystko mi jedno, czy użyjesz wykałaczki.

- Fajne byłyby kawałki ananasa.

- Walter...

- I może plasterki pomarańczy albo cytryny. Pani Davidow lubi miętę.

Łypnęłam na niego wrogo.

- W koktajlach miętowych. Ale jeśli chcesz wetknąć gałązkę mięty, proszę bardzo. Bylebyś tylko nie siedział tu godzinami i nie dał się przyłapać pani Davidow. - Nie do wiary. Postawiłam szklanekę na tacy i rozszluszczona wyszłam, wołając przez ramię: - Tylko podstawiaj butelki na miejsca, dobrze? I może byś wpadł na chwilę do kuchni, co?

- Tak, psze pani.

Począłam na pierwsze piętro, ale przypomniałam sobie o zdjęciach, więc na drugie i trzecie wbiegłam już znacznie szybciej. Inaczej niż inne piętra, trzecie jest trochę skarłowaciałe, jakby mieściło się na szczycie wieży; nie ma tu korytarza biegnącego przez całą długość budynku, tylko cztery pokoje rozmieszczone wokół klatki schodowej. Aurora nazywa je swymi apartamen-

tami i korzysta ze wszystkich: w jednym ma sypialnię, w drugim garderobę, a w trzecim salonik, dokąd zanoszę jej drinki i posiłki. W czwartym pokoju, gościnnym, ruch riie jest zbyt duży.

Wchodząc na ostatnie piętro, usłyszałam, że Aurora śpiewa sama do siebie, jak to ma w zwyczaju. Najbardziej lubi *Alicję w błękitnej sukni*, ale dzisiaj to była piosenka o jaskółkach:

...tego dnia, gdy rozstania przyszedł żal,

Zatrzymałam się na górnym stopniu jakby czymś przytłoczona. Nie lubię piosenek o rozstaniach.

*Gdy szepnęłaś „żegnaj”, tam, w Capistrano, I
jaskółki odleciały w morską dal.*

Stałam jak przykuta na podeście, owładnięta nieopisanym smutkiem. Widziałam te jaskółki chmurę ptaków wzbijających się w powietrze i rozpościerających skrzydła mieniące się w promieniach słońca.

Dokąd zmierzały? Najsmutniejsze było to, że tak prędko zrywały się do lotu. Bez ostrzeżenia. Po prostu do widzenia i cześć.

Wyprostowałam się i ująwszy mocno tać, weszłam do pokoju Aurory.

Niewiele osób ma wstęp na trzecie piętro: tylko ja, Walter i niekiedy pani Davidow. Przychodzić tu wolno także Annie Paugh, ale w żadnym razie Verze („skwaszona baba z kurzą szyją”) ani Ree-Jane („tleniona rozwydrzona lala”). Tak naprawdę Ree-Jane jest naturalną blondynką, ale nie chce mi się wyprowadzać Aurory z błędu.

Aurora porwała koktajl z tacy, pociągnęła łyk, orzekła, że jest smaczny, po czym wręczyła mi trzy przygotowane fotografie.

Lucien Woodruff nie wyglądał (uznałam) na swój wiek; był to wyprostowany jak struna mężczyzna o kwadratowej głowie, schludnym wąsiku i błyszczących oczach, ocienionych brwiami, które nie wyginały się w łuki, lecz tworzyły idealnie prostą linię.

- Piękny okaz mężczyzny, prawda?

Przytaknęłam i spojrzałam na Imogę, bardzo podobną do ojca, to znaczy w takim stopniu, w jakim kobieta może być podobna do mężczyzny. Kwadratowa szczęka i proste brwi w jej wydaniu nie wyglądały tak korzystnie, nie miała też jego dumnej postawy. Opatulone dziecko w jej ramionach, ubrane w maleńką czapeczkę z błyszczącym pomponikiem, wyglądało jak kolba kukurydzy.

- Jak duże jest dziecko na tym zdjęciu?

- Och, ma może kilka tygodni. Mieszkali w Belle Rouen tylko chwilę, a zaraz po porwaniu wyjechali do Nowego Jorku.

- Ładne było?

Żachnęła się, jakbym za wiele żądała od jej pamięci.

- Nie. Wszystkie niemowlęta wyglądają tak samo, no nie? Mają całkiem bezkształtne twarzyczki jak talerz tłuczonych ziemniaków.

A teraz miałam przed sobą Morrisa Slade'a. Był niewątpliwie przystojny, piękny, aż zapierało dech w piersiach - jasnowłosy, jasnooki, o promiennym uśmiechu.

- Naprawdę ładny - powiedziałam. Im dłużej patrzyłam, tym bardziej kogoś mi przypominał. Zmrużyłam oczy: - Wygląda jak ktoś, kogo już widziałam.

- Slade'ów jest wszędzie pełno. Widziałaś Slade'ów. Większość mieszka trochę dalej, w Bitterroot, ale kilku znajdziesz i w naszych stronach. A Morris odziedziczył urodę po matce, bo jego ojciec był pijakiem i dziwnym. Ciekawa rzecz, jak wygląd przeskakuje przez pokolenia. Moja matka była nieładna jak herbatnik, za to babcia uchodziła za piękność. Najwyraźniej uroda jakby ominęła mamę i trafiła prosto do mnie.

Ehe.

- Natomiast Augusta (siostra Aurory) to kubek w kubek tatuś. Ani krztyny babcinej urody. Cóż, dla wszystkich nie starczyło.

Spojrzała w okno, nadal mocno ściskając swoją Słabą Pocięgę, skorzystałam więc z okazji i szybko wsunęłam zdjęcie Morrisa Slade'a do kieszeni dzinsów. Pozostałe odwróciłam grzbietami do góry i włożyłam do niebieskiej atlasowej szkatułki.

- Mogę przyjść jutro obejrzeć więcej fotografii?

- Zależy - odparła, nie odrywając wzroku od okna.

Mówi byle co, żeby tylko coś powiedzieć, trochę porządzić i potrzymać mnie w napięciu. Dla niej wszystko jest grą w trzy karty.

23

Po śniadaniu, kiedy mój żołądek stanowczo odmówił szóstej francuskiej grzanki z morelami, posypanej cukrem pudrem i polanej syropem klonowym, postanowiłam zrezygnować z taksówki i przejść się do La Porte na piechotę. Mogłam w ten sposób odpracować

grzanki, a jednocześnie uniknąć bredzenia Delberta, ile to on ma przeze mnie kłopotów. Na przykład, że musi wozić ludzi taksówką.

Maszerowałam poboczem szosy, na której nigdy nie panuje zbyt duży ruch, i rozmyślałam o Morrisie Siadzie. Jedno nie ulegało wątpliwości: panny Flyte i Flagler na pewno go znały, a w dodatku znały Woodruffów i hotel Belle Ruin.

Sklep z upominkami „Pod Dębem” (firma panny Flagler) oraz „Ogarek” (sklep panny Flyte) znajdują się po tej samej stronie ulicy, prawie naprzeciw gmachu sądu. Dokładnie naprzeciw sądu mieści się Cafe Tęcza, co znacznie ułatwia życie Donny'emu Moomie, który pędząc do Shirl w kryzysowej sytuacji braku pączków, zatrzymuje ruch tylko na jednej ulicy.

Sklep z upominkami dzieli od sklepu ze świecami wąska alejka, na którą wychodzą boczne drzwi obu firm. Panna Flyte i panna Flagler mogą po prostu „przemykać się” (tak mówią) do siebie, unikając wychodzenia przez drzwi frontowe. Zastanawiam się czasem, dlaczego upatrują w tym zaletę.

Sklep panny Flagler nie robi wielkich kokosów. Podobno „gdzieś tu są jakieś pieniądze” (tak mówi pani Davidow, która jeśli chodzi o pieniądze, zawsze potrafi wywęszyć owo „gdzieś”), a panna Flagler jest ogromnie „nobliva”. Dla mojej matki to synonim „klasy”, kolejny dowód istnienia rodzinnej fortuny, choć oczywiście można mieć klasę, będąc ubogim, na co jest wiele przykładów. W La Porte mieszka kilka bogatych osób, na przykład panna Isabel Barnett i panna Ruth Porte, której pradziadek założył miasto. Nie mam pojęcia, co to znaczy „założył”, ale nic mnie to nie obchodzi. Nigdy nie lubiłam historii i nie znoszę lekcji historii w szkole.

Tak czy inaczej, często wpadam do panien Flagler i Flyte na poranną kawę lub popołudniową herbatę. Dochodziła już dziesiąta, więc pomyślałam, że pewnie zaraz spotkają się na kawie; czasem panna Flagler siedzi u panny Flyte, a czasem na odwrót, na zmianę.

W niewielkiej witrynie sklepu „Pod Dębem” widniał tekturowy zegar z napisem WYSZŁAM NA KWADRANS, lecz drzwi jak zwykle nie były zamknięte, więc po prostu weszłam do środka. Uwielbiam ten sklep. Kiedy czuję się udręczona lub wściekła, samo przyjście tu mnie uspokaja. Może dlatego, że sklep jest niewielki i oferuje drobiazgi: kolczyki z perłą, maleńkie srebrne krzyżyki na srebrnych łańcuszkach, srebrne grzechotki i gryzaczki, emaliowane puzderka. Jest w nim tak mało miejsca, że już dwóch klientów robi tłok. Ale rzadko widuję, by ktokolwiek coś tu kupował, więc zazwyczaj w samotności podziwiam otwieracze do listów z porcelanowymi rączkami i lniane chustki do nosa. Zawsze tu przychodzę, kiedy potrzebuję prezentu.

Podniosłam mosiężny dzwoneczek i zadzwoniłam. Po chwili zjawiła się panna Flagler, która uchyliła zasłonę z koralików, dzielącą sklep od mieszkania, i zaprosiła mnie do kuchni.

- Jest panna Flyte - oznajmiła, jakby to była jakaś nowina.

Panna Flyte przywitała mnie z radosnym uśmiechem, jakby zachwycona, że mnie widzi. Z jakiegoś powodu jesteśmy w naprawdę dobrych stosunkach. Wymieniłyśmy zwykle ploteczki, a potem panna Flagler zaproponowała mi kakao.

Uwielbiam kakao z pianką, więc sprawdziłam stan swojego brzucha, wypchanego francuskimi grzankami, po czym przyjęłam zaproszenie. Siedziałam na swoim

ulubionym miejscu przy stole, pod niską półką, na której lubi się wylegiwać kotka panny Flagler, Albertyna. Albertyna też lubi, kiedy tu siedzę, bo wystarczy, że nieco opuści łebek i może przeżuwać moje włosy. To zdumiewająco przyjemne uczucie. Ale oczywiście panna Flagler zawsze każe jej przestać, więc Albertyna udaje, że jej słucha, po czym znów zabiera się do żucia.

Kiedy stanął przede mną kubek z kakao, szybko je zamieszałam, żeby nie wytworzył się kożuch. Panna Flagler podała mi miseczkę z piankami (szczególnie miły gest), więc wrzuciłam do kubka aż trzy. Węszcie otrząsnęłam łyżeczkę i odłożyłam ją na spodek.

- Piszę relację do gazety...

- Och, dobry Boże, tak! - wykrzyknęła panna Flagler.

- Czytamy ją od deski do deski. Tyle w niej napięcia! Emmo, jesteś świetną pisarką.

- Dziękuję. No i teraz szukam pewnej informacji, a panie być może będą w stanie mi pomóc. - Nie zawracałam sobie głowy udawaniem, że chcę przeprowadzić „wywiad”, bo żadna z nich nie potrzebuje pretekstu, żeby zacząć mówić. W ogóle nie są podejrzliwe, a wedle moich doświadczeń to rzecz niespotykana u dorosłych, z których większość zachowuje się tak, jakby każdy dzieciak trzymał nóż w zanadru.

- Chętnie ci pomożemy. Co chciałabyś wiedzieć?

- Panna Flyte wsypała do kawy trzy łyżeczki cukru i dołała gęstej śmietanki.

Uwielbiam tę kuchnię nawet bardziej niż kuchnie doktora McComba i pani Louderback. Jest tu bardzo czysto i jasno, i zawsze pachnie świeżym chlebem. Domowe ciasteczka orzechowe panny Flagler to jedyne ciasteczka (oprócz matczynych), jakie naprawdę mi smakują. Są tu drewniane krzesła, pomalowane na

różne kolory - żółty, błękitny i morski - co, jak mi się wydaje, ujawnia młodzieńczą stronę panny Flagler. Ależ ta kuchnia jest kojąca. Wyobrażam sobie, że zegar ścienny tyka tu wolniej, a kartki kalendarza nad stołem obracają się niechętniej niż gdzie indziej. Doprawdy, życie panny Flagler, upływające wśród srebra i lawendy, ma wiele atrakcyjnych cech. Jest spokojne takim rodzajem ciszy, jaki słychać nocą, gdy księżyc przyciąga do siebie morze.

- Chodzi o Woodruffów, jeśli panie ich pamiętają.

- A jakże. Przyjeżdżali tu latem. Mieli dom nad Lake Noir i drugi wiktoriański dom w Spirit Lake.

- Byli bogaci, prawda?

- Bardzo. Ich córka chodziła do wytwornej szkoły w Nowym Jorku. Niespecjalnie ją lubiłam - robiła wrażenie nadaśanej i rozkapryszonej. Czasem przychodziła do sklepu z matką, niedużą, wyblakłą kobietką, i upierała się, by jej kupić to i to, i tamto. Żeby dwudziestolatka zachowywała się jak sześciolatne dziecko!

- Nie miała własnych pieniędzy?

- Na pewno miała. Ale wiesz, jak to jest - samolubni ludzie zawsze wolą wydawać cudze pieniądze.

Jasne, że wiem. Wystarczy spojrzeć na Ree-Jane, która zawsze mnie naciąga na koktajle mleczne i tak-sówki.

Panna Flyte powiedziała:

- Odziedziczyła spory majątek, wręcz fortunę, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat. I zaraz potem wyszła za mąż. Za tutejszego chłopaka Morrisa Slade'a. Ten to miał reputację! - Mimo to uśmiechnęła się, jakby podo bała się jej taka reputacja.

.- Urodziło im się dziecko - podjęła panna Flagler - i wyobraź sobie, po kilku miesiącach ktoś je porwał.

Wprost spod ich nosa, z pokoju w hotelu Belle Rouen.

- Wymówiła to prawie jak Francuzka.

- Nad tym się właśnie zastanawiałam - przysunęłam bliżej krzesło. - Była tam pani owego wieczoru?

- Nie - odrzekła panna Flagler ze smutną miną

- albo z litości nad porwanym dzieckiem, albo z żalu, że ominęło ją całe wydarzenie.

- Ano, nie - westchnęła panna Flyte. - To był dla nas okropny szok! Ale skończyło się na niczym, to znaczy, o ile wiem, porywacz nigdy nie został schwytany, a dziecka nie odnaleziono.

- Wrócili do siebie, do Nowego Jorku - wtrąciła panna Flagler - i nigdy już nie przyjechali do La Porte. Ich dom kupili jacyś ludzie spoza miasta.

- Ale Morris wrócił, pamiętasz?

Panna Flagler kiwnęła głową.

- O, tak. Morris i ta dziewczyna Woodruffów - jakże ona miała na imię? Imogena? Tak, Imogena - rozstali się i chyba rozwiedli. Nieszczęście wystawiło ich na tak ciężką próbę, że ich małżeństwo tego nie wytrzymało.

- Sereno, nie bądź taką romantyczką. Tych dwoje w ogóle nie pasowało do siebie. Bez przerwy się sprzeczali i kłócili. Byli z tego znani. Całe szczęście, że na okrągło zatrudniali opiekunkę do dziecka. Ciekawe, czy Imogena Woodruff potrafiła choćby zmienić pieluchę.

- Jeśli o to chodzi - powiedziała panna Flagler - to Morris Slade wcale nie był lepszy. Wszyscy oprócz Imogeny widzieli, że ożenił się dla pieniędzy. To rzucało się w oczy. A już ojciec na pewno o tym wiedział. Musieli podpisać taką, jak to się nazywa, umowę przedmażeńską?

- Intercyzę - wyjaśniła panna Flyte. - Żeby w razie rozwodu nie dostał się do jej pieniędzy.

Panna Flagler dołąła kawy do filiżanek, po czym podniosła się po ronderek z kakao.

- Wiem tylko, że Morris po powrocie szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Umawiał się z dwiema dziewczynami naraz. Ten to latał za kobietami, nie ma co! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Woodruff po prostu mu zapłacił, żeby się go pozbyć.

- Ale jeśli podpisali intercyzę, Morris Slade i tak niczego by nie odziedzyczył. Moim zdaniem, dał nogę od razu, gdy zaginęła ta mała. Kochał ją na swój sposób, bez względu na to, co złego o nim powiemy. - Panna Flyte wzięła kolejne ciasteczko i przełamała je na pół. W ciszy rozległ się lekki trzask.

Nie mogłam pogodzić się z faktem, że nikt więcej o dziecku nie słyszał.

- Jak policja mogła tak po prostu przestać szukać?

- Och, Carl Mooma był bardzo przekupny, nawet jak na urzędnika państwowego.

Zmarszczyłam czoło, zaskoczona. Czy w La Porte w ogóle jest możliwa porządna korupcja?

- Przecież tu nie ma nic, czym można by kogokolwiek przekupić. - Obie zachichotały; uznały, że żartuję, chociaż mówiłam jak najpoważniej. - Ale ja też słyszałam, że pan Woodruff zapłacił policji, nie wiem dokładnie za co.

- Pewnie za to, żeby nie zadawała pytań. Tylko żeby stwarzała pozory.

- A ja słyszałam, że chodziło o to, by nie dopuścić do śledztwa FBI - rzekła panna Flagler. - Porwanie jest przestępstwem federalnym.

- Więc szeryf nic nie zrobił? - zapytałam.

Panna Flagler pokręciła głową.

- Chodził i powtarzał, że to poza granicami jego jurysdykcji. „Ta sprawa leży poza moją jurysdykcją” - deklamował, jakby właśnie nauczył się nowego słowa.

- A czyja to była jurysdykcja?

- Oczywiście, że jego; ten hotel leży niecałe cztery mile stąd.

Znowu zamilkłyśmy na chwilę, żeby się zastanowić.

- Każdy, z kim rozmawiam, mówi, że to mu przypomina sprawę Lindbergha - powiedziałam w końcu.

- Rzeczywiście - potwierdziła panna Flagler.

- Tak.

Przypomniałam sobie słowa Dwayne'a.

- To mi wygląda na inscenizację - powtórzyłam głośno. - Żeby stworzyć wrażenie, że zrobił to ktoś obcy, gdy tymczasem to był ktoś z wewnątrz, ze środka.

- To możliwe, prawda, Sereno? - zastanowiła się panna Flyte.

Czoło panny Flagler zmarszczyło się w namyśle. Stara skóra często robi na mnie wrażenie spranej, do tego stopnia, że staje się przezroczysta.

- A co jeśli on to zrobił? Morris Slade? - zapytałam.

- Co za szokujący pomysł, Emmo! - zachnęła się panna Flagler.

Panna Flyte zadumała się.

- Ale nie było żądania okupu, a przecież za każdym porwaniem stoją pieniądze.

Nie słyszałyśmy o tym, ale właściwie skąd wiadomo? Może właśnie to próbowano zatuszować? Znaczący, że ojciec porwał własną córkę dla okupu?

Zapadło milczenie, po czym panna Flyte powiedziała z boleściwą miną:

- A dziecko?

- Właśnie, co się stało z dzieckiem? - zapytała panna Flagler. - Myślisz, że dlatego tak nagle wyjechali?

- I zabrali dziecko do Nowego Jorku?

Znów umilkłyśmy, jakby chcąc ciszą uczcić wspomnienie.

- Jeżeli tak - podjęła w końcu panna Flyte - to jest najpodlejsza rzecz... - Westchnęła. - Cóż, Slade'owie z pewnością nie należeli do najlepszych rodzin w La Porte. Chyba nawet pokrewieństwo z Souderami nie wystarczy, by się uwolnić od Slade'owych genów.

O czym ona mówi?

- Chodzi pani o tych Souderów od drugstore'u? Tych z apteki Soudera?

Panna Flyte przytaknęła i odgryzła małe kęs ciasteczka.

- Souderowie to wspaniali ludzie. Niewielu ich zo stało. Dobrze wychowani, uprzejmi i bardzo inteligentni; widać to nawet po siostrach Devereau, choć to mor derczynie. Przynajmniej miały dobre maniery, temu nikt nie zaprzeczy.

Jestem pewna, że moja matka doceniłaby tę subtelność. Jednak wciąż nie mogłam zrozumieć, o czym panna Flyte mówi.

- Ale co tu mają do rzeczy panny Devereau? Coś je łączyło ze Slade'em?

- Coś? No jak to, przecież wszyscy mieli tę samą matkę, prawda? Alice Souder?

Jakby we mnie piorun strzelił. Zerwałam się tak szybko, że przestraszona Albertyna uciekła z półki.

- Chce pani powiedzieć...? - Z trudem łąpałam dech. Wyglądały na mocno zaniepokojone. - Chce pani po wiedzieć, że Morris Slade był spokrewniony z siostrami Devereau?

Popatrzyły na siebie, a potem znów na mnie.

- No jakże, był ich przyrodnim bratem, prawda? To strasznie trudne śledzić, kto jest czyim bratem ciotecznym, przyrodnim, i tak dalej. Mieli tę samą matkę, Alice Souder. Kiedy zmarł stary pan Devereau - siostry Devereau były córkami jego i Alicji - to Alicja poślubiła Williama Slade'a. Spora deklasacja, jakby się mnie kto pytał.

Stałam jak wryta, a w głowie kręciło mi się od Slade'ów, Souderów, Devereau, od samego pomysłu.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję, panno Flagler, ale muszę lecieć.

Co też uczyniłam, dosłownie, mimo ich wołania: „Emmo! Emmo!” Własne imię brzmiało obco w moich uszach, jakbym nagle trafiła do miejsca, gdzie nie ma żadnych Emm.

Popędziłam ulicą, parę razy zderzyłam się z ludźmi, którzy dzisiaj (tak mi się wydawało) jak na złość poruszali się w zwolnionym tempie, i wpadłam do Cafe Tęcza.

- Wolniej! - krzyknęła Shirl ze swego stołka przy kasie. Bąknęłam dzień dobry do kilku stałych gości przy kontuarze i przepchnęłam się w głąb sali.

- Hola! - Maud chwyciła mnie za ramię. Dochodziła jedenasta rano; szeryf powinien już być.

- Jest tutaj?

- Chodzi ci o Sama? Nie, poszedł do są...

Do sądu. Obróciłam się na pięcie i wybiegłam.

Miałam wrażenie, że pokonuję wysokie i szerokie schody po dwa albo trzy naraz. Odrobinę szybciej, a wzbijałabym się w niebo jak szpaki, kołujące nade mną, lub jak tamte jaskółki, odlatujące w morską dal. Marmurowym korytarzem pognałam do biura szeryfa

i ujrzałam go siedzącego za biurkiem, zatopionego w lekturze akt.

Na mój widok Donny aż podskoczył z wściekłości:

- Z tym konkursem to kłamstwo! Nie było żadnego konkursu! Lepiej uważaj, bo cię zamknę!

- Nie było? - usiłowałam wyglądać na zaskoczoną i zmartwioną zarazem. - Pewnie coś źle zrozumiałam.

Ale musiałam robić wrażenie zdesperowanej, bo szeryf zapytał:

- Emmo, coś się stało?

- Dowiedziałam się... - Urwałam. Dlaczego urwałam?

- Czego się dowiedziałas? - Szeryf wstał zza biurka i podszedł do mnie.

- Chciałam panu powiedzieć... - Co właściwie? Nic, co by go obeszło, bo niby dlaczego? Nie była to sprawa dla policji; nie popełniono przestępstwa. - Chodzi o to porwane dziecko...

Donny parsknął, za co został smagnięty spojrzeniem jak brzytwa.

Szeryf odwrócił się do mnie.

- Emmo, chyba się pogubiłem. Mówisz o Slade'ach?

Może to szydrczy uśmiech Donny'ego sprawił, że przypomniałam sobie panią Davidow, Ree-Jane, nawet swojego brata, i oblałam się rumieńcem wstydu. Nie mogłam mówić dalej. Ale czego się wstydziłam? Że wpadłam tutaj, jakbym zawiadamiała o karambolu na dziesięć samochodów? Nie. Chodziło o to, że miałam do powiedzenia coś, na czym mi ogromnie zależało. A czułam, że nie powinno. Czułam, że nie powinno mi na niczym ogromnie zależeć. Tak, to było to.

A poza tym, szczerze mówiąc, wcale nie byłam pewna, czy chcę, by ktokolwiek jeszcze się dowiedział.

Wróciłam do redakcji „Konserwatysty” na ulicy Dru-
giej, gdzie zastałam pana Gumbrela wciąż jeszcze sie-
dzącego za biurkiem. Na mój widok trochę wyjaśniał, co
podniosło mnie na duchu, bo nie jestem przyzwyczajona,
żeby ktoś się rozpromieniał z mojego powodu.

- Skończyłaś odcinek na przyszły tydzień, Emmo?

- Muszę go tylko przejrzeć. - Od ostatniego spotkania
nie napisałam ani słowa. - Trzeba sprawdzić kilka rzeczy
z tła. - Jak ja uwielbiam to słowo. - Na przykład
morderstwo Rose Queen i tak dalej. - Czy w ogóle istniało
jakiś „dalej”? Po tym, jak Rose została zadżgana
szczęcioma ciosami noża i umarła w kałuży własnej krwi?

- Jasne. Wciąż próbujesz pomóc Benowi Cjueenowi?

Przytaknęłam, choć nie dlatego tu przyszedłam.

Pan Gumbrel pokręcił głową:

- Nie wiem, czemu Sam DeGheyn tak się przy nim
upiera, zważywszy na to, że Ben ocalił ci życie.

- Cóż, pewnie nie może pozwolić, by uczucia prze-
szkadzały mu w pracy - odrzekłam, czując, że okazuję
prawdziwą wielkoduszność.

Ale pan Gumbrel fukał jeszcze, gdy szliśmy z biura na
zaplecze, do zatęchłego pokoiku, który zdażyłam już
poznać. Lubię zapach farby drukarskiej i starego papieru;
te stare gazety działają na mnie kojąco, jakby specjalnie tu
czekały, aż będą mi potrzebne.

- Jesteś chyba jedyną osobą, która tu jeszcze zaglą-
da. Nikt już nie sprawdza tego, co piszemy. - Obrzucił
wzrokiem stosy papieru i metalowe stelaże półek, po
czym ciężko westchnął.

Chyba myślał o lepszych czasach niż obecne, kiedy sprawdzano wszystko od rana do nocy. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach, aż zrobiło mi się go żal. Naprawdę go lubię - choćby z tego powodu, że powiedział Ree-Jane, że nie, nie zgadza się, by prowadziła w gazecie stałą rubrykę, ponieważ nie ma żadnego doświadczenia, nie licząc maleńkiej notatki, którą napisała o turnieju tenisowym. A tej ostatniej też by nie zamieścił, gdyby nie Lola Davidow, która najpierw osłabiła jego wolę za pomocą drinków, po czym wymusiła na nim obietnicę, że wydrukuje notatkę Ree-Jane o dorocznym turnieju, organizowanym każdego lata w Spirit Lake. Ree-Jane, oświadczył jej w oczy, wie za mało o tenisie, a także, na dobrą sprawę, o czymkolwiek, żeby móc pisać do „Konserwatysty”.

Bardzo mi się podoba szczerość pana Gumbrela; spodobałaby mi się każda osoba, która szczerze mówiłaby takie rzeczy o Ree-Jane. Niewykluczone, że Aurora Paradise zyskała w moich oczach głównie dlatego, że rzuciła w Ree-Jane skrzydełkiem kurczęcia.

Staliśmy przy stoliku, na którym piętrzyły się stosy tygodników, głównie „Life'u”. Numer na samym wierzchu miał przepiękną okładkę, świąteczną, z padającym śniegiem na czerwonym tle. Ubrana na czerwono kobieta wrzucała kartki bożonarodzeniowe do skrzynki pocztowej, a jej strój zlewał się z tłem, tak że nie sposób było stwierdzić, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna.

- To naprawdę ładne - powiedziałam.

- A tak - pan Gumbrel rzucił okiem - to jedna ze Znikających Dziewcząt Colesa Phillipa. Słyszał z tej techniki. Pewnie jest ich więcej na tej stercie. - Skinął głową ku czasopismom, a następnie wskazał mi półki w głębi

pomieszczenia. Wyjaśniłam, że wiem, gdzie są właściwe numery „Konserwatysty”, bo już je przeglądałam.

- No to cię zostawiam. - I wyszedł.

Ukłękałam przy najniższej półce i wyciągnęłam kilka starych egzemplarzy gazety. Nie musiałam ich wertować zbyt długo: nazwisko Bena Queena figurowało w nagłówkach co najmniej trzech numerów. Mnie jednak potrzebne były nie słowa, lecz obrazy. Chciałam jeszcze raz spojrzeć na zamieszczone tu zdjęcie Rose Devereau: elegancki portret, wykonany w miejscowym zakładzie fotograficznym kilka lat przed jej śmiercią. Przedtem widziałam tylko jej podobiznę u Aurory Paradise oraz fotografię wszystkich sióstr Devereau w znacznie młodszym wieku, wiszącą na ścianie w ich opuszczonym domu.

Znalazłam egzemplarz gazety sprzed dwudziestu lat. Nazywała się wówczas inaczej - „Konserwatywne Ramię” - i była wydrukowana znacznie wymyślniejszym krojem pisma, a z obu dużych liter „K” i „R” wyrastały drobne listeczki. Straszny nagłówek niemal mnie osłepił:

BRUTALNE MORDERSTWO KOBIETY W COLD FLAT JUNCTION

Poniżej widniał wizerunek Rose, a obok niego relacja z miejsca zbrodni. Jeszcze niżej zamieszczono dwa małe zdjęcia Bena Queena i jego córki Fern. Skupiłam się na fotografii Rose. Miała sukienkę z dekoltem w serduszko, na szyi mały krzyżyk na delikatnym łańcuszku, który wyglądał, jakby pochodził ze sklepu „Pod Dębem”, a jej sięgające ramion włosy były bardzo jasne i lśniące, wręcz przezroczyste. Wyjęłam zdjęcie z tylnej kieszeni i położyłam je obok. Byli do siebie tak podobni, że

można by ich uznać za bliźnięta - Rose DevereauQueen i Morris Slade.

Oto, kogo mi przypominał, ale oczywiście nie od razu na to wpadłam; początkowo uległam sugestii, że musi być podobny do jakiegoś mężczyzny. Wspomniałam, co pomyślałam, oglądając u Aurory zdjęcia starego pana Woodruffa i jego córki Imogeny: „W takim stopniu, w jakim kobieta może być podobna do mężczyzny”.

Rosę była starsza od Morrisa o mniej więcej piętnaście lat. Ciekawe, jak wyglądał stary pan Devereau? Nigdy nie widziałam jego wizerunku, ale trzy siostry Devereau musiały być podobne właśnie do niego, bo z pewnością nie odziedziczyły urody po matce, Alice Souder... Wygląd przechodzi z osoby na osobę, tak uważa Aurora. (Mój brat wygląda jak nasz ojciec, lecz ja nie jestem podobna do żadnego z rodziców. Może wyglądam jak jakaś daleka ciotka?)

Ale Morris Slade? Był podobny jak dwie krople wody zarówno do Rose, jak i do Alice Souder, matki ich obojga.

Najokrutniejsze zabójstwo, jakie kiedykolwiek zdarzyło się w tych stronach...

- donosił dalej artykuł. Według mnie było to słabe dziennikarstwo i jeszcze gorsze pisanie. Gdyby nie fakt, że wszystko działo się dwadzieścia dwa lata temu, mogłabym pomyśleć, że w gazecie pracowała wówczas Ree-Jane. To jej rodzaj języka.

...miało miejsce wczoraj wieczorem w posiadłości państwa George'ostwa Cjueenów, gdy ich szwagierkę, Rose Queen Devereau, znaleziono brutalnie zadźganą w stodole za domem.

Dalsza relacja zawierała opis ataku i kończyła się mrocznym akcentem - podejrzany o tę zbrodnię mąż ofiary, Ben Queen, nie został jeszcze schwytany.

Ależ kłamali! Osobiście wykryłam, że Ben Queen był w chwili zabójstwa w sklepie z karmą w Hebrides, gdzie pojechał jak co tydzień uzupełnić zapasy. Skoro ja się tego dowiedziałam, mogła to zrobić również policja, gdyby się tak nie napaliła, żeby natychmiast wsadzić Bena Queena do aresztu. Policja powinna się była tego dowiedzieć.

Ale Ben Queen w ogóle się nie bronił, w ogóle nie przedstawił alibi i w ogóle nie zeznawał na procesie.

To milczenie zawsze sprawia, że chce mi się płakać, bo wiem, jaka była jego cena.

Śledztwo (jeśli można tak to nazwać) prowadzili policjant stanowy Willard Plum oraz szeryf Mooma, który oświadczył: „Nie spoczniemy, póki sprawca tego brutalnego mordu nie stanie przed sądem”. Ale szeryf Mooma wyłącznie spoczywał. Aurora uważała go za śmierdzącego lenia, lecz funkcję szeryfa pełnił jeszcze przez dziesięć lat.

W końcu zamknęłam gazetę i odłożyłam cały stos z powrotem na półkę. Siedziałam bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń, a raczej w szarą betonową ścianę przed sobą. Położyłam na niej dłoń, nie bardzo wiem, po co. Była zimna i twarda. Może się bałam, że moja ręka przejdzie przez nią na wylot? Może zbyt długo zadawałam się z duchami?

Siedziałam więc i rozmyślałam, aż wreszcie spośród wszystkich zwariowanych rzeczy, które przychodziły mi do głowy, wyłonił się Duży Garaż i *Medea*. Cała sprawa Devereau-Slade-Queen była kompletnie grecka! Zemsta i zemsta, i znowu zemsta. Najpierw została zamordowana Mary-Evelyn Devereau, potem, jakby za karę, że do tego dopuściła, Rose zginęła z ręki swej córki Fern, a potem ktoś zabił Fern - a ja uznałam, że uczyniła to Dziewczyzna, którą błędnie uznałam za córkę Fern.

Ale co w takim razie miał z nią wspólnego Ben Queen? Nie była jego wnuczką, więc dlaczego chciał wziąć winę na siebie...

A może popełnił ten sam błąd co ja?

Wzdrygnęłam się i usiadłam prosto. Głowa tak mi zaciężała od całej tej koncentracji, że niemal zasnęłam.

A może ją widział? I może wziął ją za dziecko Fern tylko na podstawie wyglądu? Wiedział, że kilka lat po morderstwie Rose Fern wyjechała z Cold Fiat Junction. Queenowie mu powiedzieli - nawet jeżeli George trzymał język za zębami, chcąc mu oszczędzić dodatkowego cierpienia, z pewnością zrobiła to Sheba. A Sheba nie jest zainteresowana oszczędzaniem komukolwiek cierpienia, natomiast, inaczej niż jej mąż i szwagier, uwielbia sekrety i plotki. Nie milczałaby na temat „odmiennego stanu” Fern.

Co w takim razie stało się z dzieckiem Fern? Może poroniła (cokolwiek to znaczy, nie brzmi najlepiej), albo ktoś je adoptował, albo poszło do sierocińca?

Niełatwo jest być dzieckiem, o nie. A założę się, że jeszcze trudniej jest być dzieckiem porwanym.

Podniosłam się z westchnieniem i podeszłam do drzwi, przystając na chwilę, by jeszcze raz spojrzeć na „Life” i cudowną okładkę, na której czerwień wtapiała się w czerwień.

Ukradzione dziecko. Znikająca Dziewczyna.

25

Fakt, że myliłam się co do Dziewczyny, nie dotknął mnie tak bardzo, jak można sądzić. To dlatego, że już

dwukrotnie rozwiązałam zagadkę; nie myliłam się, dostrzegając związek Dziewczyny z Rose Devereaux czasów, kiedy jeszcze nazywała się Souder, a wymyślone przed chwilą drugie rozwiązanie było jeszcze bardziej podniecające. W końcu, nie codziennie rozstrzyga się sprawę, na której wszyscy - w tym policja, może nawet policja nowojorska - połamali sobie zęby. O nie, z pewnością nie codziennie.

Cóż, trzeba uczciwie przyznać, że policja nie widziała Dziewczyny, a ja tak. I rzeczywiście, trzeba było ją zobaczyć, żeby zacząć się zastanawiać. Na pewno widzieli ją również inni ludzie - w pociągu lub w La Porte - ale nie zwrócili na nią uwagi. Nikt nie zapytał: „Kim jest ta dziewczyna? Czy już jej gdzieś nie spotkałem? Chyba mi kogoś przypomina? Może twarz na fotografii?”

A poza tym, ja widziałam ją kilka razy. Tyle że mnie interesują zaginieni ludzie, którzy znikają niemal na naszych oczach, którzy robią wrażenie samotnych i opuszczonych - ludzie, których okradziono ze wszystkiego, nawet z imion. I nie tylko ludzie, ale również zwierzęta i pejzaże, jak to rozległe pole przy stacji w Cold Fiat Junction i daleka linia granatowych drzew, istny pejzaż zapomnienia. I kot hotelowy, który potrafi zatonać w porannej mgłę, lub jelenie w zimie, pijące ze strumienia, a nawet strumień.

Nagle, bez ostrzeżenia, pojęłam, że coś odeszło, że coś zniknęło mi sprzed oczu, nie tylko z mojej wyobraźni. Nie, coś naprawdę przepadło. Ogarnął mnie lęk i wstałam raptownie. Tego już było za wiele: Dziewczyna, porwane dziecko, zaginieni ludzie, jelenie, stary hotel. Rzuciłam gazety i wyszłam z redakcji.

Powstrzymałam się przed wyznaniem szeryfowi, co odkryłam na temat Dziewczyny. Czy naprawdę obe-

szłoby go coś, co się zdarzyło, kiedy nawet nie był szeryfem? Z drugiej strony, obchodził go Ben Queen, prawda? A przynajmniej obchodziło go, by go znaleźć. Oczywiście, to nie to samo. Ale chyba nieszczęśliwie mu zależało, by odkryć prawdę. W przeciwnym razie pojechaliby do Hebrides i porozmawiał ze Smittym w składzie pasz Smitha, i dowiedziałby się, że Ben Queen miał alibi, chociaż go nie wykorzystał. Cóż, wiadomo dlaczego - z powodu Fern.

Szłam ulicą do Cafe Tęcza, kopiąc kamyk czubkiem buta, i czułam coraz większe rozdrażnienie. Wręcz zgłodniałam od całego tego myślenia. A może od całego tego uczucia. Bo tam, w archiwum, kiedy poczułam, że coś odeszło z mojego życia, moje myśli (a może serce) skierowały się ku wspomnieniu rolady szynkowej mojej matki oraz anielskiego placka. To dziwne, że w takiej chwili pomyślałam o jedzeniu, lecz byłam głodna, nie będąc głodną. Byłam głodna, byłam spragniona, byłam pusta; sama nie wiem, jaka byłam.

Przy aptece Souderów zatrzymałam się przed wystawą. Zawsze wygląda tak samo: reklamy odżywki do włosów Vitalisa i wody Soir de Paris, mała otwarta srebrna puderniczka, delikatna smuga jasnego pudru, a obok para długich, błękitnych, jedwabnych rękawiczek. Pasowały do perfum i pudru. Spodobalyby się paniom na dancingu w Belle Ruin.

Wnętrza apteki prawie nie było widać, taki panował w niej mrok przez całe to ciemne drewno, brak górnego oświetlenia i cienie, jakie rzucał wentylator pod sufitem. Stary pan Souder, który mimo trzęsących się rąk nadal sporządza leki na recepty, prawie nie wychodzi z zaplecza, pozostawiając pani Souder obsługę automatu do koktajli oraz sprzedaż Yitalisa i Soir de Paris. Nawet mia-

lam ochotę wpaść na koktajl czekoladowy - przy okazji mogłabym zapytać panią Souder o Morrisa Slade'a, gdyż zapewne był z nią spokrewniony. Ale wiedziałam doskonale, że pani Souder prędzej porozmawia z klamką u drzwi, niż ze mną, dwunastolatką. A w ogóle to był tylko pretekst, by wypić koktajl. W gruncie rzeczy to żalosne - wystarczy koktajl czekoladowy, by wyrwać mnie z chandry. Zastanowiłam się, czym właściwie jest chandra, westchnęłam i pomaszero wałam do Cafe Tęcza.

26

Shirl waliła dwoma palcami w klawisze kasy, aż szufladka wyskoczyła z rozmachem, jakby też chciała kogoś walnąć. Powiedziałam Shirl cześć, ale nie odpowiedziała.

Wanda chyba miała swoją trzypięciominutową przerwę, bo stała przy automacie do koktajli z kubkiem kawy w ręce i jadła pączka z tęczą posypką.

- Cześć, Wanda - powiedziałam, wdrapując się na kryty sztuczną skórą stół obok Dodge'a Hainesa, który zaraz zaczął chrząkać i szturchać mnie pod żebra, jakbyśmy byli kumplami. Może dlatego lubię klientów w barze Na Wietrznym Szlaku - przynajmniej nie zbliżają się do człowieka fizycznie.

- Cześć, złotko. - Odstawiła kawę i odłożyła pączek na serwetkę. - Co ci podać?

- Wanda, przecież widzę, że masz przerwę. Nie powinnaś nikogo obsługiwać.

Machnęła ręką.

- Och, zostało mi ledwie pół minuty. Wszystko w porządku.

Ale w pół minuty można sporo zrobić. Powiedziałam Jej to.

- Mogłabyś dać nurka do Lake Noir, powiedzieć „Tak”, zastrzelić Shirl...

Wanda uznała, że to przezabawne, i aż zgięła się ze śmiechu. Z jakiegoś powodu przebywanie z Wandą poprawia mi humor. Może dlatego, że jej zdaniem, warto mnie obsłużyć, nawet w czasie trzyminutowej przerwy. No, nie wiem.

Wychyliłam się, próbując dojrzeć, kto siedzi w ostatnim boksie, przeznaczonym dla personelu.

- Wanda, jest szeryf?

Zsunęłam się ze stołka, w przelocie rzuciłam dzień dobry burmistrzowi Simsowi i Buddy'emu Dubois -o tej nietypowej godzinie byli jedynymi klientami przy kontuarze - i ruszyłam w stronę ostatniego boks.

Nie do wiary. Stałam jak wryta.

O, tak, szeryf istotnie siedział w ostatnim boksie. A naprzeciw niego siedziała Ree-Jane, z miną kota, który zeżarł kanarka. Ree-Jane! To nie była weranda ani jadalnia, ani jej pokój, pełen ciuchów od Heather Gay Struther, ani nawet warsztat Sława. To był ostatni boks w Tęczy.

Nie pokazałam nic po sobie. Jestem gwiazdą ukrywania, co czuję. Gdyby za zatajanie uczuć dawali Oscary, miałabym cały ich rząd na toaletce. Jestem wyjątkowa. Tylko ja to potrafię.

Więc się uśmiechnęłam i usiadłam.

- Cześć - powiedziałam do szeryfa, Ree-Jane zaś zapytała: - Co ty tu robisz? - Ze znużeniem, jakby to, że ona tu siedzi, nie obchodziło mnie nic a nic.

Ale Perry Mason powinien był nauczyć mnie jednego: nie zadawaj pytań, jeśli nie jesteś pewna odpowiedzi.

- Odkryłam coś, o czym Sam powinien wiedzieć. „Sam”. I ten uśmieszek samozadowolenia.

Szeryf sięgnął po leżący na stole przedmiot i równocześnie uczyniła to Ree-Jane. Wręcz przykryła jego rękę swoją!

Ktoś tu zwariował.

Szeryf cofnął dłoń, zabierając to coś, zawinięte w serwetkę.

- Myślisz, że to dobry pomysł, żeby powiedzieć, no wiesz...? - zapytała Ree-Jane, wskazując na mnie gestem głowy. „No wiesz” - jakbym była niedorozwinięta i nie rozumiała, o kim ona mówi, póki nie nazwie mnie po imieniu. Zacisnęłam zęby, lecz udało mi się zachować obojętną minę.

- Nie wyobrażam sobie nic lepszego - odparł szeryf. - To w końcu Emma pisze relację z tych zdarzeń i ona przede wszystkim powinna to zobaczyć. - I odwinął serwetkę.

Nie wierzyłam własnym oczom. Przede mną leżał pistolet i rurkowata podstawa do główki Artysty George'a, którą schowałam w małej wnęce przy źródle niedaleko domu sióstr Devereau. Szczeka mi opadła; z ust wydobyły się dźwięki, którym nie potrafiłam nadać kształtu słów. Zrozumiałam, jak się czuje Ubub. Wlepiłam wzrok w Ree-Jane i jej mizdrzący się uśmieszek.

- Otóż Regina Jane... - zaczął szeryf.

- R.J., Sam. - Pochyliła się ku niemu. - Ostatnio nazywam się R.J.

Czy w Cafe Tęcza czekały mnie dzisiaj same niespodzianki? R.J.?

- Otóż, jak mówiłem - ciągnął szeryf, w zasadzie ją ignorując - Regina Jane przyniosła mi te dwie rzeczy. Mówi, że znalazła je przy Kryształowym Źródle nad Jeziorem Duchów. Mówi, że jest tam wydrążony w skale otwór, gdzie stoi kubek do picia. Ta mała rurka była schowana za kubkiem. A za nią leżał pistolet.

Na jego dłoni broń wyglądała jak zabawka, zupełnie jak na dłoni Bena Queena, kiedy go widziałam pierwszy raz. Gapiłam się na oba przedmioty, przenosząc wzrok z pistoletu na nóżkę Artysty George'a (jednej z figurek do gry „Pan Ree”) i z powrotem. Byłam pewna, że to Dziewczyna zostawiła ją w skalnej dziupli, i choć nie znalazłam żadnego listu, sama podstawka też stanowiła wiadomość, której po prostu jeszcze nie odszyfrowałam. Ale pistolet widziałam tylko jeden, jedyny raz, kiedy Ben Queen wziął go z fotela w domu panien Devereau i wsadził do kieszeni. Podniosłam wzrok. Co Ree-Jane robiła nad Jeziorem Duchów? Przecież nigdy tam nie chodzi - jest za leniwa, by iść trzy czwarte mili na piechotę.

Wtem przypomniałam sobie wrażenie, że ktoś mnie śledzi. To była ona! Tak się wściekłam, że poczułam, jak twarz okrywają mi czerwone plamy. Jakoś nie umiem ładnie się rumienić.

- Coś się stało? - zapytała Ree-Jane z tym swoim uśmiechem, którym maskuje szyderstwo. - Prze prowadziłam dochodzenie. - Wskazała na notes oprawny w brązową skórę. - Robiłam notatki. Po prostu wiem, że w twojej relacji brak pewnych rzeczy. Popatrz - uniosła figurkę Artysty George'a i wyciągnęła główkę z pod stawki - założę się, że właśnie tego używał Ben Queen, żeby się z kimś porozumiewać.

Było jasne, kim jej zdaniem jest ten „ktoś”.

- Założę się, że pistolet też należy do niego - ciągnęła.
- Założę się, że to z niego zabito biedną Fern Queen. -
Złapała się za czoło i zamknęła oczy, jakby ją to
cokolwiek obchodziło. - Wyobraźcie sobie tylko, jedno z
rodziców zabija własną córkę!

Znam co najmniej jedną matkę, która chętnie by coś
takiego zrobiła pewnego pięknego dnia. Bałam się
podnieść głowę i spojrzeć szeryfowi w twarz. Ree-Jane
wtargnęła w moje życie i zajęła moje prywatne miejsce;
miałam wrażenie, że z wściekłości zaraz eksploduję i ro-
zerwę się na kawałki, które rozprysną się po całej Cafe
Tęcza. Gorący rumieniec zniknął z mojej twarzy, która
pobladła niemal do białości. Mimowolnie przysunęłam
się do szeryfa; musiałam znaleźć jakąś istotę ludzką (w
odróżnieniu od Ree-Jane), o którą mogłabym się oprzeć.
Szloch i łzy wzbierały we mnie niczym lawa z tego
wulkanu we Włoszech, który wybuchnął i zasypał całe
miasto, zamieniając jego mieszkańców w posągi.
Pocieszyłam się wyobrażeniem Ree-Jane w postaci
czarnego kamienia z głupim uśmiechem na twarzy, po
czym zlodowaciałam, żeby zamrozić łzy, zanim dotrą do
oczu. W gardle poczułam małe łaskoczące soplełki.

Ręka szeryfa, której dotykałam ramieniem, była przy-
jemnie ciepła. Zaryzykowałam i zerknęłam na niego;
patrzył na Ree-Jane i nie wyglądał na zadowolonego.
Miał twarz jak wykutą z granitu, więc przez chwilę
przeraziłam się, że jednak to się stało - że wybuchnę-łam,
spłynęłam zboczem strasznej góry i zamieniłam go w
kamień. Najwyraźniej usiłował nad sobą zapanować,
więc chyba też był wściekły, po chwili jednak trochę się
rozluźnił i objął mnie za ramiona.

Swoją ręką. Moje ramiona. To prawie rekompensowało fakt narodzin. Wyprostowałam się tak nagle

i sprężyście, że mogłabym służyć za cięciwę łuku. Szeryf poklepał mnie po ramieniu, zabrał rękę (zostawiając jej ciepło), pochylił się nad stołem i rzekł śmiertelnie cichym głosem:

- Rzecz w tym, Regino, że żadna z tych rzeczy, ani podstawka, ani pistolet, nie ma znaczenia dowodowego...

0 radości! Teraz Ree-Jane okryła się płamami!

- ...bo \i ten sposób - podniósł podstawkę - przez kazują wiadomości dzieci...

(Nie byłam pewna, czy mi się to podoba).

- ...a nie dorosły mężczyzna, taki jak Ben Queen. A to - podniósł pistolet - nie jest narzędzie zbrodni.

Szczęka jej opadła. (Prawdę mówiąc, mnie też by opadła, gdyby nie fakt, że szybko ją powstrzymałam. Ale poza tym, to jakbym patrzyła w lustro, tyle że nie chwając się, jestem ładniejsza.)

- Jak to? To jego broń! Wiem, że tak! - Skrzekliwy głos niósł się po całej sali.

- Nie masz zielonego pojęcia o broni. - Wepchnął pistolet za pas, tak jak zrobiłby to Ben Queen. - Tak czy inaczej, zabieram go. Dzieciak nie powinien chodzić z pistoletem.

Dzieciak, dzieciak! Mimo że siedziałam w boksie, z trudem się powstrzymywałam, by nie podskoczyć.

Ree-Jane zsiniała. Przeobrażała się na moich oczach, roztapiała jak zła czarownica. Jej usta wygięły się w podkówkę, ostatecznie pozbawione drwiącego uśmiešku.

A szeryf najwyraźniej jeszcze nie skończył!

- Lepiej miej się na baczności, Regino Jane. Jak będiesz się dalej wygłupiać, to cię oskarżę o utrudnianie dochodzenia. Nie mogę pozwolić, żeby ludzie działali na własną rękę, a już na pewno nie dzieci.

Znów to słowo!

- Co innego Emma; ona została mimowolnie wplątana i muszę powiedzieć, że zachowała się po prostu jak bohaterka.

W tej chwili rozumiałam, co to znaczy omdlewać z zachwytu. Opadłam na wysokie oparcie, jednak nie mogłam pozwolić sobie na omdlenie - nie chciałam przepuścić ani słówka.

- Wyobraź sobie, Regino Jane, tylko sobie wyobraź: idziesz przez ciemny las, za tobą skrada się wariatka, a ty...

- Z bronią w ręku - przypominałam mu. - Wariatka z bronią w ręku. - Kto by pomyślał, że zapomni o tym szczególe.

Kiwnął głową i jakby zagryzł wargę.

- Słusznie, z bronią w ręku.

Kap, kap. Coraz bardziej płynna Ree-Jane wręcz ściekała z siedzenia.

- Myślisz, że ty byś wytrzymała? Szczerze w to wątpię.

W tym momencie zatykałam już usta obiema pięściami, chyba chcąc coś powstrzymać, głośny śmiech lub okrzyki triumfu. Zupełnie skołowana Ree-Jane nie mogła pojąć, co zrobiła źle. Naprawdę miała pecha.

Szeryf oznajmił, że już na niego pora, więc wstałam, żeby mógł wyjść z boksu.

Trzeba oddać Ree-Jane sprawiedliwość: miała dość bezczelności, by spojrzeć na niego z niedowierzaniem i nawet przywołać na twarz cień szyderstwa.

- Skąd wiesz, że to nie ta broń?

Tak jest, udało się jej wyskoczyć z kolejnym głupim pytaniem. Doceniam to. Można by sądzić, że zrozumie lekcję i będzie siedzieć cicho. Ale nie ona.

Szeryf przystanął i poprawił na nosie ciemne okulary.

- Bo jestem szeryfem.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by powiedział cokolwiek choć odrobinę tracącego zarozumiałstwem. Ale teraz podciągnął pas z kaburą, włożył do ust kawałek starej gumy żurawinowej (wiedziałam, że jest stara, bo sama mu ją dałam tydzień temu; szeryf z jakiegoś powodu zuje gumę tylko wtedy, gdy dostanie ją ode mnie) i zatykając kciuki za pas jak Donny Mooma, dodał:

- Oto, skąd wiem. - I wyszedł rozkołysanym krokiem.

Z szafy grającej popłynęła nowa piosenka *A Fool Such As I*.

*Wybacz mi, że wzruszyłam się ogromnie,
Gdy żegnałam się z tobą tego dnia...*

- zawodziła Patsy Cline. Pomyślałam, że to doskonały akcent na pożegnanie szeryfa.

Ree-Jane została tylko ja, więc łypnęła na mnie i otworzyła usta, jakby szykowała jakiś straszliwy afront.

- Wydaje ci się, że jesteś strasznie cwana!

Aż się wzdrygnęłam na dziecinność tej obelgi i prawie zrobiło mi się jej żal. Wstała gwałtownie, zamiatając stół nową niebieską sukienką od Heather Gay Struther, i wybiegła z Tęczy, nie reagując na pozdrowienia Buddy'ego Dubois i Dodge'a Hainesa, wołających: „Cześć, Ree-Jane!”

Patsy zawodziła nadal:

...bo się zdarza taka głupia jak ja.

Miły akcent na wyjście Ree-Jane. Tylko piosenka o wiele za ładna.

Niewiele jest uciesh w moim życiu, ale przez te pół godziny w Tęczy doświadczyłam ich tyle, że starczy mi do samej śmierci.

Pomachałam Wandzie na do widzenia, a ona mi odmachala. Obie uśmiechałyśmy się szeroko.

Obie miałyśmy trzyminutowe przerwy w trudzie naszego życia.

27

Teraz to już naprawdę musiałam porozmawiać z szeryfem, bo skoro sądził, że Fern nie zastrzelono ze znalezionej broni, to może zmienił zdanie także w kwestii Bena Queena. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą poniekąd go bronił. Wróciłam więc do Tęczy, poprosiłam Wandę, żeby zapakowała mi do torby sześć pączków, po czym przeszłam przez ulicę do gmachu sądu z nadzieją, że szeryf tam jest, a Donny'ego nie ma.

Nic z tego.

Donny kiwał się na fotelu szeryfa, położywszy na jego biurku stopy w wielkich butach. Zawsze się stara, żeby kabura z bronią była widoczna, nawet kiedy siedzi. Dwayne z jakiegoś powodu nazwał go kiedyś kowbojem, a ja odpowiedziałam, że nie umiałby kowbojować nawet konia. Jest niski i chudy jak patyk, i pewnie stąd się biorą jego przechwałki i nadużywanie władzy przy każdej okazji (jak wtedy, kiedy wycelował pistolet w starego psa na chodniku i zaczął krzyczeć: „Cofnąć się, cofnąć się, mamy tu wściekle zwierzę!”, aż żona burmistrza Simsa, do której należy ten pies - wszyscy

znają Timmy'ego - wyszła ze sklepu i powiedziała Donny'emu, żeby się nie wyglupiał, bo Timmy przed chwilą dopadł kostkę lawendowego mydła od panny Flagler, po czym Donny zmył się jak niepyszny). Prawdopodobnie samo stanie obok szeryfa wpędza go w takie kompleksy, że wpada w skrajność, wrzeszczy, sady się i zatrzymuje samochody, kiedy chce przejść przez ulicę, żeby po prostu pokazać, że może. Widząc mnie w drzwiach, powiedział:

- No, no, nie oglądałem cię chyba całą dobę. - I machając ręką, dodał: - Sama nie ma.

- Przed chwilą był w Tęczy. Gdzie się podział?

- To informacja po-uf-na. Co tam masz? - Skinął głową w stronę białej torby, doskonale wiedząc, skąd pochodzi. Uniosłam ją wyżej.

- Przyniosłam pączki dla ciebie, szeryfa i dla siebie. W sumie sześć. Ale skoro nie wygrałeś konkursu, możesz zjeść wszystkie.

Wyciągnął szyję niczym zółw.

- Z tych nowych, z tą, no, wysypką?

- Tak. Niektóre są kolorowe, a niektóre z czekoladową posyp... znaczy, wysypką.

Spuścił nogi z biurka i przywołał mnie zamaszystym gestem.

- No, to dawaj je tu, dziewczyno, nie będę czekać cały dzień. Sam pojechał do Hebrides i zostawił mnie samego ze stertą roboty. - Zajrzał do torby i wyjął pączek z kolorową oraz czekoladową posypką.

Było mi wszystko jedno. Za informację, że szeryf udał się do Hebrides, mogłam dać Donny'emu nawet całą torbę. Bo jeśli szeryf tam pojechał, to może zamierzał przesłuchać Smitty'ego, starego właściciela składu pasz Smitha, który zapewniał Benowi Cjueenowi alibi na czas,

gdy zamordowano Rose Queen. Wręcz mnie rozsadzało, żeby się tego dowiedzieć. Ale Donny nigdy mi nic nie wyjawiał, po prostu dlatego, że wie, że mi zależy.

- Cóż - westchnęłam, stawiając torbę na biurku - pewnie pojechał porozmawiać z panną Stump.

Z pełnymi ustami Donny wykrztusił:

- A kto to jest, do jasnej anielki?

- Panna Jean W Stump? Ma sklepik z przyborami krawieckimi. Przyszło mi do głowy, że do niej pojechał, bo widziałam, jak zapisywał w notesie jej inicjały, JWS.

- Ha, ha, ha! - zarechotał przeciągle, przełykając kawałek pączka z czekoladową posypką. - Widać, jak się słabo orientujesz. - Zrobił zeza, usiłując dostrzec posypkę na powierzchni pączka. - Te litery oznaczają J.W Smitha, właściciela składu pasz. - Znów przeżuwał przez chwilę, po czym rzucił: - Wydaje ci się, że jesteś strasznie cwana, co nie?

Ee-hmm.

Miałam ochotę pomaszerować prosto do Tęczy i kupić Wandzie tuzin pączków za to, że poleciła mi te z posypką. Szczerze uważam, że dzięki nim hipnotyzują ludzi, którzy wówczas dają mi to, czego chcę. Może któregoś dnia znów ją przyłapię na trzyminutowej przerwie.

28

Dzień był tak podniecający, że wytrzymałam nawet towarzystwo Delberta w taksówce do hotelu. „Wytrzymałam” nie oznacza, że podjęłam z nim konwersację (Każdy dzień mógł być aż tak podniecający?), jednak nie

rozciągnęłam ust palcami i nie pokazałam języka jego plecom. Nie,jechałam spokojnie, i jak na mnie, dystyn-gowanie; siedziałam prosto i nie kładłam się na tylnym siedzeniu, żeby nie mógł mnie zobaczyć w lusterku wstecznym. Zmusiłam się, by na kilka jego głupich pytań odpowiedzieć „mhh-mm” albo „aha”, czasem nawet używałam prawdziwych wyrazów. Ale przede wszystkim wciąż odtwarzałam w myślach straszne upokorzenie Ree-Jane, uśmiechając się tak szeroko, że Delbert w końcu zapytał, z czego się tak cieszę (jedno z pytań, na które odpowiedziałam słowami).

- Z niczego - odparłam, co było okropnie głupie, bo oczywiście zaraz zapytał, czemu w takim razie się uśmiecham.

- Po prostu robię ćwiczenia twarzy - odparłam.

- Ale wyglądasz na strasznie zadowoloną.

W tym momencie ednak osunęłam się na podłogę taksówki, co nawet jak na mnie było pewną przesadą. Czemu zwyczajnie nie powiedzieć, że znalazłam na ulicy banknot dwudziestodolarowy? Byłby to zadowolający powód mojej radości i Delbert mógłby dalej gadać do siebie i nie zawracać mi głowy.

- Znalazłam na ulicy dwudziestodolarówkę.

- No, miałaś szczęście, ale może powinnaś ją zwrócić.

- Delbert, to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! Zwrócić komu?

Wzruszył ramionami.

- Może oddać na policję? Trzeba być uczciwym w tym życiu, tak sobie myślę. Tylko tak możemy sobie poradzić.

Słyszałam wręcz, jak cmoka w duchu nad całą tą mądrością.

- Wcale nie. Poradzimy sobie, tylko jeżeli będziemy zmyślać.

- Chcesz kłamać? To nie jest sposób na życie.

- Czy ja mówię, że chcę kłamać? - Choć musiałam przyznać, że to niezły pomysł. Wystarczy spojrzeć na Aurorę Paradise: kłamie w najlepsze o teraźniejszości i przeszłości, a także o tym, pod którą łupiną orzecha znajduje się ziarno grochu. - Chodzi o wymyślanie różnych rzeczy. Tak jak mój brat. Prawie przez całe życie siedzi z przyjacielem w Dużym Garażu i wymyśla przedstawienia. I jest zadowolony. - Nie wiem, czy jest zadowolony, ale z pewnością jest zwariowany.

- No, ale nie możesz żyć w jakiejś nibylandii. Musisz stawić czoło rzeczywistości.

- Rzeczywistości? Czy ktoś w ogóle wie, co to jest? - Ależ ja jestem inteligentna; aż cmoknęłam w duchu.

- Tutaj! - Delbert walnął w kierownicę. - To jest rzeczywistość! Nie ma nic bardziej rzeczywistego niż prowadzenie tego gruchota!

Uśmiechnęłam się podstępnie.

- Ach, tak? Spytajmy o to Axela, dobrze?

Koła chrzęściły już na hotelowym podjeździe.

- Axela? To jego firma, więc pewno wie, czy jest rzeczywista. No, do roboty, zapytaj go. - Delbert zatrzymał samochód pod markizą przy wejściu. Pochyliłam się do przodu, kładąc podbródek na oparciu, aby podać mu należność i mały napiwek.

- Chciałabym, ale nigdy nie mogę go złapać.

Wyskoczyłam z taksówki i wbiegłam po schodkach na werandę. Właśnie przeprowadziłam z Delbertem rozmowę! Stałam i zapatrzyłam się w siatkowe drzwi, za którymi majaczyły rozmyte kontury biurka w recepcji, dywanu i foteli krytych rypsem w kwiaty. Czy to zna-

czy, że robię się bardziej cierpliwa? Starsza? Zbliżały się moje urodziny. Czyż takie rzeczy, jak rozmowy z Delbertem, miałyby się odtąd stać sposobem na życie?

Och, proszę, proszę, niech moje urodziny przejdą niezauważone przez nikogo, a zwłaszcza przeze mnie! Znosiłam modły do wszystkich deusów ex machina, które unosiły się nad moją głową. Jeśli dorastanie oznacza konwersacje z Delbertem i wyrozumiałość dla panny Berthy do końca moich dni, to niech ja nigdy nie skończę trzynastu lat!

Zanurzyłam się w przyjemnym chłodzie holu, gdzie bez wahania spędziłabym resztę życia. Bardziej nie można się już oderwać od rzeczywistości.

29

Surówki musiały zaczekać. Zbliżała się pora koktajlu Aurory, a ja chciałam zrobić porządnego i mocnego drinka, by rozwiązać jej język. Tak naprawdę przydałaby mi się jedna z tych maszyn, których używa policja, żeby oddzielić prawdę od kłamstwa. W wypadku Aurory wynik byłby cztery do jednego na korzyść kłamstwa, i w tejże proporcji mieszałam rum z sokiem w jej drinku.

Biurowe zapasy Southern Comfort, Jima Beama i džinu Gordona, zgromadzone przez panią Davidow, wyraźnie się kończyły i gdybym chciała z nich skorzystać, musiałabym opróżnić butelki do końca. Wówczas Lola Davidow domyśliłaby się, że ktoś podkrađa jej alkohol, zaczęłaby zamykać go na klucz. Na szczęście

w głębi dojrzałam rum o nazwie Monte Christo, który wyglądał na dostatecznie mocny, by rozłożyć na łopatki całą armię. Miał barwę ciemną jak melasa, a butelka była prawie pełna, bo pani Davidow nie przepada za rumem. Lubi go tylko w babeczkach rumowych mojej matki oraz w sosie rumowo-pomarańczowym do kielbasek, i któżby się z nią spierał?

Po przyrządzeniu drinka poziom płynu znacznie się obniżył, ale butelka tkwiła z tyłu, więc uznałam, że Lola nic nie zauważy. W tej chwili nie było jej w hotelu; zważywszy na niedobór dżinu Gordona, domyśliłam się, że pojechała do Alta Vista, mimo że niedawno uzupełniała zapasy. Alta Vista to małe miasteczko tuż za granicą stanu, gdzie znajduje się stanowy sklep z alkoholem. Kilka razy Lola zabrała mnie ze sobą, co było naprawdę przyjemne, bo zawsze gdy wybiera się do Alta Vista, wpada w znakomity humor. Cóż, ja też świetnie się czuję, kiedy idę do kuchni po roladę szynkową albo placki gryczane.

Drink wyszedł całkiem ładny. Dzięki kilku rozgniecionym truskawkom zyskał brązowy połysk z różowym odcieniem; z wisienką maraschino, pływającą po wierzchu, przywodził mi na myśl zachód słońca w Miami Beach. Stałam, trzymając w dłoni tackę z drinkiem, i rozmyślałam o swojej podróży na Florydę. Widziałam Ree-Jane w starej burej sukience, tańczącą z przysadzistym partnerem, oraz siebie w ramionach przystojnego dziedzica Rony Plaża, i nie mogłam się zdecydować: czy lepszy był tamten wieczór, czy dzisiejszy rozkoszny poranek w Tęczy. Oczywiście, podróż do Miami Beach odbyłam wyłącznie we własnej głowie. Ale czułam się naprawdę szczęśliwa w Różowym Słoniu z wyciętą z kartonu palmą i gramofonem grającym *Tangerine* oraz

inne piosenki, które tańczyłam z dziadkiem Rony Płaza... Cóż, wybór nie był łatwy.

Z tacą w rękach uniosłam głowę, aby jeszcze raz spojrzeć na dziadka, który zawołał „Emma!”. Już chciałam obdarzyć go czułym uśmiechem, gdy wtem się zorientowałam, że to nie on, lecz ktoś całkiem inny. Że to Vera.

- Czemu stoisz jak słup z tą tacą? Co to za drink? Dla kogo? Dlaczego nie robisz surówek? Nie wiesz, że dochodzi szósta?

Zaczekałam, aż ten ciąg pytań się skończy, a gdy uznałam, że tak (choć usta Very wciąż były w ruchu), powiedziałam:

- Niosę to na górę do ciotki Aurory. Wiesz, jaka ona bywa. - Z całą pewnością; Aurora Paradise raz rzuciła w Verę daniem z rabarbaru. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie; podobną przyjemność odczułam, gdy Ree-Jane oberwała od Aurory skrzydełkiem kurczaka.

Vera ściągnęła czerwone od szminki wargi, które wyglądały jak wisienka w szklance.

- To się pośpiesz - rzuciła. - Chyba się nie spodziewasz, że oprócz całej reszty będę jeszcze robić surówki!

Nie miałam pojęcia, co to jest ta „cała reszta”, bo Vera nie nakrywa do stołów (chyba że wieczorem jest przyjęcie), nie roznosi porcji masła i nie napełnia dzbanków z wodą.

- No, to lepiej jej to zanieś, bo zejdzie na dół i sama sobie weźmie.

Vera wręcz cofnęła się o krok. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak straszną groźbę mam w zanadrzu. Pojawienie się Aurory na dole każdego przeraziłoby na śmierć, chyba że było się osobą o stalowych nerwach (jak moja matka), osobą śmiałą (jak ja),

osobą nie z tego świata (jak Will), osobą, która nie wie, że w ogóle jest się czego bać (jak Walter), lub osobą, która właśnie obaliła pięć martini (jak pani Davidow). Mogłabym ciągnąć ten spis, ale wolałam wypłynąć z kuchni, wysoko unosząc tacę na dłoni, po prostu na złość Verze, która uważa się za Królową Tac. Uśmiechnęłam się. To brzmiało jak nazwa karty Tarota.

- Co to jest? - Aurora uniosła drinka pod światło i potrząsnęła nim trochę.

- To nowość. Jest bardzo popularny w Miami Beach.

- A skąd ty wiesz, co piją w Miami Beach? Przecież nigdy tam nie byłaś.

- Właśnie, że byłam. - W pewnym sensie. Bycia.

Pociągnęła łyk i twarz jej się rozpromieniła.

- No! To dopiero drink! Czuję w nim rum.

- Można tak powiedzieć.

- Jak się nazywa?

Zapomniałam go nazwać. Zagryzłam wargę.

- Hrabia Monte Christo. W Miami Beach - dodałam.

- Hrabia Monte Christo w Miami Beach? To dziwna nazwa.

- Prawda? Ale wiesz, jacy są ci z Miami. Robi się go z rumu Monte Christo. Został tam wynaleziony. W skrócie nazywa się Hrabia i jest taki mocny, że spada ci żelazna maska. Wydełam policzki i zrobiłam „Pfffff”.

Aurora zdążyła już znacznie obniżyć poziom płynu w szklance.

- Dziewczyno, to nie był Hrabia Monte Christo, tylko Człowiek w Żelaznej Masce.

Przybrałam zbolaną minę, jakbym cierpiała wskutek jej niewiedzy.

- Niejedna maska była w obiegu. Hrabia Monte Christo też nosił maskę. Czarną. - Zaczynałam rozumieć Willa; człowiek może robić coś takiego całymi nocami i dniami. - Mam kilka pytań - powiedziałam.

Z trzaskiem odstawiła szklankę i założyła ręce na piersiach.

- To zależy. Nie oczekuj, że ujawnię czyjeś sekrety.

A kto powierzałby Aurorze swoje sekrety?

- To nie jest sekret.

- Co nie jest?

- Chodzi o hotel Belle Ruin. Pamiętasz może, czy tego lata, kiedy zniknęło dziecko Slade'ów, malowano fasadę?

Spojrzała na mnie zdumiona, wyciągając szyję, jakby chciała przypatrzeć mi się z bliska.

- A po co, na litość boską, miałabym pamiętać coś tak głupiego? Chyba ci rozum zaćmiło. Za długo usługujesz do stołu z tą szefową kelnerką. Ona jest jak kręcz karku. Moje współczucie, panienko. - Aurora znów wzięła szklankę i zaczęła się kołysać.

- Dziękuję. Ale pamiętasz malowanie?

- Dziecko, czy ja spędzałam swoją cholerną młodość, pilnując, kiedy kto maluje dom albo hotel? - Tu wyciągnęła swoje długie, chude ramiona do sufitu i zakrzyknęła: Byłam zbyt zajęta życiem! - Po czym obróciła całą górną część ciała i zakotyła nią, jakby wykonując egzotyczny taniec w stylu tanga.

Miałam nadzieję, że życie do tego się nie sprowadza.

- Chciałabym tylko wiedzieć, kto zajmował się malowaniem?

- A, to. - Z chlupotem wciągnęła przez słomkę reszkę drinka. - No, chyba Ruby Stuck. Najlepszy malarz pokojowy w tej branży.

- Ruby? To kobieta? - To mnie zaskoczyło.

Aurora zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową, jakby chcąc się uwolnić od mojego widoku.

- Nie, nie bądź ograniczona. Na imię miał Reuben. Kawał chłopca, w dodatku upatrzył mnie sobie. - Zaczęła poprawiać mankiety szarej jedwabnej sukni.

- Tak, na pewno. A więc miał tyle lat, co ty? - Mogła kłamać co do swego wieku, ale jego raczej by nie odmładzała.

- Mniej więcej. Trochę po czterdziestce, tak mi się wydaje. Ja oczywiście byłam młodsza.

Czy Aurora w ogóle umie dodawać? Nie, i pewnie myśli, że inni też nie umieją. Więc jeśli Reuben Stuck miał wtedy około czterdziestki, teraz byłby po sześćdziesiątce.

- I pewnie też chciał się z tobą zenić.

- Naturalnie.

Nie za bardzo miała czym potrząsać, ale robiła, co mogła. Muszę przyznać, aczkolwiek niechętnie, że Aurora wzbudza mój mimowolny podziw. Wyobraźcie sobie, tyle energii w dziewięćdziesiątym pierwszym roku życia!

- Mieszkał w tej okolicy?

- Nie, jego rodzina pochodziła z Cold Fiat Junction. Wciąż tam mieszka, o ile mi wiadomo.

Miałam ochotę wyrzucić ramiona do sufitu, ale zachowałam poważną i niewzruszoną postawę. Cold Fiat Junction! To nawet lepiej, niż gdyby mieszkał w Spirit Lake, bo to mniejsza miejscowość i miałam tam swoje maleńkie prywatne życie oraz grupkę informatorów. Wyciągnęłam rękę.

- Przyniosę ci jeszcze jednego drinka. Tylko pamiętaj, że są dosyć mocne.

- Och, mam nadzieję, mam nadzieję. - I wróciła do poprawiania mankietów.

Nakłoniłam Waltera, żeby zaniósł Aurorze drugiego drinka, i kiedy już skończyłam z panną Berthą, usiadłam na chwilę w kuchni. Przy kolacji panna Bertha podniosła straszny gwałt, że surówka ją „pali” (znalazłam mały słoiczek papryki serrano) i wystrzeliła z krzesła tak szybko, że garb jej się niemal wyprostował. (Na oko nie sposób odróżnić tej papryczki od kawałka pimento.) Gdy zerwała się od stołu, błyskawicznie znalazłam się przy niej, pytając „Och, panno Bertho, co się dzieje?” najbardziej współczującym tonem, jaki znam (czyli nie bardzo), po czym porwałam surówkę i wyniosłam ją do kuchni. Walter jak zahipnotyzowany w kółko polerował wielki półmisek, więc kazałam mu szybko pozbyć się dowodu rzeczowego.

Matka ruszyła do jadalni „zadbać” o pannę Berthę - znaczy, zamknąć jej buzię - i sprawdzić, co takiego zjadła, ale mogła zbadać jedynie surówkę pani Fulbright, która oczywiście była w porządku.

Miałam naprawdę mnóstwo uciechy; było to miłe zwieńczenie dnia.

Albo prawie.

Mimo że minęło wpół do dziewiątej, na łóżku w swoim pokoju znalazłam kartkę, że mam przyjść do Dużego Garażu. A ja chciałam już tylko posłuchać płyt.

Mili uczył June śpiewać nową piosenkę. Ciekawe, pomyślałam, co jeszcze dodali do scenariusza. June ma okropny głos.

Will stał na drabinie i balansując na najwyższym szczeblu, wieszał kurtynę na ostatnich haczykach. Sznur pokrył specjalnym woskiem i jakoś go utwardził, żeby haczyki się ślizgały.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest, że mój brat dba o takie szczegóły, a jednocześnie wszystko mu jedno, jakiej płci były dzieci Medei. Już mu mówiłam, że to dwaj chłopcy, a nie chłopiec i dziewczynka. Ale czy się tym przejął? Skąd!

- A co to za różnica? Przecież ona zabija jedno i drugie. Znaczą, stara się.

- To tak, jakby powiedzieć, że to bez różnicy, czy Hamlet był kobietą!

Przestał wyskrobywać resztki z pojemnika z woskiem i najwyraźniej się zamyślił:

- A wiesz, że to ciekawy pomysł.

Teraz wtykałam mu pod nos zwinięty scenopis.

- Betsy! Kto to słyszał, żeby greckie dzieciaki nosiły imiona Betsy i Jazon Junior! W prawdziwej sztuce nie miały żadnych imion, mówi się o nich po prostu „chłopcy”.

- Co ty tak bez przerwy krytykujesz? - Odstawił pojemnik. - Słuchaj, muszą mieć imiona...

- Ten dramatopisarz, jak mu tam, był innego zdania. Ale oczywiście to tylko Grek, a sztuka też jest grecka, więc co on tam mógł wiedzieć! Wiesz, nad czym się zastanawiam? Zastanawiam się, czy w ogóle czytałeś tę sztukę!

Wielkie westchnienie.

- Oczywiście, że tak. W każdym razie najważniejsze momenty.

Rozdziawiłam usta.

- Najważniejsze momenty? Wystawiacie sztukę, której żeście nawet nie czytali?

Will wydał kolejne westchnienie, jakby chciał wyrazić smutki połowy znanego nam świata.

- Po prostu nic nie kojarzysz, prawda? Masz tu do czynienia ze Sztuką przez duże S. To jest interpretacja. Każda twórcza osoba robi to inaczej. Publiczność siedzi tu i teraz, nie tam i wtedy. Tam to było społeczeństwo greckie. Trzeba iść z duchem czasu. Gdyby Eurypides żył dzisiaj, byłby nami. - Zatoczył łuk ramieniem, jakby chciał nim objąć Milla, June i nawet Paula.

W życiu nie słyszałam nic bardziej skandalicznego. June śpiewała coś, co brzmiało jak przedśmiertne rżenie.

- *Intymne maaaaie arboretum...*

Za jej plecami stało troje dzieci: Twinkie i Annie, młodsze siostrzyczki June, oraz jakaś nieznajoma dziewczynka. Nigdy jej przedtem nie widziałam.

- Co one tu robią?

- To Mruczaki.

- Kto?

- Mruczaki. Potrzebny nam chór grecki, ale nie mamy dość ludzi, więc poprzestaliśmy na Mruczakach. Stoją za aktorami i mruczają piosenki. Mili to wymyślił.

Pochyliłam się, usiłując spojrzeć mu w twarz.

- Premiera jest pojutrze, pamiętasz o tym? Nie możesz bez przerwy czegoś zmieniać!

- Sztuka to ewolucja.

Miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy.

- A ta mała to kto? - zapytałam, patrząc na trzecią dziewczynkę.

- Ona? To gość. Przyszła dzisiaj rano.
 - Od nas?
- To było oczywiste, więc nawet nie odpowiedział.
- Dobrze, a jej rodzice o tym wiedzą?
- Spojrzał na mnie i pokręcił głową:
- Gdyby wszyscy zamartwiali się o każdy drobiazg, to nikt nigdy by nic nie zrobił.
 - Każdy d r o b i a z g ? Porywasz dziecko jednego z gości i to ma być „drobiazg”? Dochodzi dziewiąta, a ona jeszcze nie jadła kolacji! Jestem pewna, że nie było jej w jadalni!
 - Och, do kurwy nędzy! Właśnie, że jadła. Walter jej przyniósł. I wcaleśmy jej nie porwali. Zataczała się po boisku do krokieta jak mała pijaczka, więc zapytaliśmy, czy chce zagrać w sztuce. Chyba brak jej piątej klepki.
 - Teraz pewnie już tak, skoro ją dopadliście! Na oko ma najwyżej pięć, sześć lat. Jak długo jest w garażu?
 - Jakiś czas. - Nadstawił ucha. - To mój duet. Muszę lecieć.
 - Jaki...
 - Nie odpowiedział, ale co to za różnica?
- Wbiegł po schodkach na scenę.
- Mili kazał June się zamknąć i podstroił swoje instrumenty, to znaczy radio, klarnet, blaszany bębenek, krowi dzwonek, starą tarkę z naszej pralni i kilka młynków do hałasowania, jak te przeszkadzajki, które widuje się na przyjęciach. Obsługiwał je wszystkie przy niewielkiej pomocy Chucka, który operował również kolorowymi światłami. Teraz Mili wykonał tryl na klarnecie i przejechał palcami po klawiaturze, po czym rozległ się buczący głos Willa i cienki June:

*Intymne male arboretum,
Z widokiem na gmach Koloseum...*

Arboretum? Słowa były obce, ale melodia brzmiała znajomo. Zmarszczyłam czoło.

- Dobrze - powiedział Mili i Chuck przysiadł się do niego do fortepianu. - Teraz weźmiemy szybsze tempo. - Mili brzdęknął w klawisze, wskazał na Chucka, który obrócił kilka razy młynkiem i potrząsnął krowim dzwonkiem. Mili uderzył w bębenek i tamburyn.

Nigdy w życiu nie słyszałam takiego zgiełku.

Chwileczkę - właśnie, że słyszałam! Spike Jones!

Spike Jones i jego szalona orkiestra grająca *Cocktails for Two!* To była piosenka, do której Mili napisał nowe słowa!

Krowi dzwonek zabrzączał.

Tamburyn zaszeleścił.

Mruczaki zamruczały.

Ja wyszłam.

30

Po wejściu do holu odniosłam wrażenie, że znów widzę Medeę.

Pani Davidow trzymała w dłoni szklaneczkę whisky. Chyba potrzebowała wzmocnienia, bo obok siedziała nadąsana Ree-Jane.

Nieopodal stali mężczyzna i kobieta, pogrążeni w zażartej kłótni, no, przynajmniej kobieta. Wrzeszczała na mężczyznę, że nie powinni byli wychodzić i zostawiać Bessie samej.

O ile zakład, że natychmiast odgadłam, kim są ci ludzie i kto to jest Bessie?

Mężczyzna był blady, lecz zachowywał się naprawdę pocziwie, głaskał żonę po ramieniu i mamrotał, że Bessie na pewno musi gdzieś tu być.

Matka gestem wskazała mi biuro na zapleczu, po czym dołączyła do mnie i zapytała półgłosem:

- Widziałas Bessie Walls?
- Jeśli to ta, o której myślę, to jest w Dużym Garażu.
- Co?
- Will dołączył ją do Mruczaków.

Nie miało znaczenia, czy Bessie występowała w Mruczakach, czy grała na skrzypcach; matka wciągnęła powietrze i złodowaciała. Naprawdę, kiedy tak nagle milknie, to wydaje mi się, że jej serce przestaje bić. Jej twarz zastyga jak żelazo i wtedy strzeżcie się wszyscy. Tak czy inaczej, ucieszyłam się, że Willowi się oberwie.

- Idziesz do garażu? Mogłabym pójść...
- Zostaniesz tutaj - warknęła, wskazując palcem podłogę, jakbym miała jakiegokolwiek wątpliwości, co to znaczy „tutaj”.

Wróciła po dziesięciu minutach, prowadząc za sobą Willa i Bessie.

Jeśli ktoś myśli, że Will miał minę zbitego psa albo przestraszył się perspektywy konfrontacji z łkającymi rodzicami (do czego sam się przyczynił), to nie zna mojego brata. Rozpływał się w uśmiechach.

Oczywiście, na jego korzyść przemawiał fakt, że matka Bessie nie posiadała się ze szczęścia, iż jej dziecko jeszcze żyje; omdlałaby z wdzięczności, nawet gdyby się dowiedziała, że ją sprzedał jako niewolnicę. Ale to

mogło trwać tylko chwilę; było pewne, że Wallsowie zaraz dostaną szału.

Uśmiechając się jakby nigdy nic, Will uściśnął rękę pani Walls i powiedział:

- Jakże mi miło panią poznać. Cieszę się, że państwo już wrócili. Bałem się, że może państwo zapomnieli o Bessie...

Nie wierzyłam własnym uszom.

- ...więc kiedy zobaczyliśmy ją na boisku do krokieta, to pomyśleliśmy, że zabierzemy ją na próbę, no, wie pani, żeby mieć na nią oko. - Tu obdarzył Bessie swym najbardziej wazeliniarskim uśmiechem, lecz ona po prostu wsadziła palce do ust. Mnie to nie wyglądało na talent sceniczny.

Wtedy Wallsowie oświadczyli, że wcale nie zostawili Bessie samej; zapłacili Ree-Jane, żeby się nią zajęła.

Wszyscy wlepili wzrok w Ree-Jane. O radości!

Ree-Jane uniosła się, jakby chciała wyjść, lecz pani Davidow (trzeba przyznać) tylko obrzuciła ją posępnym spojrzeniem i pokręciła głową. Więc Ree-Jane przysiadła na oparciu kanapy; wyglądała, jakby właśnie podano jej ostatni w życiu posiłek.

- Może państwo o tym nie wiedzą - ciągnął Will

- ale Bessie ma ogromny talent. Ogromny. Włączyłem ją do chóru i natychmiast się wciągnęła. Chciałem po prostu dać jej jakieś zajęcie, więc byłem naprawdę zaskoczony, kiedy poczuła się na scenie jak ryba w wodzie.

- Mówił i mówił o swojej trosce o Bessie, udało mu się również zasugerować, że to wszystko wina Wallsów, bo wyszli, zostawiając Bessie bez opieki. Dzięki Bogu, że to on i Mili znaleźli się na miejscu, a nie dajmy na to, jakiś nieodpowiedni osobnik.

Na przykład kto, chciałam zapytać. Bracia Wood? Walter? Will mówił tak przekonująco, że sama zaczęłam się

zastanawiać, kto jest nieodpowiedni, chociaż wiedziałam, że mój brat próbuje tylko odwrócić uwagę od swojej (wybawicielskiej) osoby. Dobrze, że nie przyszedł z Millem, bo sterczelibyśmy tu do rana, słuchając, jak przerzucają się kwestiami, plotąc jakąś niewiarygodną komedię.

Will wciąż gadał: o talencie Bessie, o jej urodzie, o jej obyciu, godnym dorosłej osoby, niezwykłym u dziecka w wieku Bessie. Od czasu do czasu Ree-Jane podrywała się do wyjścia, ale pani Davidow za każdym razem ją powstrzymywała.

W miarę jak Will przemawiał, na twarzach Wallsów, początkowo pełnych niedowierzania, stopniowo zaczęła się malować ciekawość, potem zadowolenie, aż w końcu rozpromienili się w uśmiechu.

Matka wyszła, nie czekając do końca jego występu, prawdopodobnie do kuchni, żeby przygotować bułeczki drożdżowe.

Lola Davidow zrobiła sobie kolejnego drinka.

Bessie po prostu stała z otwartą buzią, jakby była głupia albo miała atak astmy, albo co.

Will wreszcie zamilkł i skromnie przyjął podziękowania Wallsów za opiekę nad Bessie, powiedział również, że proszę bardzo, jeśli Bessie chce, to może nadal grać w przedstawieniu.

Pomyślałam, że skoro Wallsowie są tak durni, że dali się nabrać, to zasługują na wszystko, co ich spotka. Chętnie oddałabym Bessie swoją rolę, żeby to ją Paul zepchnął z huśtawki; wtedy byśmy zobaczyli, czy nadal byłiby tacy zachwyceni Willem.

W końcu Wallsowie poszli spać, Will wrócił do Dużego Garażu, a na placu boju została tylko pani Davidow, Ree-Jane i ja. Pokręciłam się jeszcze, z zadowoleniem słuchając, jak Ree-Jane jest mieszana z błotem około

piętnastu razy, po czym uznałam, że już nic lepszego nie usłyszę, i poszłam na górę do pokoju Willa, by pogrzebać mu w szafie i poszukać płyty Spike'a Jonesa.

Po powrocie do siebie puściłam płytę na patefonie Kelnerek i położywszy się na łóżku z rękami pod głową, wsłuchałam się w *Cocktails for Two*:

*Intymne małe rendez-vous
Z widokiem na aleję bzu...*

Tak jest, to była ta piosenka.

*Wdychając z papierosa dym,
Wsluchani w szansonetki rytm...*

Ble ble ble. Ble...

*Może w głowie mi się kręci,
Lecz się cieszy serce moje,
Wśród upojnych pocałunków
Gdy sączymy dżin we dwoje*

Spike raz wykonał piosenkę w stylu romantycznej ballady, po czym uruchomił swoje zwariowane instrumenty, tarki, krowie dzwonki i gdakanie kur.

Lecz zanim doszedł do papierosów i koktajli, wyśpiewał pytanie, czy nie mielibyśmy ochoty znów być szczęśliwi i beztroscy.

„Czy wy w taki czas chcielibyście raz zanurzyć się w życiu bez trosk?”

A kiedyż to przedtem żyliśmy bez trosk? Może jako dzieci? Ale dzieci nie wiedzą, że są beztroskie, więc jak to właściwie działa? Czy Bessie ma świadomość, że jest beztroska w Dużym Garażu? A Aurora? Może jest

beztroska, kiedy śpiewa *Carry me back to old Ken-tuck-y?*
Nie wiem. Może nawet ja nie mam trosk, kiedy błąkam
się po Belle Ruin.

Wydaje mi się, że naprawdę pozbawieni trosk są tylko
Will i Mili w Dużym Garażu - w Mieście Beztroski.

31

Wykombinowałam, że jeśli Reuben Stuck przekroczył
sześćdziesiątkę, to pewnie jest już na emeryturze i w
ciągu dnia będzie w domu, a jeśli nie ma go w domu, to
gdzieś przesiaduje. Wiem, że to dość mętne, ale nie
miałam innego pomysłu, jak go znaleźć, więc złapałam
poranny pociąg do Cold Fiat Junction.

Wysiadłam, obrzuciłam wzrokiem peron i pustą po-
czekalnię, po czym jak zwykle spojrzałam na pole po
drugiej stronie torów i na drzewa ciemniejące w oddali,
czując, jak coś mnie do nich ciągnie. Nie, nie coś - raczej
nic, zupełnie jakby ciągnęła mnie pustka. Można by
pomyśleć, że człowiek powinien się cofnąć, uznać ją za
dziwną i wzbudzającą obawę, ale mnie nie odpychała,
przeciwnie, z jakiegoś powodu działała kojąco.
Spowalniała, prawie pocieszała. Ale nie trwało to długo;
ocknęłam się i niemal biegiem ruszyłam ścieżką, nierówną
od kamyków i gałązek, w stronę baru Na Wietrznym
Szlaku.

I znów zamyśliłam się nad swymi metodami. Dłacz-
ego po prostu nie poszłam na pocztę i nie spytałam kie-
rownika, gdzie mieszka Reuben Stuck? Z drugiej strony,
pomyślałam, niewiele by mi to dało: ilekroć wpadam

na tutejszą pocztę, żeby kupić znaczki i obejrzeć listy gończe, nikogo tam nie ma, ani klientów, ani obsługi. No, ale był jeszcze kościół. Mogłam zapytać pastora, tyle że trochę się bałam, że będzie mnie chciał nawrócić

- gdybym chciała wstąpić do jakiegoś kościoła, tego z pewnością bym unikała. Pierwszy raz przyjechałam do Cold Fiat Junction kościelnym autokarem, w którym wszyscy pasażerowie chwalili Pana, gdy tylko czuli chętkę. To mi najzupełniej wystarczyło.

Otworzyłam zasłonięte żaluzję drzwi baru, wciąż się zastanawiając - tak jak w wypadku poczty i kościoła

- czemu właściwie nigdy nie mówię wprost, o co mi chodzi, tylko kręcę i kluczę jak krowa wokół stodoły Robin Hooda (określenie mojej matki). I znów mogę jedynie powtórzyć: jest trochę tak, jakby uzyskana zbyt łatwo od powiedź nie była warta śliny zużytej na zadanie pytania.

- Co słyhać, Emmo? - zapytał Evren ku irytacji Billy'ego, który zawsze chce być duszą towarzystwa.

- W porządku.

- Masz ochotę na kawałek placka, złotko, albo czegoś? - zagadnęła Louise Snell. - Dzisiaj jest tort bezowo--czekoladowy, naprawdę dobry.

- Wszystkie pani ciasta są doskonałe - odparłam. Była to święta prawda. - Dobrze, bezowo-czekoiadowy poproszę. - Po czym okręciłam się na stołku, tak jak to robiłam, kiedy byłam mała, żeby sprawdzić, czy nadal to lubię. - Wszystko w porządku, tylko nie możemy znaleźć nikogo, kto by pomalował nam hotel. Zamierzałam przejść do konkretów, czyli do Reubena Stucka, ale już mi przerwali.

- No, nasz Don Joe - zaczął Evren, siedzący po lewej stronie Don Joego, najwyraźniej podniecony zdolnościami kolegi - mnóstwo malował w okolicach Hebrides.

Don Joe machnął niecierpliwie ręką, lecz z jego krzywego uśmiešku wywnioskowałam, że słowa Evrena sprawiły mu przyjemność.

- Ee, nie za dobrze mi szło.

Siedząca trochę dalej kobieta w dużych okularach, która zawsze pali papierosa, wychyliła się, by spojrzeć na Don Joego i powiedziała:

- A i owszem, szło ci bardzo dobrze. Pomalowałeś cały ratusz w Cloverly.

- No wiesz, Rita...

A już się zastanawiałam, jak jej na imię.

- ...miałem trochę pomocy przy tej robocie. - Zachęcał i odwrócił się do mnie. - Jak ci się zdaje, ile to może zająć? - zapytał z namysłem.

Nie przyszło mi do głowy, że ktoś z obecnych może być malarzem pokojowym. Musiałam jak najszybciej wybić mu to z głowy.

- Nie chciałby pan tego robić, Don Joe. Szczerze panu mówię.

- Taak? - zsunął niebieską czapkę na tył głowy i przygwoździł mnie podejrzliwym spojrzeniem. - A to dlaczego?

Okręciłam na palcu kosmyk włosów i zrobiłam boleśnie skupioną minę.

- Bo tę pracę nadzoruje jeden z Simple'ów. - Don Joe nie chciałby mieć nic wspólnego z Simple'ami, nawet gdyby naprawdę istnieli. - Opowiadałam panu o nich.

- To ci, co mają syna debila, tak mówiłaś.

- Miller Simple, tak się nazywa ten chłopiec - wtrącił Mervin, siedzący z żoną w tym samym boksie, co zwykle.

Jak oni pamiętają te wszystkie rzeczy? Nawet ja nie mogę ich spamiętać.

- Nie, to nie żaden debil - zaprotestowała żona Mervina. - Ona tak nie powiedziała, powiedziała, że jest „tracony”.

Billy obrócił się na stolku w stronę boksu, który miał za plecami.

- Zależy, co się rozumie przez „tracony”. Czasem to może oznaczać „debil”. - Odwrócił się z powrotem i za palił papierosa.

Usta rozchyliły mi się nieco, jakby słowa w nich utkwily i nie dały się wymówić. O czym to myśmy rozmawiali? Otrząsnęłam się. A tak, o Simple'ach.

- Nie powiedziałabym, że Miller to zupełny debil.

- Rany boskie! - wybuchnął Don Joe. - To on nadzoruje robotę? On jest kierownikiem?

- Don Joe - rzekł Billy - to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś, a trafiały ci się niezłe bzdury. Ten Miller to przecież dzieciak. Jak miałby kierować remontem hotelu?

- Mówię tylko, że gdyby to był Miller Simple, to bym się nie godził na żadne malowanie.

Jaka szkoda, że uczyniłam Millera dzieckiem.

- Nie, to nie on, tylko jego stryj...

- George - wtrącił Evren.

- George to jego ojciec - sprostował Mervin.

Billy znów odwrócił się gwałtownie.

- Mervin, co jest z tobą? - Zacisnął w pięści leżące na kolanach dłonie. - Tylko byś się kłócił.

- On nie miał na myśli nic złego, Billy - próbowała załagodzić żona.

A kto się kłóci? - zirytował się Mervin. - Mówię tylko...

Postanowiłam się wtrącić.

- Ale Mervin ma rację. - Na ogół ją miewa. — Stryj ma na imię Malcolm. Malcolm Simple i naprawdę trudno z nim wytrzymać.

Evren zmarszczył brwi.

- Malcolm? Ktoś tu słyszał o Malcolmie Simple'u?

Wszyscy pokręcili głowami.

Don Joe strzepnął małym palcem popiół z papierosa i oznajmił:

- No, to ja chyba nie chcę tego malowania.

Żeby ostatecznie odczepić się od Simple'ów, powiedziałam:

- Matka kazała mi poszukać kogoś nazwiskiem Reuben Stuck. Podobno to też jest malarz pokojowy. Naprawdę dobry. - Zjadłam trochę ciasta, równocześnie się im przyglądając. Zastanawiali się, a to mogło chwilę potrwać. Mogło potrwać tak długo, aż skończą się zastanawiać.

- Stucków pełno w okolicy - odezwała się Rita.

- Taa. Na przykład Elroy - rzekł Don Joe. - Tylko nie wiem, czy on jest malarzem. Elroy maluje? - zwrócił się do Evrena.

W pięciu kęsach skończyłam tort czekoladowy, aby móc odejść natychmiast, gdy mi powiedzą, gdzie mieszka Reuben Stuck.

- Ona nie szuka Elroya - powiedział Mervin, krojąc widelcem placek z kremem - tylko Reubena. Wydaje mi się, że jakiś Stuck, którego wołają Ben, a kiedyś nazywali go Ruby, mieszka na Hallelujah Road.

- Och, Mervin, dziękuję panu. - Z wyjątkiem Louise Snell nie miałam pojęcia, jakie są ich nazwiska.

Billy wychodził z siebie; robił wrażenie, jakby chciał urwać Mervinowi głowę, podobnie zresztą jak żona

Mervina, która trzepnęła go łyżeczką po palcach, równocześnie zwracając mu uwagę, żeby nie drażnił ludzi.

- Mervin, jak długo tu mieszkasz? - zapytał Billy z obrzydzeniem.

- Piętnaście lat.

- No, a ja tu mieszkam całe życie, i wiem, że na Hallelujah Road już od dawna nikogo nie ma!

Mervin przełknął następny kawałek placaka.

- Owszem, jest tam Ben Stuck.

Billy niemal poderwał się ze stołka. Mervin zasługiwał na podziw.

Teraz wtrąciła się Louise Snell, która dotąd przysłuchiwała się dyskusji oparta o gablotę z ciastami:

- Billy, z faktu, że przez całe życie mieszkasz w Cold Fiat Junction, nie wynika, że wiesz wszystko, co tu się dzieje. Proszę - sięgnęła pod ladę - zajrzyj sobie. - I pchnęła w stronę Billy'ego cienką książkę telefoniczną.

Billy wepchnął ręce do kieszeni, jakby odpychał od siebie książkę.

- Nie trzeba.

I wszyscy z wyjątkiem Mervina, który wciąż jadł swój placek z kremem, wściekle łypnęliśmy na broszurę, jakby pragnąc wypowiedzieć jej wojnę. Louise z westchnieniem odłożyła ją na półkę.

- W każdym razie - powiedział Don Joe - jeśli na Hallelujah Road nawet mieszkają jacyś ludzie, to i tak pewno nie mają telefonu. - I ramiona zadygotały mu od śmiechu, jakby powiedział coś niesłychanie zabawnego.

Billy też się zaśmiał, żeby ratować twarz.

- Dobrze mówisz, Don Joe.

Zsunęłam się ze stołka i zapytałam Mervina:

- Gdzie jest Hallelujah Road? - Chciałam mu pokazać, że jestem po jego stronie.

Wyjaśnił, że wystarczy tylko przejść przez tory i skrócić w pierwszą ulicę w prawo. To polna droga.

- A są tu jakieś inne? - rzekł Billy, za wszelką cenę wtrącając swoje trzy grosze.

Podziękowałam wszystkim i wyszłam.

Mervin miał rację: na Hallelujah Road były domy i mieszkali w nich ludzie.

Niespełna trzyletni chłopczyk stał na piaszczystej ścieżce z kciukiem w buzi, przyciskając do ucha kawałek kocyka. Odprowadził mnie wzrokiem, a ja pomachałam mu ręką, ale nie odmachął. Czułam, że za mną patrzy, aż doszłam do zakrętu i zniknęłam mu z oczu.

Była to droga polna, taka - Billy miał rację - jak większość tutejszych dróg. Wiem, co mnie najbardziej uderza w Cold Fiat Junction: miejscowość wygląda tak, jakby czekała, aby ktoś przyszedł i wreszcie dokończył robotę. Ale nic z tego. Projekt węzła kolejowego nigdy nie został zrealizowany i miasteczko nie zyskało planowanej sławy i chwały, a przecież po to je stworzono. Matka mówi, że koleje podupadły wskutek rozwoju motoryzacji i dlatego marzenia o świetności - pasażerowie wesoło wysiadający z wagonów przy wtórce peronowej orkiestry - spełzły na niczym. Wspaniałe budynki stacyjny sam w sobie stanowi dowód, że oczekiwano rzeczy wielkich, a pustki w nim panujące jeszcze wzmagają poczucie niespełnienia.

Szłam niespiesznie, próbując sobie wyobrazić stację owego odległego lata: niesamowicie wytworne kobiety z letnimi walizkami i mężczyźni w słomkowych kapeluszach

szach, wysiadających z pociągu, grupki pasażerów przyjeżdżających i wyjeżdżających przez cały dzień, damy przytrzymujące wielkie kapelusze, żeby nie odleciały, zerwane podmuchem powietrza z lokomotywy.

Potrafiłam zobaczyć to wszystko, promieniejące szczęściem, ale z jakiegoś powodu wolałam stację taką, jaką była obecnie - pustą, można wręcz powiedzieć opuszczoną. Przystanęłam, żeby się nad tym zastanowić, zagapiona na czyjeś pranie, łopoczące na sznurze: niebieskie robocze koszule i prześcieradła drukowane w drobne kwiatuszki. Może wydawało mi się, że stacja jest teraz bardziej podobna do mnie? Że „jedzie na pustym baku”, jak to się mówi, kiedy w samochodzie nie ma benzyny? Kiedyś, gdy jechaliśmy półciężarówką, Dwayne powiedział: „Jedzie na oparach”.

Ale teraz myślę, że jechała na Dwaynie, jechała na nadziei.

Na wiklinowej ławce na werandzie grzał się w słońcu duży kot. Dom zapewne należał do Reubena Stucka, w każdym razie tak pomyślałam, bo był świeżo pomalowany na kolor jasnozielony.

Mężczyzna, który podszedł do drzwi, miał na sobie starą wełnianą koszulę w niebiesko-zieloną kratę, jakie chyba noszą drwale. Łysiał, a ze sposobu, w jaki przeciągnął dłonią po czaszce, wywnioskowałam, że zdaje sobie z tego sprawę. Marszcząc czoło, spojrzął na mnie znad okularów bez oprawek.

- Mogę pomóc?

Uchylił siatkowe drzwi, jakbym była dorosłą osobą, którą należy zaprosić do środka, co od razu nastroiło mnie przyjaźnie; zawsze sobie powtarzam, żeby nie oce-

niać ludzi zbyt pochopnie, ale nigdy siebie nie słucham i trajkoczę w najlepsze.

- Szukam pana Reubena Stucka.

- To ja. - Nadal trzymał drzwi uchylone, ale nie zaprosił mnie, bym weszła. Doskonale to rozumiem: nigdy nie wiadomo, kto stoi na naszej frontowej werandzie. A może ukrywa za plecami siekiere?

- To pan jest ten pan Stuck, który maluje domy? Zawodowo?

Proszę, jaka byłam układna - chciałam, by wiedział, że znam różnicę między nim a jakimś amatorem, który chłapie farbą jak popadło.

Kąciki jego ust uniosły się leciutko w prawie-uśmiechu, ale wciąż nie mógł się zdecydować.

- No, można tak powiedzieć.

- Nazywam się Emma Graham, a moja rodzina to Grahamowie z Hotelu Paradise? - Zabrzmiało to jak pytanie; może sama nie jestem tego pewna?

- Och. - Zamiast wpuścić mnie do środka, sam wyszedł na werandę. Może nie trzeba było wspominać o Hotelu Paradise? Skoro mieliśmy tutaj stać, nie będzie łatwo przetrząść się na wspominki.

- Zastanawiam się... znaczy, moja matka się zastanawia... czy wciąż zajmuje się pan malowaniem?

- Nie za bardzo.

- Chce odmalować hotel, bo jest trochę zniszczony... Wie pan, noga w kostce okrutnie mi dokucza - naprawdę spodobał mi się sposób, w jaki to ujęłam, zupełnie jak ktoś z baru - więc może mogłabym kapkę sobie przysiąść? - Z tymi słowy wykręciłam trochę nogę.

- Tak, proszę. - Wskazał mi ławkę. Kot, który najwyraźniej nas usłyszał, uniosł głowę z niezadowoloną miną.

- Dziękuję bardzo. - Pokuśtykałam do ławki i usiedliśmy oboje. Kot przemknął na inne miejsce na ugiętych łapach, jak to czynią koty, kiedy chcą jak najszybciej oddalić się od ludzi i ich rąk.

- Coś się stało?

Już chciałam wyjaśnić, że nie tknęłam kota nawet palcem, gdy się zorientowałam, że mówi o mojej kostce.

- Skręciłam nogę. Lekarz mówi, że za parę dni będzie dobrze.

- Nie powinnaś na niej stawać. Twoja mama mogła zadzwonić, a nie przysyłać cię taki kawał drogi.

- I tak się tu wybierałam. Z wizytą. Powiedziała, że skoro tu jestem, to mogę do pana zajrzeć.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem, więc dodałam pośpiesznie:

- Matka przypomniała sobie o panu, bo pamięta, że kiedyś malował pan ten stary hotel... jak on się nazywał?

- Zmarszczyłam brwi.

- Mówisz o Belle Ruin? Psiakość...

(Czy ludzie wciąż jeszcze tak mówią?)

- ...ale to było ponad dwadzieścia **lat temu!** **Dziwne,** że to pamięta.

- To bardzo znany hotel, prawda?

Westchnął.

- Szkoda, że się spalił. To dopiero był lokal!

Świetnie! Zaczął wspominać bez żadnego zachęcania!

- Ja też żałuję, że go nie widziałam. Przyjeżdżali tam różni sławni ludzie, prawda?

Kiwnął głową:

- A tak, często. Nie pamiętam, jacy. Może nie **byli** aż tacy sławni. - Uśmiechnął się.

- Założę się, że wyglądał pięknie. Znaczy, jak już pan skończył go malować. - Byłam zadowolona ze

swego dyplomatycznego podejścia. - Założę się, że w takim miejscu przytrafia się mnóstwo tragedii. W Hotelu Paradise też się zdarzają. - Jedyna tragedia, która na poczekaniu przychodzi mi do głowy, to Ree-Jane. - Ktoś mi mówił, że doszło tam nawet do porwania.

Reuben Stuck pochylił się, wsparł łokcie na kolanach i zapatrzył się w przestrzeń po drugiej stronie drogi. A może patrzył w siebie? Może kiedy się wydaje, że patrzemy na odległy pejzaż, to w gruncie rzeczy wpatrujemy się w krajobraz wewnętrzny? Muszę sprawdzić to na sobie, kiedy nie będę taka zajęta.

- A tak, faktycznie. Zniknęło jakieś dziecko. - Pokiwał głową, jakby przekonując samego siebie, że to prawda.

Obróciłam się ku niemu z szeroko otwartymi oczami.

- O mój Boże, dziecko! To straszne! A co się właściwie stało?

- Przyjechała policja, chociaż nie było z niej wiele pożytku. Wtedy w La Porte urzędował beznadziejny szeryf, który nie umiałby znaleźć własnej nogi.

- Pana tam wtedy nie było?

- Nie. Ale moja głupia drabina była, niestety.

Prawie przestałam oddychać, czekając, co jeszcze powie. Jakbym dostała łyk tlenu - na odmianę ktoś sam z siebie udzielał mi informacji, nie musiałam wyciągać jej siłą!

- Czym zawiniła pańska drabina?

- Stała pod oknem tych gości albo zaraz obok. Jak oni się nazywali? Chyba Slade. A dziadek miał na nazwisko... Woodling? Woodacre...?

- To nie ma znaczenia, niech pan opowiada!

- Dla mnie ma, młoda damo. Dobra pamięć to dla mnie powód do dumy. Niedługo w ogóle zapomnę o całej sprawie. Może Woodlogger...

- Wiem! Czytałam w gazecie!
- Jak to? Przecież to się zdarzyło dwadzieścia dwa albo trzy lata temu!
- Tak, ale to była stara gazeta, w którą zawinęli mi rybę u Brittena.
- Rybę? U tego Brittena w Spirit Lake? Nie sprzedają ryb. Co to była za ryba?
- Wiosenny pstrąg. No i co...
- Co? Nie ma takiej ryby.
- No, to może filet z pstrąga.
- To nie jest gatunek ryby. To sposób oprawiania. Zaciśnęłam powieki. Dlaczego, dlaczego nie poprzez stałam na „starej gazecie”?
- Niech pan zapyta pana Brittena, to on mi ją sprzedał. W każdym razie w tej gazecie wspominali o jakichś Woodruffach.
- Otóż to! Woodruff! Ale trzeba było poczekać, aż sam na to wpadnę.
- Przepraszam. No i co z tą drabiną? Policja uznała, że ktoś po niej wszedł i wykradł dziecko?
- Tak, niby ja, wyobrażasz sobie? - Wskazał na siebie obydwoma kciukami.
- Wciągnęłam dech.
- Nie! To okropne!
- Okropne i nieprawdziwe. Tego dnia po skończeniu malowania zostawiłem drabinę trochę dalej, przy ścianie budynku. Dwa okna od pokoju Woodruffów, Slade'ów, czy jak im tam. Dwa okna dalej!
- Ktoś ją przestawił?
- Spojrzał na mnie przeciągle, czemu trudno się dziwić. Dlaczego prawie czternastoletnia osoba (tyle mi na ogół dawano), która przyszła w sprawie malowania hotelu, tak się interesuje dawno popełnionym przestępstwem?

- Policja panu nie uwierzyła?

Reuben Stuck machnął ręką, jakby chciał tym machnięciem całkiem pozbyć się policji.

- Po prostu szukali kogoś, żeby zwalić na niego winę. Kompletnie bez pojęcia, szczególnie ten kretyn Mooma, który nie znalazłby własnego palca, nawet gdyby go sobie wetknął... przepraszam... - Odchrząknął.

- Nie znaleźli odcisków palców? Przecież musiały być na szczeblach drabiny. A na dole może nawet odciski stóp...

- A tak, pewnie. Moje, a po drugiej stronie jeszcze dwóch moich chłopaków, co mi pomagali przy malowaniu. Ale śladów było tak dużo, że nie dało się ich odróżnić. Ja tam mam swoje zdanie o tych, co ich nie umieli dopasować - w końcu to hotel i mnóstwo ludzi się tam kręciło - ale wydaje mi się, że wszystko było zaplanowane, a ten, co wlaźł po drabinie, prawie na pewno miał rękawiczki i takie szpitalne ochraniacze na buty. Tak sobie myślę w każdym razie.

- Albo mógł włożyć cudze buty.

- O, dobra myśl. Szkoda, że to nie ty pracowałaś w policji, tylko ten cholerny dureń Mooma.

- Słyszałam od kogoś, że był naprawdę głupi. -Z przyjemnością powiem to o każdym Moomie. - Chyba od matki.

- Ma rację.

- A rodzice dziecka? Co robili?

- Mogę tylko powtórzyć, co słyszałem później. Wyobrażasz sobie chyba, że przez wiele dni nikt nie mówił o niczym innym. Podobno matka strasznie płakała i przeklinała opiekunkę za to, że wyszła z pokoju. Chyba opiekunka nazywała się Spiker. Mieszka w tej okolicy.

- To wszystko jest bardzo dziwne.

Pokiwał głową.

- Ano tak. A jeszcze dziwniejszy jest fakt, że wszyscy spakowali manatki i wrócili do Nowego Jorku. I nikt już więcej o nich nie słyszał, tylko nasza gazeta jeszcze drukowała jakieś kawałki, żeby podtrzymać zainteresowanie. Ten dureń dziennikarz rzucał się na każdy skrawek informacji z Nowego Jorku, całkiem bez sensu, bo przecież przestępstwo popełniono tutaj, no nie? A powiem ci, że naprawdę uważnie czytałem wiadomości; przecież zostałem posądzony, że wszedłem na drabinę, porwałem dziecko wprost z kołyski, zszedłem z powrotem na dół, i w ogóle nie wiadomo co. To największe draństwo, jakie słyszałem w życiu.

Patrzył przed siebie na pola. Jego dom był ostatni na Hallelujah Road; nic już nie dzieliło nas od linii drzew, w które zawsze wpatruję się z peronu. Chciałam go zapytać, co tam jest, ale miałam wrażenie, że nie powie mi nic ponad to, co sama wiedziałam. Było to coś, czego musiałam się dowiedzieć, ale nie bardzo potrafiłam określić: jak zniknięcie Kelnerek, jak Dziewczyna, jak dwa jelenie nad strumieniem. Nie wiem, dlaczego tutajszы krajobraz przypomina mi te rzeczy, ale po prostu tak jest.

Poczułam ukłucie w sercu i odkaslnęłam, by stłumić łzy.

- Jedno, co mogę zrobić - powiedział Reuben Stuck - to kosztorys.

Zmarszczyłam czoło. Co? Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

- Malowania. Powiedz mamie, że mogę wpaść któregoś dnia i zrobić kosztorys malowania hotelu.

- Och! - Naprawdę muszę się pilnować. Nie wolno mi zapominać, po co przyszłam. - Dobrze, powtórzę.

- Próbowałam wrócić do zasadniczego tematu, ale nie

bardzo wiedziałam jak. - No, to chyba już sobie pójde. Dziękuję za rozmowę; była naprawdę ciekawa.

- Nie ma za co. Miło mi było.

Wstaliśmy z foteli i podaliśmy sobie ręce. Już na ulicy odwróciłam się, żeby mu pomachać. Ale zniknął.

Dochodziła czwarta, uznałam więc, że jeśli zaraz ruszę na stację, zdążę na popołudniowy pociąg. Minęłam dom po prawej, z praniem rozwieszonym na sznurze, a potem chłopczyka, który wciąż stał tak nieruchomo, że sprawiał wrażenie plastikowej ozdoby ogrodowej, nie realnej osoby. Pomachałam, myśląc, że jak go przestraszę, to ożyje, ale nawet nie drgnął. Może sobie wykombinował, że najbezpieczniej jest stać bez ruchu i ścisnąć kocyk? I może miał rację?

Na peronie nie było nikogo, ale też nikogo się nie spodziewałam. Usiadłam na zielonej ławce i spojrzałam ponad polami, jakby zahipnotyzowana odległą linią drzew. Istnieją pewne rzeczy, które każą nam na siebie patrzeć, ale nie umiemy powiedzieć, co znaczą, bo nie wiążą się z nimi żadne słowa, a czasem nawet żadna twarz, więc patrzymy jakby w pustkę, a przecież są to najważniejsze rzeczy na świecie. Ponieważ jednak nie nasuwają żadnych słów ani obrazów, nie umiemy określić ani czym, ani dlaczego są. Nie wiem, dlaczego Kelnerki albo Dziewczyna są takie ważne. Może nigdy się tego nie dowiem. Wiem jednak, że nie przestanę szukać, aż zdołam to ubrać we właściwe słowa, jakby to był mój obowiązek. To jedno wiem na pewno.

Pociąg o czwartej zatrzymuje się w La Porte, jak również w Spirit Lake. To wygodne, że mamy własną stację kolejową, chociaż pociągi przystają tu tylko raz dziennie.

Warsztat Sława mieści się po drugiej stronie szosy stanowej, a ponieważ nie musiałam jeszcze wracać i robić surówek, postanowiłam tam wpaść i pogadać z Dwayne'em. Abel Sław nie lubi, kiedy tam chodzę, bo obawia się wypadku i nie chce, żeby go ciągnano po sądach. Zapytałam go kiedyś, czy naprawdę uważa, że mogłabym pozwać go do sądu? Odpowiedział, że może nie ja osobiście, ale ktoś dorosły w moim imieniu. Zapytałam, czy naprawdę myśli, że jestem dla kogoś tak ważna, żeby go pozywał w moim imieniu? Wtedy po prostu zakazał mi to robić - zakazał zawracać głowę Dwayne'owi i Hej-Tamowi.

Przed wejściem do głównej hali warsztatu upewniłam się zatem, że Abel Sław jest w biurze i gada przez telefon. Hej-Tam akurat miał na podnośniku chevrolleta i oglądał go uważnie.

Dwayne'owi nie chce się używać podnośnika, choć chyba o wiele wygodniej stać pod samochodem, niż leżeć pod nim na plecach. Mówi, że lubi obejrzeć wszystko z bliska, bo wtedy lepiej widać, co się zepsuło. Zapytałam, o co zakład, że tak naprawdę lubi się ukrywać? Odparł, że tak, owszem, przed niektórymi osobami.

Przywitałam się z Hej-Tamem, który uśmiechnął się krzywo, jak to on, po czym pochyliłam się i zajrzałam pod samochód, ale nie dojrzałam w półmroku twarzy Dwayne'a.

- Cześć - powiedziałam.
- Odwrócił głowę.
- Wiesz, nie powinnaś zaglądać pod samochody. Nigdy nie wiadomo, co znajdziesz. - I postukał trochę kluczem francuskim.
- Naprawdę? No, skoro tak mówisz, to chyba masz rację. - Podniosłam się i usiadłam na swoim zwykłym miejscu na stosie opon Goodyear.
- Chcesz czegoś ode mnie? Muszę przygotować ten samochód do jazdy na osiemnastą.
- Spodobał mi się dźwięk głosu, dobiegający spod auta. Brzmiał trochę tak, jakby przemawiał dobry Bóg. Spojrzałam na wielki zegar na ścianie w głębi.
- No to masz godzinę i dwadzieścia minut. - Chciałam, żeby się pokazał. - Przyszłam tylko ci opowiedzieć o Reubenie Stucku.
- Szcęk. Brzęk.
- Kto to jest?
- Mieszka w Cold Fiat Junction. Malował **hotel Belle Ruin**, kiedy zniknęło to dziecko.
- Dwayne wysunął się spod samochodu.
- Skąd go znasz?
- Zwyczajnie, dowiedziałam się, gdzie mieszka, i pojechałam go odwiedzić.
- Dwayne wstał i wytarł dłonie w swoją tłustą szmatę.
- Tak zwyczajnie poszłaś do domu obcego mężczyzny? Pewnego dnia dostaniesz bolesną nauczkę i zaczniesz zabierać obstawę.
- Co takiego? - Rozpostarłam ramiona i obróciłam się w jedną i drugą stronę, jakbym chciała objąć nimi nie tylko warsztat Sława, ale Spirit Lake i cały wielki świat. - A niby skąd mam ją wziąć? Widzisz tu jakichś kandydatów?

Nie odpowiedział.

- Który to Stuck? - zapytał w końcu.

- Reuben. Mówiłam ci.

- Chodzi o to, że Stucków jest pełno w całym okręgu.

Kiedy chcą się spotkać, dają ogłoszenie do „Konservatysty”. Są przytomni Stuckowie i wariaci Stuckowie, dobrzy Stuckowie i...

- Och, Dwayne, daj spokój, dobra?

Położył się na swojej platformce i wjechał pod samochód.

- Reuben Stuck powiedział - ciągnęłam - że kiedy wrócił następnego dnia, drabina stała dwa okna dalej niż ją zostawił. Ktoś ją w nocy ruszał.

Spod auta dobiegło kilka stłumionych brzęknięć. Był to stary oldsmobile i jakoś nie wyglądało na to, żeby Dwayne miał do niego serce. Odchrząknął; nie wiedziałam dlaczego, więc mówiłam dalej:

- Policja uważała, że on sam mógł to zrobić. Ale przestali go wypytывать, bo nie było na to najmniejszego dowodu. Wyobrażasz sobie, być podejrzanym o coś takiego?

- Nie, ale wyobrażam sobie ciebie.

Nie wiedziałam, czy się ze mnie śmieje, bo prawie nic nie słyszałam przez całe szczekanie i brzękanie, towarzyszące jego słowom.

- Po prostu zignoruję to, co powiedziałaś.

- Dobrze.

Okropnie to irytujące. Kiedy próbuję go obrazić, nigdy nie daje się sprowokować. W te klocki jest lepszy ode mnie.

- Oczywiście, byli też świadkowie, a przynajmniej jeden, bo ten drugi był z drugiej ręki. - Myślałam o Uubie, któremu Ulub opowiada wszystko, co widział - albo i nie widział.

Dwayne znów wysunął się spod samochodu.

- Ależ ty uwielbiasz to określenie, prawda? - Wstał z platformy.

- Wcale nie. Po prostu tutaj pasuje, bo Ulub powiedział Ububowi, ale gdyby Ubub próbował zeznawać, usłyszałby, że wszystko, co wie od Uluba, to informacje z drugiej ręki.

- A jak to się stało, że Ulub był przy hotelu?

- Robił coś na terenie i znalazł się w pobliżu drabiny. Widziałby, gdyby ktoś po niej wchodził. Albo schodził.

Dwayne z zamyśloną miną wytarł ręce.

- Przecież nie tkwił tam przez cały bal. A w ogóle, to co on robił w nocy na terenie hotelu?

- Szykował drewno na opał do kominków, tak powiedział. Drewnutnia była... - urwałam nagle, myśląc o podstawce Artysty George'a i o grze w „Pana Ree”.

- Co się stało?

- Nic. Tylko pomyślałam o panu Ree. Wiesz, o tej grze.

- Mh-mm.

Drażniło mnie, że znów patrzy na mnie „znacząco”, tak to się chyba nazywa.

- Na planszy jest drewnutnia. Można tam zostawić broń... och, już nic.

- Mh-mm. Emmo, czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że w tym wszystkim jest sporo fantazji?

Usiadłam prosto, patrząc na niego złym wzrokiem.

- Nie, nigdy.

- Mh-mm.

- Och, przestań wreszcie! O czym to mówiłam? Aa, o Ulubie. Chodzi o to, że między wyjściem opiekunki do telefonu i chwilą, gdy Morris Slade wrócił po szal Imogeny, upłynęło bardzo niewiele czasu. Pokój był pu-

sty bardzo krótko, może dwadzieścia minut. Więc Ulub nie musiał długo patrzeć na drabinę.

- Skąd wiesz, że to było dwadzieścia minut?

Z raportu policyjnego, ale pomyślałam, że lepiej się nie przyznawać, że go wyniosłam.

- Obliczyłam sobie.

Dwayne włożył do ust kawałek gumy do żucia i energicznie poruszył szczęką.

- Akurat.

Zeskoczyłam z opon i wzięłam się pod boki.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, Dwayne Hayden?

- To łatwe. Po prostu cię znam. - I rzucił mi ten swój prawie uśmiech, cień uśmiechu, uśmiech przelotny. I znów poczułam smutek, jakby to wszystko, co się z tym wiązało, miało któregoś dnia bezpowrotnie zniknąć.

Dwayne starannie wycierał każdy palec, chociaż na mój gust tylko z powrotem mazał się smarem. W końcu wepchnął szmatę do kieszeni i rzekł:

- Myślisz, że drabinę przystawiono, aby wywołać wrażenie, że zrobił to ktoś z zewnątrz? Jak w sprawie Lindbergha?

- No, przecież ty tak myślisz. Sam tak powiedziałeś.

Pokręcił głową.

- Na którym piętrze był pokój Slade'ów?

- Na drugim.

- A drabina sięgała do samego dachu? Tak mówił ten Reuben Slade?

- Mh-mm.

- Więc gdyby ktoś wydostał się z okna na drugim piętrze i wszedł na trzecie piętro, Ulub niekoniecznie musiałby to widzieć czy słyszeć.

To mi nie przyszło do głowy.

- Ale chyba nikt nie zdołałby wyjść przez okno, wspiąć się na górę i wejść do hotelu piętro wyżej, trzymając dziecko na ręku!

- Nie wiem. - Dwayne wzruszył ramionami. - Może brały w tym udział dwie osoby?

Zmarszczyłam brwi. Faktycznie, pan Gumbrel też mówił, że Imogena i Morris mogli to zrobić razem, ale jakoś nie umiałam sobie wyobrazić żadnego z nich z dzieckiem na drabinie.

Szłam drewnianym chodnikiem, powłócząc nogami, i czułam się kompletnie pozbawiona blasku. Nie żebym jaśniała w jakichkolwiek okolicznościach, ale dzisiaj miałam wrażenie, że jestem szczególnie mdła i nijaka. I wcale nie poczułam się lepiej, widząc na werandzie Ree-Jane w zielonym bujaku, z ramieniem przerzuconym przez balustradę w pozie kolejnej modelki, którą naśladowała. Od chwili, gdy szeryf ochrzanił ją poprzedniego dnia, raczyła mnie swoim bezgłośnym śmiechem, pewnie po to, by zasugerować, że to, co według mnie wydarzyło się w Tęczy, w gruncie rzeczy nie wydarzyło się wcale.

Taka jest. Potrafi sobie wszystko wmówić. Moim zdaniem to wariatka. Jakiś czas temu mieszkała u nas lekarka psychiatra i Lola Davidow napuściła ją na Ree-Jane. Ale kiedy pani psychiatra wyjeżdżała, Lola Davidow sama wyglądała nie najlepiej.

Czasem Ree-Jane robi wrażenie, że na człowieka patrzy, ale to nieprawda - wyraźnie widać, że rozmawia z kimś nieobecnym, porusza ustami, śmieje się. Nawet Aurora Paradise tak nie postępuje. No i teraz Ree-Jane też śmiała się do nikogo lub do niczego, aż do chwili, gdy ujrzała mnie na schodach.

- Dobrze się bawisz? - zapytałam z niewinną miną.
- Mówiłaś i śmiałaś się tak głośno, że pomyślałam, że

są tu jacyś ludzie. Może pod stołem? - Schyliłam się i zajrzałam pod stolik, pod którym nie ukryły się nawet kot. - Nie. Żywego ducha.

- Aleś ty głupia. Wydaje ci się, że jesteś dowcipna?

To już robiło się nudne.

- W ogóle nie masz wyobraźni - ciągnęła uparcie. I obdarzyła mnie krzywym, wiedzącym uśmiechem.

Przysiadłam, żeby zobaczyć, czy potrafię doprowadzić ją do jeszcze większego obłędu.

- Owszem, tyle że moja wyobraźnia wie, do kogo należy. - I odwzajemniłam jej krzywy uśmiesek.

- A to co niby ma znaczyć?

Obróciłam bujak i położyłam stopy na balustradzie werandy obok jej ręki, którą pośpiesznie usunęła.

- To, że gadasz do siebie na głos, a ja robię to tylko w myślach.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której pewnie obmyślała jakąś ripostę.

- Może nie masz do powiedzenia nic, czego ktokolwiek chciałby słuchać. - Zrobiła minę, jakby wygrała turniej ping-ponga (widziałam, jak mówi do siebie, nawet grając w ping-ponga).

- Doprawdy? Pan Gumbrel twierdzi, że odkąd zamieszcza moją relację, sprzedaż wzrosła o dwadzieścia pięć procent.

Machnęła ręką, jakby odganiając dym. Brakowało mi tylko papierosa i koktajlu miętowego. Umieję strzepywać popiół za balustradę, tak jak pani Davidow. Lubię patrzeć, jak to robi, chociaż krzakom, na które leci popiół, pewnie się to nie podoba. Czasem pstryka petem, wciąż jeszcze zapalonym, na zwirową ścieżkę, co chyba jest niebezpieczne; ale lubię patrzeć na mały ognisty łuk, który zatacza rozżarzony papieros, zanim upadnie.

- Ta szmata! To nie „New York Times”! Pewnie ci się wydaje, że zostaniesz sławną reporterką!

- Nie, ale tobie się tak wydawało, póki się nie okazało, że się nie nadajesz. - To ją zamknęło. Czas przeszedł.

- Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż pisać głupie historyjki.

Ziewnęłam. Przyszła pora, by iść do kuchni.

- Jest jedna rzecz, której lepiej, żebyś więcej nie robiła: nie chodź za mną, bo załatwię oficjalny zakaz sądowy! - Wstałam z rozhuśtanego bujaka, nawet się nie oglądając. - Tylko spróbuj!

Ostatnio kontakty z Ree-Jane wręcz podnoszą mnie na duchu. Odkąd stałam się sławna jako osoba, która otarła się o śmierć, i odkąd szeryf wstawił się za mną, a na nią nakrzyczał - cóż, Ree-Jane po prostu wyprztykała się z amunicji.

Stałam nad talerzami surówek, układając krążki czerwonej papryki, i rozmyślałam o Slade'ach. Dwadzieścia kilka lat temu wydarzyły się dwie rzeczy: po pierwsze Fern Queen, córka Bena, wyjechała z miasta na wiele miesięcy; ludzie w Cold Fiat Junction mówili (oczywiście nie mnie), że pojechała urodzić dziecko. Po drugie wprowadzono dziecko Slade'ów.

Jeśli więc Dziewczyna nie jest wnuczką Bena, myślałam, to mogę się założyć o dolara przeciwko pączkowi z posypką, że to córka Slade'ów, mała Fay, obecnie dwudziestodwuletnia. I dlatego bez przerwy się tu pojawia. Szkoda tylko, że nie widział jej nikt oprócz mnie.

Ale chyba wyciągnęłam z tego jedną naukę, taką mianowicie, że trzeba szukać własnych odpowiedzi na różne pytania. Nawet jeśli to są niewłaściwe odpowiedzi. Chodzi o samo szukanie.

Przyrządzałam wieczorną libację dla Aurory. W sklepie w Alta Vista pewnie zabrakło dżinu Gordona, bo znalazłam tylko dżin Bombay Blue Sapphire. Zauważyłam również butelkę likieru Blue Curacao, który uznałam za bardzo ładny. Dolałam whisky Jim Beam, dodałam lodu i soku ananasowego, wetknęłam do szklanki miniaturową niebieską parasolkę i wyjęłam tacę. Postanowiłam nazwać koktajl Bombajski Blues.

Moja wyobraźnia była na wykończeniu. Nie wiem, jak Will i Mili to robią, że co dzień wymyślają coś nowego. Może wymyślają własne życie - trudno powiedzieć. A może stać ich na to wszystko, bo z realnym światem kontaktują się tylko wtedy, gdy noszą gościom walizki i spożywają posiłki. Will jedzie na wyobraźni, nawet rozmawiając z panną Berthą.

Przyznaję, że jestem trochę zazdrosna. Na Willa prawie nigdy nikt nie krzyczy, bo potrafi być gładki i zarazem niewidoczny. Czasem jest proszony na zastępstwo w recepcji, ale nawet wtedy robią z tego z Millem mały spektakl, bo nasza recepcja nie należy do najruchliwszych miejsc w mieście; na przykład Mili podchodzi do kontuaru, utykając i podpierając się laską, po czym odgrywa scenkę „Gość ze sztywną nogą”.

Zatrzymałam się z tacą w ręku i pomyślałam: nic ich nie peszy, nic nie ogranicza. A może tak właśnie powinniśmy żyć?

Aurora pociągnęła ze szklanki i mlasnęła:

- No, to całkiem co innego! Niech jeszcze spróbuję. Ależ to może zwalić z nóg! Jak się nazywa?

- Bombajski Blues. To taki drink w międzyczasie.
- Aurora i tak tego nie rozumie; jedyny międzyczas, jaki zna, to czas między jednym drinkiem a drugim.

Upiła kolejny łyk, smakując go niczym kiper.

- Ciekawe, czy pamiętasz jeszcze coś z tej nocy w Belle Ruin, kiedy skradziono dziecko.

Pomieszała drinka małą parasolką i mruknęła:

- To było kilka lat przed tym, jak diabli wzięli te wariatki Devereau.

Diabli wzięli w koszyku, jak lubi mawiać moja matka. Zastanowiło mnie, co właściwie oznacza ten koszyk, no ale ja zastanawiam się w ogóle nad wszystkim. Jednak tym razem Aurora umiejscowiła całe zdarzenie w czasie, wiedziałam więc, że mówi prawdę. To znaczy, o ile w ogóle ją zna.

Powoli pokręciła głową, nie przecząco, lecz ze zdziwieniem.

- Dwadzieścia dwa albo trzy lata! Dla ciebie to nie wyobraźalnie dawno. Dla mnie to nic. Wczoraj.

Nie chciałam stać z tacą i filozofować. Chciałam faktów. A przynajmniej opinii. Ale chciałam również pokazać, że jej współczuję, co nie było prawdą.

- Myślę, że jak się człowiek robi starszy, to czas jakby przyspiesza. - Wcale tak nie myślę; to tylko frazes.

- Poszłam na ten bal z Rufusem Pyle'em. Ależ to był ryzykant!

Korciło mnie, żeby powiedzieć, że w tej sytuacji nie miał wyjścia.

- Ślicznie wyglądałam w żółtej taftowej sukni z dekoltem w serduszko, wykończonym listeczkami z zielonego jedwabiu! Wszystkie tańce w karneciku miałam zajęte!

Chyba wtedy nie używano już karnecików.

- Tańczyłam z... niech wspomnę... Billym Martinem i z Eugene'em Spitssem, i z Thomasem Raffertym, i z...

Przestępując z nogi na nogę, pozwoliłam jej mówić. Wymieniła jeszcze pięciu czy sześciu partnerów, w tym doktora McComba. Wtedy przerwałam:

- A matka i ojciec dziecka?

- A, chodzi ci o Morrisa Slade'a i jego żonę? Cóż, ona była głupiutka, a on polował na fortunę papy Woodruffa.

Oparłam się o ścianę.

- A dziecko? Mała Fay? Co się z nią stało? Znaczy, przyjechała policja i co myślała?

- Jeśli mówisz o tym durniu Carlu Moomie, to nie przypuszczam, żeby on w ogóle cokolwiek myślał. Ale tak czy inaczej, policjanci wiedzieli, że to porwanie. Co gorsza, Slade'owie zatrudnili tę beznadziejną, nieodpowiedzialną dziewczuchę Spikerów. Boże, to była chyba największa idiotka w okolicy! No więc zadałam sobie pytanie - tu Aurora spojrzała na mnie z powagą - dlaczego?

Odepchnęłam się od ściany. To pytanie też przyszło mi do głowy.

- Znaczy, dlaczego zatrudnili opiekunkę, o której wiedzieli, że jest nieodpowiedzialna?

Kiwnęła głową.

- W dodatku dziecko podobno było chore. Dlaczego w takim razie poszli zabawić się na dole? No i ta drabina. Morris dopiero po kilku godzinach wrócił na górę. I się zaczęło. Przechyliła szklanekę i wytrząsnęła do ust kostkę lodu. - Biedactwo pewnie już nie żyło, więc zaczęli rozgłaszać, że to porwanie.

Szczęka mi opadła. Taca wyleciała mi z rąk i z brzękiem uderzyła o podłogę. Podniosłam ją i usiłując zapytać o kilka rzeczy naraz, wybelkotałam:

- Ale... ale czy... policja się zorientowała?
- Już ci mówiłam, że szeryf nic by nie zrobił bez zgody ojca Imogeny. Stary Woodrułf miał tutejszą policję w kieszeni.

W jej ustach zabrzmiało to wręcz romantycznie.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś zabił dziecko?
- Uduślił. Mówiłam o tym doktorowi McCombowi, ale mnie zbył. - Pochyliła się ku mnie i oznajmiła złowieszczo: - Znałam tych dwoje. Para zimnych drani, jakiej świat nie widział.

Nie odpowiedziałam od razu, bo przez głowę przelatywały mi miliony słów i nie byłam w stanie sformułować pytania. Wreszcie wykrztusiłam:

- Ale... po co?

Wzruszyła ramionami i zagrzechotała jedyną pozostałą w szklance kostką lodu.

- Morrisowi Slade'owi zawsze chodziło o pieniądze.

To było coś, co nie mieściło mi się w głowie.

- Ale w takim razie, co zrobili z ciałem?

- Nie wiem.

Uznałam, że naprawdę należy jej się drink, wzięłam więc szklanekę i powiedziałam, że zaraz wrócę. Kiedy wychodziłam, nuciła pod nosem, a już na schodach usłyszałam, jak śpiewa *Mój stary dom w Kentucky*. Przy najmniej tym razem nie pomyliła stanu.

34

Stałam przed Dużym Garażem, usiłując sobie przypomnieć specjalne pukanie. Zbliżał się termin przedstawienia, więc Will i Mili wymyślili szyfr, żeby nikt niepowo-

łany się do nich nie zakradł. Zapytałam ich nawet, po co ktokolwiek miałby się zakradać na tragedię grecką.

- To już nie jest tragedia, prawda? - odparł Will.

- Boście ją poprzerabiali.

- Przykro mi - rzekł Will - jeśli to obraża twoje uczucia jako Greczynki, ale chcemy przyciągnąć wielu widzów, również takich, którzy mało czytają.

- Nie umieją czytać, chcesz powiedzieć.

- Ależ z ciebie snobka. Właśnie dlatego przerobiliśmy sztukę na musical - żeby dotrzeć do szerokiej publiczności. Uznaliśmy, że trzeba wyciąć kilka bardziej krwawych kawałków. Strasznie krwiożerczy ludzie z tych Greków - nie ma końca zabijaniu matek, ojców, sióstr, dzieci, wszystkich. Tak już się nie da żyć. To niemodne.

- Zrobiliście musical tylko po to, żeby wystawić spektakl ze swoimi piosenkami.

- Przez ciebie wszystko się opóźnia, wiesz o tym? Chyba nie zrobisz kariery w teatrze. - I rzucił na odchodnym: - Nawet nie włożyłaś kostiumu.

To był kolejny punkt sporny. Obiecano mi, że wystąpię w tiulowej sukni, lecz jedyną tiulową suknię, jaką rozporządzaliśmy, zawłaszczyła June Sikes, a z całą pewnością nie zamierzałam narażać na szwank ciemnobłękitnej sukni Kelnerek. Teraz więc miałam na sobie jakby pelerynkę, pokrytą sztucznymi kurzymi piórkami, zawiązaną pod szyją na kokardkę. Moja rola polegała jedynie na zjechaniu z chmur na huśtawce, rzekomo jako deus ex machina - i tylko ja zadawałam sobie trud, by wymówić to poprawnie.

Maszerując ze złością na scenę, zastanawiałam się, czy deus ex machina to ktoś taki jak Ben Cjueen, który wypadł z ciemności i ocalił mi życie. Musiałam przyznać, że

zdarzył się jakby cud. Z drugiej strony, ja też ocaliłam mu życie, bo nie powiedziałam policji (znaczy, szeryfowi), gdzie on jest. Wiem, że dla większości ludzi moje pojawienie się znikąd stanowi olbrzymie zaskoczenie.

Spojrzałam w górę, między krokwie, skąd Paul szczyrzył do mnie zęby jak wariat, i usiadłam na huśtawce.

- Ńdobry panienko! - Paul wita tak wszystkie ko biety, duże i małe.

Chyba w tej chwili pojęłam, dlaczego Will i Mili lubią mu dokuczać; z tą swoją ziemistą twarzą, okrągłą jak księżyc, po prostu się o to prosi.

Will zdobył batutę (pałeczkę perkusyjną Chucka) i teraz postukiwał nią o scenę, stojąc na przyszej widowni.

- Dobra, najpierw powtórzmy najtrudniejszą scenę z Medeą. - Tu spojrzał na June mizdrzącą się przed wiel kim lustrem, którego zastosowania nie znałam. Ja miałam wjechać w górę, podciągana na bloczku przez Milla, i czekać obok Paula pod stropem, aż mnie opuszczą.

Wtem Will zawołał do mnie:

- Aha, zrobiliśmy zmianę. Chcemy, żebyś zjechała na dół w tej scenie, kiedy Medea gania za Chuckiem, aby go zabić.

- Dlaczego? - Jestem zaskoczona każdą zmianą, która mnie dotyczy.

Nie odpowiedział.

Paul grał jedno z dzieci Medei. Na przedstawienie mieli go rozwiązać i przystawić do krokwi drabinę, żeby mógł zejść na dół, jak już rzuci we mnie mąką. Zadaniem Chucka była również obsługa kolorowych reflektorów, więc kiedy grał, ze sceny znikwały wędrujące plamy zieleni, różu i błękitu. Próbowałam się już wyklócać, że w tekście nie ma żadnej mąki, ale Will zaprotestował:

„Masz zjechać na dół jak należy”. „Jak należy? Jak należy? Przecież wcale nie wiesz, jak należy”. Teraz też powiedziałam:

- Chyba na próbie generalnej nie musi być mąki, no nie?

Will tylko na mnie spojrzał - spojrzeli na mnie obaj, gdyż Mili też do nas podszedł - jakbym nie miała pojęcia o teatrze.

- Jak ci się zdaje, co oznacza „próba generalna”? Wszystko musi być tak jak na premierze. Nigdy nie zrobisz kariery w teatrze.

Mili poprawił palcem okulary na nosie i dorzucił:

- Musisz się bardziej starać.

I oddalili się zawadiacko niczym zombie w *Nocy żywych trupów*.

Najbardziej mnie wkurza, że w ogóle nie zwracają uwagi na fakt, że jestem sławna i piszę do gazety reportaż w odcinkach. W końcu ktoś mógłby przyjść specjalnie, żeby obejrzeć mnie. A Will wręcz odmówił udzielenia wywiadu dziennikarzom, którzy kłębili się w hotelu, wypytując, czy to nie cudowne, że ma taką dzielną siostrzyczkę. „Bez komentarza” - powiedział.

Niemal zastrzelono mnie na śmierć, a on nie miał komentarza? I wyjaśnił reporterom, że nie chce mącić mojej sławy.

Mili dał znać Paulowi, że jadę, i pociągnął za sznur. Wznosiłam się ku krokwiom w falującej pelerynce z kurzych piór.

- Dobrze - powiedział Will. - Medeo, kiedy krzyknę „Akcja!”, wejdiesz na scenę z lewej strony. Chuck, ty się bawisz kolejką.

Kiedy zobaczyłam kolejkę, również wybuchła wielka kłótnia.

- Przecież w starożytnej Grecji nie było takich za bawek jak nasze.

Will odparł, że postanowili trochę sztukę uwspółcześnić, żeby była „istotniejsza” dla naszej epoki.

- Jaka?

- Istotniejsza.

- Istotniejsza - poprawił Mili.

- A poza tym - uzupełnił Will - oszczędzamy na rekwizytach.

Wskazałam biały tiul Medei i swoje kurze piórka.

- Więc po co nam kostiumy, June i mnie?

- Żeby nawiązać do przeszłości. Poza tym June nie zagra w sztuce, jeśli nie pozwolimy jej włożyć tej sukienki. Akcja!

Z lewej kulisy wyłoniła się June-Medea odziana w biały tiul i umalowana taką ilością szminki i tuszu do rzęs, jaka zaspokoiłaby kleptomanię panny Isabel Barnett na cały rok. June tuliła do piersi wielki tekturowy nóż i wyglądała jak lunatyczka.

Chuck (w zwykłym ubraniu), kucał odwrócony tyłem do niej i przesuwiał po szynach drewniany wagonik.

- Udawaj pociąg! - wrzasnął Will.

Chuck posłusznie zaintonował czu-czu-czu. Medea ruszyła cichcem w jego kierunku, ale Chuck jakby wyczuł „złorogą obecność” (wskazówka sceniczna w tekście) i zastygł bez ruchu. Nóż Medei zaczął opadać w zwolnionym tempie, więc czym prędzej zjechałam na dół, kołysząc się niebezpiecznie.

Nóż chybił, bo Chuck nagle się zerwał i Medea rzuciła się w pogoń za nim wśród elementów scenografii (muszę przyznać, że to jedno z arcydzieł Willa: białe kolumny, odłamki skał oraz stary zardzewiały wózek,

który znalazł pod domem braci Wood i pomalował sprejem na złoto, żeby udawał rydwan). Spadłam na scenę z trójzębem w rękę (również złotym) i ryknęłam:

- Nie! Dość już, Medeo!

Medea zamarła, Chuck również, ja zaś przeszłam przez scenę, by zająć miejsce w trzyosobowym zespole wokalny-tanecznym. Mili zagrział na pianinie, a Will ciął batutą, jakby to był nóż Medei.

Ooo, Meeedeeea!

Mamma mia!

- I wykopy!

Przy wtórce kolejnych słów zaczęliśmy jednocześnie wymachiwać nogami jak New York City Radio Rockettes, które, zdaniem Willa, są mistrzyniami pod tym względem.

Will podkreślał każdy wykop machnięciem pięści.

Patrzcie tylko, jak się strasznie uwija!

Kop. Kop.

Ooo, Medeo! Co się dzieje?

Kop. Kop.

Po próbie całej sztuki byliśmy całkowicie wykończeni. Will chciał powtórzyć wszystko jeszcze raz, ale oświadczyłam, że to grozi buntem.

- Oczekujemy cię więc jutro wieczorem, punkt siódma.

Żeby ich trochę zirytować oznajmiłam:

- Przypominam wam o popołudniówce dla sierot panny Landis. - Ta przyjemność została zaplanowana (a właściwie zaproponowana) przeze mnie jako pretekst, by porozmawiać z panną Landis. Moje okrężne ścieżki

czasem skutkują dodatkową pracą dla innych, ale nie mnie to nie obchodzi.

- Może to je pocieszy, skoro nie mają mamusi ani tatusia - zachichotał Mili, po czym spojrział na strop.

- Zdejmiemy Paula na lunch?

- Nie, niech tam siedzi, po prostu rzuć mu banana.

I obaj zaczęli tarzać się ze śmiechu.

35

To dziwne, ale prawie nikt nie pamięta - a przynajmniej nie mówi - o panu LeClerc, Francuzie z Rouen, właścicielu Belle Ruin. A przecież oprócz najbliższej rodziny to on najbardziej ucierpiał wskutek porwania małej Fay.

Jeden ze starych numerów „Konserwatysty” zamieścił nawet jego zdjęcie, ale zrobiono je pod tak niekorzystnym kątem, że trudno stwierdzić, jak wygląda, zwłaszcza że okropnie mrużył oczy. Pewnie raziło go słońce, albo też boleśnie przeżywał fakt, że porwanie wydarzyło się w jego hotelu. Myślę sobie, że to straszny pech, że hotel, który w niczym nie zawinił, musiał ponieść konsekwencje.

Bo gdyby coś takiego zdarzyło się w Hotelu Paradise, pani Davidow z pewnością urządziłaby jakiś Martini-fest: garściami rozdawałaby drinki i orzeszki, latałaby do prasy opowiadać o swojej znajomości ze Slade'ami i zmyślałaby dla reporterów kolejne historyjki. Ta to rozumie, na czym polega reklama.

Natomiast pan LeClerc (na imię miał Jules, co uznałam za śliczne) tylko kręcił głową, wzdychał i, by zacytować

jednego z reporterów, „wypowiadał się w ojczystym języku”, na przykład „*mon Dieu, mon Dieu*”, co, jak chyba wszyscy wiedzą, oznacza „mój Boże”. Mnie jednak najbardziej rozszłościł fakt, że żadnemu dziennikarzowi nie chciało się przetłumaczyć niczego, co mówił pan LeClerc, jakby zakładali, że czytelnicy, nawet Ulub i Ubub, płynnie władają francuskim.

Siedząc w zatęchłym pokoiku na tyłach redakcji „Konservatysty”, przeczytałam każdą, nawet najmniejszą wzmiankę o panu LeClerc, gdyż nie znam nikogo takiego jak on i pewnie nigdy nie poznam (z moich znajomych najbliżsi mówieniu w obcym języku są bracia Wood). Pan LeClerc robił wrażenie naprawdę miłego człowieka. I jakby nie dość było porwania, to jeszcze kilka lat później hotel Belle Ruin spalił się doszczętnie. Pan LeClerc powiedział wtedy, że „*un malheur amens son frere*”, co przetłumaczyłam (z pomocą słownika francuskiego, leżącego obok gazety na stole) jako „pech przychodzi ze swym bratem”, co nie miało zbytniego sensu, póki nie uświadomiłam sobie, że to oznacza, że nieszczęścia chodzą parami. Przytrafia się jedna straszna rzecz, która wlecze za sobą drugą. Porwanie, a potem pożar.

Gdyby pożar zdarzył się tuż po zniknięciu dziecka, podejrzewałabym jakiś związek, na przykład, że pan Woodruff oszalał z rozpacz i zaczął podpalać franki. Ale między jednym i drugim wydarzeniem upłynęły trzy lata, a przecież nikt tak długo nie planuje zemsty, no, może z wyjątkiem Ree-Jane i mnie. Poza tym trudno było obwiniać pana LeClerca o to, co się stało z dzieckiem, choć oczywiście było wiele pretensji o drabinę przystawioną do ściany hotelu. „*Je ne sais pas, je ne sais pas*”, powtarzał w kółko, „nie wiem, nie wiem”. Jedna z gazet - „The Cloverly Times”, który nie dorasta

do pięt nawet „Konserwatyście” - sugerowała, że pan LeClerc miał z tym coś wspólnego. Na tym właśnie polega problem z reporterami: chodzą i tłuką muchy, licząc na to, że przynajmniej jedna przylepi się do ściany. Jeżeli się mówi, że wszyscy są winni, to kiedy ktoś naprawdę okaże się winny, zawsze można powiedzieć, że miało się rację.

Biedny pan LeClerc. Całe życie rozpada mu się na kawałki, a kilka lat później hotel staje w ogniu i nawet te kawałki życia płoną. Nie dowiedziałam się, co się z nim stało, napisano tylko, że wyjechał. Ciekawe, pomyślałam, czy wrócił do Rouen? Przynajmniej tamtejsza ludność rozumiałaby, co mówi.

Mówił coś o „*bebe mai*”, najwyraźniej mając na myśli dziecko. Sprawdziłam w słowniku słowo *mai*. „Chory”. Dziecko było chore; dotąd w żadnej relacji nikt o tym nie wspomniał. Nie napisali, co dziecku dolegało.

Potem jednak przypomniałam sobie słowa Glorii Spiker: „Kazali mi jej nie budzić, miałam tylko ich zawołać, gdyby zaczęła płakać. Miałam dać jej pospać, bo to najlepsze lekarstwo, tak powiedzieli. No i spała jak suś, nawet nie pisnęła. Zachowywałam się bardzo cicho, ale po prostu musiałam zadzwonić”. I dodała, że ani jej się śniło, że będzie przez dwadzieścia minut gadać na korytarzu. Tyle czasu jej nie było. A ta przystawiona drabina? Nawet się zastanawiała, czy ktoś ją obserwował przez okno. „Bo wiesz, niektórzy ludzie tak uważali”.

Ja jednak znów wróciłam do myśli, że ktoś chciał, by ludzie tak uważali - by myśleli, że porwanie było robotą kogoś z zewnątrz. I ta historia z drabiną. Przecież mógł ją przestawić każdy w hotelu, każdy, kto miał dość siły, by ją podnieść.

I tak dotarłam do drugiego pytania - kto zostawia chore dziecko, żeby po prostu pójść sobie potańczyć? I potem zagląda do niego raz na dwie godziny, albo i rzadziej? A przede wszystkim, kto zostawia jakiegokolwiek dziecko pod opieką dziewczyny takiej jak Gloria Spiker, znanej z niesolidności, zwyczajnie nierozgarniętej? Czy to nie dziwne, że Slade'owie tak postąpili? Wróciłam do gazety i pana LeClerca. Powiedział (z zadowoleniem ujrzałam, że po angielsku), że Slade'owie i pan Woodruff zjawili się w porze kolacji i od razu poszli do pokoju, a raczej apartamentu, dziecko zaś, zawinięte po czubek głowy, niosła pani Slade. Zamówili kolację do pokoju, a następnie chyba przebrali się na dancing, bo jedna z pokojówek opisała suknię pani Slade jako „po prostu piękną”. Z ciemnozielonej tafty, powiedziała, cała „szeleszcząca” (myślami podążyłam w tę stronę; bardzo bym chciała mieć suknię, która szeleści).

Siedziałam, pocierając palcami ściemniałą ze starości stronę gazety. Poczułam, jaka jest krucha, więc przestałam; nie chciałam jej zniszczyć, bo kiedyś mogła zostać „włączona do materiału dowodowego” - tak to chyba nazywają w *Peny Masonie*. Rozmyślałam o tym wieczorze, gdy Slade'owie przybyli do hotelu i poszli do pokoju z „le bebe” (aż się uśmiechnęłam; po francusku dziecko wydawało się jeszcze mniejsze). Obsługa pokoi, Gloria Spiker, dancing - myślałam tak intensywnie, że targnęłam głód. Jeszcze raz przeczytałam artykuł i zmarszczyłam czoło. Kto właściwie widział dziecko? Kelner z obsługi na pewno nie. Z tego, co powiedziała Gloria, wynikało, że ona też nie - dziecko spało w drugim pokoju i nie wolno go było budzić.

Nikt nie widział dziecka.

Przez minutę gapiałam się na zimną betonową ścianę.

Może żadnego dziecka nie było.

Z zaskoczenia aż podskoczyłam na krześle, jak ktoś nagle obudzony ze snu.

Może „gorączka” i sen stanowiły tylko preteksty, żeby nikt postronny nie oglądał małej.

Myśl była tak dziwna, że przestałam oddychać. Chyba w owej chwili zrozumiałam, co to znaczy, że coś „zapiera dech”.

Ten pomysł zapierał dech i musiałam natychmiast podzielić się nim z szeryfem.

Z tupotem popędziłam ulicą Olchową i wbiegłam po schodach do sądu, cały czas modląc się w duchu; „Niech szeryf będzie u siebie u siebie u siebie”.

Nie było go. Modlitwa nie została wysłuchana. Zamierzam wytknąć to księdzu Freemanowi, oczywiście między innymi. A może nie należy się modlić, kiedy człowiek się śpieszy? Wyobraziłam sobie, jak pan Bóg mówi: „No, skoro nie chcesz zwolnić nawet na chwilę...” Ale zaraz mu odpowiedziałam: „Może ktoś, kto się przechadza lub siedzi, nucąc, w fotelu, nie odczuwa takiej potrzeby modlitwy?”

Kiedy wpadłam do biura, Donny Mooma siedział przy biurku szeryfa i na mój widok natychmiast położył nogi na blacie.

- Sama nie ma, więc może od razu zrób w tył zwrot - tu zrobił palcem kilka kółek - i zmykaj stąd.

- Gdzie on jest?

Założywszy dłonie za głowę, Donny odchylił się na fotelu.

- Nie mogę powiedzieć, to sprawy służbowe.

- Poszedł do Tęczy? - Po zirytowanej minie Donny'ego poznałam, że tam właśnie go znajduję.
Zemknęłam co sił.

Zdziwiłam się, że na stołku przy kasie siedzi nie Shirl, lecz Wanda jedząca pączka z tęczową posypką. Przywitałam się z nią.

Powiedziała cześć i wyjaśniła:

- To część mojego szkolenia, bo widzisz, powinnam się nauczyć przyjmować pieniądze. - I znizywszy głos do szeptu, dodała: - Tylko nie mów nikomu, że jadłam pączka. Nie wolno mi jeść w pracy, ale byłam strasznie głodna.

Zapewniłam ją, że nie pisnę ani słowa, chociaż wciąż mnie dziwiło, że Shirl pozwoliła zająć miejsce przy kasie komuś innemu oprócz być może Maud. Nikomu nie ufa, kiedy chodzi o finansową stronę interesu.

- Shirl poszła do Super Ściecia zrobić sobie włosy.

Shirl chodzi do fryzjera co dwa tygodnie, ale prawdę mówiąc, nie widzę żadnej różnicy między stanem przed i po. Nawet gdyby siedziała w Super Ścieciu cały miesiąc, robiąc sobie różne manikiury i pielęgnacje skóry, i tak nic by nie osiągnęła. Wyglądu niektórych osób zwyczajnie nie da się poprawić i obawiam się, że ja też do nich należę.

Zapytałam Wandę, czy zastałam szeryfa, na co pokażała palcem na boksy i oblizwała białe od lukru palce:

- Tam, z tyłu. Czy on nie jest słodki? To taki słodki człowiek.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Najwyraźniej Wanda jest moim przeciwieństwem, zawsze ma serce na dłoni.

- Pewnie, że tak - potwierdziłam i pomknęłam do naszego zwykłego boksu.

Siadając naprzeciwko niego, zawołałam:

- Chyba wiem, co się stało ze Slade'ami!

- Z kim? - Szeryf z zaskoczeniem popatrzył na mnie znad filiżanki z kawą.

Czy dorośli nie umieją na niczym się skupić?

- Slade'ami. Tymi z Belle Ruin. Tymi, którym porwa no dziecko!

Szeryf kiwnął głową.

- A tak, przepraszam. Mózg mi dzisiaj słabo działa. To co z tymi Slade'ami? Poczęstuj się pączkiem.

Poczęstuj się pączkiem? Westchnęłam z rozczarowaniem, zdając sobie sprawę, że szeryf nie traktuje zbrodni sprzed lat tak poważnie jak ja. Poczułam, że wiotczeję. To właściwe słowo: poczułam, że całe podniecenie uchodzi ze mnie jak powietrze z balonu, aż stałam się zupełnie płaska. Został już tylko jeden pączek, całkiem zwyczajny, ale byłam zbyt rozstrojona i niepokieszona, by go zjeść.

- Emmo? - Teraz szeryf się zmartwił. - No, co z tymi Slade'ami?

- Nic. Coś mi przyszło do głowy. - Wiedziałam, że szeryf ma bzika na punkcie konkretów, więc daleko z nim nie zajadę ze swoją teorią. Uświadomiłam sobie, jak wątle są moje niby-dowody w sprawie małej Fay. Właściwie wcale ich nie było, prawda? A szeryf musi mieć fakty na poparcie wszystkiego, co robi, nie może po prostu aresztować ludzi na prawo i lewo wedle swego widzimisię. I w końcu, kogo miałby aresztować? Nikogo.

Pojawiła się Maud z półmiskiem świeżych pączków, który pchnęła w moją stronę.

- Naprawdę powinnaś się poczęstować; są prosto z pieca.

Wręcz czułam bijące z nich ciepło, postanowiłam zatem wziąć jeden, choćby po to, by okazać wdzięczność. Wybrałam pączek z czekoladową posypką.

- Emma wykombinowała coś na temat dziecka Slade'ów.

Teraz Maud wyglądała na zaskoczoną.

- Fay - uzupełniłam, chcąc podkreślić, że przynajmniej znam szczegóły.

- Tak? A co? - zapytała Maud.

Jak na mój gust oboje podchodzili do sprawy zbyt swobodnie. Uznając, że zdołam zjeść tylko połowę pączka z tęczową posypką, odpowiedziałam:

- Właściwie nic takiego. Mam teorię na temat tego, co się stało. Ale nie chcę nic mówić, póki sobie tego dokładniej nie przemyślę.

Szeryf zmienił temat; pewnie nie był dla niego specjalnie interesujący.

- Widziałem na mieście plakaty przedstawienia *Medea Musical*. To ściągnie do was mnóstwo gości; muszę przyznać, że twój brat i ten jego kolega...

- Mili.

- Jest muzykiem, tak?

- Tak. Ma nieprawdopodobny talent.

- To będzie wielki przebój - wtrąciła Maud. - **Znam** z tuzin osób, które wybierają się dziś wieczór i...

Zerwałam się.

- Dziś wieczór! To dzisiaj! Spóźnię się! Dzięki za pączki! - Przepchnęłam się do wyjścia obok ludzi się dzących przy kontuarze. Shirl była na swoim miejscu, jakby nigdy się z niego nie ruszała.

Reba Sikes, kolejna siostra June, stała przy drzwiach, sprawdzając bilety tym, którzy je mieli, i sprzedając je całej reszcie. Nie powierzyłabym nikomu z rodziny Sikesów zdechłego kota, ale najwyraźniej producenci się nie przejmowali.

Kurtyna była spuszczone, a Will co kilka minut wyglądał zza fałd i oznajmiał:

- Niezła sala!

Will mówi „sala” o publiczności obecnej bądź nieobecnej. Zapytałam go, czy nauczył się tego na Broadwayu.

Mili siedział „w kanale” (znów ten Broadway) przy fortepianie, przygrywając na rozgrzewkę w naprawdę niezłym - tak powiadają - stylu Scotta Joplina; sędzę, że wprowadzał odpowiedni nastrój, bo chociaż mieliśmy grać grecką tragedię, to, jak zapowiedział Will, dawno przestała to być tragedia.

- Kto tam jest? - szepnęłam. Przede wszystkim chciałam wiedzieć, czy przyszedł szeryf, no i oczywiście Maud. Czy przyszli razem? No, a Dwayne, czy też się zjawił?

Will tylko machnął ręką, żebym się cofnęła. Zawsze zachowuje się tak, jakbym nadużywała jego cierpliwości. A ja zawsze mu odpowiadam, że to niemożliwe, bo w ogóle jej nie ma.

Przyodziana w pelerynkę z kurzych piór jakoś wcisnęłam się na huśtawkę. Will przeszedł na prawą stronę sceny i stanął przy bloku; ciągnął szybciej niż Mili (brak cierpliwości) i za mocno mnie rozkołysał, lecz jakoś wjechałam na górę, a gdy dobiegło mnie powitanie

Paula: „Ńdobry, panienko" - zrozumiaŁam, Źe znalazŁam się na wŁaściwym miejscu. Paul miał latarkę, zapytaŁam więć, po co mu ona, jednak nie odpowiedziaŁ, tylko zakomunikowaŁ:

- Tam.jest mama, psze pani.

Nawet dochodząca pomywaczka przyszaŁa na naszą sztukę?

SiedziaŁam i czekaŁam. Huštawka w gruncie rzeczy wcale nie byŁa niewygodna, poza tym cieszyŁam się, Źe akcja zacznie się beze mnie. MogŁam trochę odpocząć. Próba generalna tak mnie wykończyŁa, Źe wciĄż czuŁam się zmęczona, zbyt zmęczona, by robić wykopy, doszaŁam jednak do wniosku, Źe chyba będę musiaŁa. Z góry, ponad kurtyną, widać byŁo tylko kawałeczek sali, ale sĄdząc z odgłosów, widzów musiaŁo być sporo. MoŹe szeryf miał rację i plakaty przyciągnęŁy ludzi z miasta, a nawet letników znad Lake Noir?

OgarnęŁa mnie trema, na szczęście przypomniaŁam sobie, Źe mówię tylko jedną kwestię, a oprócz tego tylko śpiewam i macham nogami, uznaŁam więć, Źe trema na nic się nie przyda.

Paul, przywiĄzany do krokwi pod stropem, trzymaŁ w rękę torbę z mąką, którą miał mnie obrzucić, kiedy będę zjeŹdŹać w dół, aby wyglądaŁo, Źe wyłaniam się z białej chmury. Źeby nie Paul i ta mąka, siedziaŁabym tu z prawdziwą przyjemnością, oderwana od tumultu na scenie.

Kurtyna uniosaŁa się wreszcie, ukazując scenografię, czyli białe kolumny i skaŁy, co wzbudziŁo gorące okłaski. Will i Mili zdoŁali nawet poŹyczyć skądś bezręki manekin krawiecki. ByŁ ubrany w togę i miał pewnie

symbolizować Grecję albo ludność - wtedy, kiedy ludność pojawiała się na scenie - ale nie, to chyba była rola Mruczaków? Strasznie trudno się w tym wszystkim połapać.

Przesiedziałam na swej huśtawce cały pierwszy akt, w którym Medea morduje swego pierworodnego, co jednak czyni za kulisami. Inaczej się nie dało - nie mogliśmy znaleźć żadnego dziecka do roli pierworodnego (który, jak wytknęłam Willowi, wcale nie występuje w oryginale, ale co go to obchodzi). Wreszcie pojawiła się June w zakrwawionej sukni i wśród publiczności rozległy się głośne ochy i achy. Krew znalazła się głównie na fartuchu, przy którym się uparłam, bo June miała na sobie sukienkę Ree-Jane. Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś grecka kobieta wkładała fartuch, idąc kogoś załatwić; ale z drugiej strony, pewnie zmieniłaby zdanie, gdyby Ree-Jane była Greczynką. Fartuch był biały i właściwie stapał się z sukienką, co jednak nie zwiódło Ree-Jane, która zerwała się z miejsca i wrzasnęła:

- Moja sukienka! Moja sukienka na słodką szesnastkę!
- ale wszyscy wokół zaczęli ją uciszać i siłą posadzili na fotelu.

Widzom przedstawienie najwyraźniej się podobało, a przecież jeszcze nie doszliśmy do piosenek. Powiedziałam Paulowi, że Will nie kazał rzucać na mnie tyle mąki, na co Paul natychmiast wsadził rękę do torby i zaczął siać mąką wokół siebie. Ocierając twarz, zadałam sobie pytanie, czy Paul przypadkiem nie udaje, że nic nie rozumie.

Nagle poczułam, że to już, że zjeżdżam w dół w mącznym tumanie. „Deus ex machina schodzi na ziemię przez chmurę” - tak było napisane w programie. I nie powiem, na widowni wybuchł prawdziwy entu-

zjazm, a ja poczułam się prawie jak nowo narodzona gwiazda. Taka owacja sprawia, że człowiek się zmienia: zaczyna wierzyć, że zajmuje w życiu właściwe miejsce, nie jest zdolny popełnić żadnego błędu, a wszystko, czego dotknie, obraca się w złoto. A przynajmniej w złoto w spreju.

Zza kulis lunatycznym krokiem wynurzyła się Medea z nożem w garści i podkraǳła się do Chucka, który bawił się kolejką, czu-czu-czu. Uniosłam trójzǳ (wysprejowany na złoto) i ryknęłam:

- Nie! Dość już, Medeo! - To była moja jedyna kwestia i myślę, że nieźle ją podałam.

Medea zamarła, Chuck zastygł bez ruchu, ja zaś zajęłam miejsce w trzyosobowym zespole wokalno-tanecznym. Mili uderzył w klawisze, fortepian zagrzemiał, a Will ciął w dół dłonią niczym nożem Medei.

Zaśpiewaliśmy:

Ooo, Meeedeeea!

Mamma rnia! i jednocześnie zaczęliśmy wyrzucać **nogi przed siebie** a la New York City Rockettes.

Ona zaraz nas wszystkich pozabija!

Kop. Kop.

Ile możesz

Kop. Kop.

Biegać z nożem?

Kop. Kop.

Wszystkich wyślesz do aniołków, dobry Boże!

Kop. Kop.

Ooo, Mee-dee-aa

Kop. Kop.

Czas się zwijać!

Kop. Kop.

Cale szczęście, że najgorsze szybko mija!

Tu nastąpiły powolne kopnięcia w lewo **i w prawo:**

Bo bardzo jest przyjemnie,

Tutaj na naszej scenie,

W Hotelu Paa-raa-diüse!

Dostaliśmy owację na stojąco. Kłanialiśmy się raz po raz, a Will tymczasem wbiegł po schodkach za kulisy, narzucił zbroję (papier pakowy, pomalowany na srebrno farbą pozostałą ze spektaklu *Czarnoksiężnika z krainy Oz*), chwycił tarczę z pokrywy od śmietnika (wysprejowaną na złoto) i wpadł na scenę, gdy oklaski jeszcze trwały.

- *Quo uadis*, Medea?

(Na próżno mu perswadowałam, że to wyrażenie rzymskie, a nie greckie; wzruszył tylko ramionami i oświadczył, że to wszystko jedno.)

Ale istotnie chyba nikt nie zauważył różnicy, bo brawa, które się zerwały, były tak entuzjastyczne - ludzie wstali z miejsc i głośno wołali o bis - że wręcz nie wierzyłam własnym uszom.

Więc jeszcze raz odśpiewaliśmy we trójkę całą piosenkę i jestem pewna, że tym razem nasze wykopy jeszcze bardziej przypominały występ Rockettes.

W końcu publiczność trochę się uspokoiła, lecz wciąż dał się słyszeć jakby elektryczny pomruk. Will powtórzył swoje: „*Quo vadis?*” - na co Medea nieoczekiwanie odparła: „*Mógłbyś mówić po ludzku?*” - i widzowie znów wpadli w szal radości.

Chuck, będąc trupem, zszedł do kanału, gdzie Mili przebierał palcami tam i z powrotem po klawiaturze, jakbyśmy mieli utonąć w ogromnej fali smutku. Ze zdu-

mieniem ujrzałam, że Mruczaki nieśmiało wysuwają się do przodu, przy czym każde ma w dłoni kartkę papieru, na której, jak mniemałam, były zapisane słowa.

*Czy wy w taki czas
chcielibyście raz
zanurzyć się w życiu bez trosk?
Mmmm. Mmm.*

Cóż, nie śpiewały równo, przynajmniej jedno z nich straszliwie fałszowało, a Bessie zerkała na pozostałych, jakby nie wiedziała, co tu robi (Mili pewnie zapomniał, że jeszcze nie umie czytać), lecz przynajmniej starała się śpiewać niektóre słowa. Potem Mruczaki się cofnęły, a środek sceny zajęli Medea i Jazon, aby wykonać swój duet przy ich akompaniamencie.

*Intymne matę arboretum,
Mmmm. Mmm.
Z widokiem na gmach Koloseum.
Mmmm. Mmm^
Wdychając z papierosa dym
Mmmmm. Mmmm.*

Will niczym magik wyciągnął skądś dwa papierosy i podał jeden June, która wsadziła go w kącik ust.

MmMmMmMm.

Może w głowie mi się kręci

- zaśpiewał solo Will -

*Mm mm.
Bo już nie ma żadnych dzieci.*

*Mm mmm.
Kreon szalu dostał dziś,
Lecz musimy razem iść,
Tak świat toczy się od stuleci.
Mm. Mmmmm.
Znajdę Runo, no już trudno
Mmmmmmm.
Tylko szybciej, bo mi nudno*

June zaciągnęła się papierosem.

*/ pożałuje ten i ów,
Że to przyszło nam do głów
Przy koktajlu.*

Kop.

Koktajlu.

Kop.

Koktajlu.

Kop.

Koktajlu dla osób dwóóóóch!

MmMmMmMm...

Po czym Will i Mili naprawdę podkręcili tempo i zaszaleli z tarą do prania, krowim dzwonkiem i klaksonem samochodowym, a Mili w dodatku beczał jak koza.

Nic dziwnego, że publiczność zażądała bisu. Pół sali stało, gwizdząc i klaszcząc w dłonie, toteż kiedy w końcu nadszedł finał, to właściwie nie przypominał finału, tylko wolnoamerykankę.

Wzięliśmy się za ręce i złożyliśmy ukłon - to znaczy wszyscy z wyjątkiem Mruczaków, którym całkiem się pomieszało, gdzie mają stanąć i co robić, więc poprzestały na Mmmruczeniu.

Oczywiście, spodziewałam się paskudnej sceny o „sukienkę na słodką szesnastkę” Ree-Jane. Jej bal urodzinowy odbył się poprzedniego lata w Srebrnej Gruszce i musiał niemało kosztować. Już sama kolacja w tym lokalu przekracza możliwości większości ludzi, a rezerwacja całej długiej werandy z widokiem na jezioro (no, jakby zatoczkę) z pewnością wypadła bardzo drogo, bo pani Davidow oprócz kolacji zafundowała Ree-Jane sześciuosobowy zespół muzyczny z Cloverly.

Gości było szesnaścioro. Mnie nie zaproszono, podobno dlatego, że jestem za młoda. Przez dwa tygodnie poprzedzające tę ceremonię Ree-Jane z rozkoszą o niej rozprawiła, podkreślając, że ja „właściwie nie jestem nawet nastolatką”. Najwyraźniej skłaniała się ku przekonaniu, że to tak, jakbym nie została zaszczepiona i chodziła po świecie z czarną ospą.

Dziwne, ale jej matka zabroniła mi dokuczać. Jeszcze dziwniejsze, że pani Davidow, której przypadła rola przyzwoitki na odległość, zaprosiła mnie, żebym też przyszła i zjadła z nią kolację. Miałyśmy siedzieć tak, żeby dyskretnie mieć oko na zebranych, ale żeby tego nie było widać. Nie wiem, czy zrobiło się jej mnie żal, czy też po prostu nie chciała być sama.

Naprawdę szkoda, że kiedy pani Davidow wychodzi z hotelu, to matka musi w nim zostać. To nie jest fair. Nie żeby matka chciała iść na jakieś przyjęcie na cześć Ree-Jane, ale pewnie z przyjemnością zjadłaby wystawny posiłek, którego nie musiała sama przygotowywać.

Awantura, która wybuchła o białą sukienkę wieczorem po przedstawieniu, należała do poważniejszych. Przewidziałam, że tak będzie, więc miałam czas się ukryć i pomyśleć, a najlepiej myśli mi się w Różowym Słoniu.

Słyszałam, jak krzyczą na górze, zwłaszcza Ree-Jane. Musiała niezłe wrzeszczeć, bo przez sufit dobiegało mnie każde słowo. Strasznie tupali; najpierw usłyszałam, jak idą przez jadalnię do kuchni, potem przeszli do frontowego salonu i zawrócili na tyły. Siedziałam więc, pogryzając baton 3 Musketeers (mój ulubiony, bo składa się z trzech warstw, z których każda ma inny smak), i usiłowałam wykombinować jakiś plan działania.

Trzeba było wymyślić jakąś historyjkę. Może uda się komuś wmówić, że Ree-Jane zgodziła się pożyczyć mi sukienkę, po czym zapadła w śpiączkę, a kiedy się obudziła, najwyraźniej o wszystkim zapomniała? Ree-Jane zawsze wygląda, jakby była w śpiączce. Nie, to chyba na nic. A może powiem, że sukienkę dostarczono pod niewłaściwy adres... nie, to całkiem bez sensu. A może ktoś uznał, że sukienka... aaa, Paul! Na Paula można zwalić dosłownie wszystko. Tyle że Paul w żaden sposób nie zdołałby się dostać do składziku pani Davidow (gdzie sukienka wisiała przy skrzynkach whisky), prawda?

Nogi tupają; Ree-Jane wrzeszczała; ja myślałam.

Usłyszałam, jak ktoś z daleka woła mnie po imieniu, po czym głosy ucichły.

Zajrzałam do pudełka po czekoladkach Whitmana, gdzie trzymam pieniądze. Trzy piątki - piętnaście dolarów. Mam banknoty zachomikowane w różnych zakątkach hotelu, to moja kasa ucieczkowa. Pieniądze na ogół rozwiązują każdy problem.

Przyszedł mi do głowy pewien plan. Postanowiłam napisać kartkę do Ree-Jane. Wyjęłam notes i długopis, antydatowałam o dwa dni i napisałam:

Droga Jane!

Nie było Cię w pokoju, a Twoja biała sukienka jest nam naprawdę potrzebna. Wzięłam ją ze składziku (drzwi były otwarte, więc poszłam je domknąć, i zobaczyłam, że tam wisi). Załączam \$15 za jej wypożyczenie. Jeśli się zabrudzi krwią, oczywiście dam ją do pralni na swój koszt.

Dzięki!!!

Twa przyjaciółka

E. Graham

Cofnęłam się i starannie wykreśliłam słowo „krwią” - to nie rokowało dobrze dla sukienki. Teraz należało tylko wymyślić, jak dostarczyć liścik na górę.

Znów usłyszałam swoje imię, tym razem bliżej. Walter! Walter był jedyną osobą, która mogła wiedzieć, gdzie jestem, z wyjątkiem Willa i Milla, ale oni nigdy nie pomogliby Ree-Jane mnie znaleźć. Oni, rzecz jasna, nie byli niczemu winni.

Wstałam i podeszłam do drzwi. Rozległo się ciche pukanie, którym Walter obwieszczał swoją obecność. Otworzyłam i wciągnęłam go do środka.

- Chciałem cię tylko przestrzec...

Znakomicie się składało! To było wręcz zrządzenie boskie! (Muszę kiedyś wspomnieć o tym księdzu Freemanowi.)

- Nigdy dotąd nie widziałem - ciągnął Walter - żeby ktoś się wściekł jak ta Ree-Jane Davidow. Myślałby kto, że wzięłaś i rozbiłaś jej kabriolet. Wygląda, jakby miała dostać jakiegoś ataku.

- Walter, mam dla ciebie misję - rzekłam, wkładając do liścika trzy pięciodolarówki (Walter uwielbia misję).

- Słuchaj, weź to, i kiedy nie będzie jej w pokoju, po łóż to gdzieś, gdzie mogłaby tego nie zauważyć, ale w takim miejscu, żeby to znalazła, gdyby tylko miała mózg, którego nie ma. Na przykład pod serwetką na toalecie lub w kasetce z biżuterią. Rozumiesz?

- Nie bardzo - zmarszczył czoło. - Co mam zrobić, kiedy wejdę do jej pokoju?

Wyjaśniłam jeszcze raz; oświadczył, że dobrze, teraz rozumie.

- Mam wykręt, żeby do niej pójść - dodał. - Jakby mnie nakryła, to powiem, że właśnie byłem u ciebie na górze i pomyślałem, że zajrzę do niej, bo może cię tam znajdzie.

- Genialnie! - Walter wcale nie jest taki głupi. To dowodziło, że pojął, o co chodzi. - Matka naprawdę się wściekła?

- Na początku trochę tak, ale Ree-Jane zachowuje się jak wariatka, więc teraz obie próbują ją uspokoić. Pani Davidow zrobiła koktajle.

- Okej. Dobra. Idź, kiedy droga będzie wolna.

- Jest całkiem wolna. Siedzą w Zielonym Gabinetcie i piją te koktajle.

Spojrzałam na jego wielki zegarek.

- Już po dziesiątej. - Odkąd to pora ma znaczenie?

- Tylko od razu potem przyjdź i powiedz, czy ci się udało.

Powiedział, że jasne, i pomaszerował do wyjścia.

To była pierwsza okazja tego dnia, żeby spokojnie pomyśleć. Usiadłam, podpierając dłońmi podbródek

i zamyśliłam się nad Slade'ami i małą Fay. Czy miałam rację, sądząc, że nie było żadnego dziecka? A może zostało zamordowane, jak uważa Aurora? Czy to możliwe? Jak ktokolwiek mógłby zamordować bezbronne dziecko? I to nie pierwsze lepsze, ale własne? Lecz właściwie, dlaczego się dziwię? Czyż przed chwilą nie spędziłam dwóch godzin w towarzystwie matki, która zabiła swoje dzieci? No tak, ale przynajmniej nie były to niemowlęta. Próbowałam wywołać w myślach obraz dłoni, które powoli przyciskają poduszkę do buzi uśmiechniętego, gaworzącego dziecka, aż wreszcie poduszka kładzie wszystkiemu kres.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby pani Davidow zrobiła coś takiego maleńkiej Ree-Jane, a skoro nawet to było niemożliwe, to znaczy, że nikt nie może zabić żadnego dziecka. Ree-Jane koniecznie powinna być Greczynką - nie, oczywiście nie Medeą, która mimo swej zbrodni miała w sobie coś królewskiego i głęboko przemyślała różne sprawy - ale zwykłą kobietą z ludu, któremu zawsze jest w życiu najtrudniej. Bo Ree-Jane nie ma nawet dość rozumu, by zostać Mruczakiem.

Aurora musiała się mylić, a ja mogłam mieć rację; zrobili coś z małą Fay, ale jej nie zabili.

Znów otworzyłam pudełko po czekoladkach i wyjęłam zdjęcia Morrisa Slade'a oraz Rose Queen z siostrami Devereau. Raz po raz przenosiłam wzrok z Rose na Morrisa. Nie dało się zaprzeczyć: dwadzieścia dwa lata temu małą Fay porzucono niczym Mojżesza w sitowiu (bardzo mi tu pomógł ksiądz Freeman), albo też oddano komuś trzeciemu, być może do adopcji, dzięki pieniądzom starego pana Woodruffa.

Tak czy inaczej, teraz wróciła. Czy Dziewczyna szuka zemsty, czy po prostu szuka czegoś?

Bo na pewno została odtrącona, wygnana do lasu jak kozioł ofiarny, niosąc na grzbiecie cudze grzechy niczym kupę brzęczących garnków.

Ale jeśli szukała zemsty, to na kim miałyby ją wyrzucić? Może to było nieistotne; po prostu ktoś musiał zapłacić, wszystko jedno kto. Podłość. A za podłość - odpłata; a za tę odpłatę znów odpłata. Odpłata odpłata odpłata. Grecy.

Z tego transu wyrwało mnie pukanie do drzwi. Wrócił Walter.

- Zrobione - powiedział, zadowolony z siebie. - Ławizna.

- Gdzie zostawiłeś list i pieniądze?

- W biurku, w takiej małej szufladce. Wykombinowałem, że pewnie wcale do niej nie zagląda. Zostawiłem ją tak trochę wyciągniętą.

Zapomniałam o biurku, pewnie dlatego, że nie umiałam sobie wyobrazić, żeby Ree-Jane siedziała przy nim i coś pisała. Walter też nie umiał.

- Walter, to bardzo sprytne! Chodźmy!

Odłożyłam swoje rzeczy do pudełka, zdmuchnęłam świece i wyszliśmy. Rozstaliśmy się w kuchni - Walter ruszył do domu, a ja do pomieszczeń od frontu.

Siedziały w pokoju przy holu, który nazywamy Zielonym Gabinetem - długim, pięknym salonie o bladzielonych ścianach i białych gzymsach. Stoją tu dwie kanapy i mnóstwo miękkich foteli. Na jednej kanapie siedziała moja matka, na drugiej Ree-Jane, Lola Davidow zaś na rozłożystym fotelu, podobnym do tronu. Oglądały w telewizji program Loretty Young.

Na mój widok Ree-Jane podskoczyła niczym kukielka i pokazała na mnie długim palcem:

- Jak śmiałaś wziąć moją sukienkę na słodką szes nastkę? Jak śmiałaś?

Pani Davidow próbowała zrobić złą minę, lecz to niełatwe po kilku martini. Matka po prostu z niezadowolaniem ściągnęła wargi.

Stałam, rozdziawiwszy usta ze zdumienia.

- Przecież napisałam ci kartkę i dałam pieniądze za wypożyczenie. Chcesz powiedzieć, że ich nie dostałaś?

- Staralam się wyglądać na kompletnie zaskoczoną.

Zatrzymała się w pół kroku, jakby ktoś plasnął ją w twarz flądą. Przez chwilę bełkotała coś z niedowierzaniem, a zakończyła okrzykiem:

- Wcale nie!

- Może nie zauważyłaś. Zajrzałaś do szuflady biurka?

- Sama wiesz, że nie dawałaś mi żadnych pieniędzy ani nic!

Powoli pokręciłam głową.

- Ojej, naprawdę źle się stało. Pójdę na górę i ci przyniosę.

Wzięła się pod boki i wrzasnęła:

- Nic z tego! Nie będziesz wchodzić do mojego pokoju! Sama sobie przyniosę! - I wybiegła wzburzona.

Pani Davidow zbyt była pochłonięta programem i nową suknią Loretty Young, żeby na mnie krzyżeć (tego wieczora program Loretty nadawali później z powodu jakiejś nagłej wiadomości czy nadzwyczajnej sytuacji, którą na pewno nikt się nie przejął). Loretta, ma się rozumieć, wkroczyła do studia dostojnym krokiem i majestatycznie zeszła po szerokich, niskich stopniach; mogę się założyć, że Ree-Jane chciała zeszłego lata

tak samo wejść do Srebrnej Gruszki, tylko jej się nie udało.

Matka udzieliła mi krótkiej reprimendy, ale widziałam, że jednym okiem też zerka na Loretę.

Stałam, nucąc pod nosem i nasłuchiwałam powracających kroków. Tym razem były powolne, ociężałe, jak kroki skazańca zmierzającego na krzesło elektryczne lub do komory gazowej. Ree-Jane weszła ze zwieszoną głową, oczywiście nie ze wstydu, tylko z bezradności. Przedtem aż kipiała z pasji, a teraz mogła jedynie gotować się w milczeniu. W zaciśniętej dłoni trzymała liścik i pieniądze.

Biedna Ree-Jane. Nie miała najmniejszych szans.

38

Było ich dziesięcioro i stanowczo wyglądali na sieroty. Sprawiali wrażenie koślawych, jakby nie zostali porządnie wykończeni; mieli trochę zbyt płaskie twarze, a ich oczy, w przeciwieństwie do oczu niesierot, nie skrywały żadnych tajemnic. To pewnie dlatego, że my, którzy mamy rodziców, zawsze próbujemy coś przed nimi ukryć.

Wydaje mi się, że na ogół rozumiem sieroty, bo sama nie mam ojca i jestem półsierotą. Potrafię sobie wyobrazić, jak stoją w oknach sierocińca Bluebird i wypatrują na ścieżce kogoś, o kim wiadomo, że prawie na pewno nie nadejdzie. Ale wciąż się go wypatruje.

Ich ubrania były odrobinę wygniecione, jakby kiedyś ktoś je zapakował, niby na zawsze, a teraz rozpakował

i tylko strzepnął. Jedna z dziewczynek miała na sobie fartuszek w biało-niebieską kratkę, który przywiódł mi na myśl Dorotkę z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Dwaj chłopcy, ośmio- lub dziewięcioletni, wyglądali zupełnie jak Paul. Paul z łatwością może uchodzić za sierotę.

Wszyscy zebrali się w holu. Wbiegłam na schody, żeby jak najszybciej zanieść Aurorze drinka, niestety, natknęłam się na Ree-Jane, która zaczęła się na mnie w długim korytarzu na pierwszym piętrze. Na mój widok zaśmiała się swoim fałszywym, zdławionym śmiechem (że niby nie może się pohamować), wyciągnęła długi palec (że niby nie potrafi przestać się śmiać) i oświadczyła:

- Chyba w życiu nie widziałam gorszego przedstawienia! Jesteś żałosna.

- Co ty gadasz? Publiczności naprawdę się podobało. Nastąpił kolejny atak bezdźwięcznego rechotu.

- Boże drogi, było tak fatalne, że ludzie pękali ze śmiechu.

- Mnie tam wszystko jedno. Śmiech to śmiech. Na razie. - I w podskokach wbiegłam na górę, żeby jej pokazać, jak dalece się nie przejmuję. Zanim wymyśliła, co ma odpowiedzieć, byłam już daleko za zakrętem schodów.

- Po prostu się wygłupiliście! - ryknęła, niepewna, czy jestem wciąż w zasięgu głosu.

Dotarłam do pokojów Aurory, która znów przebywała w rodzinnym Kentucky.

*Me płacz, moja panienko,
Och, nie płacz dzisiaj już.*

Postawiłam drinka na stoliku tuż przy niej, lecz była tak zaabsorbowana śpiewem, że zdołała jedynie zacisnąć palce na szklance.

Zbiegłam po schodach na półpiętro nad holem. Sieroty aż dygotały z niecierpliwości, a Louise Landis stała wśród nich, spokojna i opanowana jak zwykle. Naprawdę mi się podoba. Musi mieć około sześćdziesiątki (kiedyś była dziewczyną Bena Queena), ale wcale na tyle nie wygląda. (Dwayne powiedział, że jest ładna, co mnie rozdrażniło, więc odparłam: „Owszem, w ładnym wieku. Ha, ha”.) Pracuje jako dyrektorka małej szkółki w Cold Fiat Junction, czego nigdy bym się nie spodziewała, bo jest zbyt wykształcona, odczytana i inteligentna na tę dziurę. Myślę, że tkwi tam tylko ze względu na Bena Queena.

- Dzień dobry, Emmo. A więc jesteście.

Przywitałam się grzecznie. Chciałam, żeby odnieśli wrażenie, że planowałam tę imprezę od wielu dni, chociaż zaczęłam o niej myśleć dopiero dziesięć minut temu. Uniosłam ręce, jakby wzywając do spokoju (choć żadnego niepokoju nie było), i oznajmiłam:

- Za chwilę zjemy lunch, a potem obejrzymy na prawdę ciekawą sztukę o Medei. - Przez chwilę zasta nawiałam się, czy nie wygłosić również małego wykładu o deus ex machina, lecz w końcu zrezygnowałam, bo w zasadzie byłyby to tylko popisy.

Kiedy opowiadałam im o rzeczach, które już i tak znali, na schodach pojawiła się Ree-Jane, usiłująca naśladować Lorette Young. Kroczyła majestatycznie swoim krokiem modelki - najpierw palce, potem pięta - niestety, po prostu sprawiała wrażenie kulawej, tak jak Mili, kiedy udaje, że ma krótszą nogę. Kilka sierot zerknęło na nią, ale większość dalej mnie słuchała.

Lola Davidow potrząsnęła mosiężnym dzwonkiem, który zawsze stoi w recepcji, na znak, że lunch jest gotowy. Wydawało się jej, że robi dzieciakom straszną frajdę, lecz sieroty głównie się przestraszyły, jednak pani Davidow nie zwróciła na to uwagi i znowu zadzwoniła.

Przygotowaliśmy trzy zsunięte razem stoły: miejsca dla pięciu osób po każdej stronie i dla panny Landis u szczytu. Powinnam była zasiąść na drugim końcu, ale nie mogłam, bo oczywiście musiałam podawać do stołu razem z Anną Paugh. Anna Paugh jest o wiele miłsza niż Vera, i to ona powinna być starszą kelnerką (prawdę mówiąc, ja też mogę nią być, zważywszy na doświadczenie i stosunek do gości, z wyjątkiem panny Berthy, ale powiedziano mi, że nie „wzbudzam zaufania”, cokolwiek to oznacza).

Lunch wyglądał pysznie. Byłam w kuchni, kiedy matka go robiła. Przy każdym nakryciu stał talerzyk, a na nim buzia zrobiona z połówki gruszki, mająca oczy z goździków, usta z połówki wiśni, a włosy z cienkich strużyn sera. Gruszkowa buzia spoczywała na sałatce z owoców i twarożku (twarożku było niewiele, na wypadek, gdyby sieroty nie lubiły).

- A czemu miałyby go lubić? - powiedziałam. - Czy ktoś w ogóle go lubi? - Mnie osobiście twarożek smakuje, ale mnie smakuje prawie wszystko. - Sieroty pewnie całe życie jedzą twarożek. I galaretkę - dodałam, patrząc na wielką miedzianą formę z galaretką truskawkową.

- Widać tylko pierwszą warstwę.

- Tak? A co jest pod spodem?

Matka wydmuchnęła dym i odłożyła papierosa na krawędź blatu.

- Chyba będziesz musiała poczekać, aż ją odwrócimy, prawda?

- Wolalabym nie. - Wsparłszy łokcie o blat, wykonywałam stopami taneczne kroczyki. - To coś ubitego?

- Można tak powiedzieć. - Liczyła szklane talerzyki deserowe. - Są trzy warstwy.

To brzmiało nader obiecująco, więc zajrzałam w głąb lśniącej, czerwonej galaretki, ale nic nie dostrzegłam.

Poprowadziłam sieroty do jadalni; szły parami, trzymając się za ręce, co uznałam za słodkie. Wszystkie wyraźnie wyszykowały się na to wyjście, bo chociaż ubrania miały trochę pomięte, to ich buzie i włosy aż lśniły. A oczy (te niezezowate) były bardzo błyszczące. Panna Landis zamykała pochód.

W drzwiach jadalni odwróciłam się i oznajmiłam, że to jest jadalnia i tu usiadziemy. Wskazałam dzieciom stół, a panna Landis usadziła je na wyznaczonych miejscach. Po lewej stronie każdego nakrycia stał talerzyk z sałatką, talerzyk z masłem stał powyżej widelca, jak należy, a szklanka z wodą powyżej noża. Chłopiec imieniem Mickey natychmiast przysunął sobie pod nos talerzyk z masłem, więc musiałam go odstawić.

- To mój talerzyk! - zaprotestował chłopczyk.

- Nie, zaraz dostaniesz talerz z głównym daniem, który jest znacznie większy. - O czym jak o czym, ale o nakrywaniu do stołu wiem naprawdę wszystko.

Jakaś mała dziewczynka zaczęła jęczeć, że nie zje gruszki, bo buzia przypomina jej koleżankę imieniem Chrissie. Panna Landis usiłowała ją uspokoić, ale bez skutku; co gorsza, inne dzieci natychmiast się przyłączyły, wołając, że ich gruszkowe buźki są podobne do różnych znajomych. Widziałam, że zamęt narasta i że zaraz wszystkie się zbuntują.

Tak, wiele osób sądzi, że podawanie do stołu to praca, którą może wykonywać każdy. Mam na to jedną

odpowieź: niech spróbuja. Trzeba znać się na ludziach, trzeba być szybkim, trzeba być pomyslowym. Te zasady - znajomość ludzi, szybkość, pomyslowość - przydaja się zwłaszcza przy obsłudze panny Berthy, ale są to również dobre zasady ogólne.

Przy stole zapanował ogólny rwetes, bo gruszkowe bużki każdemu przypominały kogo innego. Najgorzej miały te dzieci, które wręcz przysięgały, że gruszka wygląda zupełnie jak mamusia, przez którą wylądowały w sierocińcu Bluebird, więc zrzucały ją z talerzyka albo dźgały widelcem. Panna Landis robiła, co mogła, żeby je uciszyć, toteż i ja postanowiłam się włączyć. Kazałam im zamilknąć (nie przebierając w słowach), po czym oświadczyłam: „Patrzcie! Robimy tak!”. Wzięłam widelec i po prostu przewróciłam gruszkę na drugą stronę, żeby bużka zniknęła. To je uspokoiło, oczywiście z wyjątkiem tych dzieci, które zdążyły już zrzucić gruszki na podłogę.

Zważywszy na awanturę z gruszkami, byłam bardzo zadowolona, że na główne danie są hamburgery z opiekaną bułką i frytki. Matka robi naprawdę świetne frytki. Wszystkim lunch bardzo smakował - tak bardzo, że niektórzy zaczęli obrzucać się frytkami, wznosząc okrzyki zachwyty.

No i jak myślicie? Całkiem zapomniałam o pannie Bercie i pani Fulbright, które wkroczyły do jadalni właśnie w tym momencie! Obie stanęły jak wryte i wytrzeszczyły oczy, zwłaszcza panna Bertha, po czym powoli usiadły przy swoim stoliku. W szeleszczących sukniach, czarnej i szarej, wyglądały jak wiktoriańskie damy.

- Co to za dzieci? - zapytała surowo panna Bertha.

Jest przyzwyczajona, że w porze lunchu ma jadalnię tylko dla siebie.

- To sieroty. Robimy dla nich specjalną imprezę.
- Sieroty? To co one tutaj robią? - Panna Bertha zaczęła przesuwając nakrycie dokładnie tak samo jak Mickey. - Powinny być w domu, gdzie ich miejsce.

Miałam ochotę przyłożyć jej tacą w łeb.

- Panno Bertho, sieroty nie mają domów.

- No to gdzie one śpią? Pewnie na ulicy?

Pani Fulbright, która ma dobre serce, aż się zaczerwieniła - na jej policzki wypłynął rumieniec jak pączek róży.

- Bertho, biedne dzieci potrzebują od czasu do czasu gdzieś wyjść.

Jestem pewna, że panna Bertha i temu by zaprzeczyła, gdyby nie to, że skupiła się na jedzeniu. Kilkoro dzieci wciąż rzucało w siebie frytkami.

- Co one jedzą?

- Tylko hamburgery i smażone kartofle.

- Dobrze. Ja też chcę.

No, to matka dostanie szału, pomyślałam, bo na lunch dla obu pań zrobiła makaron zapiekany z serem.

- Na pewno nie chce pani frytek. Smażone pani nie służy.

Złapała łyżkę i zaczęła nią walić o kant stołu.

- Chcę frytki!

Zauważyłam, że sieroty przestały się obrzucać; pewnie uznały, że panna Bertha jest znacznie ciekawsza.

- Bertha! - Pani Fulbright wręcz podniosła głos, ale panna Bertha dalej po dziecinnemu w najlepsze waliła łyżką.

Tylko wielkim wysiłkiem woli powstrzymałam się, by jej nie chwycić i nie cisnąć za stół sierot.

Lupłupłupłupłupłup...

Pani Fulbright, bardzo zażenowana zachowaniem przyjaciółki, oznajmiła, że zje na lunch to, co zostało przygotowane.

Przekazałam żądanie matce, która wzięła się pod boki i wlepiła we mnie wzrok:

- Stara idiotka! Robi więcej zamieszania niż te wszystkie dzieciaki razem wzięte!

Z brzękiem rzuciła patelnię na płytę kuchenną i kazała mi wyjść z lodówki porcję mielonego mięsa. Wyjęłam też trochę dla siebie, chociaż zamierzałam zjeść również makaron z serem; uwielbiam chrupką skórkę, która zawsze na nim powstaje.

Matka położyła hamburgera na blasze i dosypała frytek na patelnię. Patrzyłam, jak brązowieją i skwierczą, i nagle przyszło mi do głowy, że sieroty się zamkną i przestaną rzucać jedzeniem, jeżeli zdołam odwrócić ich uwagę. Matka wzięła słoiczek słodkiej papryki z obrotowej tacy z przyprawami. Często jej używa, żeby potrawa wyglądała bardziej kolorowo, teraz też posypała nią makaron z serem dla pani Fulbright, który podaje z marynatą z moreli, cudownie przyprawioną winem marsala.

Hamburger został usmażony i umieszczony na ciepłej bułeczce, frytki zaś - osaczone z tłuszczu na papierowym ręczniku - położone obok hamburgera. Kiedy matka odwróciła się, by zwrócić Walterowi uwagę, że robi coś nie tak z naczyniami, skorzystałam z okazji i sięgnęłam do obrotowej tacy. Wyciągnęłam puszczkę niezwykle pikantnego pieprzu cayenne o nazwie Diabelski Przysmak, którego etykieta przedstawia Szatana puszczonego filuternie oko, i „hojną ręką” (jak powiada czasem moja matka) posypałam nim frytki. Pieprz cayenne w ogóle nie różni się wyglądem od słodkiej papryki.

Wkroczyłam z wysoko uniesioną tacą i obsłużyłam panie. Sieroty wróciły już do swoich zajęć sprzed wejścia panny Berthy; kiedy więc ujrzałam, że ta wypycha frytki do ust, niemal (wzorem Willa) zawołałam: „Akcja!”

Nie rozczarowałam się.

Rozległo się upiorne wycie, panna Bertha mocno szarpnęła się do tyłu, trzaskając krzesłem, poderwała się na równe nogi i wykonała mały taniec, jakby ruch mógł zredukować palący smak papryki. Podeszłam do stołu i przypomniałam jej, że uprzedzałam, że smażone jej nie służy. A potem przyszła pora, by podać sierotom deser.

Środkowa warstwa galaretki składała się z truskawkowego kremu, a na wierzchu leżała warstwa gładkiego budyniu. Zachwycone dzieci ucichły: zafascynował je widok starszej pani, która nie przestawała pomstować i odgrażać się, że pozwie Hotel Paradise do sądu, bo próbowano tu (znowu) ją otruć. W tej sytuacji dolałam jej zimnej wody, która, jak na ogół wiadomo, sprawia, że potrawy piekące pieką jeszcze bardziej.

Dwadzieścia minut później, gdy sieroty całkiem się uspokoiły, a panna Bertha, głucha i głośna, nadal groziła hotelowi procesem, wyprowadziłam dzieci przez boczne drzwi jadalni i ustawione w pary powiodłam do Dużego Garażu. Dochodziła druga - przyszliśmy punktualnie.

Poprosiłam pannę Landis, by usadowiła je w pierwszym rzędzie, po czym pobiegłam za kulisy, żeby usiąść na swojej huśtawce. Z zachwytem stwierdziłam, że pod stropem nie ma Paula, gdyż Will postanowił obejść się bez mąki.

- Po co ją marnować? - powiedział. - Ta publiczność i tak jej nie doceni.

Pomyślałam, że chyba żartuje? Dziesięcioro dzieci na sali, a on uważa, że obrzucanie kogoś mąką nie zostanie docenione?

- W doświadczeniach życiowych tych dzieci nie ma nic, co by je przygotowało na tak wyrafinowaną i zawilą sztukę jak *Medea*.

Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę tak sądzi - nasz spektakl był tak wyrafinowany i zawilą jak obrzucanie się frytkami. Mój brat bywa okropnie tępy.

Ponieważ była to popołudniówka, zrezygnowaliśmy także z kostiumów, choć jeśli istnieje ktoś, komu podobają się pelerynki z kurzych piórek i naszywane cekinami suknie, to na widowni siedziało dziesięcioro takich ktosiów. No, a poza tym powstał problem drugiego wieczornego spektaklu, gdyż June Sikes odmówiła występu we własnym ubraniu. Nie czekając, aż Will i Mili przypomną sobie o sukni Kelnerek, czym prędzej zaproponowałam, żeby June włożyła moją pelerynkę, którą dla niej przerobię. Will zmarszczył czoło i zapytał, co w takim razie ja zamierzam mieć na sobie, na co uśmiechnęłam się i odparłam:

- Nie martw się, mam swoje sposoby.

Postanowiłam włożyć ciemnoniebieską suknię Kelnerek! Oczywiście, wiedziałam, że na mnie nie pasuje, ale przynajmniej jest ładna. Dzięki niej przypomnę sobie Kelnerki, pomyślałam, i to, jakie były kolorowe, zupełnie inne niż moje obecne życie, w którym sama musiałam załatwiać sobie kolory. Och, jakżebym chciała dostawać je z zewnątrz, od kogoś lub czegoś, żeby nie musieć tak ciężko na nie pracować.

Sieroty były zachwycone przedstawieniem, zwłaszcza sceną, gdy huśtawka zjeżdża w dół, a Medea ściga Chucka z nożem. I bardzo im się podobało, kiedy Paul przebiegł przez scenę bez ubrania, w samych tylko butach, aczkolwiek to nie należało już do sztuki.

39

Następnego dnia rano podałam pannie Bercie i pani Fulbright mielonkę z buraczkami i sadzonym jajkiem. Jest to ich - i moje - ulubione danie śniadaniowe, jedna z niewielu sytuacji, gdy nasze gusty się zazębiają. Już chciałam dosypać trochę Diabelskiego Przysmaku do porcji panny Berthy, zmieniłam jednak zdanie; miałam zamiar tuż po śniadaniu pojechać do miasta, a histeria panny Berthy by mnie powstrzymała, zrezygnowałam więc z przyjemności.

W biurze na zapleczu znalazłam dużą torbę od Heather Gay Struther, w sam raz, żeby odwieźć do pralni białą suknię Ree-Jane. Zadzwoiłam do Taksówek Axela, by podjechali po mnie od tyłu. Powtórzyłam dyspozytorce dwa razy - podjazd od tyłu - i poprosiłam, by się upewniła, że Delbert zrozumiał.

Następnie sama przespacerowałam się na tyły do Dużego Garażu czyli do „teatru”, jak Will go teraz nazywa. Drzwi były zamknięte na zasuwę, więc zapukałam. Cóż u licha mieli do ukrycia, skoro musical już został wystawiony? To było śmieszne i naprawdę irytujące.

Drzwi uchyliły się o włos.

- Czego? - zapytał Will. Dobiegł mnie dźwięk fortepianu; Mili z entuzjazmem walił w klawisze.

- Co robicie? Po co te tajemnice?

- Wprowadzamy kilka zmian. Nic ważnego. - Odepchnął kogoś od drzwi.

- Zmian? Jutro wieczorem mamy przedstawienie!

- To ciebie nie dotyczy. Po prostu bawimy się partyturą.

- Och, na litość boską. - Nie dość, że zaczął nazywać garaż „teatrem”, to jeszcze piosenki zamieniły się w „partyturę”! - Daj mi białą sukienkę Ree-Jane. Obiecałam, że odwiozę ją do pralni.

Will nie odpowiedział, tylko gapił się na mnie, jakby usiłował odgadnąć, kim jestem.

- Masz - złożyłam torbę i wepchnęłam ją przez szparę w drzwiach. - Włóż ją tutaj i przykryj gazetą, żeby nie było nic widać. To na wypadek, gdybym natknęła się na Ree-Jane, co pewnie nastąpi, bo ja mam pecha.

- Nie ma gazet.

Żałowałam, że szpara jest za wąska, by wsadzić ręce i chwycić go za gardło.

- Rany boskie! Wymyśliłeś całe przedstawienie, a nie umiesz znaleźć czegoś, żeby przykryć torbę na zakupy?

Na ustach Willa wykwitł ten jego uśmiešek, który wygląda, jakby krył się pod nim szpikulec do lodu.

- Mogę położyć na wierzchu spodnie Paula.

Nagle w drzwiach pojawił się Paul, który wetknął w szparę plackowatą twarz:

- Ńdobry, panienko!

Will dał mu klapsa i Paul zniknął, ale zdążyłam jeszcze dostrzec wir białego tiulu.

- Cooo? Dlaczego on ma na sobie suknię Ree-Jane?

Jedyne słowa, do których zaśpiewania Will zdołał namówić Paula grającego dziecko Medeii, brzmiały: „Jestem Medea!” I teraz Paul je powtórzył.

Rzuciłam się na drzwi, ale Will jest zbyt duży, by go ruszyć z miejsca, a poza tym Paul też je przytrzymywał.

- Oszalałeś? Odbiło ci? Paul zniszczy tę sukienkę!

- Przecież mówiłaś, że oddajesz ją do pralni. Byłam tak wściekła, że nie mogłam wydobyć głosu, przez chwilę bezsilnie otwierając i zamykając usta. W końcu wydusiłam:

- Już raz oberwałam, bo była na niej jedna plamka krwi, a teraz ten głupi Paul ciąga ją po całym garażu!

- Pobrudziła się tylko trochę. Wygląda naprawdę śmiesznie. Eee, ty w ogóle nie masz poczucia humoru. - Will westchnął z rezygnacją: - Dobra, Paul, zdejmuj tę kieckę.

Znów pojawiła się twarz Paula:

- Jestem Medea!

- Nie, Paul. To ja jestem Medea i **zaraz cię zabiję.**

- Ńdobry, panienko.

- Zdejmuj tę kieckę!

Wrzeszczałam tak głośno jak przedtem Ree-Jane.

Wreszcie Will zmusił Paula, by stanął bez ruchu, i zerwał z niego sukienkę. Dźwięk, który przy tym usłyszałam, bardzo mi się nie spodobał.

- Tylko jej nie porwij... Rany boskie, porwałeś ją?

- To tylko mała dziurka, nic takiego.

- Świetnie! No, po prostu świetnie! Jak mam ją naprawić? Będziesz musiał ją zaszyć; to twoja wina.

- Ja nie umiem szyć. Masz - otworzył szerzej drzwi i wepchnął mi do rąk torbę na zakupy. - Zwyczajnie,

powiedz jej, że ja to zrobiłem. Na mnie nie będzie się złościć. - I zamknął drzwi.

Najbardziej wściekało mnie, że miał rację. Ree-Jane nie rozzłości się na niego; wymusi od niego przeprosiny, a Will z rozkoszą będzie robił te swoje lizusowskie miny, roztaczał uśmiechy i czarował ją na całego. Kiedyś nawet udało mu się pożyczyć od niej kabriolet.

Podczas jazdy taksówką, doprowadzana do obłędu Delbertowym gadaniem o przedstawieniu (o którym w tej chwili wołałabym zapomnieć), starannie obejrzałam sukienkę. Dół był tak zabrudzony, jakby ktoś w kółko po nim deptał - no, bo faktycznie deptał. Sukienka była na Paula o wiele za długa i utyłał ją, biegając po garażu. Opadłam na siedzenie, a Delbert gadał dalej.

- Niektórzy mówią, że to było takie dobre, że może nawet pójdą jeszcze raz.

- Chcę jechać do Jo-Leen.

- Znaczy, do tej pralni?

- A znasz jakąś inną firmę o nazwie Jo-Leen?

- No nie, chyba nie. Wiesz do Jo-Leen tę kieckę, co się nią tak bawisz?

Bawisz się. Nawet nie odpowiedziałam. Sprawdziłam za to, czy mam w kieszeni dwa bilety na następne przedstawienie, na wypadek, gdybym musiała z jakiegoś powodu kogoś przekupić.

Pralnia Jo-Leen mieści się naprzeciwko biblioteki, tuż obok muzeum towarzystwa historycznego. Teraz, kiedy już tyle wiedziałam o Belle Ruin, sądziłam, że może warto tam wrócić.

Nie jestem pewna, kim jest Jo-Leen; być może połączono dwoje imion, żeby zaznaczyć, że właścicielami są dwie osoby, ale uważam, że to głupia nazwa dla firmy, bo tym trudniej ją zapamiętać.

W każdym razie ta chuda, spracowana kobieta, która dzisiaj stała za ladą i patrzyła, jak wyciągam sukienkę, na pewno nie była Jo-Leen.

- Mam nadzieję, że to się da wyczyścić. Jeden chłopak ją zabrał, włożył na siebie i włączył po całej podłodze. Mam ochotę go udusić.

Kobieta roześmiała się przyjaźnie.

- Dzieciaki! Wiem coś o tym! Sama mam sześcioro i wierz mi, naprawdę jest przy nich co robić!

I zaczęła oglądać sukienkę. Stałam z rozdziawioną gębą. Sześcioro dzieci pod opieką! Nic dziwnego, że wygląda na spracowaną! Na jej miejscu pojechałabym nad Lakę Noir, wynajęła motorówkę i odpłynęłabym w siną dal, żeby nigdy nie wrócić! Albo zabiłabym kilka bachorów jak Medea. A gdyby to było sześciu Paulów? Nie, to niemożliwe. Prędzej uwierzę, że Pan Bóg stworzył świat w sześć dni, niż przyjmę do wiadomości, że pozwoliliby chodzić po ziemi sześciu Paulom!

- Proszę, proszę - powiedziała. - Faktycznie wygląda, że sobie użył.

Z początku myślałam, że mówi o Bogu i sześciu Paulach, lecz chodziło jej o sukienkę.

- I tiul jest naderwany w talii. Ojej, ojej! - Pokręciła głową ze smutkiem.

- Widzi pani te plamki na górze? To krew z ketchupu. Dacie radę to wyczyścić? - Właściwie krew mogła nawet być prawdziwa.

- O chyba tak; potrafimy usunąć prawie każdą plamę. Ale obawiam się, że z tym rozdarciem nic nie zrobimy. Nie świadczymy takich usług.

To była zła wiadomość. Miałam jednak pewność, że sobie poradzę.

- Kiedy mogę ją odebrać? - Nagle pomyślałam, że może jeszcze raz wykorzystamy sukienkę; jakoś sobie nie wyobrażałam, że Ree-Jane przyjdzie na kolejny spektakl. Ryzykantka ze mnie.

- Najwcześniej na jutro po południu.

- Dziękuję ogromnie. Jestem pani bardzo wdzięczna.

- Ależ od tego tu jestem!

Nie byłabym tu za nic, gdybym miała sześcioro dzieci. Siedziałabym na Alasce wśród reniferów i psich zaprzęgów.

Wysłałam od Jo-Leen z uczuciem ulgi, zastanawiając się, czy dam radę zjeść pączka - w końcu niedawno skończyłam śniadanie, czyli mielonkę z buraczkami i placki kukurydziane z syropem klonowym. Z oceanem syropu klonowego. Placki mają tę przyjemną cechę, że syrop po prostu w nie wsiąka i można go łać dowolną ilość. Posprzeczałam się przyjaźnie z matką, czy mielonka wołowa to to samo, co peklowana wołowina w puszcze. Matka twierdzi, że to dwie różne rzeczy, ja zaś, nie mając pojęcia, na czym może polegać różnica, siedziałam, wpatrując się w nasiąkające syropem placki, i przygotowywałam argumenty.

Walter, który jadł ze mną śniadanie, wtrącił:

- Moja mama mówiła, że dużo ludzi myśli, że to jedno i to samo, ale wcale nie.

Łypnęłam na niego. A gdzie lojalność?

- Widzisz, panno Mądralińska? - powiedziała matka.

- Nie wiesz wszystkiego.

W ogóle nic nie wiem, lecz nie miałam zamiaru się przyznawać.

- No, Aurora też mówi, że się różnią. - Nic takiego nie mówiła, ale jest to osoba, na której tak zwane opinie można się powołać w każdej chwili, bo i tak się ich

nie wyprze jako nieobecna. Aurora Paradise ostatni raz zesłała na dół, kiedy myśleliśmy, że hotel się pali.

- Dla ciebie ci o t k a Aurora. Nie mów o dorosłych po imieniu.

Straszne nudy. I po co ja zaczęłam tę rozmowę? Pożałowałam, że nie dodałam ostrych papryczek do mielonki panny Berthy Ciekawe, czy kiedy się jest dorosłym, całe dni mijają na takich rozmowach?

Wspominałam to wszystko, idąc z pralni Jo-Leen do muzeum. Kiedy do niego wchodzę, czuję zapach przeszłości. Dwayne powiedział, że William Faulkner napisał, że przeszłość nie umarła, że „nawet nie przeszła”. To jedno z najbardziej pocieszających zdań, jakie kiedykolwiek słyszałam. Oznacza, że mogę wrócić do czasów, kiedy żył mój pies - a także mój ojciec. Oznacza, że teatr wciąż stoi i Kelnerki nadal pracują w hotelu. Oznacza, że Rose Queen żyje sobie w Cold Fiat Junction, a Ben Queen nie musi się ukrywać.

Przewracałam kartki albumu z fotografiami Belle Rouen. Ależ było tam pięknie: wytworny hol z aksamitnymi portierami i kryształowymi żyrandolami, i sala balowa, gdzie przychodziły chyba setki ludzi i tańczyły, tańczyły, tańczyły. Niemal słyszałam muzykę. I jadalnie, których było aż trzy. Wyobraziłam sobie nasz hotel z trzema jadalniami i skutki tej sytuacji dla panny Berthy. Nigdy nie byłaby niczego pewna i błąkałaby się od jednej do drugiej.

A oto i ściana hotelu, do której Reuben przystawił swoją drabinę, chociaż oczywiście na fotografii jej nie było. Próbowalam sobie wyobrazić, że ktoś wspina się po drabinie, wchodzi przez okno do pokoju, gdzie podobno spało dziecko, wyjmuje je z kołyski i znosi po drabinie na dół. Jeżeli tak się stało (choć byłam prawie

pewna, że nie), to co czuła wtedy mała Fay? Zamknęłam oczy i postarałam się znaleźć na jej miejscu. Ale nie da się wrócić do dzieciństwa i wszystkich utraconych kolorów i doznań.

Posmutniałam. Zamknęłam album, wyszłam i skierowałam się w stronę Tęczy.

Idąc obok sklepu „1001 drobiazgów” pana McCrory’ego, zastanawiałam się, jak naprawić białą sukienkę. Moja matka jest wszystkim, a więc także krawcową: szyje powłoczki, zasłony i ubrania. Ale nie mogłam jej prosić, żeby zszyla sukienkę - nie po wczorajszej awanturze.

Wtedy przypomniałam sobie, że znam jeszcze ko^o goś, kto umie dobrze szyć: pannę Flagler. Szyje piękne sukienki dla tutejszych pań, zwłaszcza wieczorowe; o ile pamiętam, szyla nawet kreacje dla sióstr Deve-reau. Teraz, po siedemdziesiątce, wzrok trochę jej się pogorszył, ale - tak kiedyś powiedziała - „potrafię po omacku uszyć sukienkę” (pewnie wolałabym zaniewidzieć, niż zrobić jakakolwiek przysługę Ree-Jane). Zreperowanie kawałka tiulu było dla panny Flagler prostym zadaniem.

Sklep z upominkami „Pod Dębem” mieści się tuż obok Tęczy, jak zwykle więc wpadłam na pączka. Przy gablocie z ciastami stał Donny Mooma, który kręcił się i przeginał, usiłując zniżyć się do poziomu bezy cytrynowej. Oczywiście, zawsze kupuje tylko pączki, ale musi przy tym obejrzeć wszystkie ciastka i torty. Wanda urzędowała za ladą, a Shirl siedziała przy kasie.

Donny wreszcie zdecydował, czego chce, i wskazał na półkę z pączkami:

- Nie, nie tamte, chcę te z tym czymś kolorowym.

- Z wysypką? Te są najlepsze - uśmiechnęła się Wanda, machnęła białą papierową torbą i sięgnęła po pączki. Stałam, czekając cierpliwie, aż Donny zrealizuje najważniejsze zadanie dnia.

Kiedy zobaczył, że się na niego gapię, szarpnął się gwałtownie.

- A ty czego chcesz?

- Pączka - odparłam z uśmiechem, który miał go rozdrażnić. Udało się.

Donny wyrwał Wandzie torbę z ręki.

- Biorę je dla Maureen i tamtych - oznajmił, wy ciągnając z kieszeni jednodolarowy banknot, który Shirl skasowała z brzękiem. Papierosa z kącika ust wyjęła tylko po to, by mu wydać dziesięć centów.

Maureen jest sekretarką, ale nie mam pojęcia, kim są „tamci”. Wciąż się uśmiechałam, lecz Donny tylko spojrział na mnie groźnie i wyszedł. Pomyślałam, że to naprawdę okropne czuć, że nasze życie wymaga usprawiedliwień, że nawet nie można ot, tak, kupić sobie pączka. Prawie było mi go żal, ale moja litość też ma swoje granice.

Wanda opowiedziała mi o nowych pączkach z kawałkami wiśni. Zawsze ma dobry humor i chyba nikt na całym świecie nie potrafi jej rozzłościć. Wanda jest nowa i wolno jej brać tylko trzyminutowe przerwy, ale moim zdaniem chyba każdy, kto znosi błazeństwa Shirl, to człowiek wyjątkowy. Wanda to przeciwieństwo Donny'ego Moomy, który zawsze jest gotów postąpić wrednie, nawet kiedy nikt nie jest wredny dla niego. Wtem uświadomiłam sobie, kogo Wanda mi przypomina: Kelnerki. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała je rozniewane (choć pewnie moje wspomnienia z czasów,

gdy miałam sześć lat, nie są szczególnie wiarygodne). Naprawdę mnie to zaskoczyło.

Kupiłam trzy pączki, bo mniej więcej o tej porze panny Flyte i Flagler robią przerwę na kawę, i pomyślałam, że wypada, abym to ja choć raz przyniosła poczęstunek. U panny Flagler, która uwielbia piec, i tak zawsze są pyszne muffinki lub ciasto kawowe, toteż przeczuwałam, że moje pączki zostaną zjedzone w drugiej kolejności albo i wcale. Miałam tylko nadzieję, że panny Flyte i Flagler nie nadgryzą ich przez uprzejmość, tak jak ja zwykłam robić.

Panny Flagler nie było w sklepie, ale dzwoneczek nad drzwiami zabrzączał jak zawsze, wiedziałam więc, że zaraz się zjawi. Jej mieszkanie znajduje się bezpośrednio na tyłach wąskiego sklepiku. Czasem myślę sobie, że chciałabym być taka jak ona, oczywiście nie taka stara, niemniej chciałabym mieć schludne i poukładane życie. Tyle że więcej czasu spędzałabym w sklepie, bo mogę bez końca patrzeć na te maleńkie przedmioty, gnieźdzące się w pudełkach lub poukładane na białym jedwabiu w gablotach: srebrne bransoletki, kamienie szlachetne, torebeczki wyszywane koralikami, koronkowe chusteczki - wszystko bardzo małe, o wiele mniejsze niż moje pudełko po czekoladkach Whitmana.

Nawet powietrze robi tu wrażenie uspokojonego, jakby od lat nic go nie zakłócało. Ten lokal coś mi przypomina, ale dotąd nie zdołałam wymyślić, co to jest. Takie miejsca wydają się zasiedziałe, niewzruszone. I nagle pojęłam, z czym kojarzy mi się sklep z upominkami, sklep ze świecami panny Flyte, a nawet stara apteka Souderów: ze starym hotelem Belle Ruin, gdzie powietrze wisi nieruchomo jak stare zasłony, odwiedzanym tylko przez jelenie, które przychodzą pić do stawu. Każde

z tych miejsc było na swój sposób domknięte. Niepotrzebna im panna Flyte do zapalania świec ani panna Flagler z rękami pełnymi upominków, ani pani Souder mieszająca długą łyżeczką koktajl w rowkowanej szklance. Te miejsca nikogo nie potrzebują. Targnął mną straszliwy lęk przed utratą, lecz zaraz z ulgą zdałam sobie sprawę, że ja też nie jestem im potrzebna. Poczułam, że spadł ze mnie jakiś ciężar, a potem ujrzałam pannę Flagler, która pojawiła się za zasłoną z paciorków, oddzielającą przestrzeń mieszkalną od sklepowej.

- Ależ to Emma! Dzień dobry! Chodź na zaplecze, napijesz się kakao.

Przeszłam za panną Flagler przez mroczny salonik do jej białej kuchni, tak jasnej, że aż pulsowała. Przy białym porcelanowym blacie siedziała panna Flyte, pijąc herbatę z filizanki.

- Emmo, właśnie rozmawiałyśmy o tobie.

Sprawiło mi to niekłamana przyjemność. Postawiłam na stole torbę z pączkami.

- Pączki, jak miło.

- Wszyscy mówią tylko o przedstawieniu twojego brata.

- Tak?

O wiele bardziej niż *Medea* interesowały mnie trzy pączki, które właśnie wykladałam na talerzyk podsunięty przez pannę Flagler. Wróciła do podgrzewania kakao.

Albertyna od razu wskoczyła na półkę, aby obwą-chać mi włosy, które następnie zaczęła żuć. Nie wiem, dlaczego to robi. Koty to dziwne stworzenia.

- Niektórzy twierdzą, że jest tak dobre, że zamierzają jutro iść drugi raz.

- Tak?

Patrzyłam na pannę Flyte, która przecinała nożem pączki na pół. Nie był to dobry znak.

- Zapowiadali to wszyscy moi klienci - powiedziała panna Fiagler.

Ponieważ nigdy nie widziałam w jej sklepie więcej osób naraz niż dwie, a przeważnie nie ma tam nikogo, niespecjalnie przejęłam się jej słowami. Szybko zabezpieczyłam obie połówki pączka z posypką czekoladową.

- Zadzwoiła do mnie krewna z Hebrides - rzekła panna Fiagler, nalewając kakao do kubka. - Zamierza przyjechać na spektakl samochodem z kilkoma znajomymi.

Zmarszczyłam czoło. Wieści o przedstawieniu rozchodzą się poza granice La Porte? Ciekawe. Wypiłam łyk kakao, Albertyna zaś w tym czasie przeżuła kosmyk moich włosów.

- Tak?

- Helenę Baum zadzwoniła, żeby zarezerwować dziesięć biletów dla swoich przyjaciół.

Zarezerwować? Nie wiedziałam, że Will i Mili przyjmują rezerwacje.

- Ludzie rezerwują miejsca?

- O tak, jak najbardziej. Wszystkim widzom ogromnie się podoba twój deus ex machina.

Wymówiła to poprawnie. Czyżby deus ex machina był sławny?

- Mój przyjaciel jest profesorem literatury na uczelni w Galista - ciągnęła. - Zadzwoił do mnie i zapytał, jak zdobyć bilety, więc mu obiecałam, że zadzwonię do hotelu i mu kupię.

- Galista? Ależ to pięćdziesiąt mil stąd!

Panna Flyte wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej sądzi, że warto. *Medea* należy do jego ulubionych sztuk. Wykłada o niej w college'u.

Ze zdumienia otworzyłam usta; byłam tak zaskoczona, że nawet nie próbowałam pożreć drugiej połówki pączka.

- Naprawdę się rozczaruje - powiedziałam wreszcie. - Nasze przedstawienie trochę się różni od oryginalnej sztuki. Właściwie, bardzo się różni. To musical; mam nadzieję, że go pani uprzedziła.

- Oczywiście, że tak. To część atrakcji. Muszę powiedzieć, że twój brat ma niezwykły umysł!

Co to, to prawda.

- No, w połowie to dzieło jego przyjaciela Brownmiller. Mówimy na niego Mili. Odpowiada za stronę muzyczną. To świetny muzyk; potrafi grać prawie na każdym instrumencie. - Nie cała sława należy się Willowi.

- Liczę na to, że jakoś się dostaniemy - westchnęła panna Flagler. - Kiedy zadzwoniłam, powiadomili mnie, że został im tylko jeden bilet i nie przyjmują więcej rezerwacji. Kto pierwszy, ten lepszy, tak powiedział ten chłopak. Więc kupiłam tylko bilet dla przyjaciela.

Zmarszczyłam brwi.

- Chłopak?

- Tak.

Może Chuck odbierał telefony? Ale byli dość szaleni, żeby zasadzić do tego Paula. Uśmiechnęłam się.

- Wejdą panie. - Wyciągnęłam z kieszeni dwa odłożone bilety.

Ucieszyły się tak, jakby miały lecieć do Paryża.

- Ojej! - Panna Flagler sięgnęła po portmonetkę.

- Nie trzeba. To na koszt firmy.

- Ach Emmo, jak to miło. Gdybyśmy kiedykolwiek mogły coś dla ciebie zrobić...

Skwapliwie skorzystałam z propozycji i opowiedziałam im o sukience Ree-Jane, nie wyłączając popisów Paula. Starsze panie wręcz pękały ze śmiechu.

Wreszcie panna Flagler przestała się śmiać.

- Oczywiście, że mogę zaszyć sukienkę na jutro wieczór.

- Och, to świetnie - ucieszyłam się. - Poproszę, żeby ktoś z Taksówek Axela odebrał ją z pralni Jo-Leen, podrzucił tutaj, a potem zawiózł do hotelu.

Panna Flagler kiwnęła głową, że tak będzie dobrze, obiecała również, że dopilnuje, by Delbert dokładnie zrozumiał, co ma robić.

Powiedziałam, że w niej cała nadzieja.

Wtedy panna Flagler pochyliła się ku mnie:

- Nikt nie zauważy, że była rozdarta - szepnęła, poklepując mnie po ręce, zupełnie jakby z radością planowała szczególnie atrakcyjne przestępstwo.

40

Ruszyłam do Taksówek Axela, jak zwykle mając nadzieję, że dopadnę Axela, choć oczywiście wiedziałam, że nic z tego. Kiedy tam dotarłam, Delbert właśnie parkował przy krawężniku. Oświadczyłam, że chcę jechać do warsztatu Sława.

- A po co chcesz jechać do warsztatu Sława?

- Delbert, czy pan musi wszystko wiedzieć?

- Pewnie, że nie. Tylko się zastanawiam, czemu nie chcesz, żeby cię podrzucić do hotelu.

Osunęłam się na siedzeniu, żeby nie pochwycił mego wzroku w lusterku wstecznym, lecz kiedy znaleźliśmy się na przedmieściach La Porte, wyprostowałam się, by obejrzeć neon Artura, bo zawsze się martwię, że uzupełnił brakujące litery. Jednak wciąż mrugał ART JADŁO. Mam nadzieję, że już tak zostanie.

Przy okazji poprosiłam Delberta, żeby jutro odebrał z pralni białą sukienkę i zawiózł ją do sklepu z upominkami.

- Panna Flagler jest uprzedzona. - Czułam, że obciążam jego umysł ponad to, co potrafi przyswoić, mimo to ciągnęłam: - Kiedy naprawi ją, zadzwoni do mnie lub do pana. Będzie pan musiał dostarczyć sukienkę do hotelu, ale proszę - tu pochyliłam się do przodu, żeby mówić mu wprost do ucha - niech pan koniecznie zajedzie pod hotel od tyłu, nie od frontu. To bardzo ważne, słyszy pan? Proszę zatrzeć, to wyjdę i ją zabiorę.

Naturalnie Delbert wykręcał się ze wszystkich sił; myślałby kto, że kazałam mu zagrać rolę, dajmy na to, Medei! Stękał i kwękał, i odwracał się do mnie, niby dla większej jasności. Podejrzewam, że dzięki tym fochom czuje się ważniejszy, chociaż oczywiście jest całkowicie nieważny.

Po dziesięciu minutach grymasów, podczas których Delbert jednak pojął, czego od niego oczekuję, zajechaliśmy pod warsztat Sława. Wsiadłam, zapłaciłam za kurs i dałam mu ćwierć dolara napiwku.

- Chcesz, żebym zaczekał i zawiózł cię do Hotelu Paradise?

Domyśliłam się, że napiwek tak go zaskoczył, że uznał, iż powinien się zrewanżować.

- Nie, dziękuję panu, przejdę się. - Choć raz byłam dla niego miła.

Kiwnął głową i odjechał.

Abel Sław wyrzwał z biura, zapewne sądząc, że odgłos samochodu oznacza kolejną robotę. Z pewnością wolałby zobaczyć zderzenie czołowe niż moją osobę.

- Dzień dobry, panie Sław! - zawołałam.

- No, no, Emmo, tylko nie wchodź tam, gdzie naprawia się po-jaz-dy!

Oto, co dostaję za to, że nie wyciągnięto mnie z wraku samochodu skąpanej we własnej krwi! Padam ofiarą zrządzenia!

- Okej, panie Sław! - pomachałam mu z daleka, stanęłam przy samym wejściu do warsztatu (pan Sław zawsze mnie strofuje i zawsze odpowiadam mu okej) i poczekałam chwilę, aż zadzwoni telefon. Gdyby Abel Sław poświęcał na reperowanie po-jaz-dów połowę tego czasu, który marnotrawi na gadanie, byłby bogatym człowiekiem.

Stopy Dwayne'a wystawały spod starej półciężarów-ki, Hej-Tam tkwił pod maską eleganckiego cadillaca. Nie potrafię rozwiązać tej zagadki: dlaczego Dwayne, mistrz mechanik, prawie zawsze pracuje przy byle jakich autach, a zaledwie kompetentny Hej-Tam zajmuje się drogimi i wytwornymi samochodami?

Wdrapałam się na swoje zwykłe miejsce na stosie nowych opon, z których najwyraźniej nikt nie korzysta, i zawołałam do Dwayne'a:

- Kiedy kończysz?

Huknął jakimś narzędziem o metal i nie odpowiedział.

- Dwayne? - Mój ton stał się bardziej natarczywy.

- Taak?

- Idziesz jutro na przedstawienie? Naprawdę się podobalo.

- Nie przepuściłbym go za nic w świecie. Podobno zrobiłaś furorę.

Wytoczył się spod samochodu i uśmiechnął szeroko.

Oblałam się rumieńcem.

- Wcale nie.

Chociaż nie zamierzałam się upierać, skoro tak mu zależało.

- No, to pewnie się przesłyszałam. - Z powrotem wjechał pod auto.

Strasznie jest irytujący.

- Nie mówię, że nie byłam dobra. Tylko rola jest bardzo niewielka.

Nie przestawał stukać.

- Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę wracać do hotelu i obsługiwać.

- Nie zatrzymuję.

Zawsze mi to robi. Powie coś miłego, a potem się wycofuje. A może to ja się wycofuję, udając skromną, chociaż nie jestem?

- Pytałam, o której kończysz?

- Zależy, ile jest roboty. O szóstej, może o wpół do siódmej. Potem czasem chodzę do Jessie.

Restauracja Jessie leży po drugiej stronie torów; to jedyny lokal w tamtej okolicy.

- To pewnie około wpół do ósmej będziesz wolny. Świetnie się składa, bo ja też kończę podawać i sprzątać dopiero po siódmej. Na razie na kolacji są tylko dwie osoby.

Wytoczył się spod półciężarówki i wstał, patrząc na mnie i wycierając ręce tłustą szmatą. Ciekawe, czy mechanicy kiedykolwiek je zmieniają.

- Jestem pewien, że całe Spirit Lake już świetnie zna nasz rozkład zajęć, ale po co właściwie chcesz to wiedzieć?

- Nieważne.

- Nie? To dlaczego chcesz się umówić?

- Tylko się zastanawiam, czy nie przejechałbyś się ze mną do Belle Ruin, jak stąd wyjdiesz, albo po kolacji. Tylko tyle. Myślałam, że miałbyś ochotę wysłuchać mojej teorii na temat tego porwania.

- No pewnie, że bym miał. Ale możesz mi ją zreferować, siedząc na sterce opon.

Spojrzałam nań z ukosa, dając do zrozumienia, że to głupi pomysł. W gruncie rzeczy bardzo mi zależało, by opowiedzieć mu o Belle Ruin, ale chciałam to zrobić tam, na miejscu. Nie wiem dlaczego. Nagle kątem oka dostrzegłam, że Abel Sław chyba odkłada słuchawkę w pakamerze. Odetchnęłam głęboko i oznajmiłam:

- No to spotkamy się w restauracji Jessie trochę po siódmej.

I nie czekając, aż Abel Sław zajrzy do warsztatu, szybko dałam nogę, po drodze rzucając Hej-Tamowi „cześć”. Hej-Tam chyba nie ma zbyt wielu przyjaciół.

A poza tym wiedziałam, że jeśli teraz wyjdę, ustalivszy konkretny czas i miejsce, to Dwayne się dostosuje; zawsze mi docina i trochę się mądrzy, ale jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

Nakarmiłam je lunchem najszybciej, jak umiałam. Panna Bertha odstąpiła od zwykłych stu pretensji, może dlatego, że miała kilka zaległych jeszcze ze śniadania i składnica z pretensjami na razie została zamknięta. Nie zrobiła awantury, nawet gdy pieczony ziemniak spadł

jej z talerza i potoczył się po podłodze. Podniosłam go, położyłam na opróżnionej tacy i zapytałam, czy przynieść jej inny.

- A niby po co? O ten też nie prosiłam. Mają za twardą skórę.

Wróciłam do kuchni, myśląc, że Aurora Paradise dzisiaj nie dostanie swego wymyślnego drinka.

- Walter może jej zanieść lunch, no nie? - powiedziałam. - Bo ja muszę iść do Dużego Garażu. - Tydzień temu nic by to nie dało, jednak dzisiaj, po naszym wielkim sukcesie, był to wykryt o gwarantowanej skuteczności.

Matka się zgodziła, a Walter oznajmił, że chętnie mnie wyręczy.

- Will dał mi bilet na jutro. To strasznie miło z jego strony.

- Zasłużyłeś sobie - powiedziałam grzecznie.

- Gdzie jest Paul? - zainteresowała się matka. - Jego mama nie widziała go od czterech dni.

Ta to ma szczęście. Gdyby chodziło o jakiekolwiek inne dziecko, szeryf już przeczesywałby okolicę.

- Jest w garażu. Will i Mili namówili go, żeby przemocował.

- Nie mogli uprzedzić jego matki?

- Pewnie nikomu nie przyszło to do głowy. - I pewnie nikomu nie przyszło do głowy, że ktokolwiek zauważy brak Paula.

Matka pokręciła głową, jakby ogarnęło ją przemożne znużenie, ale wiedziałam, że tylko gra komedię - ma ich kilka w repertuarze. Następnie wróciła do zdobienia papryczką pimento makaronu zapiekanego z serem na lunch Aurory.

- Daj jej podwójną porcję marynaty z brzoskwiń - poprosiłam. - Bardzo ją lubi. - Kto by nie lubił. - Co jest na deser?

- Śnieżny pudding.
- Hura! - Uwielbiam śnieżny pudding. Chyba robi się go z budyniu waniliowego, rozbielonego i spulchnionego bezami.

Gdy wniosłam do jadalni dwa szklane pucharki z deserem, przybrane czarnymi jagodami, nawet panna Bertha mruknęła z aprobatą. Również zjadłam kolację, zakończoną podwójną porcją puddingu, po czym udałam się do Dużego Garażu. Wciąż było wcześnie, za kwadrans siódma.

Zapukałam w umówiony sposób.

- Wejść! - zawołał Will. Nie podszedł do drzwi i nie zgrywał się jak zwykle, więc musiał być naprawdę zajęty.

Mili siedział przy fortepianie i najwyraźniej komponował jakiś nowy utwór. Will malował dekoracje farbą w spreju.

- Matka Paula chciałaby wiedzieć, gdzie on jest - oznajmiłam.

- Powiedz jej, że jest tutaj i czuje się świetnie.

- To chyba ostatnie miejsce, gdzie ktokolwiek czułby się świetnie - odparłam sarkastycznie. - A poza tym, nie zamierzam jej niczego mówić. Nawet nie wiem, gdzie mieszka.

- Paul! - ryknął Will.

- Ńdobry, panienko! - rozległo się spod stropu.

- Masz w domu telefon?

Paul nie odpowiedział. Często nie odpowiada.

- Paul! Czy macie telefon?

Zapadło milczenie. W końcu Paul odkrzyknął:

- Nie działa!

- A gdzie mieszkasz?

- W białym domu!

Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby Paul wymówił tyle słów naraz. Ledwie go widziałam tam w górze. Wyglądał, jakby gromadził wokół siebie cienie, tak jak Walter.

- Słuchaj - zwróciłam się do Willa. - Po prostu sięgnij go stamtąd i odeślij do domu.

Will i Mili, który tymczasem do nas dołączył, spojrzeli na mnie, jakbym oszalała.

- Jak możemy go puścić? - obruszył się Will. - Jutro mamy poważne przedstawienie. On jest kluczem.

- On jest kluczem? Jakim kluczem? Przecież on tylko rzuca mąką!

- To jedna ze zmian. Z mąką dajemy sobie spokój. Uznaliśmy, że to nie jest realistyczne.

- Realistyczne? Tu nic nie jest realistyczne! - Ale byłam zachwycona, że zrezygnowali z mąki.

- Jeśli go puścimy - wtrącił Mili - już go nie odzyskamy.

- Ale skoro nie ma rzucać mąką, to po co w ogóle jest potrzebny?

- Będzie ciskał gromy. To znacznie lepszy pomysł.

- Znacznie lepszy - powtórzył Mili jak echo. - Ja będę bębnił na fortepianie. Znaczący wiesz, udawał grzmoty. Będzie strasznie!

Will podniósł jeden z przedmiotów, które malował sprejem. Był to długi, zębaty kawałek tektury.

- Paul będzie nimi ciskał. Niezłe błyskawice, nie?

Zmrużyłam podejrzliwie oczy.

- Ciskał je gdzie? - Jakbym nie wiedziała. - Chyba nie we mnie!

Will wydał jedno ze swych westchnień, jakby miał mnie absolutnie dosyć.

- Ale tchórz. Będzie je ciskał wokół ciebie, nie w ciebie. Poza tym, to przecież tylko tektura.

Obaj wlepiali we mnie nieruchomy wzrok, żując żurawinową gumę dokładnie w tym samym rytmie.

Uświadomiłam sobie, że zawsze mogą jeszcze wrócić do mąki i że gotowi są to zrobić. To był szantaż.

- Rzeczywiście, to jest tylko tektura, ale tamto - wskazałam w górę na Paula - to jest Paul! Paul byłby w stanie utopić mnie w łyżce wody!

Obaj zachichotali szyderczo. Ten chichot był jak ta guma.

Mili poprawił okulary na cienkim nosie.

- Pewnie po prostu opadną jak liście.

- A w ogóle, po co wam błyskawice? Widać było, że Will na gwałt szuka powodu.

- To bardziej po grecku.

Mili dodał, że Chuck oświetli spadające błyskawice żółtym reflektorem.

- Próbowaliśmy! To niesamowite!

- Jedną rzecz, na którą musisz uważać - oznajmił Will - to żebyś nie machała rękami, próbując się zasłonić. To by zrobiło fatalne wrażenie.

- Przede wszystkim będę się zasłaniać!

- Deus ex machina by tego nie robił - rzekł Mili, wzruszając ramionami.

- Jak mówiłem - powtórzył Will - chcemy, żeby to wyglądało realistycznie.

Okropnie często rozdziawiałam dzisiaj usta i teraz też je rozdziawiałam. Nie było z nimi rozmowy, nic do nich nie docierało, postanowiłam więc przejść do rękoczynów i rzuciłam się na Willa z pięściami. Oczywiście, bez wysiłku odparł atak, wystarczyło, że chwycił **mnie** za rękę.

- Zaczekaj chwilę... - powiedział Mili i odciągnął Willa na bok, abym nie słyszała, co mówią.

Po kilku minutach wrócili.

- Mamy nowy pomysł - oznajmił Will.

To była zła wiadomość. Jęknęłam.

- Przyszło nam do głowy, że mogłabyś rzucić się na Medeę. Krzyczysz „Dość!”, ale ona wciąż uderza nożem...

- Jakby w zwolnionym tempie... - dodał Mili.

- Właśnie. W zwolnionym tempie.

- Więc zaczynasz ją okładać pięściami.

- Pięściami.

Znów żuli gumę w jednym rytmie.

- Nie. To głupi pomysł. Wiem, że nie zdołam was przekonać, bo obaj jesteście wariaci. Więc po prostu mówię nie!

- Ńdobry, panienko! - rozległo się echem spod stropu.

Wyszłam.

Wylądowałam w opustoszałej kuchni, gdzie zjadłam kolejną porcję śnieżnego puddingu.

Czasem można się dogadać tylko z jedzeniem.

41

Restauracja Jessie leży za torami, po przeciwnej stronie szosy stanowej niż warsztat Abła Sława. Byłby to prawie bar, tylko nie ma w nim boksów. W prawdziwym barze muszą być boksy. Zamiast tego u Jessie są stoliki, okryte bardzo ładną wzorzystą ceratą w kwiaty

albo liście winorośli. Jedzenie też jest niezłe, choć nie rzuca na kolana; piłam tu tylko koktajl czekoladowy, ale mi smakował.

Szafa grająca zawsze głośno gra, przeważnie muzykę country, ale czasem lecą Everly Brothers albo Patience i Pru (ulubieńcy Aurory). Dzisiaj śpiewały Patience i Prue:

Ja-aa wie-eem, że-ee tyy-yy
Rano ju-uuz
Wyjdiesz staq-qad,
Ale dziiś, tylko dzi-iś, jesteś mó-ój.

Uwielbiam tę piosenkę.

Dwayne chyba mógłby się czegoś z niej nauczyć, bo pochyłał się daleko nad kontuarem, zupełnie jakby chciał sięgnąć Jessie pod sukienkę. Aa, jednak nie; kiedy się wyprostował, zobaczyłam, że po prostu wyjmował widelec ze stojaka na sztucce pod ladą. Teraz Jessie pochyłała się do niego, złożywszy ręce na kontuarze, i rozprawiała w najlepsze, podczas gdy on jadł placek dużymi kęsami.

O rany, ależ z niej flirciara. I w dodatku głupio robi, bo jest od niego znacznie starsza. No, niech będzie, że trochę starsza.

Ale Dwayne bardziej skupiał się na placku niż na niej, bo tylko krótko kiwał głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że owszem, słucha, chociaż naprawdę wcale tak nie było. Znam to kiwnięcie; Will też tak robi, a nikt nie zwraca na otoczenie mniej uwagi niż Will.

Przeszłam przez salę, przywitałam się i usiadłam na stołku obok Dwayne'a.

- A niech to licho, patrzcie, kto się zjawił.

- Mogłabym powiedzieć to samo o tobie. - Uznałam, że to całkiem zgrabna riposta.

Jessie uśmiechnęła się niepewnie i podreptała gdzieś w swoich roboczych pantoflach na gumie, które przy każdym kroku wydawały ciche młaśnięcia.

Pokręciłam się tam i z powrotem na stołku, dla równowagi trzymając dłonie na kontuarze.

- Dobry ten placek? Dwayne

wzruszył ramionami.

- Może być. W żadnym razie nie na piątkę.

- Powinieneś spróbować placka z jabłkami mojej matki.

- Ona dobrze gotuje?

Pytanie było tak żałośnie nieadekwatne, że przestałam się kręcić, aby mu się przyjrzeć. Zdałam sobie sprawę, że nigdy właściwie nie mówiłam mu o gotowaniu mojej matki. Jak to możliwe, skoro głównie dzięki niemu jakoś się trzymam? Problem z jedzeniem właśnie na tym polega: prawdopodobnie ludzie tyją, bo są od niego zależni, bo inaczej rozpadliby się na kawałki. Jest to jak cudowny klej, który ich trzyma w kupie.

- Nigdy ci nie mówiłam?

- Czego?

- Moja matka jest najlepszą kucharką w okolicy. W szeroko pojętej okolicy, być może w całym stanie. I może w kilku innych też. Dlaczego kiedyś nie przyjdiesz na kolację do hotelu? Skoro i tak jadasz na mieście?

Odłożył widelczyk na talerz i podniósł kubek z kawą.

- Po pracy jestem zbyt brudny i wytłuszczony, żeby jeść w waszej jadalni. Hotel musi trzymać jakieś standardy.

- Standardy? - To naprawdę śmieszne. - Powinieneś poznać pannę Berthę!

- Masz na coś ochotę? - Skinął głową w stronę szklanej gabloty, dokładnie takiej samej jak w barze Na Wietrznym Szlaku, gdzie stały ciastka i torty.

- Nie, dziękuję. - Czy ja kiedykolwiek przedtem odmówiłam, gdy w grę wchodziło jedzenie?

Dwayne obrócił się i spojrzał przez okno.

- Wciąż jasno, to dobrze. - Wyciągnął portfel, wyjął dziesięciodolarowy banknot, zapłacił za jedzenie oraz sześciopak piwa, który Jessie postawiła na kontuarze, i nie poprosił o resztę. Wiedziała, że to znacznie, ale to znacznie więcej, niż wyniósł rachunek. Co jakiś czas odkrywam w Dwayne'ie coś, co wyraźnie przeczy jego zachowaniu wobec mnie. Znakomite maniere, gdy przedstawiano go ludziom na werandzie; nieustanne czytanie Faulknera; szczodrość.

- Chodźmy - rzekł, wtykając do ust papierosa. Tuż przy drzwiach stał automat do napojów; Dwayne wrzucił monetę i po chwili z otworu wypadła puszka coli. Ruszyliśmy do jego półciężarówki.

Stary pikap Dwayne'a ma chyba ze sto usterek. Ciągłe coś pod nim stuka i brzęczy. Nie potrafię tego pojąć.

- Jesteś mistrzem mechanikiem. Czemu nie naprawisz tej półciężarówki?

- Nie muszę, właśnie dlatego, że jestem mechanikiem. Te hałasy nic nie znaczą. - I wypuścił z ust kłęb dymu.

- Ale w cudzym samochodzie byś tego nie zniósł. Od razu byś to naprawił.

- Wcale nie słuchasz, prawda? Oczywiście, że bym naprawił cudzy samochód. Za to Abel Sław mi płaci, no nie? Ludziom trzeba naprawiać takie rzeczy, bo nie są mechanikami.

- Mistrzami mechanikami.

Odwrócił głowę. Chyba się uśmiechał.

- Tak czy inaczej, liczy się tylko silnik. A ten chodzi jak złoto. - Poglaskał deskę rozdzielczą, jakby chciał się upewnić, że silnik usłyszał komplement. - Z silnika nie słychać żadnych brzęczeń, prawda?

- Skąd mam wiedzieć? Cała reszta tak hałasuje, że wszystko zagłusza!

Przejechawszy około mili, skręciliśmy z szosy na starą polną drogę, której teraz mało kto używa. Ale też po co miałby używać, skoro prowadzi ona tylko do Belle Ruin? Zapadał zmierzch; Dwayne włączył reflektory i niebawem wśród drzew ukazały się resztki starego hotelu.

Jakoś nie mogę się nadziwić, że nadal wygląda majestatycznie, z kamiennymi kolumnami, sięgającymi nieba. Mimo że wypalony, wciąż robi wrażenie. Pod porte cochere - albo tym, co niegdyś nim było - przy wejściu, między granitowymi narożnymi filarami, było dość miejsca na sześć albo siedem samochodów; dla porównania, u nas w Hotelu Paradise mieszczą się najwyżej dwa. Do drzwi prowadziły wysokie, szerokie schody, obecnie nieistniejące z wyjątkiem pierwszego stopnia, który nie wiadomo czemu ocalał.

Patrzyliśmy na pozostałości hotelu, jakby to były jakieś ruiny gdzieś w starożytnym Rzymie albo w Grecji. Pewnie przyszło mi to do głowy z powodu *Medei*.

- Znasz się na archeologii? - zapytał Dwayne.

Wyjął z samochodu latarnię i przykucnął, obracając w dłoni jakiś kamień. Był to ładny kamień, jakby fluoryzujący w zależności od kąta, pod którym się nań patrzyło.

- Nie. A ty?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Ostrożnie odłożył kamień, jakby ruinom należał się pewien szacunek.

Dobrze, że on też się nie zna, pomyślałam, bo dzięki temu nie wyszłam na nieuka. Ale Dwayne już taki jest; wcale mu nie przeszkadza, że czegoś nie wie.

Ruszyliśmy w prawo do narożnika, za którym leżało kiedyś wschodnie skrzydło. Wyjęłam plan i pocztówki; jedna z nich ukazywała boczną ścianę hotelu oraz okna pokoiów Slade'ów. Wskazałam palcem miejsce, gdzie musiała stać drabina.

- Reuben Stuck mówi, że nigdy nie postawiłby tu tej drabiny. Można powiedzieć, że Reuben Stuck był głównym podejrzanym. - Wcale nie był; po prostu podobało mi się brzmienie tych słów w moich ustach. Takie poważne. - Reuben twierdzi, że zostawił drabinę dwa okna na prawo od okna dziecka, więc ktoś musiał ją przestawić. Wierzę Reubenowi, kiedy mówi, że to nie on.

Dwayne patrzył na mnie, marszcząc brwi.

- Połowę czasu spędzasz w Cold Fiat Junction. Jeździsz tym pociągiem tam i z powrotem jak poczta Stanów Zjednoczonych.

- Wcale nie! - Nie mogłam znieść myśli, że ktoś wie, że przywiązałam się do jakiegoś miejsca czy nawet osoby. Tylko zostałabym wyśmiana. - Bywam tam, bo to spora część całej historii. Wygląda na to, że każdy, kto ma z nią jakiś związek, mieszka w Cold Fiat Junction albo w Spirit Lake.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to niezdrowo zadawać pytania głównemu podejrzanemu?

- Ale on nim nie jest, znaczy teraz już nie. Głównym podejrzanym (uwielbiam to określenie) był tylko przez chwilę. A poza tym, mam doskonały pretekst: robię wywiady do swojego artykułu.

Dwayne znów klęknął i przyglądał się fundamentom.

- Taak? Zawsze mi się zdawało, że ten „artykuł” dotyczy sióstr Devereau i Bena Queena, który załatwił jedną z nich. I muszę powiedzieć, że to dopiero jest historia jak cholera.

- Ano, tak właśnie bywa z historiami; z jednej wynika następna. Może życie to jedna długa, długa historia.

- Po prostu bądź ostrożna - rzekł Dwayne, wstając. - Nie podoba mi się, że biegasz po całej okolicy i wy-pytujesz zupełnie obcych ludzi. Pomyśl, co się zdarzyło ostatnim razem.

Nie istniał żaden „ostatni raz”; wszystko wciąż się działo.

- Morris Slade pochodził z La Porte. Był przyrodnim bratem Rose Devereau. Jest częścią tej sprawy, więc jego żona i dziecko też do niej należą.

- Gdzie teraz są?

Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To było prawie tak, jakby Morris, Imogena i pan Woodruff z chwilą porwania przestali istnieć.

- Pewnie w Nowym Jorku, chyba że dali nogę do Paryża, Francji albo Meksyku. Bali się, że osiągnie ich ręka prawa.

- Nie masz ani krztyny zmysłu dramatycznego, prawda?

- Czy to przytyk do mojego aktorstwa? - Zatrzymałam się, odęta.

- W żadnym razie - zaśmiał się Dwayne.

Zmierzałyśmy do następnego narożnika, za którym zaczynał się piękny, półkolisty tył hotelu. Mieściły się tu kuchnie, jadalnie i sala balowa. Pokazałam Dwayne'owi swój plan - a raczej plan panny Llewelyn. Spojrzał ku górze.

- Szkoda, że go nie widziałem. Boże, ależ żałuję.

To mnie zdumiało. Dwayne rzadko kiedy zdradza się ze swymi uczuciami.

- Ja też. Sala balowa była gdzieś tutaj.

Poprowadziłam go ścieżką, ongiś wykładaną kamieniami płytami, choć teraz między kamieniami wyrosły chwasty, a opadłe liście i gałązki zakryły ją niemal całkowicie. Przypuszczalnie pierwsza jadalnia, doszczętnie spalona, przylegała do kuchni, gdzie nadal stał ogromny piec. Na podłodze walały się osmalone garnki, patelnie i potłuczony fajans.

- Czasem znajduję talerzyki i filiżanki z nazwą hotelu.

- Dziwię się, że nikt nie wywlókł tego pieca. Ludzie lecą na takie rzeczy jak szarańcza.

Przez drugą jadalnię przeszliśmy do sali balowej. Brakowało tu połowy dachu, a ściana poniżej częściowo spłonęła, lecz poza tym pomieszczenie było praktycznie nienaruszone.

- Spójrz na te meble. Kozetka kryta aksamitem i fotele pod ścianami. A można by pomyśleć, że pierwsze pójda z dymem.

Dwayne stanął na środku i przyjrzał się posadzce.

- Te deski wyglądają mi na chiński wiąz, bard/o twarde drewno, chyba najlepsze, jakie istnieje, z wyjął

kiem być może bambusa. Nie zgniły ani się nie spaczyły. Zdumiewające. - Zapalił latarnię i postawił ją na podłodze, gdzie rzucała łagodny blask na stare złoto nóżek kozetki, po czym z wolna się obrócił. Weszłam na parkiet i obróciłam się tak jak on, patrząc w niebo. Powoli nadciągała noc. Dostrzegłam gwiazdę wieczorną.

- Skąd się brali ci wszyscy ludzie, którzy tu przyjeżdżali pomieszkać albo potańczyć? W tej sali zmieściłoby się ze sto osób.

- Dwieście. Sprawdziłam. Na tutejsze bale przyjeżdżało po dwieście osób, z których wiele zatrzymywało się w hotelu. Pokoi było niemal tyle samo, sto siedemdziesiąt pięć, przynajmniej tak napisano w gazecie. Tam - wskazałam w głąb sali - stało podium dla orkiestry. Nazywali się Royals. Spory dwunastoosobowy zespół z Camberwell.

Dwayne spojrział na mnie.

- Odrobiłaś lekcje.

- Stare relacje prasowe. Fotografie mam właśnie z gazety. A panna Llewelyn z muzeum zrobiła rysunek, coś w rodzaju planu, ukazujący główne sale na parterze i położenie pokoiów Slade'ów, tam gdzie stała drabina. Wynajęli dwa pokoje we wschodnim skrzydle, w tym jeden dla dziecka. Morris i Imogena poszli potańczyć, a dziecko zostało w kołysce. - Wskazałam za siebie, na wypadek, gdyby Dwayne zapomniał. - Wszyscy mieli pomyśleć, że ktoś przesunął drabinę, wszedł po niej i zabrał dziecko w czasie, gdy opiekunka rozmawiała przez telefon na korytarzu. Ale w czasie, kiedy zdaniem policji dziecko zostało porwane, drabiny nikt nie używał. Opiekunka przynajmniej przydała się do jednego: ustalenia ram czasowych. Przyznała, że rozmawiała dwadzieścia minut, a potem Morris Slade wrócił z dancingu.

Więc mała Fay zniknęła między wyjściem tej Spiker do telefonu i przyjściem Morrisa na górę. Podszedł do kołyski i odkrył, że dziecka nie ma.

- Skąd wiesz, że nikt nie wchodził ani nie schodził po drabinie?

- Tamtego wieczoru Ulub i Ubub pracowali na terenie, sprząтали uschnięte gałęzie i zbierali drewno do kominków. Mieli drabinę w zasięgu wzroku - cały czas kręcili się obok niej. Nikt nie mógłby na nią wejść, nie zwracając ich uwagi.

Dwayne zamyślił się. To kolejna rzecz, którą w nim lubię; nie powiedział: „Czy można polegać na tym, co mówią bracia Wood?” Ja tam uważam, że są bardzo odważni, bo czasem celowo narażają się na sytuacje, kiedy ludzie mogą ich zignorować, nie uwierzyć im, a nawet wyśmiać.

- Więc ta dziewczyna Spikerów...

- Gloria Spiker Calhoun. Rozmawiałam z nią. Mieszka w Cold Fiat Junction.

- Mówiła, że ojciec... jak mu na imię?

- Morris Slade.

- ...że zastała go w pokoju, kiedy skończyła telefonować. Jak długo tam był?

- O czym myślisz?

- Myślę, że zanieśenie dziecka na dół i umieszczenie go w samochodzie trwa zaledwie kilka minut.

Na to nie wpadłam.

- Ależ tam kręciło się mnóstwo ludzi!

- Owszem, ale to w pewnym sensie atut. Kiedy ludzie są rozbawieni, w głowie im tylko tańce i figle. Powiedzmy, że ojciec wyśliznął się tylnymi schodami...

Czekałam, ale tylko spojrział na niebo, które zaczęło przybierać fioletowosiną barwę, po czym zapytał:

- Zamierzam napić się piwa. Masz ochotę?
- Ha ha ha. Przecież wiem, że kupiłeś u Jessie coś i wzięłeś ją ze sobą.

Zrobił kilka kroków.

- Idziesz?
- Zaczekam i pomyślę.
- Boże, zmiłuj się nad nami.

Ruszył do półciężarówki, lecz nie na skróty przez hotel, tylko tą samą drogą, którą przyszlismy. Może przez szacunek?

Usiadłam na aksamitnym fotelu i wpatrzyłam się w staw, żałując, że jelenie nie przyszły do wodopoju. Wpatrywałam się w wodę i drzewa, jakbym mogła wzrokiem przywołać zwierzęta, wyczarować je siłą wyobraźni. Ciekawa jestem, dlaczego scena ze stawem i jeleniami wydawała mi się taka stosowna, jakbyśmy szli przez życie na oślep, w „owadowirze”, albo wśród „krost pniaków” - tak przynajmniej określa to William Faulkner - i tylko od czasu do czasu pozwalano nam patrzeć jasno.

Nie zwierzyłam się Dwayne'owi ze swojej teorii. Jak zwykle się ociągałam. Czyżbym na razie nie chciała rozstawać się ze swym pomysłem ze strachu, że wypowiadany rozwieje się niczym garść piasku na wietrze? Ociągałam się, jakbym chciała ostatnia przywitać się z kimś naprawdę lubianym w nadziei, że w ten sposób zostanie najlepiej zapamiętana.

Dlaczego tak postępuję? Dlaczego się nie narzucam, nie stoję na linii wzroku, żeby zasłonić wszystko swoją osobą? Dlaczego (jak ujmuje to matka) jestem taka zamknięta w sobie? Kto zechce się ze mną zadawać, skoro napotyka jedynie obojętność?

Czasem żałuję, że tylko niewielu ludzi potrafi mnie przejrzeć, tak jak szeryf, Maud czy Dwayne. Gdyby było inaczej, nie musiałabym tak się męczyć, żeby ukryć swoje uczucia. Bo odkrywanie się jest niebezpieczne: można się narazić na śmiech i bezlitosną drwinę. Można zostać Ulubem i Ububem.

Dobiegły mnie kroki wracającego ścieżką Dwayne'a. Teraz też nie szedł przez hotel, lecz naokoło.

Zupełnie jakby Belle Ruin wciąż stał.

Z jakiegoś powodu dodało mi to otuchy. Dwayne szanuje pewne rzeczy, to u niego naturalne. Wręczył mi coś i usiadł przy mnie na parkiecie.

- Powiem ci, kto, moim zdaniem, jest dzieckiem Slade'ów - oznajmiłam. - To ktoś, kogo wciąż widuję.

Spojrzał na mnie pytająco i zapalił papierosa.

- Kto?

Więc mu powiedziałam.

- Znikająca Dziewczyna.

42

Następnego ranka po śniadaniu zasiadłam na swoim ulubionym miejscu, za rogiem frontowej werandy, gdzie nikt mnie nie widzi. Nie jest to w żadnym razie kryjówka (Ree-Jane zawsze udaje się mnie znaleźć), ale ma się wrażenie prywatności. Lubię się bujać i wpatrywać w wielkie drzewo, które stoi samotnie na małej wysepce traw i tojeści. Tu mogę myśleć; drzewo ma w sobie coś kojącego. W tym miejscu rozwidła się żwirowy podjazd, prowadzący od szosy - jedna odnoga biegnie pod wej-

ście od frontu, druga podąża wokół hotelu na tyły, gdzie opasuje ogródek koktajlowy.

Mnóstwo tu przestrzeni, całe akry; czasem wręcz odnosi się wrażenie, że hotel, a ja w nim, unosimy się na naszej własnej małej wysepce. To bardzo uspokaja, mimo błżeństw (jak określa to matka), które się tu odbywają, tych wszystkich szaleństw i wybuchów złości.

Dwayne powiedział, że nie zgadza się z teorią Aurory, jakoby Slade'owie mogli zabić własne dziecko, bo jest okropnie melodramatyczna, no nie? Na co ja odparłam, że nie bardziej niż jego własny pomysł, że Morris Slade sam porwał małą; nie przyznałam się, że pan Gumbrel też coś takiego mówił. Najbardziej wiarygodna (dodał Dwayne) jest moja koncepcja, chociaż oczywiście to o niczym nie świadczy.

Chyba dobrze, że dzisiaj wieczór Dwayne zobaczy, co to naprawdę jest melodramat.

Zamiast iść do swego pokoju przez hotel, wybrałam wąską ścieżkę, prowadzącą naokoło budynku z werandy do tylnego wejścia. W ten sposób unikałam spotkań z ludźmi; nie byłam w nastroju do rozmów, lecz do rozmyślań.

Mój pokój znajduje się na drugim piętrze od tyłu; pokój Ree-Jane mieści się na pierwszym piętrze od frontu. Pani Davidow okupuje dwa pokoje, które w Hotelu Paradise stanowią coś najbardziej zbliżonego do apartamentu, a czasem przenosi się do podobnego „apartamentu” o piętro wyżej. Pokój mojej matki znajduje się u szczytu głównych schodów, co na pozór wydaje się atrakcyjne - ale matka mieszka tam tylko dlatego,

że kiedy jakiś gość przyjeżdża w nocy, łatwo jest zejść na dół i mu otworzyć.

Po rozkładzie pokoi widać więc, kto jest u nas osobą cenną, a kto nie. Pani Davidow i Ree-Jane mają własne łazienki; ja i moja matka musimy korzystać z łazienek na korytarzu. (Will chyba też, ale nigdy nie jestem pewna, który pokój zajmuje, bo bez przerwy je zmienia.)

Mimo braku luksusów, dobrze mi w moim pokoju. Większość mebli pomalowałam na błękitny kolor. Są tu dwie komódki połączone deską, która służy mi za toaletkę, żelazne łóżko oraz szafa z ciemnobrązowego drewna tak pięknej, głębokiej barwy, że nie chciałam pokrywać jej farbą. Lubię leżeć na łóżku i czytać albo rozmyślać. Teraz też myślałam o tym, jak zjeżdżam na huśtawce wśród rzucanych przez Paula błyskawic. Po zastanowieniu uznałam, że to lepsze niż mąka.

Przez kłótnię z chłopakami całkiem zapomniałam, po co w ogóle wczoraj poszłam do garażu: zamierzałam przecież nakłonić Paula, żeby wrócił do domu. Mam jednak wrażenie, że Paul, mimo że przywiązany do krokwi, bawi się równie dobrze jak my wszyscy. Jego matka często przywiązuje go do krzesła, żeby nie dobrał się do wytwornych ciast, które moja matka zostawia do wystygnięcia na blacie roboczym. Pamiętam, jak go zobaczyłam na osłoniętej siatką werandzie od strony kuchni, radosnego, jakby uważał, że bycie przywiązanym do krzesła to przygoda. I poniekąd tak było, bo spędził czas niewoli, wyskubując nici ze swych nowiuteńkich butów. „Pau! Chcesz w ucho?” Paul często daje swej matce powody do złości, a ona rzeczywiście leje go w ucho. Tamtym razem przyszła, kiedy jego buty leżały w kawałkach na podło-

dze. „Pau! Chcesz w ucho?” Mówi trochę niewyraźnie i „Paul” zawsze brzmi jak „Pau”.

Leżałam na łóżku i wpatrywałam się w długie pęknięcie na białym suficie. Co się stało z Fay? Kto ją wykradł? Kto ją oddał? (Nie mogłam znieść myśli, że ktoś z premedytacją ją zabił.) A może się rozchorowała albo co, i umarła, a rodzice z jakiegoś powodu nikogo o tym nie powiadomili i sami ją pochowali? Tylko po co zatajać coś takiego? Może chodziło o spadek?

Cokolwiek się zdarzyło, nie byłam w stanie nawet o tym myśleć - oczywiście, chyba że dziecko oddano jakiemuś naprawdę miłemu małżeństwu, które od dawna marzyło o dziecku, a raczej nie zanosilo się na to, że będą mieli własne.

Lecz to wszystko były stare pomysły, które krążyły mi po głowie od wielu dni. A przecież nabrałam już pewności, prawda? Że nieważne, co się zdarzyło: to, co się zdarzyło, zdarzyło się w Belle Ruin a ona wróciła, bo jakoś się dowiedziała, że nie jest córką ludzi, którzy ją wzięli do siebie. (Czyżby zrobili to za pieniądze? Za dużą sumę pieniędzy?)

Może natrafiła na informację o porwaniu w starej gazecie, którą zachowali jej przybrani rodzice? Ciekawe, jaką historyjkę jej opowiedzieli.

Jesteś znajdą. Co za szczęśliwy przypadek! Znaleźliśmy cię jesienią na ławce w parku. Byłaś owinięta w ciepły kocyk, a liście powoli opadały, okrywając cię drugim kocykiem. Powinniśmy byli zgłosić się na policję, ale jaki byłby z tego pożytek? Odnależliby tylko rodziców, którzy przecież cię zostawili...

Pokazali jej gazetę.

Przeczytaliśmy o tym dopiero jak miałaś osiemnaście lat. Osiemnaście lat, wyobrażasz sobie? Byłaś już dorosła! Nie mogliśmy się zdecydować, co robić. Dostaliśmy tę gazetę od znajomego; coś kiedyś musieliśmy mu wspomnieć. Co? Po prostu... zwyczajnie... nie wiedzieliśmy, co zrobić, co myśleć. Ale w końcu uznaliśmy, że masz prawo wiedzieć. Chyba każdy ma takie prawo. Każdy. Podobno to się stało tutaj, w tym wielkim hotelu.

Może nawet pokazali jej zdjęcie - to samo zdjęcie bajecznego Belle Rouen, które zamieścił „Konserwatysta”.

Leżałam przez chwilę, zastanawiając się, jak bym się czuła, gdyby matka zaserwowała mi taką historię: Emmo, zostałaś porwana, kiedy miałaś cztery miesiące...

Najbardziej podobał mi się kawałek o ciepłym kocyku, ławce w parku i wolno opadających liściach. Zamknawszy oczy, niemal czułam ich dotyk.

A gdyby ludzie, którzy mnie znaleźli, pokazali mi wycinek z opisem hotelu, z którego zostałam porwana, i podali nazwę miejscowości, to z pewnością bym go odzyskała. Jestem pewna, że tak właśnie postąpiła Dziewczyna. Która wcale nie wygląda jak Imogena Woodruff, tylko jak Rose DevereauQueen.

Musiałam na chwilę zasnąć, bo następną rzeczą, którą poczułam, było szarpnięcie za ramię. Śniła mi się Ree-Jane jako dziecko na ławce w parku, i oto stała przede mną, tu, w moim pokoju! Po prostu jak zwykle - to znaczy, kiedy w ogóle zniża się do przyjscia do mnie - włąza bez pukania. I jak zwykle uśmiechała się sarkastycznie, wzięwszy się pod boki w nowej sukience.

- Wstawaj, Śpiąca Królowno! Pani Jen szaleje ze złości, że nie ma cię w kuchni! Pora na lunch!

Naprawdę, jej uśmieszek wygląda jak przydrutowany.

- Powinnaś leżeć na ławce w parku.
- Co? - Złości się, kiedy zbijam ją z tropu.

Liście opadają, pada śnieg (jeśli jest wiosna, to deszcz), a ona sobie leży. I nikt po nią nie przychodzi...

Zaraz, zaraz! Znajduje ją jakiś biedak, zabiera z ławki...

- Co się tak głupio śmiejesz? - zapytała.
- ...ale zaraz odnosi ją z powrotem.

Na lunchu mieliśmy grupę jakichś obcych ludzi, dlatego też Vera uwijała się, niezadowolona, że musiała zrobić surówki, co jest poniżej jej godności. Jej czarne oczy miały pioruny, usta miała zaciśnięte i proste jak krawędź linijki. Nawet sztywny organdynowy czepek, który nosi do mundurka, wydawał się dygotać z oburzenia.

Oczy i usta mojej matki również nie emanowały szczególą pogodą. Tylko Walter jak zwykle był w dobrym nastroju i zapytał mnie, czy byłam na próbie w Dużym Garażu.

Zdałam sobie sprawę, że to o wiele lepsza wymówka niż drzemka, odparłam więc:

- Tak, Will i Mili wprowadzili kilka zmian. - Po czym dotknęłam dłonią czoła i dodałam: - Mam przez nich mnóstwo dodatkowej pracy! - Przedstawienie traktowane jest z czymś w rodzaju czci; jeśli ktoś chciał mi zrobić awanturę, musiał na razie o niej zapomnieć albo przynajmniej przełożyć ją na inny termin.

Ciekawe, pomyślałam, dlaczego mimo sukcesu scenicznego oraz sławy, jaką zyskałam, kiedy prawie zostałam zabita i „oddalam przestępcę w ręce sprawiedliwości” (zrobiłam to nie ja, tylko Ben Queen), wciąż oddelego-

wuje się mnie do surówek. Rzuciłam okiem na surówki wykonane przez Verę. Moje są znacznie ładniejsze.

Wiem, że nie jestem równie dobrą kelnerką jak Vera, ale to tak, jakby powiedzieć, że nie jestem równie dobrym kapłanem jak ksiądz Freeman. Prawdę mówiąc, można uznać Verę za wysoką kapłankę kelnerstwa: wygląda bardzo uroczyście w czarnym uniformie i sztywnym białym czepku, a z wielką tacą wzniesioną na czubkach palców robi wrażenie, jakby niosła jakąś świętość.

Nie, moim powołaniem jest raczej sława. I chyba nieźle mi wychodzi.

Odsunęłam tę myśl na czas obsługiwania panny Berthy i pani Fulbright. Kiedy jadły zupeę, pognałam do biura, sprawdziłam, że pani Davidow wyszła, i szybko wlałam do małego dzbanka miarkę whisky Jack Daniels, żeby mieć ją w pogotowiu. Następnie pędem wróciłam do lodówki, ukryłam dzbanek za blokiem lodu, po czym odciągnęłam Waltera na stronę (choć Walter zawsze jest jakby „na stronie”) i powiadomiłam go, że to on dziś przyrządzi Aurorze drinka. Czego jak czego, ale kontaktu z Aurorą chciałam dziś wieczorem uniknąć za wszelką cenę. Pokazałam mu, gdzie schowałam whisky.

- Kiedy przyjdzie pora na koktajl, po prostu zmiksuj sok i owoce, po czym wlej to. Powinno starczyć na dwa drinki; wiesz, że ona zawsze żąda drugiego.

- Pewno, że tak.

Potem zaniosiłam pannie Bercie i pani Fulbright rolady szynkowe z zielonym groszkiem. Matka była tak zajęta proszoną kolacją, że całkiem zapomniała o nastawieniu panny Berthy do groszku. Zamiast go usunąć, wzięłam łyżkę i posypałam nim jeszcze jej sos serowy.

Już prawie w drzwiach usłyszałam, jak matka woła, żebym została i pomogła Verze, na co odparłam udęczonym tonem:

- Próba generalna! Przedstawienie! Sztuka! - To miła niespodzianka, że dzięki „sztuce” można się wykręcić od niemal wszystkiego. I w dodatku chociaż raz mówiłam prawdę.

43

Na drugie przedstawienie sprzedano sto trzydzieści pięć biletów.

Przyznaję, że osłupiałam. Nie tyle dlatego, że sprzedali tak dużo miejsc, ile że poczynają sobie jakby nigdy nic, jakby sto trzydziestopięcioosobowa widownia była czyrś codziennym. Wspomniałam im o tym.

- I skąd weźmiecie krzesła? Na czym ludzie będą siedzieć?

- Poradzimy sobie - odparł Will. - Gdzie się podziewałaś dziś rano? Mieliliśmy kilka powtórek.

- Gdzie się podziewałam? Nie wiesz, że pracuję? Podaję do stołów? Obsługuję pannę Berthę i inne osoby? - Właściwie z innych osób był tylko niejaki pan Muggs, który odwiedza nas kilka razy do roku w trakcie podróży służbowej. Nazywa siebie konsultantem, co naprawdę oznacza, że jest komiwojażerem, ale nie wypominam mu tego, bo to miły gość. A także bardzo schludny, do tego stopnia, że kiedy człowiek zagląda do jego pokoju, żeby zmienić pościel, to myśli sobie: och, pewnie pan Muggs już wyjechał. Jakby zacierał po sobie wszelkie

ślady, aż się czasem zastanawiam, czy ktoś nie depcze mu po piętach. - To co powtarzaliście?

- Po pierwsze, błyskawice.

- Dobra, wiem o błyskawicach.

- Poza tym mówiłem ci, że doszło kilka nowych rzeczy. Ale większość z nich ciebie nie dotyczy, z wyjątkiem kilku kwestii.

- Jakich znowu kwestii?

- To właściwie solowy występ.

- Ja mam śpiewać? Samodzielnie? W życiu. W życiu! Will przypatrywał mi się, żując gumę.

- Chociaż raz posłuchaj, co mówię!

Ale on tylko odszedł kilka kroków, wziął z krzesła płaszcz i podał mi go.

- Włóż to.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Płaszcz od deszczu? Każesz mi włożyć płaszcz, który jest dla mnie za duży?

- To nieważne; będzie świetnie wyglądać. - Trzymał płaszcz, czekając, aż go włożę. Ustąpiłam; wszelki opór i tak był bezcelowy. Rękawy zakrywały mi dłonie, dół pętał się wokół kostek. Will przyjrzał mi się z uśmiechem. - No, proszę. Znakomity efekt.

Tymczasem dołączył do nas Mili.

- Może poćwiczymy troszeczkę, żebyś nauczyła się słów na pamięć?

- Jakich słów?

Spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Bez nadziejna, oto była istota tego gestu. Najwyraźniej zapomnieli, że nie mam pojęcia, o czym mówią.

- Czy ten płaszcz - wyciągnęłam jedną niewidoczną dłoń - to z powodu burzy? Błyskawic i w ogóle?

Teraz Will i Mili już jednocześnie żuli gumę.

- Nno tak... to jeden z powodów - odparł Will.
Zbliżyłam twarz na odległość trzech cali od jego nosa.
- To najgłupszy powód, o jakim w życiu słyszałam! Deus ex machina w za dużym płaszczu! Deus znaczy bóg! Bóg nie nosi ubrań!
- Will na chwilę odpuścił żucie, żeby wyszczerzyć zęby.
- Wierz nam, chętnie spróbowalibyśmy bez ubrań, ale tutejsza publiczność chyba nie jest jeszcze na to gotowa.
- I obaj zarechotali, jakbym powiedziała coś nie wiem jak śmiesznego.
- To jest płaszcz od deszczu, który Anglicy nazywają prochowcem.
- Zmrużyłam oczy. Coś mi świtało.
- Ty w ogóle nic nie pojmujesz?
- Pojmuję, że tego nie zrobię.
- Oj, daj spokój. To jest zabawne!
- Nie. - Zrzuciłam płaszcz.
- Mili wrócił do fortepianu i rzucił się na klawisze. Nastąpił zwykły burzliwy wstęp, zakończony ozdobnym zawijaszem, po czym zaczął śpiewać przez nos, jak to on:

*W nosie mam prochowce i inne parowce,
Bo ja jestem deus ex machina!
Nie, nie maszyna - to inna dziedzina,
I póki tego nie zrozumiecie,
To nie wyjdziecie stąd NIGDY W ŚWIECIE!*

Chwyciłam się za głowę i wsparłam bezwładnie o scenę.

- Nie do wiary.
- To ma być wspólna śpiewanka.
- Cudnie, nie ma co! Wspólna antyczna śpiewanka!
Teraz już ostentacyjnie wzruszali ramionami, wzdychali i robili przygnębione miny.
- Trudno, będziemy musieli cię zastąpić - rzekł w końcu Will.
- Zastąpić? Kim? Przedstawienie jest dziś wieczorem!
Znów coś mi zaświtało.
- Ree-Jane. Powiedziała, że z radością weźmie udział. A zwłaszcza zaśpiewa. Chce być sławną piosenkarką i śpiewać z big bandem. Jak Tommy Dorsey albo ktoś W tym rodzaju.
- Ona chce być sławnym czymkolwiek.
- Tak czy inaczej, zgodziła się. Powiedziała, że na huśtawce będzie świetna, bo ma zamiar kiedyś zostać sławną gimnastyczką. Mówi, że jest zwinna i w ogóle. Tylko chce, żeby opleść sznury kwiatami. I winoroślą.
Chwyciłam płaszcz i zawołałam do Milla:
- W nosie mam prochowce!
- Znakomicie! - wykrzyknął Mili i grzmiąco uderzył w klawisze. Nie przeszkadzało mi to - w końcu byłam Ubrana na burzliwą pogodę.

44

Nie tylko spotkała mnie przyjemność wykluczenia Ree-Jane z przedstawienia, ale również miałam przyjemność oznajmienia jej o tym. Chociaż najfajniej byłoby oznajmić jej tę nowinę już na miejscu, przy huśtawce

(o ile zakład, że chłopcy jej nie powiedzieli, że pod krokiewiami stropu siedzi Paul?).

Zasiadłam na ulubionym miejscu na werandzie, z widokiem na drzewo, które tkwiło niewzruszenie niczym strażnik na granicy. Wzięłam do czytania piśmiśło filmowe; może właśnie dzięki niemu Ree-Jane wreszcie wyjedzie do Hollywood i zrealizuje swój plan zostania gwiazdą? Kiedyś mi powiedziała, że „filmowcy” (tak o nich mówi) prawie zawsze występują pod pseudonimami, więc ona również zamierza zmienić nazwisko na Ruby Jay Drew. W ten sposób inicjały zostaną te same i będzie mogła nadal używać swego kompletu walizek. To daje pewne pojęcie o inteligencji w wersji Ree--Jane.

Przybiegła nawet szybciej niż się spodziewałam. Pisnęła „cześć” i wdzięcznie, jakby po damsku, usiadła bokiem na balustradzie werandy. Jednym z etapów jej kariery miały być zwycięstwa w jeździe konnej i na wyścigach - zamierzała zostać pierwszą kobietą dżokejem w Stanach Zjednoczonych. Nie była zadowolona, kiedy jej uprzytomniłam, że jest o trzydzieści centymetrów za wysoka.

Dzisiaj rozpostarła spódnicę na poręczy i oznajmiła, że sukienka, brzoskwiniowej barwy, jest zupełnie nowa. Nie zareagowałam. Zaczęła więc rzucać grzywą z boku na bok, aż włosy zasłoniły jej pół twarzy. Ktoś kiedyś jej powiedział, że jest podobna do Ve-roniki Lake.

Wciąż milczałam.

- Podobno Will sprzedał sto pięćdziesiąt biletów.
- Sto trzydzieści pięć.
- To zdumiewające!

- Tak. Sztuka naprawdę ma powodzenie. Mili mówi, że mają przyjść jacyś ludzie związani z teatrem. Poszu kiwacze talentów. - Mili nic podobnego nie mówił.

Znów potrzęsnęła głową, umieszczając lok nad okiem, jakby fotografowie już ustawiali się w kolejce, by zrobić jej zdjęcie.

- Wiesz, powiedziałam Willowi, że chętnie im pożyczę swoją sukienkę na słodką szesnastkę - tu urwała dla większego dramatycznego efektu - jeżeli dadzą mi wystąpić!

Ależ jej śmiech jest sztuczny. Zsunęła się z balustrady, po czym z powrotem na niej usiadła, starannie układając sukienkę. Myślałby kto, że do Spirit Lake zawitał program Loretty Young. Założę się, że Will w ogóle by jej nie powiadomił, że jej nie chce, chyba że zjawiłaby się w Dużym Garażu w pełnej gotowości. To okrutne, lecz przez chwilę radowałam się tą wizją.

Teraz już rozpaczliwie chciała zwrócić moją uwagę: nawet zanuciła piosenkę o prochowcu, żeby tylko mnie sprowokować, co oczywiście się jej nie udało. Ziewnęłam i popatrzyłam na nią sennym wzrokiem, jakby występowała w najnudniejszym śnie świata.

- Poznajesz, co nucę?

- Mmm... Nie.

- To pewnie nie byłaś na próbie.

- Rzeczywiście.

Czułam, że okropnie ją drażni, że nie pytam, skąd zna tę piosenkę.

- Kiedy się nie zjawiłaś, Will przyszedł i mnie prosił.

Eee tam. Pewnie kręciła się wokół Dużego Garażu, więc ją wciągnęli, żeby mieć jakąś żywą osobę (no, w każdym razie osobę), która wskaże Medecę kości-

stym palcem i zagra rolę deus ex machina, żeby próba w ogóle doszła do skutku. Jak znam życie, nigdy nie zamierzali zaproponować tej roli Ree-Jane; nie, to był zwykły szantaż Willa.

Rozpostarła spódnicę trochę szerzej, zapewne żeby dać mi przedsmak swego wyglądu na huśtawce.

- Mówiłaś, że na widowni będą jacyś ludzie z teatru.

Nawet na nią nie spojrzałam.

- Pewnie chcą zamknąć przedstawienie.

- Co? Ależ to doskonała sztuka! A dzisiaj będzie jeszcze lepsza!

- Ach tak? Naprawdę? - Domyśliłam się już, że to niby z powodu jej cudnej gry.

- A poza tym - ciągnęła - to nielojalność z twojej strony, że mówisz o zamknięciu przedstawienia choćby żartem. Will i Mili byliby bardzo dotknięci.

Usiłowała zrobić smutną minę, jednocześnie opuszczając włosy na prawe oko. Strasznie trudno być Veroniką Lake.

Roześmiałam się.

- Nic podobnego; zawsze zdołają wykręcić wszystko w taki sposób, żeby znaczyło to, co chcą, żeby znać.

Ree-Jane wygięła brewki:

- Nie rozumiem, co mówisz. W

odpowiedzi wygięłam usta:

- Bo nie znasz Willa i Milla.

Była już naprawdę zła, zlazła więc z balustrady i stanęła nade mną.

- No, znam ich dostatecznie dobrze, żeby dostać rolę w ich sztuce. I co ty na to?

- Jaką rolę? - zapytałam, udając niebotyczne zdziwienie.

- De-X-maszynę!

Moja twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Aa, masz na myśli, że będziesz dublerką? To ją zastopowało.

- Jaką dublerką?

- Moją.

No, to był koniec!

- Będę gwiazdą!

- Nie, będziesz dublerką gwiazdy. Zagrasz tylko wtedy, kiedy ja nie będę mogła wystąpić. No wiesz, jeśli się rozchoruję albo stracę głos. Chociaż raczej się na to nie zanosi. Ale jeśli chcesz być moją dublerką, to przede wszystkim musisz się nauczyć wymawiać „deus ex ma china”. Jako moja dublerka naprawdę musisz to umieć.

Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta na swój rybi sposób, po czym odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do Dużego Garażu. Gdyby nie fakt, że przyszła pora robienia surówek na kolację, z najwyższą radością poszłabym za nią, po prostu żeby usłyszeć, jak Will i Mili ją splawiają.

Zamknęłam pismo akurat w chwili, gdy pod wejście podjechały dwa samochody. Byli to Baumowie i ich hałaśliwe towarzystwo. Przyjęcie tym razem zaczynało się wcześniej, o wpół do siódmej, żeby wszyscy zdążyli o siódmej zasiąść (lub paść) przy stole i jeszcze zdążyć na przedstawienie o ósmej. Oczywiście, miała ich obsługiwać Vera, i to jej miał przypaść suty napiwek. Matka co prawda zaproponowała, żebym jej pomogła, ale przypomniałam jej o swoim występie. Sztuka, spektakl, musical - każde z tych haseł działało cuda.

Oczywiście, panna Bertha stanowiła wyjątek. Obsługując ją, żalowałam, że nie mam już czasu, by dodać tabasco do *jus* jej wołowiny *au jus*. Straciłabym cenne minuty: musiałabym walić ją po plecach, przynosić wodę i tak dalej. Ciekawe, pomyślałam, kładąc na surówce cienki krążek zielonej papryki, czy gdyby sprawdzono surówkę panny Berthy w policyjnym laboratorium - przeprowadzają tam rozmaite testy, żeby dociec, kto jest przestępcą - to szeryf by się czegoś domyślił.

„To sos z ostrej papryki, o ile mogę wnosić z tego sosu...”

Nie.

„...o ile mogę wnosić z zawartości żołądka...”

To oznaczało, że pannie Bercie zrobiono by płukanie żołądka. Chociaż w serialu *Perty Mason* zwykle badano zawartość żołądka po śmierci denata, co też nie jest złym pomysłem. Ależ mielibyśmy uciechę!

- Co robisz? Powtarzasz rolę?

Nawet nie słyszałam, kiedy zjawiła się matka. Szykowała rokforowy sos do sałatek.

- Ee...?

- No bo podskakiwałaś i głośno się śmiałaś.

- Co? Tak? To przez tę sztukę; tyle w niej nowych rzeczy, że trudno się połapać.

- Jestem pewna, że wszyscy wypadniecie wspaniale.

Matka rozbijała ser rokfor wolnymi ruchami trzepaczki, kropla po kropli dodając oliwę z oliwek, żeby sos się nie rozdzielił. Na tym, rzecz jasna, polega cały sekret, i tego właśnie matka nie zdradza, kiedy podaje przepis komuś takiemu jak Helenę Baum, która zawsze nęka matkę o jej potrawy. Mówi tylko:

- Wystarczy ser pleśniowy i oliwa z oliwek.

Wcale nie wystarczy. Słyszałam, co matka odpowiada na zarzuty, kiedy ktoś się skarży, że nie udało mu się uzyskać takiego sosu: „Może chodzi o wysokość nad poziomem morza?”, „Może oliwa była trochę zjełczała”, „A używała pani prawdziwego rokfora? Czy jakiegoś zwykłego sera pleśniowego?”.

Można użyć dowolnego sera pleśniowego. Rzecz w tym, żeby dodawać oliwę naprawdę powoli. Więc kiedy matka oskarża Willa, że „zmyśla”, chce mi się śmiać, bo sama jest mistrzynią zmyślania. Kiedy umieszczałam maleńki kawałek czosnku pod listkiem sałaty dla panny Berthy, przyszło mi do głowy, że w naszym życiu jest pełno dramatyzmu, chociaż z zewnątrz wygląda na dość nudne.

Niecierpliwie wyczekiwałam powrotu Ree-Jane. Po-dejrzewałam, że najpierw przyjdzie do kuchni poskarżyć się mojej matce, po pierwsze dlatego, że Will to jej syn, co czyni matkę współodpowiedzialną za jego intrygi, po drugie zaś, bo w porze koktajlu pani Davidow raczej nie zamierzała zawracać sobie głowy wysłuchiowaniem żalów Ree-Jane. A gdyby jednak przypadkiem ich wysłuchała, to pewnie pękłaby ze śmiechu. W dodatku dzisiaj pewnie wprosiła się na przyjęcie Baumów i w ogóle nie było z nią kontaktu.

Tak jak się spodziewałam, Ree-Jane wreszcie się zjawiała; szła ciężko, noga za nogą, dość pokracznie jak na modelkę. Była bliska łez, ale jednocześnie próbowała odgrywać biedną oszukaną sierotkę. Pewnie chciała, żeby matka zobaczyła, jak świetnie ona, Ree-Jane, wypadłaby na scenie i jakich to atrakcji teatr amerykański został podstępem pozbawiony.

- Emmo? - Matka dołała jeszcze kroplę oliwy i zwróciła się do mnie, czekając na wyjaśnienie.

Ileż to razy słyszę „Emmo?“, wymówione takim tonem, jakbym ponosiła winę za wszelkie wpadki, od ostrej papryki w omlecie panny Berthy po *Medeę. Musical*. Zrobiłam żałościwie niewinną minkę.

- Aa, chodzi o dublerkę? - Uśmiechnęłam się ujmująco. - Może Will niewłaściwie to wytłumaczył albo Ree-Jane źle coś zrozumiała. Ree-Jane jest moją dublerką. Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

No nie! To było gorsze niż jawne oszustwo, niż obietnica, której spełnienie ulatnia się spod samego nosa. „Dublerka” oznaczała kopię, coś gorszego, marną imitację. Wszystkie te wyrazy szaleńczo zatańczyły mi w głowie.

Ree-Jane tupnęła nogą (nie przypuszczałam, że ktoś to jeszcze robi).

- Nie będę dublerką! Za nic nie zagram w tej głupiej sztuce!

- Ojojjoj! - jęknęłam szyderczo.

- Emmo! Nie pogarszaj sprawy!

No proszę, a ja sobie myślałam, że sprawy nigdy nie wyglądały lepiej.

Ułożyłam buzię na surówce pani Fulbright: posiekane jajko na twardo, oczka z oliwek, wąski kawałek papryczki pimento jako uśmiech. A idąc do garażu po kwadransie, aż przystanąłam; panna Bertha, jedząc swoją surówkę, potrząsała głową na boki niczym pies, który pożarł coś paskudnego.

Mogłam już stawić czoło *Medei*.

Nie pamiętam, kiedy na kolacji mieliśmy tylu gości, co w wieczór przedstawienia. Nie dałabym rady obsłużyć ich wszystkich, nawet gdybym nie musiała występować. To było nawet logiczne: zjeść kolację w hotelu, a potem pójść do Dużego Garażu na spektakl. Na szczęście Anna Paugh przejęła część spośród piętnastu czy szesnastu nowo przybyłych. Oczywiście, nie liczę towarzystwa Baumów (jak zwykle, z panią Davidow włącznie); zapewne, pomyślałam, będą zbyt pijani, żeby napawać się *Medea*. Chociaż z drugiej strony to chyba nie miało żadnego znaczenia: te wszystkie wrzaski, ciskanie błyskawic, ogólny zamęt i rozlew krwi... hmm, trzeźwość była nawet niewskazana.

Idąc o wpół do ósmej do Dużego Garażu, zdumiałam się na widok tłumu teatromanów, którzy wysiadali z wciąż nadjeżdżających samochodów pośpiesznie parkowanych na trawniku, bo gdzie indziej zabrakło już miejsca. Dawno temu właśnie Duży Garaż służył jako parking dla gości; stojący tuż obok Mały Garaż wykorzystujemy tylko jako składzik albo warsztat, kiedy robimy coś przy hotelu. Trzymamy tam farby, narzędzia, deski, doniczki, a także skrzynki dżinu i burbona; wiem, bo niekiedy widuję panią Davidow wychodzącą z Małego Garażu z czymś, co z pewnością nie jest doniczką.

Will i Mili wyprodukowali dla chętnych bilety-kwadraciki, z folią aluminiową z jednej strony, a ceną z drugiej. Bardzo to wymyślne. Każdy z widzów, którzy strumieniem tłoczyli się do garażu, trzymał w ręku taki bilet; słowo „strumień” jest tu jak najbardziej

trafne, bo dzięki folii, odbijającej ostatnie promienie słońca, rzeczywiście wyglądali jak srebrzysta, rozmigotana rzeka.

Przy drzwiach Reba Sikes sprzedawała programy.

Will zarezerwował pierwsze trzy rzędy krzeseł dla osób, które ofiarowały jakieś sumy na Teatralny Fundusz Paradise („wspierając kulturę w Spirit Lake”). Nigdy nie słyszałam o takim funduszu; dowiedziałam się o nim dopiero teraz, z programów rozłożonych na krzesłach w tych rzędach.

Skąd im się wziął pomysł z funduszem teatralnym? Nazywali go TFP, jakby istniał od zawsze!

- Kiedy robiliśmy bilety. Chyba nie oczekujesz, że będziemy pokrywać wszystkie rachunki?

- Owszem, bo nie ma żadnych rachunków. Żaden z was nie wydał na tę sztukę ani grosza.

Znajdowaliśmy się na scenie, gdzie Will kombinował coś ze sznurem od huśtawki.

- To nas właśnie ogranicza. Jeżeli chcemy prowadzić teatr repertuarowy...

- Co?

Westchnął w stylu „ależ-ja-mam-głupią-siostrę”.

- Teatr, w którym wystawia się różne sztuki na zmianę, no wiesz, przez kilka dni albo tydzień idzie jedna, a potem następna. Obsada jest zawsze ta sama, więc nie trzeba przesłuchiwać nowych aktorów...

- Nie ma żadnych nowych aktorów! Nawet my nie jesteśmy aktorami!

Ale Will nie zwracał żadnej uwagi na krytykę, bo na scenie pojawił się Mili, żeby pogadać o pierwszym numerze.

- Lepiej włoż kostium - powiedział.

Wzruszyłam ramionami, ale wtedy zauważyłam June/Medeę. Kroczyła po scenie, odziana w pelerynkę z kurzych piór, pod którą... Zamarłam.

- Co ona ma pod spodem?

- Bieliznę - zachichotał Mili.

- To biała suknia Ree-Jane! Którą właśnie dałam do czyszczenia i reperacji! June znowu ma ją na sobie! Skąd ją wzięliście?

- Delbert przywiózł. Akurat przechodziliśmy, więc udało się nam ją przechwycić.

Miałam ochotę drzeć włosy z głowy i zgrzytać zębami, aż zedrå się do dziąseł.

- Zabiję go! Zabiję! Kazałam mu zajechać od tyłu, bo nie chciałam, żeby zobaczyła ją Ree-Jane albo kto kolwiek inny!

- I bardzo dobrze - pochwalił Will.

Usiłowałam zająrzeć mu w twarz:

- Tak sobie, jeśli June będzie w niej paradować! Macie pojęcie, jaką burę dostałam za to, że użyliśmy tej sukienki?

- Ale June się uparła.

- Nie upierałaby się, gdybyście nie porwali tej kiecki i jej nie pokazali. Zapłaciłam kupę forsy, żeby ją doczyścić po tym, jak wystroiliście w nią Paula.

- No to tym razem my zapłacimy - znaczy, jeśli się poplamili albo co.

Mili wyraźnie znużył się kłótnią.

Chcesz przeciwzyć piosenkę? - zapytał. Popatrzyłam na niego pustym wzrokiem. Odkrycie sparaliżowało mi mózg.

- Nie.

- Zrobiłem tabliczki, żebyś mogła je pokazywać.

- Poka... Co???

- Tabliczki z podpowiedziami. Do śpiewanki. Z wyrazami takimi jak „prochowiec” i „maszyna”, czyli z nie właściwą wymową.

„Tabliczki” miały rozmiar plakatów, a litery na nich były wprost olbrzymie.

- Do wspólnego śpiewania, tak jak mówiliśmy. Pokażesz je, kiedy dojdziemy do deus ex machina.

Pochyliłam się ku niemu:

- Przedstawienie zaczyna się za pół godziny! - Spojrzałam na zegarek. - Zwariowałeś!

- Nie musisz nic próbować. Po prostu podnieś je do góry! A wspólne śpiewanie jest po to, żeby widzowie

- tu Will urwał i uważając się za niesłuchanie dowcipnego, dodał - wspólnie śpiewali. - Po czym obaj z Millem wybuchnęli śmiechem.

- Postawimy je tu, pod drzewem, to je sobie weźmiesz, kiedy będzie trzeba. Łatwizna.

- Mamy też kilkoro nowych muzyków - oznajmił Mili. - Betty Mooma gra na flecie, a Joe, brat Chucka

- na trąbce. Nie możemy zbyt szaleć, bo znają tylko kilka melodii, ale mamy zamiar przesłuchać innych.

- Chwileczkę. Przesłuchać? Po co?

- Do musicalu *Medea*. Gramy przez cały lipiec.

Szczęka naprawdę mi opadła. Miałam wręcz wrażenie, że wyląduję na podłodze. Will stał, grzejąc dłonie pod pachami, nie widząc w niczym problemu. Może on powinien rządzić światem?

- Chcesz powiedzieć, że będziemy wystawiać *Medeę* co tydzień? Żartujesz sobie?

- Piszemy jeszcze jedną sztukę do repertuaru.

Naprawdę spodobał mu się ten wyraz.

- To znaczy, że teraz będę musiała nauczyć się dwóch sztuk?

Will dosłownie mlasnął gumą.

- Wiesz, może się zdziwisz, ale tutaj chodzi nie tylko o ciebie. - Mlask. Mlask. - Jest popyt. Nie uwierzysz, jakim ludziom musiałem odmówić. Słuchaj, ten letni amfiteatr nad Lakę Noir będzie miał poważną konkurencję! Będziemy grali dwie, a może nawet trzy sztuki! - Zamierzał już odejść, lecz nagle się odwrócił: - Ach, niemal zapomniałem. Dziś wieczorem zagrasz jedno z dzieci Medei. Paul ma tremę.

- Tremę? On? Chciałabym zobaczyć tę jego „tremę”!

- Hmm, jak by tu powiedzieć... Musieliśmy go sprać, bo się rozebrał i zaczął biegać nago po scenie.

Obaj zachichotali.

- Jest już pod stropem. - Will krzyknął do góry.

- Ńdobry, panienko! - rozległo się wołanie Paula.

- To mi nie wygląda na tremę.

Will oddalił się, unosząc w górę rozpostarte palce, co miało oznaczać „pięć minut”.

I oni mówią o tremie! A co ja mam robić?

Wróciłam do garderoby - prześcieradła, rozpostartego na kijach - i włożyłam ciemnobłękitną sukienkę. Przejrzałam się w lustrze, z wdzięcznością myśląc o Kelnerkach. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała którąś pojedynczo; zawsze były trzy albo żadna, pojawiały się razem i razem znikwały. Jak mogły odejść tak niepostrzeżenie? Jakby zostały wymazane. Choć było to zaledwie sześć lat temu, miałam wrażenie, że minęło całe życie. I może istotnie minęło.

W te wieczory, kiedy odbywały się dancingi, ubierały mnie ślicznie, chociaż byłam jeszcze mniejsza niż teraz; musiały podpinać dół sukni, żebym nie przewracała się w tańcu. Teraz pewnie też będę musiała ją podpiąć

- aaa, na nogach wciąż miałam te głupie jasnoniebieskie tenisówki! Cóż, publiczność i tak ich nie zauważy...

- Emma! - rozległ się głośny szepł Willa, który kiwał na mnie z drugiego końca sceny przy wtórze rozpoczynaającej się muzyki.

June ściągnęła na piersiach pelerynkę. Dość dobrze skrywała sukienkę Ree-Jane, ale musiała wciąż się pilnować.

Melodia brzmiała jak *Hymn piechoty morskiej*.

- Po co oni to grają?

- Mówiłem ci, Betty i Joe nie znają zbyt wielu kawałków. Słuchaj, chcę tylko, żebyś weszła w drugiej scenie, czyli po odjeździe Jazona. Dodaliśmy piosenkę...

- Co? Mam jeszcze śpiewać...

- Nie, nie ty! To duet Medeii i Jazona. Wyciągnę do ciebie rękę i po prostu wejdiesz. Chuck też się zjawi, ale trochę później, bo musi pilnować świateł.

Hymn piechoty morskiej wciąż leciał, lecz teraz już tylko na flet i trąbkę, przeplatany melodią *Stars and Stripes Foreuer*, wykonaną na fortepianie w naprawdę jazzowym stylu. Byłam olśniona; to wszystko brzmiało, jakbyśmy mieli tu prawdziwy wielki big-band. Muszę przyznać, że Mili, choć wariat, zna się na muzyce i wie, jak wywołać stosowny efekt.

Kiedy fortepian zakończył triumfalnym akordem, rozległy się gromkie oklaski, a nawet okrzyki i gwizdy. Miałam wrażenie, że na widowni są setki ludzi.

Will odsunął kurtynę i oklaski stały się jeszcze głośniejsze. O rany, chyba spodziewali się Bóg wie czego! Ciekawe, czy Sam, Maud i Dwayne też bili brawo. Miałam nadzieję, że tak.

Na scenie, prowadzona przez niebieskie i zielone światła, pojawiła się June; niemal unosiła się w powie-

trzu, jakby do mistrzostwa opanowała lansowany przez Ree-Jane krok modelki. Zaczęła monolog o Jazonie, który „gapi się na inne kobiety” i jakie to okropne, i że Złote Runo... („*Złote Runo, ha!*” - wykrzyknęła) to tylko pretekst, żeby uganiać się za kolejną zdziwą.

June nieźle szarżowała (jak to określił Will), miotając się wśród scenografii - białych kolumn, odłamków skał, dwóch krzeseł i kolejki Chucka. Chuck nadal tanecznie operował reflektorami, tym razem żółtym i różowym. Musiałam przyznać, że światła rzeczywiście robią wrażenie. Zaczęłam myśleć o spektaklu niemal pozytywnie.

- Lepiej wyjdę, bo nigdy się nie zamknie - powiedział Will. Miał na sobie białe prześcieradło, przewiązane cienkim złotym sznurem, który wyglądał jak pasek od aksamitnego szlafroka mojej matki. Kolejne brawa dla Jazona.

- *Medeo!*

- *Ty!* - zachnęła się June.

- *Pora, bym wyruszył po Złote Runo* - rzekł Will, po czym wyjął spod prześcieradła cygaro i je zapalił.

Byłam przerażona.

Publiczność szalała. Wszystko im się podobało. Kłaskaliby, nawet gdyby walić ich po twarzy zdechłą rybą.

Will potrafi palić cygaro w stylu Groucho Marxa: w szczególny sposób strząsa popiół i porusza brwiami. To naprawdę śmieszne.

- *Chyba nie myślisz, że dam się nabrać na tę starą wymówkę z Runem! Wiem, co ci chodzi po głowie!*

Te przepychanki ciągnęły się w nieskończoność, aż wreszcie rozległ się fortepianowy akord i przenieśli się

na front sceny. Mili zagrał coś jakby „Ach, jak ja nie lubię wstawać rano”.

Byliśmy szczęśliwie poślubioną parą...

Objęli się w pół i zaczęli jednocześnie wyrzucać nogi, jak przedtem my w *Jestem Medea*, najpierw w lewo, potem w prawo. Publiczność śmiała się i klaskała w takt muzyki, kiedy nagle rozległ się krzyk - nie za kulisami, lecz z widowni.

-To znowu moja sukienka na słodką szesnastkę!

Wyjrzałam ukradkiem zza kurtyny i ujrzałam Ree--Jane, która z wrzaskiem wyciągała ku scenie kościsty palec niczym deus ex machina. Cóż, muszę oddać sprawiedliwość Jazonowi i Medei - nawet nie przerwali wykopów. Publiczność wybuchnęła jeszcze głośniejszym śmiechem i brawami, sądząc zapewne, że ten wybuch to chwyt teatralny i część przedstawienia.

Ree-Jane usiadła. Albo raczej pani Davidow, siedząca obok niej, szarpnięciem posadziła ją na miejscu.

Will i June śpiewali dalej (Will potrafi wytłumić wszystko, czego nie chce przyjąć do wiadomości). Akurat padło na Medeę:

*Któregoś dnia zabiję wszystkie dzieci,
Któregoś dnia trupki znajdziesz dwa...*

Według moich obliczeń nadeszła pora na mój występ, obciągnęłam więc suknię i nastroszyłam fryzurę. Jazon spojrzał w moją stronę i zawołał:

- *A! Betsy!*

Wysłałam niespiesznie, witana gromkim aplauzem, chociaż jeszcze nic nie zrobiłam. W ślad za mną, za-

kończąc pracę przy światłach, pośpiesznie wbiegł Chuck, którego Will powitał okrzykiem:

- / *mój szlachetny syn Jazon Junior!*

Kolejne brawa. Chuck pisnął „cześć” i natychmiast odszedł do swojej kolejki, ja zaś zostałam, zastanawiając się, co mam robić.

Jazon opuścił scenę, wołając na odchodnym:

- *Powrócę!*

- *Nie musisz się starać* - odparła Medea i kurtyna opadła, kończąc pierwszy akt wśród burzy oklasków.

Akt drugi rozpoczął się sceną, w której ja, deus ex machina, zjeżdżam na dół wśród tekturowych błyskawic, ciskanych przez Paula. Z trudem się powstrzymałam, żeby się odruchowo nie uchylać i nie machać rękami, ale jakoś się udało. Wylądowałam gwałtownie; Mili zagrał skoczne wprowadzenie do piosenki o prochowcu, ja zaś uniosłam tablice do góry, zachęcając widzów do śpiewu:

*W nosie mam prochowce i inne parowce, Bo
ja jestem deus ex machina!*

Publiczność ryknęła:

Nie, nie maszyna - to inna dziedzina.

Spodobało im się, że biorą udział w przedstawieniu.

Walter krążył w przejściu, sprzedając anielski placek, Reba nalewała kawę do styropianowych kubków. Z jakiegoś powodu nikogo to nie rozpraszało; placek

i kawa szły jak... jak zazwyczaj idzie anielski placek mojej matki. Chyba w tej chwili nic nie zdołałoby oderwać widzów od musicalu *Medea*.

Chuck ustawił na złamanej kolumnie tabliczkę ouija do seansów spirytystycznych. Betsy i Jazon Junior usadowili się na odłamkach skał.

Przyszła pora na moją jedyną kwestię:

- *O, wielka Ouijo, nasz ojciec Jazon wyruszył po Złote Runo. Co czeka nas, jego dzieci?*

Zapadła cisza. Mała tekturowa wskazówka zaczęła się poruszać - znaczy, my nią poruszyliśmy - i ouija przekazała wiadomość: Ś-M-I-E-R-Ć.

- Śmierć! - wykrzyknęliśmy razem, mimo że nawet nie było tego na próbie. Nie wiem dlaczego, ale wszystko wypadło jakoś naturalnie. Co zapewne nie jest dobre.

Teraz Medea wkroczyła na scenę z nożem, który przyciskała mocno do piersi, pewnie żeby pokazać, że bardzo się przejmuje i ma nóż w miejscu serca. Jako że Chuck miał zostać i dać się zamordować, robiło to dość upiorne wrażenie.

Tak się przestraszyłam - znaczy Betsy - że wybiegłam pędem. Musiałam się śpieszyć, żeby wjechać na górę i znowu zjechać. Will ze wszystkich sił pociągnął za sznur i znalazłam się pod krokwiemi.

- Ńdobry, panienko! - zawołał Paul, sięgając do torby z szarego papieru.

- Ani mi się waż rzucać mąką!

Po czym usłyszałam krzyk Chucka:

- *Ależ droga mamó, po co chodzisz z tym nożem?*

Ładując z tąpnięciem na scenie, zobaczyłam, że Medea już się do niego podkrada. Zamierzyła się nożem, a ja z pośpiechu omal nie spadłam z huśtawki.

- *Matko! Nie rób tego!* - zawołał Chuck.

Szybko przebiegłam przez scenę i uniosłam dłoń.

- *Nie! Stój Medeo! Nie możesz być tak podła! Nie możesz zabić syna!*

Czy June faktycznie miała spojrzeć na mnie z głupią miną?

- *Me rozumiem dlaczego* - odparła trochę zbyt łagodnie, moim zdaniem.

- *Bo to największa niegodziwość!*

Wzruszyła ramionami:

- *Widziałam gorsze.*

A to skąd się wzięło?

- *Nie! To niegodziwość! Najniegodziwsza!*

Mili znów usadowił się przy fortepianie i zaatakował klawisze; rozpętał się sztorm akordów, z którego stopniowo wyłonił się nasz (chyba) główny temat, po czym wszyscy ustawiliśmy się na środku sceny, w tym Mruczaki, które wśliznęły się niepostrzeżenie i stanęły za nami. Podejrzewam, że musiały się poskarżyć, że mają w sztuce za małe role, gdyż podczas piosenki *O, Medea* przyłączyły się do naszych wykopów, dodatkowo machając ramionami w powietrzu niczym człon-

kowe chóru gospel. Dostrzegłam, że kilkoro wysunęło się do przodu, wśród nich Bessie, która wręcz szalała, podskakując i potrząsając rękami. Wallsowie z pewnością byli zachwyceni jej występem.

Podczas całego tego kopania i śpiewania przyszło mi do głowy, że nie ma mowy, abyśmy zdołali zepsuć przedstawienie. To jedno musiałam przyznać Willowi i Millowi - wszystko, co było w nim nieudane lub złe, zostałyby przyjęte jako zamierzone.

Po kolejnym bisie Will wkroczył ze swoim „*Quo uadis?*”, znów wywołując wybuch entuzjazmu. Ciekawe, czy najgłośniejsze brawa nie były dziełem przyjaciela panny Flagler z college'u w Galista, chociaż doprawdy nie mogłam pojąć, co w tej „interpretacji” (określenie Willa) mogło być godne aż takiego aplauzu.

Przyszła pora na duet, więc wszyscy zeszliliśmy ze sceny, oczywiście z wyjątkiem Mruczaków, które podeszły bliżej i zaczęły śpiewać - jeśli można tak to nazwać. Przyszło mi do głowy, że być może Will włączył ich do programu z myślą o rodzicach Bessie.

Mmm. Mmmmmm.

Czy wy w taki czas

chcielibyście raz

zanurzyć się w życiu bez trosk?

Mmmmm. Mmmm.

Po czym cofnęły się o krok, a Medea i Jazon wyszli na pierwszy plan, żeby odśpiewać swój duet przy akompaniamencie mruczenia. Zauważyłam, że Mruczaki tym razem trzymały się z tyłu, bo Will pochylił się i przeciągnął palcem po szyi, cały czas z uśmiechem na twarzy. Mój brat (wiem o tym dobrze) nie da się

*Lecz musimy razem iść,
Tak świat toczy się od stuleci.
Mm. Uuummmm.
Znajdę Runo, no już trudno
MmMmMmMm.
Tylko szybciej, bo mi nudno
UmUmUmUm...*

June zaciągnęła się papierosem i upiła łyk z kieliszka.

Kiedy dotarli do końca - *koktajl* (kop), *koktajl* (kop), *koktajl* (kop, kop) - rozpętało się istne muzyczne piekło. Mili, Chuck i Joe włączyli się z tarą do prania, krowim dzwonkiem i klaksonem samochodowym, Mili beczał jak koza, a nad wszystkim unosił się dźwięk trąbki grającej Hymn *piechoty morskiej*. Publiczność oszalała; już choćby dzięki klaskaniu mogłaby samodzielnie robić za zespół Spike'a Jonesa. Zapanował tumult, jakby ktoś zwolnił sprężynę i ludzie stracili nad sobą panowanie, toteż kiedy w końcu nadszedł finał, to właściwie nie przypominał finału, ale wolnoamerykankę.

Wzięliśmy się za ręce i złożyliśmy ukłon - to znaczy wszyscy z wyjątkiem Mruczaków, którym całkiem się pomieszało, gdzie mają stanąć i co robić, więc poprzestały na Mmmruczeniu.

46

Nigdy nie byłam osobą, która, jak to mówią, spoczywa na laurach. Po prostu gratuluję sobie sukcesu, jednocześnie zajmując się czym innym.

Toteż przez cały następny ranek pracowałam nad kolejnym odcinkiem „Tragedii nad Jeziorem Duchów”. Miałam problem: teraz tamta tragedia pomieszła mi się z tragedią w Belle Ruin. Ale wówczas pomyślałam, dlaczego nie włączyć Belle Ruin do powieści?

Niewątpliwie istniał między nimi związek, przede wszystkim dzięki temu, że Morris Slade był bratem przyrodnim Rose Devereau. Ich ogromne podobieństwo fizyczne zamierzałam zachować na później, lecz łączyły ich także inne rzeczy, na przykład to, że siostry Devereau - Iris, a może i Rose, choć chyba nie skwaszona Isabel - prawie na pewno bywały na tańcach w Belle Ruin. Mogłam w każdym razie oznajmić, że przemawiają za tym „mocne dowody”, mimo że żadne „mocne dowody” nie istniały.

Chwyciłam się za głowę. Nie byłam w stanie myśleć. Chociaż miałam tylko opisać, co naprawdę zdarzyło się nad Jeziorem Duchów, jakoś nie potrafiłam przelać tego na papier. Może naprawdę opuściła mnie wena pisarska (ciekawe, czy kogoś może opuścić wena kucharska? mam szczerą nadzieję, że nie). Zastanawiałam się nawet, czy nie pójść do kuchni po porcję tortu chlebowego z sosem waniliowym albo po babeczkę rumową (matka robi najlepsze babeczki rumowe na całym świecie). A może powinnam iść na trzecie piętro i zapytać Aurorę, czy widywała siostry Devereau na balach w Belle Ruin?

Z paska papieru zrobiłam kilka kulek i zaczęłam pstrykać nimi w kota hotelowego, który dołączył do mnie w Różowym Słoniu i teraz leżał na stole zwinięty w kłębek. Po chwili zaniechałam tej zabawy i zadałam sobie pytanie, gdzie teraz może być Ben Queen. Wzięłam do ręki świeżo zatemperowany ołówek i na gorze wydartej z zeszytu strony napisałam:

DOKĄD ODSZEDŁ BEN QUEEN?

Rozmyślałam o tym przez jakiś czas, aż wreszcie pojęłam, że przez tydzień ani o włos nie przybliżyłam się do rozwiązania.

Opadłam bezwładnie na krzesło i zagapiłam się w odłamek lustra, oparty o śpiącego kota, któremu jakoś nigdy nie przeszkadza, że go wykorzystuję. Może powinienam zmienić fryzurę? Jaką fryzurę? Tylko ściągam włosy za uszy i przytrzymuję czterema zapinkami. Wyjęłam je i fala włosów opadła mi na jedno oko. Tak jak Ree-Jane, nie stałam się ani trochę podobniejsza do Veroniki Lakę. Wsunęłam zapinki z powrotem.

Napisałam:

TRAGEDIA W BELLE RUIN

Miałam tu materiał na równie dobrą historię jak ta ze Spirit Lake, tyle że nie występowałam w niej w głównej roli, co musiałam wziąć pod uwagę. Wróciłam więc do swej roboty *du jour* (jak lubi to określać moja matka) i napisałam kolejne zdanie opowieści z cyklu siostry-Devereau-i-ja.

Jeśli kiedykolwiek ktoś wam kazał iść nocą przez las pod lufą pistoletu, to wiecie, jak się czułam.

Zaraz. Ilu ludzi szło pod lufą pistoletu przez las lub gdziekolwiek indziej?

Wytarłam „pod lufą pistoletu”, ale pozostałe słowa, nie wnosiły zbyt wiele. A może umieścić w tej relacji sowę? I szmery pod kamieniami, i trzask spadających gałęzi? Nic takiego, oczywiście, nie miało miejsca, lecz dodawało kolorytu. Z drugiej strony, nie chodziło o ko-

loryt jako taki, ale o jego rodzaj: był koloryt w moim stylu i był koloryt w stylu Williama Faulknera. Używał naprawdę dobrych określeń: *bugswirled*, „w owadowirze”, albo *stwnppocked*, „usiany krostami pniaków”.

Czemu nie opisać po prostu, jak się czułam? Ale w tym właśnie rzecz: nie umiałam tego opisać. Popatrzyłam przez chwilę na swój tekst, po czym napisałam:

Płomykująca sowa hukwała w oślepionej ciemności.

Zawsze mogłam to później do czegoś włączyć. Przeczytałam zdanie na głos. Stanowczo brzmiało po faulkerowsku. Podjęłam ołówek:

Wtem zimtrzask...

Jaki znowu zimtrzask? Czego dotyczył? Co można opisać w ten sposób? Księżyc? Nie. Może i wygląda na zimny, lecz jakże mógłby wydawać „trzask”? A może chodziło o gałąź, o wielki, oblodzony konar? Ale przecież było lato. Czyżby gałęziom bywało zimno? Właściwie, czemu nie? Przecież muszą sterczeć na dworze w deszczu i mgłę, i tak dalej?

Wtem powietrze rozszczepił zimtrzask spadającej gałęzi...

Cały kłopot polegał na tym, że nie miałam pojęcia, po co mi ta gałąź. Co chciałam opisać? Hałas? Też dobrze, ale podczas tej wędrówki pragnęłam raczej uzyskać wrażenie ciszy.

I wtedy wpadłam na pomysł, żeby wpisać w otoczenie swój rozdygotany strach. Może udałoby mi się sprawić, żeby drzewa i kamienie wyglądały na przestraszone? Rozdygotany strach. No, to było gotowe, bardzo

dobrze określenie. Albo strachodygot - jeden wyraz, całkiem jak u Williama Faulknera.

Właściwie nie wiedziałam już, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, czy rozgrywa się dopiero teraz. Czy rzeczy dzieją się, dopiero kiedy się o nich pisze?

Ciekawe, jak William Faulkner odpowiedziałby na to pytanie. Ciekawe, jak napisał te wszystkie książki.

Rozmyślenia o słowach tak mnie znużyły, że prawie nie zauważyłam, że na lunch znowu jest rolada szynkowa z sosem serowym. Ale szybko doszłam do siebie.

Wręcz nie sposób opisać, jak pyszna jest ta potrawa. Zaczniemy od szynki: to prawdziwa szynka, nie żadna mielonka ani nic takiego: to zmielone resztki szynki w sosie rodzynekowym z wczorajszej kolacji. Teraz przejdźmy do ciasta: jest bardzo cienko rozwałkowane, zwilżone oliwą i pokryte szynką, a następnie zrolowane (stąd nazwa rolada) i pokrojone w cieniutkie plastry. I w końcu sos serowy, zrobiony z prawdziwego sera cheddar, roztopionego z mlekiem i odrobiną musztardy. Oczywiście przyrządzony w garnku z podwójnym dnem z dodatkiem śmietanki, co zwiększa jego gładkość, przywodzącą na myśl skórkę niemowlęcia. Szynka jest pikantna, ciasto - puszyste, sos - jedwabisty. Aby znaleźć słowa godne tego smaku, trzeba by Williama Faulknera. Mój mózg był zbyt zmęczony, aby wymyślić własne.

I jeszcze jedno: panna Bertha nie znosi rolady szynkowej. Nawet gdyby nie istniały inne powody, by jej nie lubić - aparat słuchowy, wredność, garb - wystarczyłby ten jeden fakt: kręci nosem na to danie.

- Po co marnujesz na nią roladę? - zapytałam matkę, kiedy stawiała mi talerze na tacy.

Z cieni otaczających zmywarę dobiegł głos Waltera:

- Jak ona nie chce, to ja zjem.
- Nie, Walter. Powinieneś dostać świeżą.
- Nie ma sprawy - odparł.

Ale jestem pewna, że docenił moją propozycję. Sama z niczego nie rezygnowałam, więc łatwo mi było okazać szczodrość.

Zawinęłam się z tacą do jadalni i szybko podałam do stołu, po czym zatopiłam się w myślach do tego stopnia, że ledwie dotarło do mnie walenie laską w podłogę i wrzask panny Berthy, że „panna Jen” powinna wiedzieć, żeby nie dawać jej tego świństwa, i że ona chce omlet.

Uśmiechnęłam się tylko i oddaliłam nonszalancko.

Jedząc swoją roladę, zbłądziłam myślami ku Wandzie Wayans i pączkom z posypką. Wanda, która próbuje się odchudzać, twierdzi, że czuje się „strasznie winna”, kiedy je pączka, ale nie potrafi się powstrzymać. „To atak jedzenia”, powiedziała kiedyś. Bardzo mi się podoba to sformułowanie. Próbowałam sobie wyobrazić przyszłość bez rolady szynkowej z sosem serowym i aż przeszył mnie dreszcz. Pewnie przez te ataki jedzenia diety są nieskuteczne dla większości ludzi (cieszę się, że jestem za młoda, żeby jakąś stosować). Nie chodzi o jeden pączek z posypką czekoladową, ale o wszystkie pączki z posypką, teraz i zawsze. Dożywocie bez pączków z posypką - rzecz tak niesłychana, że aż chce się wyć.

Porcja (i pół) rolady szynkowej do tego stopnia przywróciła mi siły po porannych zmaganiach ze słowami, że postanowiłam pójść do Belle Ruin. Wyruszyłam uzbrojona w plan i fotografie, z nadzieją, że znajdę jakieś dowody, wskazujące, że moje przypuszczenia co do losu małej Fay są słuszne.

Wiem, że to niedorzeczne spodziewać się tropów po dwudziestu dwóch latach, poza tym już ich szukałam - prawda? - i nic nie znalazłam. Ale rozsądek nie zawsze ma rację. Nigdy nic nie wiadomo - może gdzieś dalej wciąż coś leży, lalka albo maleńki bucik, który jakoś uratował się z pożaru? Poprzednio chodziło mi o to, by potwierdzić fakt, że dziecko zostało wykradzione i zniesione po drabinie; teraz szukałam dowodów, że tak nie było. A to o wiele trudniejsze, znaleźć ślad czegoś, co się nie stało.

Ale moim celem nie było jedynie poszukiwanie dowodów; po prostu lubię chodzić do Belle Ruin. Uważam, że to straszne, iż taki wspaniały hotel się spalił i że nikt już tu nie przychodzi. Chyba chcę dotrzymać mu towarzystwa. To kolejne miejsce z przeszłości, które tak mnie pociąga, podobnie jak stary dom panien Devereau, Kryształowe Źródło i blaszany kubek albo ciemna linia drzew za stacją w Cold Fiat Junction, zmuszająca, by przystanąć i na nią patrzeć.

Byłam jak paproć - przyciskałam twarz do każdego z tych widoków i zostawiałam najlżejszy z możliwych odcisków. Nie tak wyraźny, żeby ktoś dostrzegł, że tam byłam, niemniej dostateczny, by zapytał: „Czy to możliwe, że kiedyś przechodziła tędy Emma?”

Drogą do hotelu szłam już kilkakrotnie; robiła wrażenie krótszej i jakby bardziej znajomej, niczym miejsca, w których czujemy się u siebie, jakbyśmy stanowili mały pasujący kawałeczek układanki. Jakby nasze stopy przeszły tędy przed nami i nasze buty w sam raz pasowały do śladów. Jakbyśmy, jak to mówią, tu przynależeli. Ja przynależałam.

Dzień był szklisty i zimny, wszystkie przedmioty miały wyraźne kontury. Wielu z nas przez większość

czasu żyje we mgle, niezbyt dobrze wiedząc, gdzie jest i na co patrzy.

Ostatnio, gdy byłam tu z Dwayneem, podjechaliśmy od szosy pod frontowe wejście lub to, co z niego zostało. Dzisiaj przyszedłam z innej strony i znalazłam się z tyłu przy sali balowej.

Na parkiecie ujrzałam kolejny zwęglony kawał krokwi, który nie wytrzymał i urwał się ze stropu. Nie zbliżam się do tamtego końca sali, gdzie ongiś orkiestra grała do tańca; i tak większość ludzi uznałaby, że narażam zdrowie i życie. Podręcznik do nauki tańca wciąż leżał obok mojego gramofonu. Przystudiowałam krok walca - w teorii wygląda na łatwy, ale wcale nie jest łatwo go zastosować. Przesunęłam prawą stopę na raz, przystawiłam lewą na dwa, po czym wykonałam trzeci krok. Wyszło jakoś niezdarnie - chyba nie robiłam tego zbyt dobrze. Przy muzyce mogło być lepiej, a przynajmniej nie tak pusto. Nakręciłam gramofon i puściłam *Sweethearts* w wersji Nelsona Eddy i Jeanette MacDonald.

Przez chwilę wirowałam po parkiecie, zastanawiając się, czy może łatwiej jest tańczyć, kiedy ma się partnera (jak podczas mojego pobytu w Rony Plaża). Za każdym razem, gdy walczące stopy niosły mnie obok pozbanionego szyb okna z widokiem na staw, intensywnie się weń wpatrywałam, nie chcąc przeoczyć pijących jeleni. Ciekawe, myślałam, czy zawsze są to te same jelenie, chociaż przypuszczalnie nie poznałabym różnicy. Płyta skończyła się wreszcie i igła zazgrzytała w rowku, podeszłam więc, żeby ją zmienić. Po drodze zerknęłam w okno i kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Znieruchomiałam. To nie były jelenie - to była Dziewczyna,

ubrana w tę samą mlecznobłękitną sukienkę, którą miała na sobie, kiedy ją ujrzałam pierwszy raz.

Wiem, co to znaczy stać jak wmurowana; ja tak stałam, bojąc się ruszyć, żeby nie zniknęła. Klęczała przy stawie i piła wodę ze złączonych dłoni.

Czemu jej nie zawołałam? Czemu nie podbiegłam? Mogłaby mi tyle opowiedzieć, pomyślałam - a potem zdałam sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia. Mogła mówić tylko o swojej przeszłości, takiej, jaką zapamiętała.

Widziałam ją już sześć razy: dwa razy na peronie kolejowym w Cold Fiat Junction, raz w La Porte, dwa razy przy domu panien Devereau i teraz w Belle Ruin.

Domyślałam się - co powinnam zrobić już dawno - dlaczego pojawiła się w tych stronach: szukała drogi powrotnej. Stąd właśnie zniknęła, z Belle Ruin.

Jak się dowiedziała? Czy tak, jak sobie wyobraziłam, z wycinka starej gazety, nierozważnie zachowanego przez ludzi, którzy ją znaleźli? Można by sądzić, że trzymali go w zamkniętej szufladzie albo schowku, jak broń, którą trzeba chować przed dziećmi. Tak, wydawałoby się, że będą przed nią ukrywać prawdę. A może spotkała starego znajomego, który słyszał o Belle Ruin i porwanym dziecku „o jasnych włosach i spokojnych szarych oczach, takich jak twoje”?

Czy dom jest tam, gdzie jesteśmy, czy też, nic o tym nie wiedząc, mamy jakiś inny dom?

Kiedy znowu spojrzałam, już jej nie było.

Zdumiewające, że czasem kluczową informację można uzyskać z najmniej spodziewanego źródła - w tym wypadku od panny Isabel Barnett.

Następnego ranka zaszłam do sklepu McCrory'ego „1001 drobiazów”, szukając guzików do sukienki odziedziczonej po Ree-Jane, które matka zamierzała przyszyć, żebym miała wrażenie, że dostaję coś nowego. Była to zeszlóroczna kiecka od Heather Gay Struther, ale nie wystarczy kilka guzików, abym chciała ją nosić. Sukienka z zapaloną laską dynamitu w każdej dużej kieszeni, szybko wręczona Ree-Jane - to dopiero byłoby coś!

Uśmiechając się na myśl o Ree-Jane, rozrywanej na strzępy, z wolna wybierałam guziki. Niektóre przeznaczone były dla dzieci, na przykład komplet sześciu sztuk, każda z innym ptaszkiem, oraz zestaw postaci Disneya. Naturalnie, nie były dla mnie stosowne (kolejne ulubione słowo mojej matki), chociaż na młodszym dziecku wyglądałyby uroczo.

Porównywałam właśnie oba kartoniki z guzikami, kiedy zerknąwszy przelotnie na stoisko z kosmetykami, spostrzegłam pannę Isabel Barnett. Jak zwykle tchnęła czystością i świeżością. Musi poświęcać wiele czasu na mycie i pranie, bo zawsze wygląda jak z igły. Dzisiaj też miała na sobie żółtą sukienkę z marszczoną bawełny, schludny biały kapelusik i białą torebkę. I do tej torebki, rozejrzawszy się najpierw na lewo i prawo, wrzuciła szminkę.

Patrzyłam, zafascynowana; nigdy przedtem nie widziałam, żeby ktoś kradł w sklepie. Dałam jej chwilę na

przejście do pudrów i różów, by się nie zorientowała, że byłam świadkiem jej przestępstwa - to osoba, której po prostu nie wolno wprawiać w zakłopotanie - zasta-nowiłam się jednak, jak może wyglądać życie złodzieja sklepowego.

- Dzień dobry, panno Barnett - powiedziałam, pod chodząc bliżej.

Wzdrygnęła się, ale tylko odrobinę.

- Ach, to ty, Emmo. - Odetchnęła z ulgą. - No, co tam u ciebie słychać?

Odparłam, że w porządku, dziękuję.

- Podoba mi się ten kolor różu. - Skinęłam głową w stronę koralowego różu Angel Face w białym pojem-niczku, który trzymała w ręce.

- Nie sądzisz, że trochę dla mnie za jaskrawy?

- Nie. Pani cera wygląda tak młodo, że dobrze pani w każdym kolorze.

Zarumieniała się i wyraźnie zdumiała. Pewnie w życiu kleptomaniaczki komplementy nie zdarzają się często. Jednak, jeśli o mnie chodzi, panna Barnett ma tę zaletę, że jej wady są jawne, czego nie da się powiedzieć o większości mieszkańców miasta.

- Ach, Emmo, jak miło, że tak mówisz. - Spojrzała z powątpiewaniem na szminkę Tangee, którą wzięła do ręki. - Tego koloru też nie jestem pewna.

Odwróciłam się i odłożyłam guziki, żeby przyjrzeć się szminkom. Ciekawa jestem, jak to jest malować się tym wszystkim - zwłaszcza cienie do powiek, maskara i ołówki sprawiają wrażenie trudnych w użyciu, a sądząc z twarzy Ree-Jane, chyba również niewartych całego zachodu. Pomyślałam o innych twarzach, uróżo-wanych i upudrowanych, i zastanowiłam się, czy to robi jakąś różnicę. Kiedy długo nosi się makijaż, człowiek

zaczyna sądzić, że bez niego nie wygląda dobrze. Ogarnęła mnie fala smutku, całkiem niepotrzebna.

- Ładne guziki - powiedziała panna Barnett.

Spojrzałam na odłożone kartoniki. Nie mam pojęcia, po co je w ogóle brałam. Były o wiele za dziecinne.

- Och, są urocze, ale...

- Raczej się nie malujesz, prawda?

- Nie, jestem za młoda.

Westchnęła i podniosła puder w kamieniu.

- Czasem mi się wydaje, że życie składa się wyłącznie z zasad i reguł. Wszystko trzeba robić o narzuconej porze - jeść, spać, iść, zostać. Przynajmniej moje wychowanie tak wyglądało. Wiesz, kiedy zobaczyłam plakaty *Medei*, uderzyło mnie, jakie swobodne życie prowadzicie ty i twój brat.

Swobodne? Może Will, który cały czas spędza na innej planecie.

- Ja tam muszę podawać do stołów - burknęłam mimowolnie.

- Tak, ale ważne, jak wykorzystujesz te roboty przymusowe.

Roboty przymusowe! Otworzyłam szeroko oczy. Cudownie! Wyobraziłam sobie, jak chodzę biedna i słaba, wlokąc za sobą łańcuchy. Czułam, że to sformułowanie mi się przyda.

Panna Isabel otworzyła kolejną puderniczkę.

- Chodzi o to, że myślami możesz być gdzie indziej. Nie przy stołach. - Spojrzała ponad stoiskiem. - Hamlet powiedział, że nawet zamknięty w łupinie orzecha byłby panem nieskończonych przestrzeni. Panem nieskończonych przestrzeni... Bo widzisz, panią nieskończonych przestrzeni czyni cię wyobraźnia.

Chciałabym tylko być panią kuchni i móc powiedzieć Verze, gdzie może sobie iść.

- Wyobraźnia, w tym rzecz! - Z trzaskiem zamknęła puderniczkę, po czym podniosła pojemnik z sypkim pudrem, wyraźnie za duży, by zmieścić się w torebce. - Żałuję, że nie mam jej więcej.

Nagle zadałam sobie pytanie, czy to nie dlatego właśnie panna Isabel kradnie te wszystkie błyskotki, szminki i chusteczki? Ale myśl, za którą goniłam, była tak ulotna, że zniknęła wraz z następnym oddechem.

- Cóż, pora na lunch. Może się do mnie przyłączysz, Emmo?

I tak zamierzałam iść do Tęczy, więc naturalnie powiedziałam:

- Chętnie, tylko po drodze wpadnę do drugstore'u Souderów.

Prawdopodobnie pytanie Souderów o konkretny dzień sprzed dwudziestu dwóch lat nie miało zbytniego sensu, ale nie zawadziło spróbować. Istniała niewielka szansa, że jedno albo drugie przypomni sobie Slade'ów wstępujących do apteki. Morris Slade był przystojny i popularny, więc jego ślub uchodził w La Porte za wielkie wydarzenie.

Prawie nikt nie realizuje już recept u starego pana Soudera - ma tak silną drżączkę, że ludzie się boją, iż coś mu się pomiesza. Powiadają, że nawet syrop na kaszel może być niebezpieczny, a i tabletkom nie można ufać.

Idąc ulicą Olchową, zwierzyłam się panie Isabel, że bardzo lubię drugstore Soudera, bo panuje tam chłód i mrok. Zgodziła się ze mną, że to co innego niż jaskra-

we światła u Whalena po drugiej stronie ulicy, gdzie zapchane towarem półki ciągną się kilometrami niczym w supermarkecie. Pomyślałam, że to byłoby niezłe miejsce na drobne kradzieże, ale nie powiedziałam tego głośno.

U Whalena jest dwoje aptekarzy, właściciel sklepu (zbyt przymilny jak dla mnie) oraz dziewczyna na stażu. Zanim otworzyli swój sklep, recepty realizowano głównie u Soudera; teraz większość klientów przejął Whalen.

A więc weszliśmy do Soudera, w niemal jaskiniowy chłód. Panna Isabel zwróciła uwagę na staroświecki wystrój - ciemne drewno, marmurowy kontuar, stoły z kutymi żeliwnymi nogami. Dwa wiatraki obracają się pod sufitem, zbyt wolno, by wywołać ruch powietrza, ale dla mnie nawet ich powolność ma w sobie coś kojącego. I wreszcie (rzekła panna Barnett), jest to jedyne miejsce w mieście, gdzie nadal można kupić jej ulubioną wodę toaletową Soir de Paris.

Powiedziałam dzień dobry pani Souder, która kiwnęła mi głową, chociaż nie bardzo wiem, czy to było powitanie, czy też objaw choroby Parkinsona. Pani Souder prawie bez przerwy kiwa głową albo nią potrząsa, ręce też ma niezbyt pewne, ale ponieważ to ona przyrządza desery lodowe, dzięki jej drżącym dłoniom zawsze dostaję dodatkową kroplę lodów lub wody sodowej z czekoladą.

Podążyliśmy z panną Isabel w głąb sklepu, gdzie pan Souder przyjmuje recepty i gdzie wystawione są perfumy i wody toaletowe. Pan Souder pracuje na zapleczu w pokoiku za zasłoną z koralików, a gdy wychodzi do klientów, koraliki wydają stukot, którego dźwięk uwielbiam. Po lewej stronie przejścia znajduje się prostokątne

okienko, przez które można obserwować, co się dzieje w sklepie, choć nie widziałam, żeby pan Souder robił to zbyt często. Recepty zawsze przyjmuje jego żona, a potem odbiera od niego bursztynowe fiołki i niebieskie buteleczki, żeby je wręczyć klientom. Oczywiście, gdy pani Souder wychodzi, wszystkim zajmuje się pan Souder.

Panna Isabel zatrzymała się przy wystawie perfum, ja zaś uderzyłam w mały dzwonek, na co pani Souder zbliżyła się do mnie, potrząsając głową.

- Recepta?

- Nie, proszę pani. Chciałam tylko zapytać panią i pana Soudera o coś, co stało się bardzo dawno. Konkretnie dwadzieścia dwa lata temu.

Ku mojemu zdziwieniu zainteresowali się oboje. Pan Souder wyszedł zza koralikowej zasłony, więc zasłuchałam się w łagodne brzęk-brzęk, a pytanie zadałam, dopiero gdy ucichło.

- Czy państwo pamiętają stary hotel Belle Rouen (ze wszystkich sił starałam się wymówić to poprawnie)?

Pan Souder natychmiast się ożywił:

- Ten, co się spalił, czy tak?

Pani Souder bez przerwy kiwała głową, więc nie byłam pewna, czy rzeczywiście się zgadza.

- Tak proszę pana, spalił się doszczętnie. A pamięta pan może dzień, kiedy porwano dziecko?

Państwo Souder spojrzeli po sobie, jakby się zastanawiali, czy istotnie pamiętają.

Pan Souder podrapał się w podbródek, pokryty siwą szczecina.

- Ja pamiętam! - Strzelił palcami. - Ty chyba też, prawda, Doro? Morris Slade prosił, żebyś mu zrobiła koktajl z piwem imbirowym!

Pani Souder popatrzyła na nas zmętniałymi oczami, po czym zerknęła na wiatrak pod sufitem, jakby wspomnienie o piwie imbirowym było nader niepewne.

Podpowiedziałam im.

- A może Morris kupił coś jeszcze?

Lekarstwo. Recepta.

- Zamówił Czarną Krowę, ot co - oznajmiła stanowczo pani Souder.

Różnica między obydwojoma napojami polega tylko na tym, że do jednego dodaje się piwo imbirowe, a do drugiego colę, więc pomyślałam z uznaniem o jej pamięci.

- Nie, nie chodzi o żaden koktajl ani deser.

Pan Souder, który ma skłonność do rozdziawiania ust, jakby czekał, aż słowa przyjdą same i oszczędzą mu trudu myślenia, oświadczył:

- Nie brali żadnych perfum ani nic, tylko wykupili receptę.

Z trudem się powstrzymałam, żeby nie podskoczyć z podniecenia. Teraz musiałam wykazać się sprytem:

- A pamięta pan może, dla kogo było to lekarstwo?

- Ależ oczywiście, dla dziecka. Morris chyba powiedział, że mała ma kolkę.

- Mieli ze sobą dziecko? - Wstrzymałam oddech.

Przytaknęli.

- W wózku - dodała pani Souder. - Powiedzieli, że musi być dobrze przykryte z powodu gorączki. Coś w tym rodzaju.

- Nie przynieśli dziecka, żeby pani pokazać? - Znowu wstrzymałam oddech.

- Nic podobnego. Zawsze uważałam, że ta cała Imo-gena to nadęta smarkula, udająca lepszą od wszystkich

w La Porte. Aż tu ktoś wziął i porwał ich małą! Jakby to była kara za zarozumialstwo.

- Więc pani właściwie nie widziała dziecka?

Panna Isabel zaczęła coś mówić, ale urwała.

Pani Souder zmarszczyła brwi, jakby odcinała się od wszelkiej odpowiedzialności.

- Już mówiłam, dziecko było opatulone. Stali i ga dali o nim bez końca. - Zmrużyła oczy. - Recepta za miejscowa. Nie wystawił jej żaden z naszych lekarzy. Najwyraźniej niektórzy ufają tylko specjalistom z wielkiego miasta.

Pan Souder znów podrapał się po zarosniętym podbródku.

- Chyba z Nowego Jorku, tak mi się wydaje.

- No to dziękuję państwu bardzo. Oboje macie bardzo dobrą pamięć.

Najwyraźniej sprawiło im to przyjemność. Pan Souder wrócił za koralikową zasłonę.

Panna Isabel postawiła przy kasie granatowy flakon Soir de Paris.

- Poproszę tę wodę, pani Souder.

Pani Souder skasowała należność, włożyła butelkę do torebki i niemal z uśmiechem rzekła:

- Dziękuję.

Po czym obie wyszłyśmy na światło dnia, które po półmroku apteki wydawało się tak ostre, że niemal podrapało nam twarze.

Wiem, że jestem za duża, żeby skakać na jednej nodze, ale skakałam zygzakami po chodniku, aż panna Barnett w końcu się zaśmiała:

- Ależ Emmo! Skąd taki dobry humor?

Uśmiechnęłam się. To, co powiedzieli Souderowie, naturalnie nie dowodziło, że małej nie było w wózku, ale również nie dowodziło, że była, bo żadne z nich jej nie widziało. Miałam coraz większą pewność, że cokolwiek mieli zrobić z Fay zrobili to już wcześniej - przypuszczalnie oddali ją jakimś miłym ludziom, którzy zawsze chcieli mieć dziecko. Oddali Fay razem z dużą sumą pieniędzy, a całe to gadanie o chorobie małej i realizacja recepty to tylko mydlenie oczu, żeby ludzie tacy jak Souderowie mogli potwierdzić: o, tak, Slade'owie przyszli tu z dzieckiem po lekarstwo, mieli dziecko ze sobą. Chodziło o to, żeby aptekarz to zapamiętał.

Shirl wyraźnie się zdziwiła, widząc mnie w Tęczy z panną Isabel Barnett; chyba nie umie sobie wyobrazić, by jakiś dorosły oprócz Maud mógł się mną interesować. No i oprócz szeryfa, oczywiście. Pomachałam do Maud, która podawała kawę Dodge'owi Hainesowi i Bubby'emu Dubois.

Zajęłyśmy boks w głębi sali - to stałe miejsce panny Barnett, która jako jedyna ma pozwolenie, by siedzieć sama w boksie. Shirl wywiesiła nawet informację, że klienci mogą siadać w boksach, kiedy jest ich co najmniej dwóch, inaczej muszą zająć stolik od frontu albo stołek przy kontuarze. Tylko ostatni boks jest wyłączony z tej reguły, bo tam siadają kelnerki, kiedy mają prze-

rwę. Zawsze z niego korzystam; Shirl czasem podchodzi i pyta, czy szukam posady kelnerki, na co odpowiadam, że nie, dziękuję, już ją mam.

Natychmiast zadrżałam do jadłospisu, chociaż wiedziałam, że zamówię chili. Po prostu lubię czytać jadłospisy; świadomość, że wokół znajduje się tyle jedzenia, działa na mnie pocieszająco. Nie tak pocieszająco, jak potrawy w naszej własnej kuchni, niemniej przyjemnie jest myśleć o tych wszystkich ciepłych daniach, które gotują się lub pieką na zapleczu.

Wanda Wayams podeszła, żeby przyjąć od nas zamówienie, i panna Barnett zapytała ją o rodzinę i tak dalej. Ja tam nigdy nie pytam Wandy o nic, z wyjątkiem nowych pączków - lubi o nich rozmawiać i ja też lubię. Panna Barnett poprosiła o zapiekana kanapkę z serem, piklami i frytkami (niemal zawsze zamawia na lunch to samo), a ja o swoje chili.

Panna Barnett wyciągnęła szpilkę z białego słomkowego kapelusika i zagadnęła:

- Słuchaj, pytałaś pana Soudera o dziecko Slade'ów?
- Tak. Zostało porwane. Wydaje mi się, że pani powinna to pamiętać.

Zdałam sobie sprawę, że panna Barnett z powodzeniem mogła chodzić na tańce do Belle Ruin, i postanowiłam ją zapytać o tamten wieczór.

- Bo widzisz, nie chciałam ci przerywać rozmowy, ale coś wiem na ten temat. Kiedy Slade'owie wychodzili z apteki, natknęłam się na nich.

Miałam wrażenie, że gdzieś w moim ciele - może w żołądku - ktoś przekreślił wyłącznik. Wiadomości nadchodziły z kierunku, który wcale a wcale mi się nie podobał. Czułam to, a jednocześnie nic nie mogłam na to poradzić, oprócz przekreślenia wyłącznika z powro-

tern, czyli uciszenia panny Barnett. Lecz oczywiście nie zrobiłam tego.

- Pogawędziliśmy trochę, a potem spozjrzałam na to małe biedactwo...

- Pani widziała dziecko?

- Ależ tak. Rzecz jednak w tym, że wyraźnie nie chcieli, bym ją zobaczyła, a ja pomyślałam, jaka to straszna szkoda...

Chciałam zamknąć uszy, zasłonić je dłońmi i mocno przycisnąć, żeby odciąć się od jej głosu. Ale siedziałam jak słup soli; zawsze tak robię, z nieruchomą twarzą, żeby nikt się nie domyślił, co przeżywam.

- ...że rodzice tak się wstydzą swojego dziecka. Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego w gazecie, wiesz, kiedy już maleństwo zniknęło, w ogóle nie napisano o zespole Downa, który w końcu najbardziej rzucał się w oczy, jeśli chodzi o wygląd. Aa, dziękuję Wando. - Wanda właśnie przyniosła nasze zamówienie.

- O czym pani mówi? Kto to jest ten Down?

- Och, przepraszam, myślałam, że wiesz. Zespół Downa? Wielu ludzi nazywa to mongolizmem, co jest przykre, bo od razu kojarzy się z niedorozwojem. Wiesz, taka trochę płaska twarz i skośne oczy, jak u biednego małego Jamiego Switzera.

Och, nie. Och, nie! Gdybym mogła zapaść się pod siedzenie, pod podłogę i ziemię pod podłogą, niechybnie bym to zrobiła. Ale tylko opadłam na oparcie boksu.

Myliłam się. Drugi raz się myliłam. Dwa rozwiązania i oba niesłuszne. Dwa razy sądziłam, że wiem, kim jest Dziewczyna, i dwa razy miałam racji. Najpierw błędnie myślałam, że to wnuczka Bena Queena, teraz - że córka Morrisa Slade'a. Lecz Dziewczyna w żadnym razie nie była Fay Slade. Bo jeśli nawet całkowicie się

myliłam, to tego jednego byłam najzupełniej pewna: jej twarz, tak podobna do twarzy Rose, nie miała nic wspólnego z kimkolwiek w rodzaju Jamiego Switzera.

A tak długo się zastanawiałam, tyle rzeczy sprawdziłam, byłam taka przekonana! I za pierwszym razem też! Zwiesiłam głowę, obawiając się, że zaraz wybuchnę płaczem. Panna Barnett wciąż mówiła, ale już jej nie słuchałam. Zbyt się przejęłam - tak bardzo, że nawet nie zauważyłam, kiedy zjawił się szeryf i usiadł tam gdzie zwykle, po drugiej stronie przejścia. Jak przez watę usłyszałam, że wita się z panną Barnett.

Wszystko tak do siebie pasowało, każdziuteńki kawałek układanki, a teraz z powrotem się rozpadło. Czułam się tak, jakbym patrzyła na zwęglone fragmenty Belle Ruin, walące się na ziemię jeden po drugim. Wszystko sobie wymyśliłam!

Przez jakiś czas siedziałam w milczeniu, grzebiąc w krakersach okalających chili w miseczce. W ogóle nie pamiętałam, żebym je wrzucała. Ciekawe, pomyślałam, czy odtąd moje życie będzie już zawsze tak wyglądało: będę robić różne rzeczy, nieświadoma, że je robię, słuchać, że ktoś mówi, ale naprawdę go nie słyszeć, widzieć szeryfa, ale naprawdę go nie dostrzegać. Czy wszystko stanie się przytłumione, aż w końcu zaniknie, jak piosenka na jednej nucie Patsy Cline?

Musiałam zjeść kilka łyżek chili, bo zniknęła jedna trzecia, a ja nawet tego nie zauważyłam. Westchnęłam. Widzicie? Tak to właśnie jest.

- Kochanie, czy coś się stało? Najwyraźniej chili nie bardzo ci smakuje.

Ale chyba część mnie uważała je za smaczne, ta część, która jeszcze nie była martwa. Zobaczyłam, że panna Barnett zerka na maleńki zegareczek.

- Niestety, muszę już iść. Mam wizytę u doktora Bauma.

- Och. Tak. Dziękuję za lunch, panno Barnett.

Znów włożyła kapelusz i wetknęła weń szpilkę, żeby nie spadł. Wyglądała miło i staroświecko.

- Emmo, było mi bardzo przyjemnie. - Wzięła zo stawiony przez Wandę rachunek, wysunęła się z boksu i poszła.

Z łokciem na stole, podpierając głowę dłonią, machinalnie mieszałam resztki chili, gdy padł na mnie cień szeryfa, który stał obok boksu, trzymając w rękach kubek z kawą i talerzyk pączków.

- Można?

Kiwnęłam głową bez słowa, więc wsunął się na siedzenie naprzeciw. Nie odzywał się; chyba czekał, aż ja to zrobię. To mnie naprawdę rozzłościło - w końcu to ja przyszedłam tu pierwsza. W głowie miałam zamęt, jakby mój umysł nie wiedział, w którą stronę się zwrócić.

Wydało mi się, że znowu siedzę na pomoście przy domu Maud nad Lakę Noir, a czarna woda faluje u moich stóp po przejeździe motorówki. Szeryf był małą postacią po drugiej stronie jeziora, a przecież siedział zaledwie z drugiej strony dzielącego nas stołu. Nie wiedziałam, gdzie tę myśl umieścić, w przegródce z jakimi uczuciami - z samotnością, strachem, nieszczęściem, czy diabelskimi bluesami? Więc tylko szybko zamrugałam.

- Chcesz pączka? Chyba nie zmieszczę już ani jedno go. - Pchnął talerzyk w moim kierunku i dodał: - Wandy ulubione, z tęcząwą wysypką.

W ostatniej chwili powstrzymałam uśmiech. Większość ludzi nawet nie słyszy, jak Wanda o nich mówi, albo co najwyżej ją poprawia.

- Dziękuję. Może jakoś zdołam zjeść połowę. - Rozzerwałam pączek na dwie części, z których jedna była trochę większa niż druga, i po krótkiej wewnętrznej walce łakomstwa z dobrymi manierami wzięłam mniejszą i odsunęłam od siebie talerzyk.

- Wydaje mi się, że panna Isabel Barnett była zadowolona z twojego towarzystwa - powiedział szeryf. - Najwyraźniej świetnie się bawiła.

- Wzięła szminkę Tangee z „1001 drobiazgów”. - Nie spodziewałam się tego po sobie. Po co na nią doniosłam? Przecież szeryf i tak o tym wie i nawet ma z nią umowę. - Dlaczego jest kleptomaniaczką? - Trochę za mocno podkreśliłam „maniaczką”.

Szeryf dopił kawę i pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Może czuje się... czegoś spragniona albo pusta.

- W takim razie też powinnam kraść. Też jestem dość pusta. - Na dowód wzięłam drugą część pączka.

- Doprawdy? A to dlaczego?

Milczałam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszą przyjaciółkę.

Tak było. Zajęłam się oskubywaniem pączka z biało-różowej posypki wyłącznie po to, żeby nie podnosić głowy. Zdradzieckie łzy już się szykowały, by trysnąć mi z oczu. Dlaczego? Dlaczego tak mnie wzruszał ktoś, z kim nigdy nawet nie rozmawiałam?

- Belle Ruin - bąknęłam i urwałam.

Kiwnął głową.

- Pamięta pan porwanie, o którym mówiłam?

Znowu kiwnął głową.

Nie bardzo wiedząc, jak kontynuować, wyskubałam z pączka ostatnie kawałki posypki.

- Pamięta pan, jak opowiadałam panu o Dziewczy nie, którą ciągle widuję?

Szeryf podrapał się pod kołnierzykiem munduru; wyglądało na to, że naprawdę mnie słucha.

- Pytałaś mnie, czy ją zauważyłem. Wpadłaś na mnie na ulicy Drugiej, bo podobno tamtędy szła. I powiedzia łaś, że już kilka razy ją widziałas.

Co za pamięć, pomyślałam z podziwem.

- Bo widziałam. W Cold Fiat Junction i przy domu panien Devereau, i nad jeziorem.

- I wiesz, kto to jest?

- Nie. Tylko mi się wydawało, że wiem. - Darłam na strzępy serwetkę wyciągniętą z chromowanego serwet nika. - Myślałam, że to jest mała Fay. No, ta córeczka Slade'ów, którą porwano.

- Co? - Szeryf zaśmiał się zdumiony.

Opowiedziałam mu więc całą historię, tak jak ją sobie wyobrażałam, on zaś słuchał w milczeniu, jakby starannie ją przetrawiał. Kiedy skończyłam, zapytał:

- I sądzisz, że to była inscenizacja?

Bardziej zaciekało go samo porwanie niż to, kim jest Dziewczyna. Nie dziwiłam mu się; w końcu jest policjantem.

- Widzi pan, kiedy Morris i Imogena tego dnia wy chodzili z dzieckiem od Souderów, panna Barnett akurat tamtędy przechodziła...

- Którego dnia konkretnie? - Wyjął notesik z kieszeni koszuli i zaczął zapisywać.

- No, tego samego, kiedy ją porwano. Byli w La Porte, żeby wykupić dla niej lekarstwo. Miała grypę albo gorączkę, albo coś. Alę panna Barnett ją widziała, i to właśnie jest ważne: powiedziała, że dziecko chorowało na jakiegoś Downa.

- Zespół Downa?

Przytaknęłam.

- Mongolizm czy coś w tym rodzaju. Kiedy człowiek wygląda jak Jamie Switzer. Znaczący, oczywiście bardzo mi żal Jamiego. - Jamie nie wzbudza we mnie w ogóle żadnych uczuć, z wyjątkiem zadowolenia, że nie jestem do niego podobna. - Więc jeśli to prawda, to mała Fay nie mogła wyrosnąć na kogoś takiego jak Dziewczyzna. Bo ona jest piękna, taka jak Rose Devereau.

- Zajmę się tym - powiedział. - Porozmawiam z Ulubem, Ububem i tym gościem Stuckiem. Jak mu na imię?

- Reuben. - Podałam szeryfowi adres. - Jest jeszcze Gloria Spiker, znaczący Calhoun, która mieszka w niebieskim domu.

- Z nią też pogadam.

- To znaczący, że pan przeprowadzi śledztwo?

- Oczywiście. Wygląda na to, że nigdy nie było porządnego dochodzenia. Oczywiście, nie da się nikomu postawić zarzutu, bo jedyną rzeczą, o jaką formalnie można by oskarżyć Slade'ów, jest utrudnianie śledztwa. Pewnie właśnie dlatego nigdy nie zażądano okupu, a FBI nie włączyło się do sprawy. Jak bez żądania okupu udowodnić, że w ogóle doszło do porwania? To wszystko mogły być porachunki rodzinne.

- Ale gdzie jej teraz szukać? To może być każdy w tym wieku. Wszędzie.

- Nie. To musiało stać się w tej okolicy. Pamiętaj, że panna Isabel Barnett widziała dziecko po południu, zaledwie kilka godzin przed rzekomym porwaniem.

- To wciąż daje około setki dziewcząt.

- Chyba nie. Zespół Downa, pamiętasz?

Zapomniałam.

- A więc Dziewczyna, którą masz na oku, nie może być dzieckiem Slade'ów.

- Nie mam jej na oku. Chociaż bardzo bym chciała. Przychodzi i odchodzi, pojawia się, a potem... znika.

- Ostatni raz to było w Belle Ruin.

Kiwnęłam głową.

- Widziałas ją z bliska?

Zastanowiłam się.

- Najbliżej na stacji kolejowej w Cold Fiat Junction, na peronie. W Belle Ruin stała przy stawie, gdzie przychodzić pić jelenie. Chyba płynie tamtędy rzeczka albo strumyk.

- Jeden z dopływów rzeki Bitterroot. Jak daleko się znajdowała?

Z przyjemnością stwierdziłam, że traktuje rzecz poważnie. Oparł łokcie na stole i położył podbródek na splecionych dłoniach. Robił wrażenie głęboko skupionego.

- Chyba... chyba jak stąd do wejścia. Dlaczego pan pyta? Chce pan powiedzieć, że stała za daleko, żeby mieć pewność, że to ta sama osoba?

- Nie.

- Wygląda jak Rose Devereau jak Morris Slade. Był bratem przyrodnim Rose. Nie wiedziałam dotąd, że mieli tę samą matkę. Rozumie pan?

- To bardzo skomplikowane.

- Znaczy, pan uważa, że to nie ma sensu? - Przygarbiłam się.

- Wręcz przeciwnie, ma mnóstwo sensu.

Zdziwiłam się.

- Ale wciąż pan sądzi, że ona jest tylko duchem. (No i znowu to samo: „tylko” duchem! Jakby bycie duchem się nie liczyło!) No rzeczywiście, nikt znajomy jej nie widział.

- Wcale tak nie uważam. Może nawet wybiorę się tam z tobą i Maud. - Myślał przez chwilę. - Nawet dziś wie czorem, jeśli masz ochotę. Kiedy Maud skończy pracę.

Jego propozycja tak mnie zaskoczyła, że nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Kiedy mnie odetkało, zapytałam:

- Czy Dwayne też może pojechać? Zabrałby mnie swoim samochodem; już raz tam byliśmy. - Zupełnie jakbym polecała komuś kurort na wakacje.

- Jasne. - Schował notes z powrotem do kieszeni. - Ale to nie wyklucza, że masz rację w sprawie pozorowanego porwania. Nikt nie wpadł na ten pomysł, nawet policja. Jesteś bardzo bystra.

Taki komplement z ust szeryfa - zwłaszcza po wszystkich „dowodach z drugiej ręki” - sprawił, że poczułam w głowie pustkę. Pustka była tak wielka, że powiedziałam prawdę.

- Może nikogo to nie obchodziło.

Popatrzył na mnie.

- A czemu ciebie to obchodzi, Emmo?

- Nie wiem.

Dwa prawdziwe zdania w ciągu jednej minuty.

Rekord.

Szeryf musiał wracać do sądu, więc wyszedł. Kiedy zmierzałam do drzwi, Maud kiwnęła na mnie zza kontuaru, gdzie przyrządzała koktajl czekoladowy.

- Emmo, przedstawienie było cudowne! Cudowne! Sam uważa, że powinniście wystawiać je w regularnym teatrze, jak ten letni teatr nad jeziorem. *Medea* jest lepsza niż którakolwiek z ich produkcji. - Wrzuciła do szklanki z koktajlem dodatkową łyżkę lodów czekoladowych. - Ale ja się z nim nie zgadzam; moim zdaniem sala, znaczy ten garaż, to część uroku. Cały ten rozgar-

diasz i bieranina. - Uśmiechnęła się do koktajlu, który miksowała, szarpiąc dźwignię automatu do koktajli.

- Piszą następną sztukę - powiedziałam, zerkając spod oka, jak strzyka do szklanki bitą śmietaną.

- Następną? Nie mogę się już doczekać. - Wyciągnęła ze słoiczka kandyzowaną wisienkę i umieściła ją na bitej śmietanie.

- Tak. To ma być kryminał. - Wsadziła do szklanki słomkę. - Dla kogo jest ten koktajl?

Maud pchnęła szklankę po marmurowym blacie.

- Dla ciebie. Wyglądasz mi na trochę zdołowaną.

To było strasznie miłe (choć nie wiem, czy podoba mi się, że ktoś odgaduje moje uczucia). Podziękowałam jej, postanawiając, że wypiję troszkę przez uprzejmość. I rzeczywiście, prawie nie czułam smaku, tylko tyle, żeby stwierdzić, że bita śmietana z puszki nie dorównuje tej, której używa pani Souder. Zdołałam się też wykręcić od rozmowy z Bubbym Dubois, który zajmował sąsiedni stół. Bubby - też mi imię dla dorosłego mężczyzny! Choć właściwie nie zachowuje się jak dorosły; ma włosy niczym bita śmietana, ułożone w fale i loki, oraz różową dzidziusiowatą cerę, a kiedy robi się cieplej, nosi ubrania z marszczonej bawełny. Teraz ścisnął mnie za ramię, ale strąciłam jego dłoń, bo mi się to wcale nie podobało. Ulub i Ubub, którzy siedzieli tuż za nim, wychylili się do przodu, machając do mnie i salutując, jakby nie mogli się nacieszyć powitaniem. Uśmiechnęłam się mimo woli.

Oblizałam długą łyżeczkę z resztek koktajlu, z brzękiem wrzuciłam ją do rowkowanej szklanki, po czym obróciłam się kilkakrotnie na stołku i zeskoczyłam na podłogę. Wybierałam się do redakcji „Konserwatysty”,

przystanąłam więc przy gablocie z ciastkami i poprosiłam Wandę o dwa pączki z tęczową posypką.

- Robi się, madame - odparła, wkładając pączki do białej papierowej torby. - Też je najbardziej lubię. - Kiedy płaciłam przy kasie, Shirl wpatrzyła się w moje monety, jakby podejrzewała, że są fałszywe albo może pochodzą z czasów wojny secesyjnej. Wysłałam.

49

Szłam do redakcji „Konserwatysty”, powłócząc nogami i kopiąc wszystko, co trafiło mi pod nogi. Wydatkowałam biedulkową energię. Biedulkowa energia jest roztargniona, chmurna i nie bardzo dba o to, czy się jej używa, czy nie. Nie ma żadnej sprężystości. Nadal (przypomniałam sobie) istniała tajemnica związana z prawdziwym losem małej Fay. Relacja panny Isabel Barnett potwierdzała, że Slade'owie rzeczywiście mogli się pozbyć dziecka; byłby to jeszcze jeden powód (przynajmniej dla nich), żeby je komuś oddać. Wstydziła się go. Naprawdę się go wstydziła. I dlatego gazety nie wspomniały ani słowem o zespole Downa.

Przystanąłam, żeby spojrzeć na plakat naszego przedstawienia, przyklejony do latarni. Uderzyły mnie grube litery, dopisane czarnym flamastrem: PLANOWANE KOLEJNE SPEKTAKLE: SPRAWDZAĆ TUTAJ. Pewnie Will i Mili komuś zapłacili, żeby dokonał zmian, i to na wszystkich latarniach, bo nie wyobrażam sobie, żeby przyjechali do La Porte zrobić to własnoręcznie. Ruszali

się z Dużego Garażu tylko na pomost nad Jeziorem Duchów, żeby łowić ryby.

- Tam przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły - powiedział kiedyś Will.

- Przychodzą prosto z Marsa - odparłam. - Albo od innych kosmitów. Na nich zawsze można liczyć.

Westchnął i pokręcił głową. Beznadziejna.

- Nic nie kojarzysz, prawda?

- Nie kojarzę? A niby czego? Na przykład tego, że podwiesiliście Paula na sznurach nad rozżarzonymi węglami?

Will przewrócił oczami.

- Na litość boską, przecież wcale się nie paliły. Uży waj, kurwa, rozumu.

Nic nie powiedziałam; chciałam, żeby słowo „kurwa” jak najdłużej wisiało w powietrzu.

Minęłam sklep Whalena z wiecznie wyszczerzoną ekspedientką - uśmiecha się tak często, że kiedyś twarz jej pęknie na pół.

Mroczone schody do redakcji są trochę złowieszcze, w sam raz jak historia, którą u mnie zamówiono. Pan Gumbrel właśnie wychodził z maleńkiego biura na antresoli; jest przeszkłone z trzech stron, bo pan Gumbrel lubi widzieć, co się dzieje.

- Emma! - Pomachał mi i zawrócił do siebie. - Potrzebujemy czegoś o *Medei*.

- Na przykład czego?

Robił wrażenie naprawdę podnieconego tematem.

- Tła. Czegoś o twoim bracie, o tym, co przedtem robił w życiu. I o jego przyjacielu muzyku, jak mu tam, Brownmill? Tak się nazywa?

Ostatnio często opada mi szczęka.

- O moim bracie? Chce pan artykuł o nim i Brown-millerze?

- Ciekawe imię. - W zmarszczkach na czole pana Gumbrela można by sadzić fasolę.

- Wcale nie. To głupie imię, z którym wylądował na całe życie. Nic w nim ciekawego. Ani w nich obu. - Miałam nadzieję, że to zamknie sprawę. Rany boskie, zostało mi tyle tajemnic do rozwiązania, a miałam poświęcać cenny czas na wymyślanie tekstów o Willu i Millu?

Oczy pana Gumbrela zwięzły się w szparki.

- Pewnie znasz jego matkę?

- Panią Conroy? Wiem, że zakłada mu przynętę.

Parsknął śmiechem przez nos.

- Chodzi o to, czy kiedykolwiek się zastanawiałaś, jaka ciekawa jest twoja własna przeszłość?

Moja, być może. Nie ich.

Pan Gumbrel włożył do ust postrzępione cygaro i poruszył nim, jakby dla wprawy.

- Mogłabyś zrobić z nimi wywiad, prześledzić, jakie są źródła ich talentu, dowiedzieć się, co mają zamiar robić dalej...

- Dobrze wiem, co będą robić dalej: zagadkę kryminalną. Zupełnie inną sztukę niż *Medea. Musical*.

- Domyślam się, że wywiad z własnym bratem może być dla ciebie trudny...

Trudny? Prędzej niemożliwy.

- Nie zgodzą się na wywiad.

- Naprawdę? A dlaczego? - Wypuścił kłęb dymu. - Poza wszystkim innym, to przecież reklama. Darmowa.

Wzruszyła ramionami.

- Will ma w nosie reklamę. I Mili też. Po tym, jak prawie zostałam zamordowana (to na wypadek, gdyby

zapomniał o tragedii), reporterzy z różnych gazet, nawet z Camberwell, próbowali wyciągnąć od nich jakąś wypowiedź, ale żaden nie zgodził się rozmawiać z prasą. („Prasa” - uwielbiam dziennikarski żargon.) - Zrobiłam głową gest, jakbym mówiła „precz”. - Po prostu im się nie chciało.

- Coraz ciekawiej! Prawdziwy artystyczny temperament! „Teatr to całe moje życie”, te rzeczy! Tak właśnie powinnaś do tego podejść.

Rzeczywiście, w jakiś zwariowany sposób teatr jest życiem Willa - jeśli można tak nazwać zakopanie się w Dużym Garażu, wymyślanie wszystkiego z marszu i przywiązywanie Paula do krokwi. Tak, to chyba prawda.

Pan Gumbrel zmierzwił resztkę włosów otaczających jego łysinę.

- No dobrze, skoro uważasz, że nie... dobrze, przydzielę do tego Suzie Whitelaw. Niech trochę pochodzi za Willem i Brownmillem.

- Brownm i 11 e r e m. Może nie zabiją jej od razu, ale to i tak bez różnicy, bo oni nigdzie nie bywają, tylko czasem na rybach albo u Grega, gdzie piją oranżadę i grają na automatach. W życiu nie pozwolą jej za sobą chodzić. - To po prostu śmiechu warte.

Pan Gumbrel założył ręce i zakotłosał się na obrotowym fotelu. Następnie kiwnął głową, kilkakrotnie hmmknął i zaczął zwijać krawat. Oczywiście, nie zdołałam go przekonać, że znam tych dwóch jak zły szeląg. O Boże, czy bez tego nie mam dość zmartwień? Wiedziałam, że znajdą sposób, aby splawić Suzie, i to ja będę ją miała na karku. Klepnęłam się w czoło - owszem, wiem, że to teatralny gest, ale czułam, że mam prawo do odrobiny teatru.

- Myślałam, że chce pan się ze mną zobaczyć w sprawie artykułu o tragedii nad Jeziorem Duchów. - Ale gdzie tam. Odkąd to prawdziwe wydarzenia są ważniejsze od tego, co wcale się nie zdarzyło, lecz chcielibyśmy, by tak było? Dobry Boże! Czy *Medea* naprawdę przyćmi wszystko? Poszukiwania Bena Cjueena? Zabójstwo Fern Queen? Porwanie Fay Slade? Okropne siostry Devereau? Moje niedoszące morderstwo?

I wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że o tym właśnie jest *Medea*: o krwawym mordzie, zemście i szaleństwie.

Można by rzec, że to sztuka dla nas wszystkich.

50

Całe to myślenie o szaleństwie przypomniało mi pannę Berthę i Aurorę, i że powinnam już wracać do Hotelu Paradise, aby przygotować surówki i drinka.

- Z powrotem do ho-telu, tak? - zapytał Delbert, dodając gazu.

- Nie. Niech pan jedzie na cmentarz. Sprawdzimy, czy Drakula zdążył wrócić przed świtem. - Usiadłam za fotelem kierowcy, żeby nie mógł mnie zobaczyć.

- Zawsze znajdziesz jakąś przemądrzałą odpowiedź, no nie?

- Powiem Axelowi, że pan wyzywa mnie od przemądrzałych. - Niby jak miałabym to zrobić? Przecież nigdy nie mogę złapać Axela.

- Dobra, dobra - mruknął Delbert ze złością. Ale przynajmniej się zamknął i chociaż raz dotarliśmy do hotelu w milczeniu.

Najpierw popędziłam do Dużego Garażu, żeby ostrzec Willa i Milla przed Suzie Whitelaw. Jeśli o mnie chodzi, może tu siedzieć do sądnego dnia, póki nie zawraca mi głowy, ale bardzo chciałam się dostać do środka i zobaczyć, co oni tam robią.

Z garażu dobiegał taki hałas, że chyba nie słyszeli własnych myśli: uderzenia młotka, przeciągły wrzask (zapewne Paula), oraz dźwięki patelony, grającego *My Old Flame* Spike'a Jonesa przy akompaniamencie bębnow, tar do prania i krowich dzwonek.

Zapukałam i wszystko ucichło. Kompletnie. To nigdy nie przestaje mnie zdumiewać. Nagle cała działalność ustaje i zapada grobowa cisza. Jak oni to robią? Jestem pewna, że Sherman chciałby to wiedzieć - wtedy nikt w Atlantycie, nawet Scarlett O'Hara, nie domyśliłby się, że jego armia nadciąga.

Drzwi jak zwykle uchyliły się odrobinę.

- Czego? - zapytał Will.

- To ja. Może zapomniałeś, ale też należę do teatru repertuarowego. I mam ci coś do powiedzenia.

Dobra. Gadaj.

- Najpierw mnie wpuść.

Will westchnął przepastnie i otworzył drzwi z łańcucha.

Mili walił młotkiem w jeden koniec świeżo zbudowanej konstrukcji, która, musiałam to przyznać, wyglądała zupełnie jak wnętrze samolotu ustawionego bokiem do widowni. W środku stały parami fotele dla pasażerów, podobne do foteli kinowych.

- Skąd je macie?

- Z kina Orion. Pan McComas zamierzał je wyrzucić.

Za sterami w kokpicie siedział ktoś w brązowej skórzanej pilotce, która zasłaniała mu (lub jej) twarz. Podeszłam bliżej.

- Ńdobry, panienko! - ryknął Paul.

- Dlaczego Paul pilotuje samolot? Czyście powariowali?

Will spiorunował mnie spojrzeniem.

- Na litość boską, przecież ten samolot nie Jata!

- Z Paulem za sterami nigdy nic nie wiadomo!

- No, gadaj, co masz do powiedzenia, bo jesteśmy zajęci.

Mili porzucił młotek i przeniósł się do fortepianu, gdzie jał przebierać palcami po klawiszach i nucić pod nosem.

- Czy to będzie kolejny musical? *Morderstwo w przestworzach?*

- Jeszcześmy nie zdecydowali. No dobra, powiesz wreszcie?

- Pan Gumbrel zamierza na was nasłać Suzie Whitelaw, wiecie, tę reporterkę. Uważa, że warto z wami przeprowadzić wywiad.

- Wcale nie warto.

- Nie jesteście ciekawi dlaczego?

Grzebał w stercie drewnianych i metalowych odpadów, wśród których wały się stalowe taśmy, powyginane w dziwne kształty. Skąd oni biorą te rzeczy? Czy one tu rosną? Will wyciągnął ze sterty jeden przedmiot, potem drugi, i odrzucił je na bok.

- Wiadomo dlaczego. Bo mamy tu do czynienia z przebojem. - Wziął do ręki kierownicę, która wyglądała jak część dziecinnego samochodziku, i przymocował ją do czegoś w kokpicie. Paul natychmiast chwycił ją oburącz.

- W każdym razie cię uprzedzam.
- Taa - rzekł Will, wpatrując się bacznie w kierownicę.

Mili zaśpiewał:

*Ty w górę leć, leć, leć
I jasno świeć, świeć, świeć.*

- To naprawdę sztuka o morderstwie?
- Will zerknął na mnie.
- Nazywa się *Morderstwo w przestworzach*, no nie?
 - No tak, ale... a kogo ja będę grać?
- Uśmiechnął się.
- Ofiarę.
- Pasowało.

W kuchni panował spokój. Dopiero minęła czwarta - za wcześnie, by przystąpić do robienia surówek. Poza tym wszystko najwyraźniej było pod kontrolą: jarzyny gotowały się na parze, placki się piekły, ciasto na chleb rosło pod ściereczką.

Mimo że byłam bardzo rozczerowana wiadomością o zespole Downa, z niecierpliwością czekałam na wieczór, więc na razie zabrałam się do przyrządzania Aurorze drinka. Postanowiłam zrobić coś prostego: wlałam do blendera kilka miarek rumu znalezionego za blokiem lodu w zamrażarce i dolałam brandy oraz likieru bananowego, który zabłąkał się za pudełka po butach, wypełnione formularzami podatkowymi. Uzupełniłam napój sokiem ananasowym, dodałam lodu i pół banana, po czym, zapatrzona w rozdygotany shaker, dokonałam przeglądu nazw, przesuwających się jak na taśmie przez

moją głowę. Rum banan ananas **rum** jabłko rum ba. To było to! „Rumba”!

Wyjęłam tackę, postawiłam na niej szklanekę z koktajlem i przeszłam do jadalni. Trochę się obawiałam, że natknę się na Ree-Jane, potem jednak uświadomiłam sobie, że rano mówiła (niebyszała, już o dziewiątej była na nogach), że wybiera się ze swoją koleżanką Pat w jakieś miejsce, które miało zrobić na mnie wrażenie, ale bez skutku, bo za nic nie mogłam sobie przypomnieć jego nazwy.

Płynęłam więc po schodach na górę, podśpiewując cicho: „Ree-Jane, ty leć, leć, leć, i jasno świeć, świeć, świeć, czeka cię śmierć śmierć śmierć”, aż dotarłam na trzecie piętro.

- Masz dla mnie drinka, panienko? - zawołała Auro ra, zanim jeszcze mnie ujrzała.

Skręciłam do jej pokoju.

- Jeszcze nie ma pory koktajlu. I tak przyszedłam wcześniej; przerwałam ważne zajęcia, specjalnie, żeby przynieść ci drinka. Proszę - podałam jej napój o prze ślicznej żółtej barwie. - Nazywa się Rumba.

Palce w srebrzystoszarych szydełkowych mitenkach zacisnęły się na szklance.

- Ha, ha! W swoim czasie świetnie tańczyłam rumbę! Mambo też. - Pociągnęła spory łyk.

Mambo. Odnotowałam w pamięci, żeby kiedyś użyć soku z mandarynek, być może z wódką Sapphire Blue, i znów uruchomiłam mentalną taśmę: Sapphire mambo mamba blue.

- Co ty robisz, u licha! Poruszasz wargami? Zupełna z ciebie wariatka! Ten koktajl jest bardzo dobry. Jak dla mnie, to minęłaś się z powołaniem.

- Jak to minęłam się? Jeszcze do niczego mnie nie powołano.

- Właśnie, że tak. Podajesz do stołów tutaj, w Hotelu Paradise.

- Nie uważam, że obsługiwanie gości w Hotelu Wariatów to powołanie. Ksiądz Freeman ma powołanie; matka ma powołanie; pan Gumbrel ma powołanie; nawet Will ma powołanie...

- Stanowczo muszę obejrzeć wasze przedstawienie. Słyszałam, że jest kapitalne. Nie do wiary, ale wszyscy o nim mówią.

- A ty skąd wiesz? - zdziwiłam się. - Przecież nigdy nie opuszczasz Hotelu Wariatów.

Poprawiła mitenki, wsuwając maleńki perłowy guziczek na przegubie w odpowiednią dziurkę.

- Masz mnóstwo czasu, żeby zrobić następny - uniosła na w pół opróżnioną szklanę; jak mniemam, miał to być sygnał, żebym znowu zbiegła na dół.

- Najpierw chcę kilku informacji.

- Znowu? Dobry Boże, dziewczyno, czy tobie tylko to w głowie? Wygrzebywanie jakichś staroci? Nie masz dość kłopotów z teraźniejszością, że musisz babrać się w przeszłości? Co znowu? Co znowu chcesz wiedzieć?

- Czy kiedykolwiek widziałaś córkę Slade'ów?

Zmrużyła oczy i poprawiła okulary na nosie, jakby dzięki temu lepiej słyszała.

- Znaczy, Morrisa Slade'a i tej bezpłciowej Imogeny Woodruff?

- Tak jest. Miała na imię Fay, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Nie pamiętam jej imienia, ale owszem, widziałam ją. A bo co?

- Czy wyglądała, jakby miała zespół Downa?

Aurora ostentacyjnie przyłożyła do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń; nie żeby była głucha, ale pewnie uznała pytanie za idiotyczne.

- Co ty u diabła pleciesz? Co Downa?

- Taka osoba jest trochę mongołowata...

Zrozumiała.

- Aa, chodzi o tych kretynów mongołów

- To nie są kretyni - zaprotestowałam, zapominając o tym, jak wcześniej próbowałam zapamiętać ten wyraz.

- No to niedorozwoje.

Przewróciłam oczami i pokręciłam głową.

- Chodzi o to, czy dziecko Slade'ów było takie, czy nie?

Coś takiego, Aurora naprawdę się zastanawiała. Spojrzała w okno, dzisiaj otwarte i zasłonięte siatką. Przyjemny wietrzyk niósł zapach, którego nie rozpoznawałam ani nawet nie domyślałam się jego źródła, bo ogród znajdował się trzy piętra niżej. Zamknęłam jednak oczy, próbując zatrzymać tę chwilę - jedno z tych zdarzeń, które chce się zachować w pamięci.

Odwróciła się wreszcie.

- Nie pamiętam, taka jest prawda. - Potrząsnęła szklanką i wyssała resztkę lodu.

- Nikt nic nie mówił? - Do tej pory nie zastanawiałam się nad tym, co kto mówił, to znaczy z wyjątkiem osób takich jak Aurora i panna Fiagler. Ale z pewnością w La Porte i okolicach żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali, że dwadzieścia dwa lata temu porwano dziecko, i na pewno utrwalili sobie, jak wyglądało. Problem w tym, że jedno dziecko jest okropnie podobne do drugiego.

- A w ogóle, skąd ci przyszedł do głowy ten głupi pomysł?

- Od panny Isabel Barnett.

Aurora zrobiła zboląłą minę.

- Od tej baby? Żartujesz? To największa kłamczucha w trzech okręgach i na dodatek kleptomanka!

Bez tchu cofnęłam się o krok. Czyżby Aurora miała rację? A może zaprzeczała pannie Barnett z czystej przekory? Jakbym nie miała dość spraw na głowie! A teraz jeszcze musiałam rozważyć, czy panna Barnett powiedziała mi o zespole Downa, żeby wydać się bardziej interesującą, czy też z jakiegoś innego powodu! Może dlatego właśnie była kleptomanka - żeby wydać się bardziej interesującą? Chociaż, z drugiej strony, żeby osoba z jej pieniędzmi kłamała, aby zwrócić na siebie uwagę? To wymagało zastanowienia. Ale skoro Aurora wiedziała, że panna Barnett jest kleptomanka, to czemu nie miałyby wiedzieć, że kłamie? Co prawda nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek podawał w wątpliwość prawdziwość panny Barnett. Wszyscy ją szanują. Napomniałam sama siebie, że nie istnieje najmniejszy powód, by miała kłamać w sprawie dziecka. Nie, tego wszystkiego było stanowczo za wiele.

- To pewnie był podrzutek - rzekła Aurora.

- Co?

- Kradną dzidziusia i podkładają innego na jego miejsce.

Kręciło mi się w głowie; czułam się, jakbym wypła trzy Rumby.

- A może Morris Slade sam ją wykradł - ciągnęła.

- Też o tym myślałam. Ale po co miałyby to robić?

- Po co? To był nicpoń, złodziej, pijak i zarozumialec.

I w dodatku kobieciarz. Umizgał się do mnie, ale

szybko się na nim poznałam, panienko! Mnie by nigdy nie zagnał do kąta, jak tę Imogenę Woodruff, żeby móc uganiać się za dziewczuchami! Morris Slade nie chciałby mieć bachora na głowie, co to, to nie.

- Ale nikt nie wyszedł z pokoju po drabinie. Myślę, że ktoś ją tam podstawił, żeby wyglądało, że dziecko zostało porwane.

- To bystra uwaga. - Podetknęła mi pod nos szklanke i tym razem ją wzięłam. - Lepiej się pośpiesz, zaraz będzie kolacja.

Wróciwszy do kuchni, poprosiłam Waltera, żeby zaniósł Aurorze drinka razem z kolacją. Matka zapytała, czemu nie mogę pójść osobiście; Walter był jej potrzebny, żeby uporać się z brudnymi naczyniami, bo zabrakło rubinowych czarek na wieczorne przyjęcie. Odparłam, że przecież muszę robić surówki i całą resztę, no nie? A matka sama dobrze wie, że cioteczna babka Aurora potrafi zagadać człowieka na śmierć.

Przygotowałam nudne surówki na talerzykach; nie zadałam sobie nawet trudu, by ładnie je ułożyć, tylko byle jak rzuciłam na sałatę krążki cebuli i papryki oraz czarne oliwki.

Nie chciało mi się zastanawiać nad tym, czy Aurora ma rację i czy Isabel Barnett faktycznie wymyśliła tę historię z zespołem Downa czy jakmutam. Jak to możliwe, by coś było tak skomplikowane, żeby najpierw usłyszeć, że to prawda, a zaraz potem, że to wielkie kłamstwo? Tam i z powrotem, tam i z powrotem, istny ping-pong.

Było ze mną tak źle, że nawet nie dodałam do surówki panny Berthy ostrej papryki, którą rano posiekałam specjalnie w tym celu. Westchnęłam. Ciekawe,

pomyślałam, czy całe dorastanie nie polega na takim właśnie uczuciu nijakości.

A trzynastka nadciągała nieuchronnie - niedługo miałam mieć urodziny. Wtedy to dopiero się zacznie! Szkoła średnia, myślenie o fryzurach, makijażu, chłopakach, babskie intrygi, college, znowu chłopcy, i tak dalej, i dalej, i dalej. Nie tyle wytrącało mnie z równowagi to, co nadchodziło tak szybko, ile to, co pozostawiałam za sobą. To było wręcz przerażające.

Wystarczy spojrzeć, co zazwyczaj wiąże się z dorastaniem: większa dojrzałość (cokolwiek to jest) i przypuszczalnie większa tolerancja, może nawet większe zrozumienie dla Ree-Jane - a nawet współczucie! O Boże, Boże! To ostatnie mogło nadejść (najwcześniej) dopiero po czterdziestce lub pięćdziesiątce, lecz mimo wszystko... Posypując surówki siekanym jajkiem na twardo, przymierzylam się do tego pomysłu. Oto ja, czterdziestolatnia, patrzę na Ree-Jane, wciąż w sukience na słodką szesnastkę, człapiącą jak kloc po parkiecie, i myślę sobie: „Ach, kochana Ree-Jane, biedactwo nie może nic na to poradzić...”

Wzdrygnęłam się. Czy naprawdę może do tego dojść? Czy życie zamienia człowieka w takiego kłamcę, że już nie wie, co jest nienawistne, a co nie? Wyobraziłam sobie, że w tym późniejszym życiu panna Bertha, która miałaby ze sto dwadzieścia lat, drepcze w kółko z nosem przygiętym niemal do kostek, a ja głaszczę ją po garbie i mówię: „Och, panno Bertho, proszę pozwolić, że pani pomogę, ja to podniosę, droga pani”. Pani Fulbright też by tam była, tyle że ona by po prostu zwiędła jak stos suchych liści, pozostając jak zwykle miłą osobą.

Z całych sił zacisnęłam powieki. Trzydzieście. Czternaście. Osiemnaście. Dwadzieścia trzy.

Pognałam do lodówki, wyjęłam talerzyk z posiekaną papryką, po czym niemal biegiem wróciłam, aby rozmieścić jej kawałki równomiernie w surówce panny Berthy, żeby nie mogła ich ominąć. Wreszcie odsunęłam się o krok.

Niektórzy mówią, że to dziecinne zachowanie. Ja mówię, że to zachowanie dwunastoletnie.

Surówka przyniosła pożądany efekt: panna Bertha, wrzeszcząc, zażądała wody, najgorszego antidotum, której jej z uciechą dostarczyłam (czy ona się nigdy nie nauczy?). Było już po kolacji, postanowiłam więc przejść się po drewnianym chodniku do warsztatu Sława i sprawdzić, czy Dwayne jeszcze pracuje, a jeśli nie, zajrzeć do restauracji Jessie, gdzie on czasem bywa. Nie zjadłam nawet anielskiego placka na deser.

- Naprawdę wyrzekasz się anielskiego placka? - zapytała matka.

Odnotowałam w pamięci słowo „wyrzekać się” i wyjaśniłam, że jakoś nie mam ochoty. Matka zaniepokoiła się, czy nie jestem chora. Przez chwilę rozważałam, czy warto zagrać słabowitą i niewyraźną, i w ten sposób wykręcić się od porannego podawania do stołów, lecz natychmiast zrezygnowałam, bo to groziło natychmiastowym odesłaniem do łóżka.

Oczywiście, deseru nie zjadłam, bo zamierzałam zjeść go u Jessie, a krótki spacer chodnikiem nie wystarczał, żeby pozbyć się uczucia sytości. Poza tym, zawsze mogłam wieczorem wpaść do kuchni i ukroić sobie kawałek placka.

Nie jestem z tych, dla których życie to jedno pasmo poświęceń.

Dwayne siedział na tym samym stolku co poprzednio, a gdy się rozejrzałam, zauważyłam kilka znajomych twarzy, to znaczy znajomych z poprzednich odwiedzin. Ci sami ludzie w tych samych boksach lub przy tych samych stolikach, zupełnie jak w barze Na Wietrznym Szlaku. Może w każdym miasteczku jest taki lokal?

Oto, pomyślałam, do czego sprowadza się życie - do jednostajności. Nawet kiedy pozornie dzieje się coś innego - powiedzmy, ja na Alasce, w podbitej futrem kurtce, zostaję zaatakowana przez niedźwiedzia grizzly - to naprawdę niczym się nie różni. Nie potrafiłam wymyślić, dlaczego nie, ale po prostu nie.

Dwayne rozmawiał z Jessie, również tak jak przedtem. Wlazłam na ten sam wysoki stołek obok niego, powiedziałam obojgu dzień dobry i zapytałam:

- Jakie pani ma dzisiaj ciasta?

- Takie same jak zwykle...

(Widzicie?)

- ...placek jabłkowy, bezę cytrynową, z czarnymi jagodami, z kremem kokosowym...

- Poproszę z kremem kokosowym.

- Życzysz sobie a la modę?

Co takiego? Placek z kremem a la modę?

- Nie, dziękuję, chyba się wyrzeknę.

Dwayne parsknął w kubek z kawą, więc spojrzałam na niego. Miał całkowicie poważną minę.

- Jesz placek z orzechów pekana? - zapytałam.

- Tak jest. Bardzo dobry.

Chciałam go pouczyć, że jedyna niepochoząca z Georgii osoba, która umie robić placek z pekanów, to moja matka (trzeba uważać z melasą, bo robi się za słodki i niesmaczny), ale się powstrzymałam, żeby nie psuć mu przyjemności. Powiem mu później, pomy-

siałam. Im lepiej odróżniamy wysmienite jedzenie od zwyczajnie dobrego, tym lepiej dla nas.

- Znudziła ci się kuchnia mamusi? - zagadnął.

Popatrzyłam na niego. Słyszałam ostatnio kilka obłąkańczych zdań, ale to przebijało wszystkie. Nawet się nie pofatygowałam, by odpowiedzieć.

Jessie postawiła przede mną porcję placka i widelczyk, po czym dołała Dwayne'owi kawy.

- Powiedziałaś, że pojedziesz, jeśli nie będziesz za jęty - przypomniałam.

Ujął kubek w dłonie i dmuchnął lekko. Obłoczek pary odpłynął w przeciwną stronę.

- No, co prawda miałem wystąpić na olimpiadzie w konkursie jazdy figurowej na lodzie, ale chyba się tego wyrzeknę.

Już, już miałam powiedzieć „ale ty się mądrzysz”, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

- Dzięki - rzekłam.

- Czego tym razem szukamy? Po co Sam DeGheyn tam jedzie? I Maud?

- Zaciekawiała ich ta historia... Dwayne wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bo to niezła historia, swoją drogą.

Zachnęłam się.

- Szeryf zamierza przeprowadzić dochodzenie w sprawie porwania, to znaczy, jeśli istotnie do niego doszło. Jeśli w ogóle było jakieś porwanie.

Odwrócił się ku mnie, wciąż trzymając kubek w dłoniach.

- Jak to? Zmieniłaś zdanie? Teraz myślisz, że to było co innego? - Pokręcił głową. - Rany boskie, dziewczyno, ależ ty masz skomplikowany umysł.

- Nie chodzi o mnie. Chodzi o to, że zawsze pojawia się coś nowego, co unieważnia to, co było przedtem. Na przykład dzisiaj się dowiedziałam, że dziecko Ślade'ów miało tę, no, chorobę Downa.

- Downa? - Ze smutkiem pokręcił głową. - Coś podobnego. Szkoda. - Zmarszczył czoło. - Kto ci to powiedział?

- Panna Barnett, Isabel Barnett z La Porte, która widziała małą Fay w dniu porwania. Tyle że Aurora Paradise mówi, że panna Barnett to okropna kłamczucha.

- Z tego, co słyszałem o Aurorze Paradise, to przygarnął kociół garnkowi.

- Więc sądzisz, że powinnam wierzyć pannie Barnett, a nie Aurorze?

- Nie umiem powiedzieć, komu powinnaś wierzyć. Tylko ty to wiesz; to ty analizujesz dowody.

Znów się zachnęłam.

- Jakie dowody?

- Dobre pytanie - roześmiał się. - No, tę twoją teorię o tej młodej kobiecie, którą wciąż widzisz, chyba właśnie trafił szlag, no nie?

Kiwnęłam głową i odepchnęłam talerzyk z niedojedzonym plackiem. Naprawdę nie miałam ochoty na więcej.

Dwayne wziął swój rachunek i przysunął do siebie mój.

- Chodźmy do samochodu.

- Czekaj! Nie chcę, żebyś za mnie płacił! - Rzuciłam się, by odebrać mu rachunek.

- Oo-ho! - Nie wypuszczając go z ręki, Dwayne zapłacił za nas oboje. - Było mi bardzo miło.

Kiedy wstawaliśmy od kontuaru, chyba pierwszy raz od kilku dni (a może nawet lat), powiedziałam coś od serca:

- Dziękuję ci, Dwayne.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

51

Półcieżarówka Dwayne'a podskakiwała po nierównym podjeździe, usłanym liśćmi, patykami i połamanymi gałęziami jeszcze gęściej niż poprzednim razem.

- William Faulkner powiedziałby o tym „śmiecio-liście” - rzekłam, gdy stanęliśmy pod ruiną porte cochere.

- Możliwe. Billowi spodobałoby się to miejsce, jak zresztą każdemu pisarzowi. - Wysiedliśmy. - Zdaje się, że już są - wskazał na beżowy wóz policyjny. - Chyba że robią nalot na lokal. - Spojrzał w ciemniejące niebo, po czym wyjął z samochodu latarnię. Wziął też sześć-pak piwa i puszkę coli.

Odetchnęłam głęboko. Wszystko pachniało deszczem, świeżo i czysto. Dobiegły mnie głosy i po chwili podeszli do nas Maud i szeryf.

Przywitaliśmy się; było tak, jakbyśmy wszyscy zostali tu porzuceni i ucieszyli się ze swego towarzystwa. Mieliśmy ze sobą coś wspólnego, nie bardzo wiedziałam co, bo ja miałam dwanaście lat, a oni byli dorośli. Ale może właśnie o to chodziło, że inaczej niż większość dorosłych oni nie zgubili swej dwunastoletności.

Szeryf zatknął latarkę za pasek za plecami, tak jak przestępcy w filmach czasem noszą broń. Wyjęłam swój plan i pocztówki, po czym poprowadziłam go do miejsca, w którym stała drabina. Dwayne i Maud ruszyli za nami. Lubię prowadzić, choć nie zdarza mi się to często. Prawdę mówiąc, prawie nigdy.

Szeryf spojrzął w górę, tam gdzie niegdyś mieściło się drugie piętro i okno Slade'ów, i mruknął coś pod nosem.

- Na co patrzysz? - zapytała Maud. - Co tam było?

- Dwayne sądzi - powiedziałam - że mogła w tym brać udział więcej niż jedna osoba i że porywacz wyniósł dziecko przez okno, tyle że poszedł po drabinie do góry, a nie na dół.

Przystanęliśmy z zadartymi głowami. Zwróciłam uwagę, że gapienie się w pustą przestrzeń wcale im nie przeszkadza. Założyłam ręce i podrapałam się po łokciach, co często robię, kiedy rozmyślam. Może wszyscy powinniśmy gapić się w przestrzeń, jeśli mamy kiedykolwiek cokolwiek zrozumieć? Wgłębiłam się w tę myśl, ale zaraz mi umknęła. Przeważnie sama nie wiem, o co mi chodzi.

- Nie wydaje mi się.

Najpierw uznałam, że szeryf czyta mi w myślach, lecz po chwili zorientowałam się, że odniósł się do teorii Dwayne'a.

- Wejść po drabinie do pokoju to jedna sprawa. Znacznie trudniej jest wrócić tą samą drogą; to niewygodne, nawet kiedy ma się wolne ręce, a kiedy niesie się dziecko, to prawie niewykonalne.

- Ale nie dla linoskoczka - powiedziała Maud - ani dla gimnastyka.

Szeryf tylko na nią popatrzył.

- Maud, widzisz tu jakichś linoskoków? Albo innych cyrkowców? - I zatoczył krąg ramionami.

Dwayne roześmiał się.

- Przecież nie wiemy, kto wtedy tu był - rzekła Maud.

- Czy już ci mówiłem, że marny byłby z ciebie policjant? Od razu wybierasz najbardziej niemożliwe rozwiązanie, całkiem bez zastanowienia.

- Chodźmy na piwo, zanim Emma wszystko wypije - wtrącił Dwayne. Odwrócił się i ruszył do samochodu.

Dwoje pozostałych nawet nie zwróciło na niego uwagi, tak byli pochłonięci swoją sprzeczką.

- O ile mi wiadomo - ciągnął szeryf - Morris Slade nigdy nie wstąpił do cyrku.

Maud przypaliła papierosa.

- Nie, ale kto mówi, że to zrobił Morris Slade? Na litość boską, przecież był ojcem dziecka!

Zrozumiałam, że nic nie wyniosła z lekcji, którą powinna być dla niej *Medea*.

- Bo sądzę, że Emma jest na właściwym tropie - odparł szeryf.

- Zawsze jest ten pierwszy raz - zauważył Dwayne, wręczając im po puszcze piwa, a mnie puszkę coli.

Podziękowali.

- Ha, ha, ha - powiedziałam, wstrzymując się od podziękowań.

- Chodźmy na tyły. Tam jest niesamowicie - rzekł Dwayne.

- Niesamowicie? A co w tym niesamowitego? zapytałam, maszerując z chrzęstem po liściach, patykach i potłuczonym szkle, a niekiedy przestępując zwalone

konary. - Dwayne? - Nienawidzę, kiedy ludzie mi nie odpowiadają.

- Twoja Znikająca Dziewczyna. Swoją drogą, to naprawdę świetny pomysł! - Urwał i pociągnął łyk piwa. Dwa łyki.

- O czym ty mówisz? Upiłeś się czy co? - Przystanęłam, biorąc się pod boki. - Przestań mówić, jakbyś ją znał! - Naprawdę byłam zła.

- Okej - odparł i ruszył dalej.

Dogoniłam go. Dlaczego nigdy nie pamiętam, że Dwayne bierze sprawy dosłownie, kiedy ma w tym jakiś cel? Jeśli w ogóle ma jakiś cel.

- To o tym strumieniu mówiłaś? - zapytał szeryf.

- Tak. - Miałam nadzieję, że chociaż on nie wspomni o Dziewczynie.

Ale powiedział tylko:

- Dopływ rzeki Bitterroot.

Maud, która szła przodem, zatrzymała się w sali balowej.

- Popatrzcie tylko - pokręciła głową ze zdumieniem.

- Jak to miejsce uniknęło pożaru? W jaki sposób się nie spaliło?

- To cud - rzekł szeryf. - Zostało nawet kilka mebli.

Maud gładziła aksamitne pokrycie fotela.

- Ktoś musiał je tutaj przynieść.

Aż się cofnęłam. To mi nie przyszło do głowy.

- Daj spokój, Maud. Komu by się chciało? Wyścielane fotele? Może gdyby to była kołyska...

- Nie wiem, mnie się ten pomysł podoba - powiedział Dwayne.

Teraz wszyscy patrzyli na mnie.

- No, na pewno nie ja. Na litość boską, wyobrażacie sobie, że taszczyć te meble milę przez las?

- Owszem - odparł Dwayne, patrząc na niebo, jakby się zastanawiał, czy nie przykleiłam tam kilku gwiazd. Schylił się i zapalił latarnię, która rozbłysła, rzucając na podłogę nasze chude, długie cienie.

- No proszę, jest i gramofon. Tylko nie mówcie, że tego nikt nie przyniósł. I płyty. - Maud pokręciła korbką.

- To moje - wyjaśniłam speszona.

- Bardzo dobrze. Uwielbiam tę piosenkę. - Igła opadła i rozległa się *Księżycowa serenada*.

Maud okręciła się w takt muzyki. Szeryf odstawił piwo, podszedł i objął ją w talii. Patrzyłam, jak tańczą, zazdrosna jak nie wiem co.

- Pewnie nie umiesz tańczyć - powiedział Dwayne.

- Och, nie pleć głupstw. Oczywiście, że umiem.

- Dobra, w takim razie... - pociągnął mnie na parkiet.

- Jesteś za wysoki. Nie nadążam! - Zrobiłam kilka wielgachnych kroków.

- Słuchaj, osoba, która wykonała te numery w *Medei*, potrafi zatańczyć, stojąc na głowie. Połóż mi dłoń na ramieniu... o, tak... i jedziemy.

I pojechaliśmy, a Glenn Miller i jego puzon pojechał z nami. Wszyscy czworo wirowaliśmy w tańcu, w koło i w koło, i znów znalazłam się wśród Kelnerek, wśród tych ulotnych, barwnych rajskich ptaków.

To było równie dobre jak dancing w Rony Plaża, a może nawet lepsze.

Prowadziłam.